

AM OPOWIADANIA



***Polowanie
na teksty...***

Autorka zdjęcia i modelka: **Calendula Officialis** ze Storytellers

Storytellers © 2007 Wszystkie prawa zastrzeżone.

AM#OPOWIADANIA STORYTELLERS

WSTĘPNIK

Witam

To był ciężki okres w życiu kącika, moim i redaktorów. Mam nadzieję że już nie powróci...

Kącik jak zauważyliście jakiś czas się nie ukazywał, przepraszam wszystkich za tak długie oczekiwanie, spotykamy się z Wami jednak znowu, i nawet kolejny numer mamy w 50% przygotowany (trochę się tekstów nazbierało :)). Zawalenie robotą w pracy, remont w domu, zmiany na naszym portalu internetowym to wszystko i wiele innych miało pośredni i bezpośredni wpływ na tą niefortunną przerwę.

Ale dość tłumaczenia, zabieramy się do pracy, w tym numerze małe zamieszanie związane z bałaganem jaki się zrobił przez okres przerwy, kilka działów znikło, kilka tekstów zostało przesuniętych na następny numer. W kolejnym numerze wrócimy jednak do formy ;)

Szepnę Wam w tajemnicę, że szykuje się kolejna edycja naszego konkursu na najlepsze opowiadanie. Jak poprzednio termin przypadnie pewnie w wakacje, zachęcam więc do ćwiczeń. Nowe informacje związane z konkursem najwcześniej pojawią się na naszej stronie internetowej, zachęcam więc do odwiedzin.

Na koniec proszę o pisanie komentarzy do opowiadań (kilka przepadło niestety w zawierusze tego miesiąca). Bo będziemy musieli z tego działu zrezygnować niestety.

Acha, jako że mieliśmy ostatnio kilka zapytań o możliwość dołączenia do składu Redakcji informuję, że furtka jest cały czas otwarta. Na początek od kandydatów wymagamy recenzji subiektywnych 3 wybranych opowiadań (na przykład z tego numeru), długości minimum pół strony. Poza tym trochę czasu, stały dostęp do internetu (lub możliwość odpowiedzi na maila co np. 3 dni), chęci, odrobina zdolności pisania, chęci, komunikatywność i chęci;) To wszystko ;)

Pozdrawiam i do przeczytania za miesiąc, wszystkim życzę, aby był lepszy niż minione...

SHIRO

Nitramayu cała redakcja pragnie złożyć wyrazy współczucia z powodu śmierci siostry Beaty.

STOPKA

Redaktor Naczelny
Dawid „Shiro” Nowak
shiro@storytellers.pl

Z-ca Redaktora Naczelnego
Piotr „JNK NM” Durbajło
enem@storytellers.pl

Redaktor tekstowy
Marcin „Nitramay” Glaza
jamartin_op@wp.pl

Redaktor tekstowy i korekta
Marta „Tatyana” Solecka
martulka.tati@gmail.com

Storytellers
<http://www.storytellers.pl>

Kontakt z redakcją
opowiadania@gmail.com

Jeśli piszesz opowiadania (lub inne teksty), chciałbyś skomentować któryś z naszych tekstów, tworzysz grafikę lub prowadzisz jakąkolwiek inną działalność twórczą to podeślij swoje prace na:
opowiadania@gmail.com
lub odwiedź naszą stronę internetową:
<http://www.storytellers.pl>

PRENUMERATA

Chcesz otrzymywać pocztą elektroniczną nowy numer AM#Opowiadań?
Po prostu wyślij na adres redakcji: **opowiadania@gmail.com** e-mail o tytule:

„Prenumerata magazynu AM#OPOWIADANIA”.

Możesz także podać adresy zainteresowanych tematyka opowiadań znajomych, wyślemy im jeden email z ostatnim numerem kącika, jeśli im się spodoba będą mogli zatwierdzić prenumeratę. Pamiętaj, że im nas więcej tym więcej ciekawych tekstów w kąciku.

PARTNERSTWO

W sprawie wszelkiego rodzaju współpracy - czy to wymiany banerów, okienek subskrypcji/prenumeraty, opowiadań, newsów albo jakiegokolwiek innej formy reklamy - piszcie śmiało na adres redakcji:
opowiadania@gmail.com

REGULAMIN

Jak wysłać opowiadanie i co powinno się w nim zawierać?

Opowiadania wysyłamy pocztą elektroniczną. Na adres opowiadania@gmail.com proszę kierować wszystkie sprawy związane z kącikiem. Napisz kilka słów w treści maila, a w samym opowiadaniu nie zapomnij dodać tak oczywistych rzeczy jak tytuł i OBOWIĄZKOWO na końcu tekstu imię, bądź pseudonim autora, jakim opowiadanie będzie sygnowane w przypadku publikacji. Oczywiście, dla własnego dobra nie zapomnij także o dodaniu w pliku adresu mailowego na wszelki wypadek (gdybym np. w trakcie robienia porządków na koncie kącika usunął maila). Jeśli ktoś nie dopisze swojego adresu u dołu opowiadania uznaję, że zwyczajnie tego sobie nie życzy - kontakt z takim autorem będzie możliwy jedynie przez pośrednika, czyli mnie. Pseudonim w tekście musi być zaznaczony, choćby dla mojej wygody i dobrego samopoczucia. Ponadto dłuższe teksty (około 60 tys znaków, ze spacjami) dla wygody czytającego lepiej dzielić na rozdziały.

Co z prawami autorskimi?

Przesyłając tekst do nas, zachowujesz do niego pełne prawa autorskie i automatycznie wyrażasz zgodę na jego publikację. Ponadto - redakcja zastrzega sobie prawo do wprowadzania drobnych poprawek w tekście oraz jego publikacji - na stronie internetowej kącika i innych witrynach internetowych powiązanych w jakiś sposób z AM#Opowiadania lub Storytellers. Nie wykluczamy także możliwości druku papierowego wybitnych opowiadań, autor w tym przypadku będzie dodatkowo powiadomiony. Podpisując się pod opowiadaniem prawdziwym imieniem i nazwiskiem, wyrażasz zgodę na wydruk papierowy opowiadania i dysponowanie nim przez Storytellers © (np. publikacji w jednym z współpracujących z nami wydawnictw, w przypadku braku możliwości kontaktu z autorem akceptacja wprowadzonych przez wydawnictwo zmian itp.).

Ile wynosi czas oczekiwania na odpowiedź w sprawie wysyłanych tekstów?

Jeśli Twoje opowiadanie spodoba się redakcji, oczywiście powiadomię Ciebie o tym w terminie natychmiastowym - czyli do dziesięciu dni. Jeśli nie - również zostaniesz o tym fakcie powiadomiony. W przypadku pośrednim dostaniesz wskazówki odnośnie poprawek, jakie powinienś w tekście wnieść, by przeszedł. Gdy tekst będzie bardzo długi, lub ja będę mieć wybitnie mało czasu - powiadomię zainteresowanego autora o opóźnieniu w ocenie opowiadania i ustalimy jakiś sensowny termin. Jeżeli po upływie 10 dni nie dostaniesz żadnej odpowiedzi, znaczy to, że coś się stało z mailem po drodze. Wyślij opowiadanie ponownie! Aż do skutku.

Robię dużo błędów/mam dysleksję/nie chce mi się poprawiać/itd.

Literówki będą poprawiane tylko, gdy będzie ich niewiele, za to polskie znaki MUSZĄ BYĆ. W przypadku dużej liczby błędów, bądź braku polskich znaków, teksty będą odsyłane do autora w celu ich poprawy. Jeśli naprawdę chcesz by Twoje opowiadanie przeszło, to posiedź nad nim przez chwilę, przejrzyj dokładnie i popraw tak by było czytelne. Obecnie mamy korektorów, więc jeśli tylko Twój tekst przyjdzie odpowiednio wcześniej przed DEADLINEM powinien się pod czujne oko któregoś z nich dostać. Mimo to radzę opowiadania dokładnie poprawiać samemu, z czasem zwykle jest krucho i nie zawsze redakcja z poprawkami się wyrobi.

W moim tekście jest seks, przemoc, wulgaryzmy... może, ehem, coś takiego być?

To zależy...

W kąciku Opowiadań nigdy nie było żadnej wielkiej cenzury i nie chcę takiej wprowadzać, ale jednak pewne granice dobrego smaku powinny istnieć.

Lubię horrory, dlatego nie oszukujmy się twierdząc, że nie będę takich zamieszczać, ale lepiej z przelewem krwi nie przesadzać. Inną sprawą jest to, że krew nigdy nie powinna budować fabuły, a co najwyżej być do niej dodatkiem.

Jak duży ma być tekst?

Zasadniczo ścisłych ograniczeń nie ma; nawet, jeśli napiszesz maleństwo na 1000 znaków i uda Ci się zawrzeć tam ciekawą historię, to ma szansę się znaleźć w kąciku. Jeśli napiszesz interesujące opowiadanie powyżej 60 tys znaków, również przejdzie, po prostu będziesz dłużej czekać na moją opinię w sprawie tego opowiadania. Granicą nie jest długość, lecz jakość.

W jakim formacie mam zapisać opowiadanie?

Preferuję Rich Text Format (rtf), dostępny w programie Word lub stary, dobry ASCII (txt). W takim przypadku, jeśli Twój tekst wymaga jakichś szczególnych formatowań (kursywa, pogrubienie) możesz oznaczyć je zapożyczonymi z HTML-a tagami: `<i>kursywa</i>` i `pogrubienie`; a przypisy oznaczać tak: [1] i pod tekstem umieszczamy treść przypisu. Dokumenty zapisane w standardowym formacie Word (.doc) są bardzo niemiłe widziane choćby z powodu ich często dużej objętości, autokorekty podmieniającej znaki na „wordowskie” i złośliwego makro, jakie może być do nich doczepione, o czym Ty możesz nawet nie wiedzieć...

Lubię kącik opowiadań tak bardzo, że chciałbym go dostawać co miesiąc na skrzynkę mailową przed czasem. Czy istnieje taka możliwość?

Oczywiście! Wystarczy, że wyślesz na adres AM#Opowiadania email z informacją, że chcesz przystąpić do prenumeraty. Dostawać AM#O na skrzynkę będziesz również, jeśli będziesz pisał do niego. Zawsze możesz skrobnąć komentarz - zajmuje to niewiele czasu, a gwarantuje dostanie kącika przed czasem do rąk własnych.

To chyba wszystko. W przypadku wszelkich uwag, lub pytań piszcie na adres kącika: opowiadania@gmail.com

Na pewno jeszcze jakieś zmiany w regulaminie nastąpią, ale jedno nie zmieni się nigdy. Wy piszecie. Ja zamieszczam. Świat czyta. I tak od początku, bez przerwy.

SPIS TREŚCI

Okładka	1
Wstępniak	2
Regulamin	3
Spis Treści	4

KOMENTARZE

Empirium - k. Nitramay	5
The Fearkiller - k. Nitramay	5
Wspomnienia Berserkera - k. Shiro	5
Ukryte w piwnicy - k. Shiro	5

SHORTY

Corvus ::: Magus	6
Corvus ::: ...taki jak Ty	6

OPOWIADANIA

Janusz Anderson ::: The Fearkiller	7
Phantasmagor ::: Wspomnienia Berserkera	24
Ogór ::: Ukryte w piwnicy	33
MarcinD ::: Kryształ Niebios	36
Vith ::: Empirium	45
Misiael Pierwszy ::: Szepty zebrane	50
Nikko Takeda ::: Apostoł Śmierci	54
Redmeer ::: Mauser życia	70

CYKLE

Konrad Staszewski ::: Opowieści z Przeklętej Doliny :: Część 6	86
Tajga1805 ::: Anna :: Część 7	89

Vith ::: Empirium - Komentuje Nitramay

Tekst, jak dla mnie przynajmniej, bardzo trudny zarówno do czytania jak i ocenienia. Opowiada o człowieku miotanym szaleństwem, co jest spowodowane popełnieniem przez niego morderstwa. Bez problemu można w jego zachowaniu i myślach zauważyć objawy schizofrenii, która, co można z pewnego fragmentu wywnioskować, tkwiła w jego umyśle już przed popełnieniem zbrodni i ona właśnie do tegoż czynu go zmusiła. W tekście opisane jest kilka godzin życia bohatera popadającego gwałtownie w coraz większe szaleństwo.

Czyta się to bardzo ciężko. Autor cierpliwie buduje klimat, który czytelnika momentami przygniata. Chwilami wydaje się, że czas utworu spowalnia, co dla niektórych może być uciążliwe. Bez maksymalnego skupienia odbiorca po zapoznaniu się z treścią opowiadania niemal nic z niego nie zapamięta. Bogactwo językowe utworu nie jest wybitne, ale chyba bez problemu udało się zawrzeć w nim autorowi to, co chciał i zbudować oczekiwany przez niego nastrój.

Co jednak mnie irytuje, to że ów utwór wydaje się być jakby wyrwanym z kontekstu, z czegoś większego. Nie wiemy praktycznie nic pewnego ani o bohaterze, ani o mających miejsce wydarzeniach. Wszystkie domysły musimy snuć sami, posiłkując się jedynie skąpych podpowiedziach wypływających z tekstu. Brakuje tutaj genezy, historii bohatera, opowieści o tym, co dokładnie doprowadziło go do obecnego stanu. Dzięki temu moglibyśmy lepiej zrozumieć zaistniałą sytuację, a co za tym idzie, utwór bardziej przykuwałby naszą uwagę.

Tekst polecam osobom lubującym się we wszelakich wątkach psychologicznych, interesującym się psychologią i schizofrenią. Zdecydowanie odradzam go czytelnikom oczekującym szybkiej, warto toczącej się akcji.

PS. Nie wykluczam, iż źle zrozumiałem to opowiadanie i przepraszam autora oraz wszystkie osoby, które jakoś mym komentarzem się zasugerowały, jeśli ma interpretacja jest mylna.

Janusz Anderson ::: The Fearkiller - Komentuje Nitramay

Pierwsze, co uderza, to długość tekstu - 118 KB w M. Wordzie robi wrażenie. Przyznam nawet, że mnie to nieco przeraziło - czytanie nudnego, przydługiego utworu nie należy do rzeczy najprzyjemniejszych.

Jednak nie obawy dość szybko się rozwiały, ponieważ opowiadanie to bardzo wciąga, szczególnie końcowa jego część. Przyczyną takiego obrotu sprawy jest niezmiernie ciekawa fabuła. Autor zastosował zaskakujące zwroty akcji, a także nie pozwolił czytelnikowi się w tym wszystkim pogubić, za co należy mu się duży plus.

Z drugiej jednak strony widać brak odpowiedniego warsztatu pisarskiego. Sytuacje i miejsca opisane są dość przejrzyście, wszystko trzyma się kupy i nie ma tu jakichś szczególnych potknięć, ale język zdecydowanie nie dorównuje pomysłowi. Co za tym idzie, nie ma tu jakoś szczególnie rozwiniętych portretów psychologicznych postaci ani też momentów zapierających dech w piersiach (choć przy nieco większych umiejętnościach w tym utworze wiele takich chwil mogłoby mieć miejsce). Ogółem rzecz ujmując - opowiadanie warte przeczytania, ale bez fajerwerków. Jednak trening czyni mistrza i życzę twórcom tekstu, by do owego mistrzowskiego poziomu regularnie, z każdym kolejnym napisanym utworem, się zbliżał.

Phantasmagor ::: Wspomnienia Berserkera - Komentuje Shiro

Kilka literówek się w tekście znalazło, z dwa powtórzenia i tak nieźle jak na ponad 20 stron tekstu:)

Język poprawnie stylizowany na "starawy" choć miejscami czytane zdania traciły sztucznością. Jak na prostego woja całkiem nieźle pisał i można potknięcia zrzucić na niego. Wydaje mi się, że lepiej zrobiłbyś przeplatając tekst normalnym narratorem, ale uciekł by wtedy klimat "pergaminy zapisanego węglem". Tak więc przychylam się, że wybór podjąłeś słuszny, acz momentami dość nieudolny.

Opisy skrócone do minimum dobrze przedstawiają sytuację, nie nudząc jednocześnie.

Co do fabuły to spójności troszkę zabrakło, momentami jakby na siłę starałeś się coś umieścić. Jak na przykład śmierć przyjaciela który mimo, że niby taki bliski pojawia się dopiero u kresu własnej drogi.

Podobnie z opatrunką go dziewczyną, coś tam mu życzyła i tyle, mogłeś dać czytelnikowi chociaż możliwość pomyślenia - "o, jak wróci to może zostanie jego wybranką", większe też emocje w czytelniku wywoła takie stracone szczęście wojownika, choć od początku wiemy, że on umrze.

Pamiętaj umiejętna gra emocjami czytelnika daje najlepsze efekty, staraj się opowiedzieć historię jak najlepiej umiesz, ale patrz też na opowiadaną historię pod kątem czytającego, jego przywiązania do postaci, doznań, dozowania informacji, zaskoczenia.

Praktycznie do niczego przyklepić się na siłę nie mogę (no miejscami logiczne niespójności występują, ale to tekst fantasy więc można tak to wyjaśnić), podobało mi się, a uwagi przedstawione są tylko sugestiami co można poprawić i na co zwracać uwagę podczas pisania.

PS. Popracuj też nad przedstawieniem walk jeśli będziesz pisał jeszcze opowiadania z tego gatunku.

Pozdrawiam i z nadzieją czekam na kolejne teksty.

Ogór ::: Ukryte w piwnicy - Komentuje Shiro

Co w tekście dobrego? Pomysł i wysoki już poziom pisania autora. Nie ma więc powodu mu „słodzić” zabieramy się do czepliactwa ;).

Wstęp za długi, jak na tak krótkie opowiadanie o wiele... Zdążyłem się trochę znudzić czytając, a wcale konieczny nie jest... Podczas dalszego czytania informacje w nim zawarte nie zostały wykorzystane, jaka więc jego funkcja była? Znudzić czytelnika?

Jak byliśmy na początku, tak teraz skoczmy na koniec. Radzę przeczytać sobie kilka gazet. Przedstawione wycinki z artykułów nie brzmią realistycznie. Nie czuć w nich klimatu gazetowego artykułu. Pomysł dobry, sama realizacja natomiast psuje nieco efekt.

Sam bohater dość skromnie przedstawiony, rozumiem że opowiadanie miało wyjść krótkie, ale niestety czytając czuje się "plastik". Kojarzy mi się z dość marnym scenariuszem filmowym.

Oki. Trochę Cię pojechałem, czeptałem się też szczegółów, mimo wszystko tekst się dobrze czyta, przyzwyczaiłeś mnie po prostu do wyższego poziomu swoich prac. Jest dobrze, ale pamiętaj może być lepiej ;).

Zgubiłeś mi się wydaje swoją „lekkość pióra” w tym tekście...

Magus Corvus

Z oplecionego pajęczynami sufitu posypał się tynk. W komnacie zrobiło się szaro, czuć było swąd przypalanych włosów. Gdzieś w pomieszczeniu rozległ się dźwięk tłuczonego szkła i załamany głos mężczyzny.

- Cholera.

Niewidzialna ręka otworzyła okno. Dym powoli, acz systematycznie zaczął się przerzedzać, aż w końcu znikł całkowicie i ukazał bladą twarz mężczyzny siedzącego w kącie. Spoglądał on na miejsce, które jeszcze przed chwilą było jego pracownią alchemiczną. Poprzerwane menzurki, potłuczone kolby i próbowki. Okopcony i poobdzierany sufit doprowadzały mężczyznę do rozpacz.

Oparta na dłoniach twarz nagle poczerwieniała i znikła zasłonięta rękawami.

- Dosyć, dosyć! Mam już tego po dziurki w nosie! – buczał donośnym głosem – Muszę od tego odpocząć!

- Tak, to jest to... choć z drugiej strony... Aaa, co mi tam.

Wstał z krzesła, wyraźnie podekscytowany swoim pomysłem. Stał pośrodku komnaty, odrzucił do tyłu przypalone włosy i zakasał rękawy. Odchrząknął dwa razy i zaczął.

- Jak to szło?

- Fredhutników nacinayet, energetios regeneretios frouke homus.

Gwałtowny wiatr targał włosami maga, zmiatał pajęczyny pod sufitem, poruszał okiennicami. Tuż przed nim pojawił się jasnoniebieski krąg. Towarzyszące temu błyskawice nie nastrojały optymistycznie, ale przecież jest magiem. Zna się na tym, co mogłoby pójść nie tak?

Pod sufitem jednej z knajp pojawił się, niewiadomo skąd, jasnoniebieski magiczny krąg i towarzyszące mu błyski. Niejeden z gości schował się pod stół, wytrzeszczając gały na te dziwy. Z wnętrza kręgu wyłoniła się czarna ciemka. Tuż za nią zaczęła materializować się zielona szata i reszta ciała. Postać nie mając na czym oprzeć stopy z hukiem i wrzaskiem spadła pomiędzy misy z kaszą i tacę, z zamówionym świńskim karczkiem. Stół załamał się pod ciałem maga, wyrzucając wszystko do góry, tłukąc kufle i roztrzaskując antałki z miodem, rozlewając zawartość po podłodze. Spelun, właściciel przybytku, łapiąc się za głowę, podbiegł do zniszczonego mienia.

- Ty magusie od siedmiu boleści! Ty chędożniku zasrany! Co ty sobie wyobrażasz?!

W odpowiedzi mag jęknął i wolno, asekurując się rękoma, podnosił swoje potłuczone ciało z pozostałości umeblowania. Ludzie wciąż oniemiałymi patrzyli na mężczyznę przybyłego znikąd. Nie spuszczając z niego wzroku powyłazili z kryjówek by po chwili wrócić do tego co wychodziło im najlepiej – picia.

- Gdzie żeś gamoniu lądował!? Nie mogłeś wybrać lepszego miejsca?

- Nieważne gdzie wybierałem – przerwał na moment, aby zebrać myśli - ważne gdzie jestem... No właśnie, a gdzie jestem?

Mariusz „Corvus” Koral

...taki jak Ty Corvus

Od dawna jestem marzycielem. Zawsze doceniałem potęgę marzeń. Nikt nigdy nie robił mi z tego powodu wyrzutów. Marzenia dają mi drugie życie. W nich spełniam się i daję radość drugim. Radość jakiej nie mogę ofiarować i nigdy nie będę w stanie dać w rzeczywistości. Całe dnie spędzam na łóżu... śmierci robiąc dobre miny do złej gry. Lekarze, rok temu wykryli u mnie wyjątkowo złośliwą odmianę nowotworu kości. Ale ja chcę być silny. Chcę żyć. Pomimo bólu zawsze się uśmiecham. Dla każdego mam ciepłe słowo. Wcześniej, przed chorobą, nie byłem taki. Teraz gdyby dali mi drugą szansę, drugie życie... mógłbym zawojować świat. Mam tyle pomysłów na przyszłość, tyle nie ziszczonych marzeń. Codziennie gramy z bratem w taką grę... taki jak...? Na przemian podajemy kim chcielibyśmy być uzasadniając swój wybór. Raz bardzo mnie zaskoczył.

- Chciałbym być... taki jak... Ty – patrzył na mnie, a po policzkach spływały łzy pozostawiając wilgotny ślad dla następnych. Zapadła cisza, dość niezręczna. Po raz pierwszy nie wiedziałem co odpowiedzieć.

- Dziękuję – dodał po chwili, a ja wciąż milczałem.

- Muszę Ci coś powiedzieć – zabrzmiało w moich ustach. Potok słów wydarł się mimo woli.

- Czuję, że czas mój nadchodzi. Nie wiem jak to wytłumaczyć ale czuję to od kilku dni. Nie wiem dlaczego teraz o tym mówię. Coś się musiało wydarzyć. – patrzyłem na jego bladą twarz i coraz częściej wypływające z głębi oczu łzy. - Coś co pozwala mi w końcu odetchnąć od ziemskich cierpień. Musisz wiedzieć, że pogodziłem się z tym, co mnie spotkało. Wiem, że Bóg ułożył pewien plan, którego jestem częścią. Chcę... pragnę żeby wspomnienie mnie było wspomnieniem miłym. Nie pamiętajcie mnie jako cierpiącego, chorego, któremu trzeba było aplikować kilka razy dziennie leki przeciwbólowe.

- Dlaczego... - Braciszku. - No? - Ta gra była od początku głupia. - ...? - Bądź sobą i... żyj.

To było jego ostatnie słowa. Patrzyłem na niego przez mgłę też. Miał otwarte oczy i uśmiech na twarzy.

Cmentarz oddalony od miejskiego zgiełku, położony był pośród pól. Płacz przebijający się przez śpiewy ludzi idących za karawaną oznajmiał wszystkim, że jest to ostatnia podróż mojego brata. Syna swoich rodziców.

Od pogrzebu minął już jakiś czas. Rodzice powiedzieli, że brat prosił o pewien drobiazg. To była ostatnia wola. Pragnął bym odwiedził go na cmentarzu.

- Przecież jesteśmy tam co niedziele, a nawet częściej.

Więcej nic nie mówiłem. Oboje zabrali mnie na grób, dopiero wtedy zrozumiałem słowa skierowane do mnie w dniu śmierci. Na pomniku widniały informacje jakie zawsze się umieszcza o zmarłym, a pod nimi...

„Nikt nigdy nie będzie taki jak Ty”

Mariusz „Corvus” Koral

The Fearkiller

Janusz Anderson

- Nie przespałabym się z tobą nawet gdybyś był ostatnim niezmutowanym mężczyzną na Ziemi.

Na dźwięk tych słów w knajpie zapadła kompletna cisza. Niemal wszyscy prawie jednocześnie odstawili od swych ust brudne, obleśne szklanki wypełnione jeszcze bardziej obleśną, jeszcze brudniejszą cieczą. Dziesiątki osób wpatrywały się teraz niczym zahipnotyzowane w dwudziesto paroletnią, nieznaną im kobietę, która jako pierwsza postawiła się Jack'owi, właścicielowi speluny.

- Mocne słowa, suko. - Jack splunął na podłogę. - Mam tylko nadzieję, że masz coś na ich poparcie, bo ładna buzia, zgrabny tyłek, długie nogi i cudowny biust nic ci nie pomogą, kiedy wpakuję ci kulkę w łeb.

Kobieta ta była rzeczywiście oszołamiająco piękna; brunetka, włosy sięgające lekko za ramiona, oczy koloru błękitu oceanu, cera nieco blada - jakby przez wiele lat niedoświadczać promieni słońca, lecz z całą pewnością dodająca urody niż jej ujmująca. Spojrzenie zdradzało dużą inteligencję; pewność siebie była wręcz uderzająca - nie sztuczna czy wyuczona, lecz całkowicie naturalna, tak naturalna, że ta dziewczyna pewnie nawet nie zdawała sobie z niej sprawy. Wokół nieznaną dawało się wyczuć aurę zakazanego owocu - czegoś dającego niemal boską rozkosz, ale zarazem tak niebezpiecznego, że można umrzeć po skosztowaniu. Ubrana była (pewnie ze względów praktycznych, takich jak np. krycie się w nocy) jednolicie na czarno - buty, lateksowe spodnie, bluza z niemałym dekoltem (wprawne oko dostrzegłoby czerwony stanik) i skórzana kurtka. Makijaż podkreślający urodę nie był agresywny i nie rzucał się w oczy.

- Głucha jesteś, suko? A może odebrało ci mowę? Podaj mi choć jeden powód, dla którego nie miałbym zakopać cię żywcem na naszym owianym złą sławą cmentarzu miejskim? No?

- Chcesz się pozbyć najlepszej najemniczki Pustkowi? - odparła pewnie nowo przybyła, jej głos miał barwę aksamitu.

- Ponownie mocne słowa... kobieto. Nawet gdyby istotnie tak było, i tak nie usprawiedliwia to twojej odzywki do mnie. Jeszcze nikt, kto obraził Dużego Jack'a, nie pozostał wśród żywych.

Uśmiechnęła się.

- Na mieście mówią, że masz jakiś problem i szukasz kogoś do jego rozwiązania. Podobno zatrudniłeś już kilka osób, ale okazały się być partaczami i przepędziłeś ich na cztery strony Pustkowi.

Jack machnął ręką, wyraźnie rozbawiony.

- Tak, w tym mieście wieści szybko się rozchodzą. Jak ci na imię?

- Beth.

- Cóż, Elizabeth...

- Mów mi Beth - ostro weszła mu w słowo.

- W porządku. Tak więc, jak miemam, potrafisz posługiwać się gnatami kalibru 10mm?

- Oczywiście. Nawet dziecko potrafi.

Duży zerknął groźnie na bywalców swej knajpy, którzy w skupieniu wciąż przysłuchiwali się tej niecodziennej rozmowie.

- Na co się gapicie?! Wracać do chłania, ale już! A jak ktokolwiek z was piśnie choćby słówko o tym, co tu zobaczył i usłyszał, to każę mojej nowej najemniczce zrobić z was sito amunicją 10mm, której mam na zapleczu kurewsko dużo, na tyle dużo, że nie będzie mi szkoda zmarnować jej część na wasze zawzorne łby! Chyba wiecie, że jestem do tego zdolny?!

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w spelunie znów zrobiło się gwarno i znowu słychać było brzdęk szklanek. Jack zwrócił się do Beth.

- Przyjdź za 15 minut na zaplecze, ustalimy szczegóły. Wejdiesz tamtymi drzwiami, spójrz, tam właśnie. Na razie możesz napić się na koszt firmy. Ja pójdę tam teraz, muszę coś przygotować. - To powiedziawszy Duży skierował się ku tylnej części budynku.

- I co? Smakowało?

- Słucham?

- Whisky. Dobra była?

- Śmiesz nazywać ten syf „whisky”? Nie musiałam nawet pić tego czegoś żeby wiedzieć, jakie to obrzydlistwo!

- O, wybredna się znalazła. Czekaj, poszukam wina.

Nim Beth zdążyła zaprotestować, Jack zniknął za pobliską kotarą i tylko słychać było, jak przebierał między butelkami. Po chwili był już z powrotem, trzymając w ręku sporych rozmiarów flaszkę. Najemniczka rozglądała się tymczasem po pokoju na zapleczu.

- Po co te świece? Masz mi tylko przedstawić swój problem i swoje wymagania względem mojej osoby. Poza tym nie piję alkoholu.

Duży był wyraźnie zawiedziony. Wskazał ręką najemniczce krzesło przy stole ze świecami, po czym gdy ona usiadła on również spoczął na swoim.

- Chciałem po prostu zatrzeć złe wrażenie, jakie zapewne wywarłem na początku. Swoją drogą zupełnie nie wiem, o co się wtedy wściekałeś.

- Czy zawsze poznając nową dziewczynę proponujesz jej seks?

- Tak, czemu pytasz?

Beth pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Nieważne. Ale wiesz co? Pomimo tej twojej ignorancji i tak nie jesteś taki jak mówią o tobie na mieście.

- A jak mówią?

- Przede wszystkim: ohydny wyzyskiwacz. Człowiek bez skrupułów. A tu te świece, wino... Masz zadatki na romantyka. Lecz nie łudź się. Nie zaciągniesz mnie do łóżka choćbyś nawet stanął na głowie. Nie mówię tego, by cię obrazić, po prostu chcę być z tobą szczerą.

Jack kiwnął głową, lecz widać było, że ta wypowiedź mocno go uraziła.

- Rozumiem. Wobec tego ja też będę wobec ciebie szczerą. Mimo tych świec i wina, i pożądaniami które odczuwam względem ciebie, bądź pewna, że jeśli spięrzysz robotę to osobiście poślę cię do piachu i nawet nie mrugnę przy tym powieką. Albo, co gorsza, skończysz w moim burdelu. Swoją drogą to z twoim wyglądem i wygadaniem byłabyś tam traktowana jak królowa.

- Być może. Lecz będąc prawdziwą Amerykanką nie przepadam za monarchią, delikatnie mówiąc, tak więc bycie królową odpada, a niższe stanowisko to nie dla mnie.

Duży uśmiechnął się w podziwie, po czym popadł w zadumę.

- Ameryka... Nie sądziłem, że ktokolwiek poza mną zna jeszcze tę nazwę...

- Ktokolwiek poza TOBĄ? Bardzo śmieszne. A gdzie TY mogłeś to niby usłyszeć?

Jack obruszył się, lecz było to trochę sztuczne. Wstał i podszedł do zdezelowanego biurka, z którego szuflady wyciągnął spore tekturowe pudło. Następnie wrócił na miejsce, a z pudełka wyjął ledwie trzymającą się książkę, którą z namaszczeniem podał Beth.

- Ta książka jest w mojej rodzinie od dawien dawna przekazywana z pokolenia na pokolenie. Dostałem ją od swego ojca, on od swego, tamten zaś...

- Tak, tak, rozumiem. Gdzie jest twój ojciec?

Jack'owi zrzędała mina.

- Zginął kilkanaście lat temu. Zabity przez mutantów.

- Przykro mi. A co z twoją matką?

- Zmarła na jakąś chorobę weneryczną. Normalka. Bo na coś innego umierają ludzie? Poza napromieniowaniem i odwodnieniem, ma się rozumieć.

Beth zerknęła na książkę. Na okładce widniało: „Historia Stanów Zjednoczonych Ameryki”. Jednakże w środku zamiast dziejów USA przedstawiona była... mało ambitna opowiadanka dla dzieci. Najemniczka uśmiechnęła się z politowaniem.

- I co? Przeczytałeś ją?

Jack wyprężył się dumnie.

- Oczywiście. Fascynujące. Szkoda, że nie umiesz czytać. Żałuj, jest czego. Można dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy.

- Na przykład jakich?

- Eee... Nieważne. I tak byś nie zrozumiała. Musiałabyś sama zobaczyć, szkoda że nie możesz.

- Niestety. A tak w ogóle to jak się domyśliłeś, że nie potrafię czytać?

- Przecież żadna kobieta tego nie potrafi. A ja, nie chwaląc się, jestem jednym z niewielu piśmiennych mężczyzn.

- Imponujące. Ale jako że słodkie gadki nic ci nie pomogą, przejdźmy już do meritum sprawy.

- W porządku. Widzisz, sprawa jest... nietypowa. Potrafisz robić coś więcej poza strzelaniem?

- Poradzę sobie. Mów.

- Prowadzę rozmaite interesy. Jednak najbardziej lubię sprzedawać whisky. Wiesz czemu? Nie dlatego, że najwięcej na niej zarabiam, chociaż to też. Chodzi o to, że dzięki alkoholowi jestem uważany w mieście za jakiegoś czarodzieja, bo potrafię stworzyć magiczny napój, który sprawia, że gówniana egzystencja ludzi nabiera blasku, i to za przystępną cenę. Mimo tego co mówią, ludzie mnie uwielbiają i są ode mnie uzależnieni. Lecz powstał pewien problem...

- Niech zgadnę: ktoś ci zniszczył aparaturę destylacyjną lub też ma taki zamiar?

- Co?! Skąd wiesz o destylacji?! Nie waż się o tym nikomu mówić! Ludzie muszą wciąż myśleć, że tylko ja potrafię dać im whisky. Gdyby się dowiedzieli, że wytwarzanie alkoholu jest takie proste... To byłaby katastrofa! Rozumiesz?!

- Spokojnie. Nikomu nie powiem.

- Cholera, nie doceniłem cię. Ale tym razem nie masz racji. Gdyby ktoś chciał tknąć moje „laboratorium” już dawno osobiście bym mu to „wyperswadował”. Sprawa jest tysiąc razy gorsza...

- Więc co jest grane?

Twarz Dużego przyjęła zatroskany wyraz.

- Nikt nie mówi o tym głośno... Bo niby jak się będzie o tym mówić, to będzie jeszcze gorzej...

- No wykrztuś to wreszcie!

- W mieście znikają ludzie. Powoli, acz systematycznie jest nas coraz mniej. Znikają bez śladu. Nie wiadomo jak, gdzie, kiedy, dla czego... Normalnie miałbym to w dupie, ale mniej ludzi to mniej dóbr, mniej uwielbienia, a co za tym idzie – mniejsze wpływy...

- Nie dziwię się, że nikt tego dla ciebie nie załatwił...

- Kurewsko trudne, nie? Bierzesz to?

- Pewnie, ale...

- Słuchaj, jeszcze jedno. Co do tych wcześniejszych najemników... Niezupełnie przepędziłem ich na cztery strony Pustkowi... Bardziej pasowałoby określenie „rozzuciłem ich prochy na cztery strony Pustkowi”.

- Aha... Teraz ty posłuchaj: cena za wynajęcie moich usług jest wysoka. Bardzo wysoka. Nie wiem, czy cię stać.

- Dużego Jack'a stać na wszystko. Czego chcesz?

- Wody.

- He he. Nie ma sprawy. Też mi problem.

- CZYTEJ, NIESKAŻONEJ wody. Takiej, po której nie będę musiała pozbyć się nocnej lampki, bo sama po napiciu się będę świeciła jak latarnia morska. Chwytasz?

Jack zasepił się.

- Po co w ogóle do mnie przysłaś? Przecież wiesz, że nie sprzedaję wody. Sam muszę ją kupować. I drogo mnie to kosztuje. Chcesz wody, idź do Pastora Lloyd'a. Czego chcesz ode mnie?

- Lloyd robi straszną łaskę sprzedając towar i ma chore wymagania. Poza tym, on nie chce sprzedawać hurtowo.

- To ile ty chcesz kupić?

- Dużo. Zresztą niewiadomo czy on by mi sprzedał jakąkolwiek ilość, nawet jednego gallona. Jak już mówiłam, on żąda chorych rzeczy i trzeba się przed nim płaszczyć. Ale jeśli ty poprosisz...

- Mnie też odmawia sprzedaży hurtowej!

- Mógłbyś go trochę przycisnąć...

- Niech cię szlag! Już sam nie wiem, co jest gorsze: znikający ludzie, czy wywołanie wojny z Pastorem!

- Przecież nie każe ci z nim walczyć...

- To psychol. Bardzo łatwo można go urazić. Cholera, jestem w sytuacji, jakby to ująć...

Beth uśmiechnęła się.

- Między młotem a kowadłem?

- Bardzo zabawne. Zrobimy tak: rozwiąż sprawę zaginionych ludzi, a ja załatwię ci wodę. Stoi?

- Mowy nie ma. Jaką mam gwarancję, że nie oszukasz mnie, gdy ja wypełnię swoją część umowy?

- Dam ci w zastaw coś wartościowego. – To powiedziawszy wyciągnął spod stołu pokaźnych rozmiarów skrzynkę.

- Co jest w środku?

- Wexle z moim imieniem. Daję je moim najbardziej zaufanym ludziom. Dla postronnych jest to znak, że mają przed sobą reprezentanta Dużego Jack'a. Można się nimi także posługiwać jako pieniądzem. Bardzo wartościowym. Każdy w tym mieście uznaje moją walutę.

Beth wybuchnęła śmiechem.

- I co w tym wartościowego? Każdy głupek może przecież wziąć kawałek papieru, jakich tam trzeba rozmiarów, i napisać na nim twoje imię... jeśli potrafi pisać. Znajdą się tacy, co potrafią, pięknie podrobią i puszczą w obieg te „twoje” drogocenne wexle.

Twarz Dużego wyglądała teraz jakby była z kamienia.

- Moich wexli nie da się podrobić.

- Niby dlaczego?

Jack otworzył skrzynię i wyjął z niej parę papierków – rozmiarami przypominającymi połówkę starych banknotów – po czym podał je najemniczce. Beth spojrzała na wexle. Napisane na nich było, zgodnie z jej przewidywaniami, „Duży Jack”. Lecz sposób, w jaki

zostało to zapisane, zadziwił ją.

- Drukowane litery? Jak TY to zrobiłeś?

- To dzięki magicznej maszynie, którą kiedyś kupiłem od pewnego handlarza starszyzną. No to jak, umowa stoi?

- Ile tych weksli masz zamiar mi dać?

- Całą skrzynię. Oczywiście nie możesz nic wydać, bo jak to zrobisz, to będzie koniec naszej umowy.

- Dobra. Wezmę teraz kilka, a po resztę wpadnę później. Na razie muszę poszukać noclegu, jestem dopiero pierwszy dzień w mieście.

- Szukasz spania? To się świetnie składa, bo...

- Nawet sobie nie myśl, że spędzę noc pod twoim dachem.

- Nie... Nie to miałem na myśli. Idź do motelu Rose. Powiedz jej, że przysłała cię Duży, a dostaniesz darmowy pokój na jak długo zechcesz. Poza tym, z tego co się orientuję, ostatnio zaginął jeden z pracowników Rose. Będziesz więc mogła przyjrzeć się sprawie z bliska. Motel jest niedaleko mojej knajpy, zapytaj o drogę jakiegoś przechodnia. No, to by było na tyle. Od teraz czekam na wymierne rezultaty śledztwa.

- Idę więc. Niedługo tu wpadnę po tę skrzynię z weksłami. To na razie.

Najemniczka wstała i nic już nie powiedziawszy opuściła zaplecze i wyszła z budynku.

- Czym mogę służyć?

- Czy mam przyjemność z Rose?

Niska, otyła kobieta, podchodząca już pod wiek podeszły, obrzuciła Beth nieufnym spojrzeniem.

- A kto pyta?

- Jack powiedział, że mogę wynająć u ciebie pokój na jak długo zechcę – za darmo.

- Co ty powiesz? Masz mnie za idiotkę? Każdy jeden może tu wejść i powiedzieć, że przychodzi w imieniu Jack'a. Wszyscy wiedzą, że mam u niego kosmiczny dług. Więc nic z tego, panienko. Albo płacisz, albo idziesz spać na ulicę, czego tobie szczególnie nie radzę, szczerze mówiąc. Przyciągasz wzrok, a w tych stronach to dla kobiety rzecz bardzo niedobra.

- A czy każdy pokazuje ci to? – Beth zignorowała uwagę dotyczącą urody, wyciągnęła z kieszeni kurtki kilka weksli i położyła je na blacie, tuż przed właścicielką motelu.

- Skąd... skąd to masz?! Są... - Rose wzięła je do ręki i dokładnie się przyjrzała – autentyczne! Niewielu miejscowych podwładnych Jack'a może się nimi poszczycić, a już na pewno nie obcy... Czyżbyś naprawdę pracowała dla Dużego?

Najemniczka skinęła głową.

- Ale on nigdy nikomu z obcych nie zapewniał noclegu, nie mówiąc już o weksłach... ale ci poprzedni byli mężczyznami... Hmm...

- To nie to, co myślisz. Po prostu Jack'owi bardzo zależy na rozwiązaniu pewnej sprawy, a nie ma raczej innych chętnych do tej roboty.

- Co to za sprawa?

- W zasadzie nie powinnam ci nic mówić... Ale i tak się zorientujesz o co chodzi.

- Niby jak?

- Bo chcę ci zadać kilka pytań. Potrzebuję twojej pomocy.

- Tak?

- Wiem, że ktoś ostatnio zaginął w twoim motelu. Możesz mi o tym opowiedzieć?

Rose momentalnie zrzedła mina.

- Cóż... To śliska sprawa... sama nie wiem, co o tym myśleć... Muszę przyznać, że boję się o siebie... i o syna...

- Masz syna? Duży nic o tym nie wspominał. To on zaginął? Bo słyszałam, że pracownik?

- Słuchaj, co ty z tym Jack'iem? Co on, chodząca encyklopedia? Niby po co miał ci powiedzieć o moim dziecku? I dobrze słyszałaś, to nie Robbie zaginął.

- Robbie to twój syn?

- Tak, mój malutki synek. Boję się, że przepadł.

- Co?! Przecież dopiero co przyznałaś, że zniknął ktoś inny?! Twój pracownik?!

- Niby tak... Zrozum, Robbie czasem znika na całe dni, potem się pojawia jak gdyby nigdy nic, potem znów znika, potem znów się pojawia...

- I?

- Jakie „i”?

- I co on robi w tym czasie? I co ty na to? I co z twoim pracownikiem? I co do cholery tu się w końcu dzieje? Jest dużo „i”, a moja cierpliwość zaczyna się pomału kończyć. Zaczynasz mówić w miarę sensownie?!

Rose naburmuszyła się i przybrała nieco pseudo bojową postawę.

- A jak nie to co?

- To nic. Ludzie znikają, a twój syn być może tym razem przepadł na dobre, więc współpracuj ze mną, bo jestem chyba jedyną nadzieją tego zapomnianego przez Pustkowia miasta.

Właścicielka motelu chciała coś odpowiedzieć, lecz w tym właśnie momencie ktoś się odezwał:

- Zniknięcia ludzi to zagadka, którą może rozwiązać tylko ktoś mojego pokroju.

Beth spojrzała się w kierunku, z którego dochodził głos i zauważyła ledwie widoczną, znajdującą się w mroku postać, która stała pod przeciwległą ścianą bez okien.

- Kim jesteś? – spytała głośno najemniczka.

- To Zachary Gravestone – rzekła po cichu Rose. – Zaoferował mi swoją pomoc w odnalezieniu moich zaginionych pracowników, bo zgubił się nie tylko jeden, ale Jack o tym nie wie.

- I co?

- I nic, droga panno. – Gravestone wyszedł z mroku i podszedł do obydwu kobiet, skłonił się, po czym usiadł na pobliskiej sofie.

- Cały czas jacyś szumnie nazywający siebie najemnikami chłopcy, uważający się pewnie za mężczyzn i ... - tu spojrzła się wymownie na Beth – dziewczęta, które choć wyglądają jak kobiety, to w sferze psychicznej i intelektualnej z całą pewnością nimi nie są, no więc ci wszyscy nieudacznicy wciąż przeszkadzają mi w moim prowadzonym na szeroką skalę śledztwie.

Beth chciała przygadać Gravestone'owi, lecz Rose zdążyła odezwać się pierwsza.

- Panno...

- Dla was jestem Elizabeth Sarah Williams – odparła zimno najemniczka.

- Proszę się nie gniewać panno Williams... I nie mówić nic Jack'owi... Zach jest trochę... ciężki w obyciu...

- Słyszałem! – krzyknął Gravestone.

Właścicielka motelu zignorowała go.

- Proszę. – Podała klucz Beth. – Pokój nr 13, pierwsze piętro. Proszę iść i się rozgościć. Teraz muszę powiedzieć coś do słuchu Zach'owi, ale potem postaram się przyjść do panienki i pomóc, jeśli będę w stanie.

Sarah bez słowa udała się do pokoju.

Pukanie do drzwi wyrwało z drzemki najemniczkę. Ociągając się otworzyła drzwi, jednak zamiast Rose ujrzała Gravestone'a.

- Czego? – zapytała oschle.

On jak gdyby nigdy nic wszedł, a raczej wpełznął się, do środka i bez ceregieli rozsiadł się w fotelu. Beth zamknęła drzwi i usiadła na łóżku.

- Żeby było jasne – rzekła – nie obchodzi mnie w najmniejszym nawet stopniu co o mnie myślisz i nie próbuj wtrącać się do tego co robię bo pożałujesz, przysięgam. Twoje przeprosiny też mam w dupie, więc możesz już iść.

Zachary w ogóle nie przejął się tym oświadczeniem, a przynajmniej sprawiał takie wrażenie.

- Tak, tak, jestem zdruzgotany, aż cały drzę ze strachu. – Ziewnął przeciągle, wyraźnie manifestując, że nic sobie nie robi z gróźb najemniczek. – Możemy już zacząć rozmowę czy jeszcze trochę się powyzywamy?

- Masz 5 minut, potem zrzuć cię ze schodów.

- Zastanawiasz się pewnie, po co w ogóle do ciebie przyszedłem?

- Nie bardzo.

- Miałaś rację, chodzi o przeprosiny. To znaczy, Rose mnie o to poprosiła. Wiesz, gdyby Jack się dowiedział, że jego człowiek został obrażony w motelu Rose... Robię to, żeby nie miała kłopotów.

- Mam zacząć cię podziwiać, troskliwy bohaterze?

- Nie, bo wcale nie chcę cię przeproszać. Jestem tu z jeszcze jednego powodu.

- Tak?

- Normalnie w ogóle bym się tobą nie zainteresował, ale gdy usłyszałem, z jaką niemal nabożną czcią wymawiasz swe imiona i nazwisko... wtedy zrozumiałem, że jesteś wyjątkowa.

- Dużo panienek leci na taką gadkę?

- To nie tak. Dla mnie jesteś wyjątkowa jako człowiek, istota, nie jako kobieta... To znaczy, nie zrozum mnie źle, masz wszystko na swoim miejscu i jesteś atrakcyjna... Ale mnie teraz nie chodzi o twoją seksualność.

- Więc o co ci chodzi? Mów trochę jaśniej.

- Jestem w tej przeklętej mieścinie już ponad miesiąc i zdążyłem dokonać pewnego odkrycia...

- Jesteś tu miesiąc?! Co to za odkrycie?! Wiesz, co się stało z zaginionymi, prawda?! Dlaczego nikomu nic nie powiedziałeś?!

- Spokojnie. Powiem ci tak: przesukałem każdą, najmniejszą nawet dziurę, w każdym budynku, całymi dniami obserwowałem co niektórych mieszkańców, rozmawiałem z wieloma ludźmi... po prostu dwoiłem się i troiłem... i...

- I co?

- Nic. Żadnych śladów. Zero. Jakby zaginięci rozplynęli się w powietrzu. Jednak nie to jest najdziwniejsze.

- A co może być dziwniejsze?

- Dwie kategorie ludzi: „wyjątkowi” – tacy jak na przykład ty czy ja – oraz „podróbki” jak niemalże cała reszta.

Beth wstała z miejsca, wyraźnie podenerwowana.

- Wynoś się, świrze. 5 minut minęło. Nie dowiedziałam się niczego użytecznego poza tym, że jesteś chorym zboczeńcem, który próbuje wciągnąć mnie w swoje gierki. „Wyjątkowi”, dobre sobie. Pewnie chcesz, żebyśmy pozbyli się tych „podróbek”, a potem zapelnili całe Pustkowie naszym niezwykle wyjątkowym potomstwem?! Precz!

Gravestone uśmiechnął się bezczelnie.

- Zmuś mnie.

- Dobra. Doigrałeś się. Co powiesz na nóż w plecy albo kulkę w twój durny zboczony łeb?

- Wybieram kulkę.

- Sam tego chciałeś. – Beth włożyła rękę pod kurtkę, jakby chciała coś wyciągnąć, ale szybko ją cofnęła. – Co do cholery?

- Czyżbyś coś zgubiła?

- Mój Desert Eagle... to niemożliwe... nie mogłam go zgubić!

- Tutaj to normalka. Straciłem większość swojego sprzętu.

- Co się z nim stało?

- Rozplynął się. Po prostu zniknął. Przepadł. Zupełnie jak ci ludzie.

- Potrafisz to jakoś wytłumaczyć?

- Próbowałem, ale ty zwyzywałaś mnie od zboczeńców i innych takich.

- Trochę mnie poniosło.

- Czekam na magiczne słowo.

- Nie wiem o co ci chodzi.

- Wiesz.

- Nie wiem.

- Wiesz. Powiedz, albo stąd pójde, a twoje śledztwo utknie w martwym punkcie.

- Przepraszam.

- Co? Nie słyszałem.

- PRZEPRASZAM. Zadowolony?

- Grzeczna dziewczynka. Teraz siadaj i trzymaj nerwy na wodzy. Możesz mnie pytać o co zechcesz.

- Dobra. Ale zacznijmy od początku. Co cię zaintrygowało w moich imionach i nazwisku?

- Aż dwa imiona i do tego nawet nazwisko... To bardzo rzadkie. A ty wymówiłaś je w sposób wskazujący, że jesteś świadoma tej wartości, świadoma swego pochodzenia. Przypuszczam, że masz przodka, z którego jesteś szczególnie dumna?

- To prawda. Ale nie wnikać w szczegóły. Mów dalej.

- Tutejsi ludzie mają tylko jedno imię, co większe szczyty mają oprócz tego jeszcze co najwyżej jakiś głupawy pseudonim.

Beth pomyślała o Dużym i uśmiechnęła się. Co za kretyńska ksywka.

- Ale co w tym dziwnego? – zapytała. – Tak jest wszędzie na Pustkowiach.

- Zgadza się. Tylko że gdzie indziej ludzie się tego wstydzą, bo jedno imię oznacza, że masz kiepskie pochodzenie. A tutaj? Dla tubylców to jest całkowicie normalne! Mało tego, oni sobie nawet nie zdają sprawy, że są pomiotem Pustkowi! Nawet nie marzą, żeby mieć nazwisko! Wiem co mówię: obserwuję ich od miesiąca.

- Hmm... Nawet jeżeli tak jest... to czego chcesz przez to dowieść?

- Nazwałem ich „podróbkami”, bo tak się zachowują: wyglądają jak ludzie, ale jeśli chodzi o postępowanie... daleko im brakuje do normalnych istot takich jak ty i ja. W porównaniu z nimi jesteśmy wyjątkowi. Już wiesz, skąd te nazwy.

- Rozumiem... Ale masz jeszcze jakieś inne poszlaki na poparcie swojej teorii? Bo chyba przyznasz, że to jednak zbyt mało aby wietrzyć jakiś spisek?

Zachary uśmiechnął się tajemniczo.

- Poznałaś właścicielkę tego motelu, prawda?

- Rose? Owszem. Przecież sam widziałeś. I co z tego?

- Wspominała o swoim synku?

- Tak, i co z tego?

- To, że go widziałem. Ładny mi synek, he he...

- O co ci chodzi?

- Rose mówiła o nim jak o małym chłopcu, a on ma dobre 20 lat!

- Żartujesz? Ja też myślałam, że to jakiś szczeniak...

- Ale nie to jest najgorsze.

Najemniczka zerknęła na Zach'a pytająco.

- Już ci mówię. Robbie jest... czarny.

- Jaki jest?

- Czarny. Cholera, jest Afroamerykaninem!

- Jesteś pewien?

- Widziałem go przecież.

- Może to nie był on.

- Masz mnie za idiotę?

- Przepraszam. Ale jaki stąd płynie wniosek? Przecież Rose mogła go adoptować.

- Niemożliwe. Ona nigdy nie opuściła tego miasta – powiedziała mi to – a poza tym nie ma tu innych czarnych, co też jest bardzo dziwne.

- Nie ocalało ich wielu...

- Ale żeby nawet jednego nie było?! A Robbie'go nie liczę, bo on tu nie pasuje. Myślę, że on jest wyjątkowy, taki jak my... może nie do końca, z pewnością jest szarym człowieczkiem, ale jest... ludzki, naturalny.

- Skąd wiesz? Rozmawiałeś z nim?

- Nie. Ale sama chyba przyznasz, że jego zachowanie jest bardzo niekonwencjonalne. Pojawia się i znika. Myślę, że on się ukrywa. Albo coś w tym rodzaju.

- Dlaczego miałby to robić?

- Nie wiem. Ale czy ty nie byłabyś wkurzona, gdybyś miała matkę o innym niż twój kolorze skóry? Zwłaszcza, jeśli nie jest to normalne?

- Nie jest to normalne? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Przypuszczam, że było tak: w rzeczywistości matka Robbie'go jest rasy czarnej, aż tu pewnego dnia on przychodzi do motelu i widzi...

- Obcą, białą kobietę która nazywa go swoim synkiem.

- Dokładnie. Coś w tym stylu. Nic dziwnego, że chłopak jest wkurzony.

Elizabeth zamysliła się. Musiała szybko przeanalizować to, co usłyszała od Gravestone'a. Trwało to kilka minut, podczas których Zach również się nie odzywał. W końcu nie mógł już dłużej wytrzymać bez nic nie mówienia.

- Tak sobie pomyślałem, że ty jesteś szczególnie wyjątkowa.

- A ty nie potrafisz wstrzymać się z gdakaniem.

- Nie lubię ciszy. Przeraża mnie. Ciebie nie?

- Ja się niczego nie boję.

- Proszę, proszę! Jesteś niezwykle szczególnie wyjątkowa. Wypełnia cię odwaga, mając dwa imiona potrafisz używać trzech...

- Jak to trzech?

- Przecież zdrabniasz swoje pierwsze imię – z Elizabeth na Beth.

- Skąd wiesz?

- Słyszałem.

- Nie mogłeś tego usłyszeć. Niby jak? Gdzie?

- U Jack'a.

- Co?

- Wmieszany w tłum popijałem whisky, podczas gdy ty konwersowałaś z tym... „Dużym”.

- Co jeszcze wiesz o mnie i o Jack'u?

- Słyszałem CAŁĄ waszą rozmowę. Zakradłem się na zaplecze i obserwowałem z ukrycia.

- Już się nawet nie pytam, jak to zrobiłeś. I co myślisz?

- Duży to żywy dowód na wadliwość mojej teorii.

- Jak to? Nie wydaje ci się, że on jest taki jak my?

- Na pierwszy rzut oka, tak. Ale niepokoi mnie w nim, dla przykładu, jego stosunek do tej książeczki dla dzieci, którą miałaś okazję przejrzeć.

- Co jest nie tak z jego podejściem? Ktoś go po prostu wprowadził w błąd. On myśli, że te opowiadania dla dzieci to historia Ameryki, a że nie potrafi czytać, to nie wie o tym.

- Jeśli nie potrafi czytać, to nie umie też pisać. Skąd więc te jego weksle? Nie wspominając o tym, że są na nich litery drukowane, co już w ogóle jest pozbawione sensu.

- Mówił mi, że to dzięki jakiejś maszynie...

- Wiem, co mówił. Nie ma żadnej maszyny. Wielokrotnie grzebałem w jego rzeczach i nie znalazłem nic ciekawego. Żadnego urządzenia. A co do książki... kiedyś widziałem, jak ją czytał.

- Co robił?!

- Czytał na głos.

- To niemożliwe!

- A jednak. Jemu się naprawdę wydawało, że czytał dzieje USA. Lecz w rzeczywistości był to jakiś pseudohistoryczny bełkot. To wyglądało jakby on... jakby...

- No co?

- Jakby był nawiedzony, jakby ktoś przez niego przemawiał. Co za bezsens.

- Dlaczego?

- Jak to dlaczego? Duchy? Weź przestań, nie wierzę w takie bzdury.

- Są na świecie rzeczy, o którym filozofom się nie śniło.

- Daj spokój, nie spodziewałem się po tobie takich banałów.

- Czyli nie zgodzisz się na teorię, że to nawiedzone miasto, że upiory mają coś wspólnego z zaginięciami?

- No co ty. A nawet jeśli tak było, to co to zmienia? Co to za różnica, kto porywa: człowiek czy duch, mutant czy potwór? Tak czy siak trzeba wyjaśnić sprawę, odnaleźć zaginionych. Ale o czym my w ogóle gadamy? Jakże duchy? Dlaczego zniknął twój pistolet? Mój sprzęt? Przecież świat materialny i duchowy nie powinny się przenikać. Nie, to nie jest żadne paranormalne zjawisko.

- Być może. Ale na razie za mało wiem o tym miejscu żeby wykluczyć jakąkolwiek teorię.

- Co więc zamierzasz zrobić?

- Rozejrzę się trochę. Koniecznie muszę porozmawiać z Pastorem.

- Ach, ten Lloyd... Tak, koniecznie z nim pogadaj.

- Co cię znowu śmieszy?

- Już nie chce mi się gadać, sama się przekonasz... A tak przy okazji: po co ci hurtowa ilość wody?

- Nie twoja sprawa.

- Niepotrzebnie wchodzisz w układy z Jack'iem. Trzeba było od razu iść do Lloyd'a.

- Miejscowi mówią, że on niechętnie sprzedaje wodę, stwarza duże problemy, a już nie pewno nie pozbędzie się dużej ilości towaru.

- Wierzysz tubylcom?

- No już nie, ale wcześniej tak. A co, nie mieli racji? Ubiję z nim interes?
- Nie sądzę.
- Więc o co ci chodzi?
- Idź do niego. Sama zobaczysz. Ale nie teraz, przecież ty dopiero dzisiaj przybyłaś do miasteczka. Jako że jest już wieczór, to odpocznij sobie, wyśpij się, jutro zrobisz swoje. A pojutrze przyjdź do mnie i powiedz czy czegoś się dowiedziałas. Być może coś przeoczyłem, choć szczerze wątpię. – Gravestone podniósł się i podeszedł do drzwi.
- Gdzie cię znajdę? – spytała Sarah.
- Jestem pod dziesiątką. Do zobaczenia.

Następnego dnia najemniczka odnalazła dom Pastora. Był to niczym niewyróżniający się budynek. Zamierzała zapukać do drzwi, kiedy nagle zauważyła rzecz niezwykłą: z okna pierwszego piętra tego domu jakiś mężczyzna wylewał wiaderm bliżej nieokreśloną ciecz. Musiał to robić dość długo, bo na piaszczystej ziemi przed budynkiem były już liczne kałuże.

- Co tu się dzieje? – Beth spytała jednego z przechodniów.

- Pastor Lloyd wylewa wodę – odparł facet.
- Co wylewa?!
- Przecież mówię: wodę.
- Ale słyszałam, że on nie chce sprzedawać wody?!
- Sprzedawać nie chce, ale wylewać – wylewa.
- To czemu nikt nie podejdzie z jakimś naczyniem?!
- A po co?
- Żeby mieć wodę za darmo!
- A po co nam ona?

Sarah zaniemówiła. Po co im woda?! Co to w ogóle za ludzie?! Ale jej już nic nie zdziwi w tym chorym mieście. Podeszła do drzwi i zapukała bardzo mocno. Otworzył przeciętnie wyglądający mężczyzna, ale nie ten, który wylewał wodę.

- Chcesz czegoś, kobieto?
- Muszę zobaczyć się z Pastorem.
- To niemożliwe.
- Dlaczego?
- Jest zajęty.
- Niby czym? Bo chyba nie wylewaniem wody przez okno?
- Właśnie tym. Do widzenia. – Mężczyzna chciał zamknąć drzwi, lecz najemniczka zdecydowanie je przytrzymała.
- Co robisz?! Zostaw te drzwi, głupia kobieto!
- Albo zawołasz Lloyd'a, albo urwę ci jaja. Kapujesz?!
- Nie podoba mi się twój ton, nalegam aby... – Nie dokończył zdania i czując ogromny ból w kroczu upadł na ziemię.
- Ciesz się, że cię tylko uderzyłam. Koniec negocjacji. – Elizabeth wchodząc do środka nadepnęła jeszcze facetowi na klatkę piersiową.

- Litości! – zawył mężczyzna.

- Mazgaj. Idź się wypluć do mamusi.

Beth znalazła schody na pierwsze piętro i weszła na górę. W pokoju, w którym był Lloyd, poustawiane były w równych rzędach wiadra z wodą. Najemniczka podeszła do Pastora.

- Oszalałeś?! Co ty wyrabiasz?!

Lloyd odstawił wiadro, którego zawartość miał właśnie wylać i popatrzył w skupieniu na Elizabeth.

- Pozbywam się tej diabelskiej cieczy! Co w tym dziwnego?

- Jak to co?! To przecież czysta woda!

- Czysta fizycznie, lecz duchowo brudna.

- Co ty pleciesz?!

- To szatański twór! Bo niby jak to wytłumaczysz?!

- Ale co wytłumaczyć?

- To! – Pastor wziął jedno z wiader, wylał jego zawartość przez okno, potem wziął następne, także przechylił a gdy je odstawił na miejsce, Beth zobaczyła, że to poprzednie jest... pełne.

- Co to za sztuczka?! – krzyknęła zdezorientowana najemniczka.

- Diabelska! I tak przez cały czas! Co wyleję, to znów samo się napełnia.

- To po co to w ogóle robisz? Przecież to jest pozbawione sensu.

- Brawo. – Lloyd odstawił wiadro. – Jesteś pierwszą osobą, która to stwierdziła.

- Pierwszą?

- Tak, tych wszystkich przygłupów nic nie obchodzi, że marnują zdrową, nieskażoną wodę! Czy to cię nie dziwi?

- Masz rację, to nie jest normalne. Absolutnie nikt się nie oburzał?

- Nie, niektórzy się tylko znacząco uśmiechali.

- Słyszałam, że nie chcesz sprzedawać wody, a jeśli już, to stawiasz dziwaczne warunki. Dlaczego?

- Jak to dlaczego? Na złość tym wszystkim durniom! Oni są nienormalni!

- Nienormalni?

- A tak! Oburzają się, że nie chcę sprzedawać wody, ale kiedy wylewam ją przez okno, to nie dość, że nie protestują, to nawet nie podstawiają żadnych naczyń, żeby mieć za darmo!

- A nie zauważyłeś tu kogoś w miarę normalnego?

- Oprócz ciebie?

- Tak.

- Kręci się tu od miesiąca taki jeden facet...

- Wiem, znam go.

- On nie jest taki jak wszyscy... to właśnie on się uśmiechał...

- Wiem. Ktoś jeszcze?

- Taki czarny... On także uśmiechał się...

- Robbie?

- Nie wiem, jak ma na imię. Ten, co to mieszka w motelu od kilku miesięcy...

- Jak to od kilku miesięcy? To on nie jest stąd?

- Pewnie, że nie. Wydaje się być całkiem normalny i jak już powiedziałem przybył około pół roku temu.

- A ty jesteś stąd?

- Owszem.

- Uważasz się za normalnego?

- W tym mieście, wśród miejscowych, są tylko dwie normalne osoby: ja i Duży Jack, choć to palant. Chociaż nie jesteśmy jak cała reszta tej hołoty, to niepokoi mnie jednak pewna rzecz.

- Jaka?

- Jesteśmy tutejsi, więc czemu nie jesteśmy tacy jak inni? Wszak jestem podobny do ciebie, prawda?

- Tak... Wiesz co, ciekawi mnie pewna rzecz: gdzie tu odbywają się nabożeństwa?

- Nie odbywają się.

- Jak to? Przecież jesteś Pastorem, czyż nie?

- Tak, ale co z tego? Dziwi cię to?

- Raczej nie.

- No właśnie.

- Ale nigdy nie spotykaliście się w jakimś budynku czy świątyni? Przecież Południe to bardzo religijny region.

- Nigdy. Sam nie wiem dlaczego, przecież mamy kościół.

- Gdzie? Nigdzie go nie widziałam.

- Bo jest kawałek za miastem, za cmentarzem.

- Byłeś tam kiedyś?

- Nie.

- A ktoś z mieszkańców?

- Nie, nikt, chociaż...

- Tak?

- Zdaje się, że ten Robin...

- Robbie.

- Właśnie... Kiedyś tu przyszedł i zadawał mi pytania dotyczące miasta... Tak jak ty pytałeś, czy mamy jakieś miejsce kultu...

- I co?

- Z czym?

- Poszedł tam? Mówił, co ma zamiar zrobić?

- Słuchaj, jak on cię tak bardzo interesuje, to czemu z nim nie pogadasz?

- Facet jest niedostępny.

- Niedostępny?

- Nikt nie wie, gdzie aktualnie przebywa Robbie.

- Ja ci nie pomogę, nic mi nie mówił o swoich planach.

- W porządku. Jeszcze tylko kilka krótkich pytań i już sobie idę.

- Ależ nie śpiesz się, moja droga. Tutejsze kobiety w porównaniu z tobą to samice szympanów, jest mi bardzo miło, że tu jesteś.

- Dziękuję. Muszę przyznać, że jeśli chodzi o hormony, to mężczyźni z waszego miasteczka niczym nie różnią się od swych pobratymców z całej reszty Pustkowi.

Lloyd nie wiedząc, czy to komplement czy też obelga, nic nie odpowiedział.

- Tak więc wracając do poprzedniego tematu – kontynuowała rozmowę najemniczka – powiedz mi, co sądzisz o zaginionych ludziach?

- Szczerze?

- Tak.

- Zupełnie mnie to nie obchodzi. Mam gdzieś tych dziwolągów!

- Widzę, Pastorze Lloyd, że generalnie masz wszystko w dupie: ludzi, swoją misję kapłana, marnotrawstwo wody... Co jeszcze robisz w tym mieście?

- Sam nie wiem. Po prostu tu jestem. Nie potrafiłbym robić nic innego, nigdzie indziej. Ot, tyle.

- Ostatnie pytanie: skoro ta woda jest ci niepotrzebna, to czy mogę ją wziąć?

- A bierz sobie ile chcesz. Nic mnie to nie obchodzi. Czy to już koniec przesłuchania?

- Tak, dziękuję za poświęcony mi czas.

- Nie ma za co. A teraz, skoro już nic nie chcesz o mnie wiedzieć, idź już, muszę wrócić do pracy. – To powiedziawszy wziął wiadro i wyłał jego zawartość za okno.

W swoich kwaterach na zapleczu Duży Jack popijał whisky. Był tym tak pochłonięty, że nawet nie zauważył pojawienia się Beth.

- Uważaj, bo ktoś cię okradnie i nawet nie będziesz o tym wiedział.

- Ach, to ty. – Duży wstał i odłożył szklankę. – Przyszedłaś po weksle?

- Nie. Już ich nie potrzebuję. Koniec naszego porozumienia.

- Jak to?!

- Tak to. Lloyd da mi wodę za darmo.

- A niech go!

- O co ci chodzi?

- Przez tego krótkowzrocznego idiotę wyjedziesz i zagadka pozostanie nierozwiązana!

- Zajmę się nią, ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Załatwisz mi transport. Muszę jakoś wywieźć tę wodę.

- Transport, powiadasz? Tak się składa, że jeden z moich ludzi zajmuje się tym. Długo przekonywałem mnie, żebym zainwestował w ten biznes. Wahałem się, ale teraz widzę, że dobrze zrobiłem, jeżeli dzięki temu rozwiążesz mój problem.

- Świetnie. Gdzie mogę znaleźć twojego podwładnego?

- No co ty, żartujesz sobie?

- A co tu jest do żartowania?

- Przecież on urzęduje w motelu w którym mieszkasz, każdy to wie, nie miałaś pojęcia?

- Co?! Jak on ma na imię?!

- Robbie, syn Rose.

- Ale on zniknął!

- Naprawdę? Niech to szlag! Jesteś pewna?

- Zasadniczo tak...

- Znaczący się, nie ma go w jego biurze?

- Biuro?

- Tak, w piwnicy motelu. Nie ma tam Robbie'go?

- Nie sprawdzałam...

- To na co czekasz? Idź do niego. On załatwi transport. Oczywiście wiesz, że teraz już ci nie dam weksli. I oddaj te, które wzięłaś.

- Wiem. Trzymaj. – Sarah wyciągnęła drogocenne papierki z kieszeni kurtki.

- Przyjdź do mnie, jak się czegoś dowiesz. Czegokolwiek.

- W porządku. Jeszcze jedno: mówieś, że masz dużo amunicji 10 mm, więc pewnie masz też sporo gnatów tego kalibru. Potrzebuję jednego i drugiego.

- Rzeczywiście... Miałem, ale już nie mam.

- Jak to?
- Wspominałem ci już, że przedmioty giną w tym samym stopniu, co ludzie?
- Niech to szlag.
- Zgadza się.
- To znaczy, że jesteś bezbronny? To pewnie dlatego nie protestowałeś, gdy powiedziałam, że nasza umowa jest już nieaktualna?
- Tak... Rozgryzłaś mnie. Ale stawiam wszystko co mam, że ty też nie masz broni – w innym przypadku nie pytałabyś mnie o te gnaty.
- Niestety. Mój Desert Eagle przepadł jak kamień w wodzie. Jestem wściekła.
- Nie lubisz, jak się dzieje coś złego i dotyka to bezpośrednio ciebie, co?
- A żebyś wiedział. Lepiej, żeby z tym transportem to nie był niewypał.
- Jeżeli Robbie nie zaginął, to załatwi wszystko, co mu każesz. Daj znać, gdyby sprawa miała problemy, wtedy się nim zajmę. I nie próbuj prysnąć z miasta zanim wykonasz robotę. Nie masz pojęcia, jak dobrze zabijam gołymi rękami.
- Wierzę. To na razie. Do zobaczenia.

- Przepraszam, jest tu ktoś?

W piwnicy motelu panowała półciemność. Choć wystrojem miejsce to rzeczywiście przypominało swoistego rodzaju biuro, to emanowało jednak klimatem raczej grobowca niż siedziby jakiegokolwiek firmy, chyba że pogrzebowej. Nagle Sarah stanęła jak wryta, gdyż zobaczyła ogromną dziurę w ścianie, jakby niezdarnie rozkopaną zwykłą łopatą. Najemniczka podeszła do tej wnęki i ponownie krzyknęła, tym razem o wiele głośniej:

- Czy jest tu ktoś?!

Nikt nie odpowiedział. Elizabeth weszła do wnęki i zorientowała się, że tunel jest bardzo długi. I ciemny. Nie było nic widać dalej niż na półtora yarda, mimo że zamocowane w ściennych uchwytych pochodnie dawały trochę światła. Tunel był bardzo długi, a po ponad 50 yardach skręcał mniej więcej pod kątem prostym. Po przejściu dalszych 40 yardów Beth usłyszała odgłosy pracy. Jeszcze tylko kilkanaście yardów i... tunel się skończył. Oczom najemniczki ukazał się pracujący mężczyzna z łopatą w ręku. On nie zorientował się, że ktoś stoi za jego plecami i dalej drążył w ziemi.

- To ty jesteś Robbie? Przypuszczam, że tak zważywszy na kolor...

Nie dokończyła, bo mężczyzna na dźwięk tych słów niemalże podskoczył, gwałtownie się obrócił i zobaczywszy Elizabeth zamachnął się łopatą, aby ją uderzyć. Ona uchyliła się, zręcznie unikając ciosu, od razu skontrowała i zupełnie nie mając litości dla swego przeciwnika uderzyła go z całej siły w najczulszy męski punkt. Facet zawył z bólu, wypuścił z rąk łopatę, po czym upadł na ziemię, trzymając się oburącz za krocze i zwijając się z powodu cierpienia.

- Litości! – krzyknął piskliwie. – Nie bij już mnie!

- Wstawaj, nie zachowuj się jak lalusz. Jesteś mężczyzną czy nie?

- Jestem. – To powiedziawszy podniósł się z ziemi i stanął dumnie prawie że na baczność, co miało nieco komiczny wygląd, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę jego załzawione oczy (co można wytłumaczyć bólem, którego doznał).

- Ty jesteś Robbie, prawda?

- Tak.

- Dlaczego mnie zaatakowałeś?

- A nie chcesz mnie zabić?

- Zabić?! Po co miałabym to robić?!

- Żeby nie wy dostał się z miasta.

- A co za problem stąd odejść? Ktoś ci tego zabrania?

Twarz Robbie'go rozpromieniła się.

- Ty nie jesteś stąd, prawda? – zapytał z nadzieją w głosie.

- To chyba oczywiste, co to za pytanie? Przecież nie widziałeś mnie w mieście przez pół roku?

- Bo też nie przypatrywałem się, co za ludzie tu mieszkają. Byłem zajęty kopaniem tunelu.

- Kopaleś go przez 6 miesięcy?!

- Nie, tylko przez kilka. Na początku szukałem innych sposobów ucieczki z tej zabitej dechami dziury. Na przykład zaproponowałem Jack'owi utworzenie firmy transportowej, bo miałem nadzieję, że ktoś z miejscowych będzie miał ochotę gdzieś coś zawieźć i będę się mógł z nim zabrać, no bo kto jak nie miejscowi zna drogę wyjścia z tego przeklętego miasta?

- Nic nie rozumiem z tej twojej paplaniny. Co za problem stąd wyjechać? I gdzie prowadzi ten tunel? Mów trochę jaśniej!

- Ty nic nie wiesz, prawda? Jak długo tu jesteś?

- Drugi dzień.

- Pewnie chciałabyś już opuścić tę dziurę, co?

- Tak, ale przedtem...

- Zapomnij o jakimkolwiek wyjeździe. Stąd się nie da uciec.

- Jak to?

- Kiedy przybyłem do miasteczka i przekonałem się, że tutejsza Rose to jednak nie jest moja matka...

- Zaraz, zaraz. O co tu właściwie chodzi? Przecież Rose twierdzi, że jesteś jej synem. Wątpię, by kłamała – ona naprawdę w to wierzy. Jak to wyjaśnisz?

- Nie wiem, co to za kobieta i nie obchodzi mnie, co mówi. Wiem jedno: to nie jest moja rodzicielka, a ja zamierzam odnaleźć prawdziwą matkę.

- I po to kopiesz ten tunel?

- Tak. Inaczej się stąd nie wyrwę.

- Nie prościej zwyczajnie wyjść poza granice miasta i iść przed siebie?

- Spróbuj. W ten sposób przejdiesz maksymalnie kilka mil, po czym znajdziesz się z powrotem w mieście.

- Że co?

- No nagle ni stąd ni zowąd zostaniesz przeniesiona do jakiegoś miejsca w mieście. I tak będzie w każdym kierunku w którym pójdziesz.

- Założmy, że tak jest. Po co więc kopiesz ten podkop? Przecież w końcu znajdziesz się w takim miejscu, z którego zostaniesz z powrotem przeniesiony do miasteczka. Cały wysiłek na nic.

- Zgadza się. Ale ja nie chcę dokopać się poza miasto.

- To co ty kombinujesz?

- Jest pewne miejsce, nie będące bezpośrednio częścią miasta, ale znajdujące się kawałek za nim. Wiesz, o czym mówię?

- Kościół?

- Dokładnie: cmentarz, a za nim kościół.

- I co?

- Nie zastanawiałaś się, dlaczego to miejsce jest poza miastem? Każdy o nim wie, ale nikt nigdy tam nie był. Czy to nie dziwne?

- Kontynuuj.

- Kiedyś spytałem się o to Pastora. Jesteśmy w religijnych stronach, więc mówię mu, że nie widziałem w mieście świątyni. On rzekł, że jest, ale kawałek za miastem, za cmentarzem. Pytam: gdzie? Tam a tam. A często tam uczęszczacie? Nie, w ogóle. A dlaczego?

Bo nabożeństwa nie odbywają się i tyle, odparł. A na cmentarz chodźcie, chociażby po to by odwiedzić zmarłych bliskich? Nie. Czemu? Bo to stary cmentarz, powiedział. Nikt tam nikogo nie ma. A gdzie jest nowy? Nie ma, odrzekł. Idź męczyć kogoś innego. A ja postanowiłem pójść na ten cmentarz i zobaczyć ten kościół. Gdy tak szedłem, w pewnym momencie zobaczyłem z oddali zamazane rysy wielkiego budynku. I wtedy...

- Co?

- I nagle jak rażony piorunem padłem na glebę. Poczułem paraliżujący strach, który z wielką siłą przygniótł mnie do ziemi. Czułem się... okropnie, jak gdyby nienawiść całego świata była zwrócona przeciwko mnie. I ja czołgając się, poniżony, uciekałem przed tymi odczuciami z powrotem ku miasteczku. Jeszcze tylko raz spróbowałem dotrzeć powierzchnią do kościoła. Tym razem ledwo uszedłem z życiem, strach o mało mnie nie zabił. Ale jednego jestem pewien: niemożliwe, aby nie istniał sposób ucieczki z tego przeklętego miejsca. I wszystko wskazuje na to, że dotarcie do kościoła, myślę, że do jego wnętrza, stanowi rozwiązanie zagadki i sposób na wyrwanie się stąd.

- Hmm... Mam pewien pomysł, ale musisz mi pomóc.

- To znaczy?

- Potrzebuję jakiegoś środka transportu, żeby przewieźć wodę. Masz coś w zanadru?

- Jest kilka wozów. Mutantcy niewolnicy je pociągną. Ale co z tego, skoro i tak stąd nie uciekniesz.

- Wydostanę się z miasta.

- Ciekawe jak?

- Pójdę do kościoła. Odnajdę tam klucz do wszystkiego.

- Ha ha, bardzo śmieszne, to jest ten twój pomysł? Nawet się nie zbliżysz.

- Założysz się?

- O co?

- Jeśli wygram, to sam osobiście będziesz na samym przedzie razem z tymi niewolnikami w zaprzęgu ciągnął wóz wyładowany gallonami wody.

- A jeśli to ja wygram, to wyświadcysz mi bardzo osobistą przysługę...

- Dupek. Świnia. Ale zgadzam się, bo dobrze wiem, że to ja zwyciężę.

- Niech ci będzie. Kiedy wyruszasz?

- Niedługo. Muszę jeszcze z kimś pogadać, więc dzisiejszego wieczora, lub w nocy.

- Idę z tobą.

- Co? Mowy nie ma. Nie poradzisz sobie.

- Razem z tobą dam radę, na pewno. Poza tym, kto wie, co tam znajdziesz? Co jeśli będzie to coś tak strasznego, że zdecydujesz się natychmiast uciec? A wraz z tobą przepadnie moja nagroda.

- Nigdy nie uciekam. A mnie nawet nie dotkniesz, bo ja nigdy nie przegrywam.

- Tak, tak. Mów co chcesz ale i tak idę z tobą.

- Nie ufasz mi?

- Nikomu nie ufam.

- Niech ci będzie. Ale nie zamierzam być twoją niańką. Idziesz na swoją odpowiedzialność.

- Dobra, to na którą się umawiamy? I gdzie?

- Powiedzmy... Dwudziesta druga zero zero. Przed wejściem do motelu. Nie spóźnij się, bo pójdę bez ciebie. Aha, i daj już sobie spokój z kopaniem. Idź się trochę zdrzemnij, tylko nie śpij zbyt głęboko i zbyt daleko od głównego holu, bo nie usłyszysz bicia zegara.

- Żaden problem. Do zobaczenia nocą.

- Czekaj chwilę... jeszcze jedno: co wiesz o zaginionych ludziach i sprzeczce?

- Zupełnie nic. Chcę tylko stąd odejść. Reszta mnie nie obchodzi.

- Nie martw się, egoisto. Uda się.

- Miałeś rację z tym Lloyd'em.

- A więc nie uważasz już, że tutejsi ludzie są normalni, a tylko mnie odbiło i gadam jakieś niestworzone rzeczy o wyjątkowych i podróbkach?

- Powiedzmy, że miałeś trochę racji. Dziś w nocy sprawdzimy, co tu się tak naprawdę dzieje.

- Jestem tu od miesiąca i nic nie osiągnąłem, a ty zamierzasz dowiedzieć się wszystkiego w jedną noc?

- Tak, bo ty zupełnie zignorowałeś kościół.

- Kościół? To tutaj jest coś takiego? Nigdy bym nie pomyślał, wiesz, jestem ateistą, co oznacza, że raczej nie wypytuję ludzi o świątynie.

- Ale tym razem pominąłeś ważny element układanki, bo Robbie uważa, że ten budynek położony za miastem jest kluczem do rozwiązania zagadki.

- O, widzę, że jednak znalazł się nasz przybłęda. Gdzie się ukrywał? W śmietniku?

- Nie mów tak o nim. Szkoda mi go. On także jest w nieciekawej sytuacji, być może jest mu ciężiej niż tobie i mnie – w końcu nam nikt nie podmienił rodziców.

- Co zamierzasz?

- Dzisiaj o dwudziestej drugiej idziemy z Robbie'm do tego kościoła.

- Tak? To powodzenia, będę śnił o tobie.

- Ty też idziesz.

- Ja? Po co? Mam lepsze rzeczy do roboty, chociażby spanie.

- Przydasz się, a poza tym...

- Co?

- No tak, ty nic nie wiesz...

- O czym?

- Jesteś tu już od miesiąca, prawda?

- Tak, i co z tego?

- Próbowałeś stąd wyjechać?

- Nie. Przysiągłem sobie, że nigdzie się nie ruszę, póki się nie dowiem, co się dzieje na tym cholernym zadupiu.

- I dobrze, żeś sobie tak przysiągł, bo i tak byś się stąd nie ruszył.

- Że jak? O co ci chodzi?

- Z miasta nie da się odejść w tradycyjny sposób. Na początku też nie chciało mi się wierzyć, że to w ogóle możliwe, ale... sprawdziłam, i jest to niestety prawda.

- Co przez to rozumiesz? Mówże jaśniej!

- Za każdym razem, gdy próbowałam wyjść dalej niż parę mil poza miasto, automatycznie przenosiłam się z powrotem do centrum lub innego obszaru tej zapyziałej miejsciny. Jednakże jest pewien kierunek, w którym jeśli się udasz...

- Chodzi ci o kościół, prawda?

- Tak. Dzisiejszej nocy udamy się tam. Myślę, że to wszystko wyjaśni. Bądź gotów o dwudziestej drugiej, spotkamy się przed wej-

ściem do motelu.

- Będę gotów.

- Często się boisz? Jesteś strachliwy?

- Ja? Coś ty! Czemu pytasz?

- Bo dzisiejszej nocy okaże się, jaki jesteś twardy.

- Co?!

- Sam się przekonasz. A teraz się zdrzemnij. Słodkich snów.

- Gotowi?

- Kto to jest?! – zdziwiony Robbie wskazał na Gravestone'a.

- Znajomy – odparła spokojnie Beth. – Jeśli mamy stąd uciec, przyda się każda pomoc.

- Niech będzie. Ruszajmy już.

Księżyc jako tako oświetlał miasteczko, lecz już poza jego granicami, w miarę oddalania się od nich, zapadała coraz większa ciemność. Jakby tego było mało, nagle pojawiła się gęsta mgła.

- Czy to normalne? Ten brak światła i mgła? – Elizabeth zwróciła się do Robbie'go.

- Nie mam pojęcia, poprzednimi razy zawsze szedłem w tym kierunku w ciągu dnia, więc nie wiem, co jest grane. Może to ma wywołać w nas jeszcze większy strach?

- Daj spokój z tymi zabobonami – wtrącił się Zach. – To z pewnością ma jakieś logiczne wytłumaczenie.

- Co ty możesz wiedzieć o logice, biały cwaniaku? Widywałem cię czasami w motelu, jak kręciłeś się bez celu. Jesteś logicznym zerem! Przez miesiąc gówno zrobiłeś, a teraz się wymądrzasz!

- Uważaj podrzutku, bo następnym razem, gdy zamieszkaś z białą matką, nikt ci nie pomoże.

- Odszczekaj to psie! – Robbie chciał się rzucić na Gravestone'a, lecz najemniczka stanęła między nimi.

- Spokój, idioci. Nie mam zamiaru zginąć przez wasze kłótnie.

- Tak?! – zirytował się Zachary. – Jaką masz pewność, że ten czarnuszek nie prowadzi nas w jakąś pułapkę? Co o nim wiesz?

- Równie dobrze to może być twoja pułapka. Że jestem czarny, to już można mnie o wszystko oskarżać?

- Zamknąć się. – Sarah straciła cierpliwość. – Jeśli się okaże, że odstawiacie jakieś numery, to będziecie gryźć piach, i to szybciej, nim zdążycie pomyśleć: „ale byłem głupi zadzierając z Beth”. Rozumiecie?

Nic nie odpowiedzieli, ale z jakiegoś powodu uwierzyli w słowa pięknej, lecz równie niebezpiecznej najemniczki.

- Co, męska duma nie pozwala wam wypowiedzieć choćby jednego słowa?

Szli przed siebie. Robiło się coraz ciemniej. Nagle, na ziemi, tuż przed Elizabeth, pojawiło się nagle światełko...

- Latarka?! Skąd ją masz?!

- Ona jedna uchowała się z całego mojego sprzętu badawczego – odparł Zach. – Hmm, zupełnie jak podczas mojej wyprawy w Appalachy...

- Byłeś w Górach Nieprzebytych?! – z niedowierzaniem krzyknęła Sarah.

- Byłem nawet za nimi, na Bezkresnej Pustyni Śmierci.

- Pieprzysz, nikt tam nigdy nie był. Nawet nie wiadomo, czy tam rzeczywiście jest pustynia, czy coś zgoła innego.

- Było pewnie wielu, lecz powrócił tylko jeden.

- Ty?

- Dokładnie.

- Dlaczego właśnie ty?

- To... to było ciężkie, traumatyczne przeżycie. Nie chcę o tym mówić. Może kiedy indziej.

- Jak sobie chcesz, panie „tajemniczy”.

Szli dalej. Wątle światło latarki wystarczało na tyle, aby nie przewracali się o wystające kamienie. Beth szła zamyślona, lecz z tego stanu wyrwało ją zdarzenie, które powinna była przewidzieć: nagle, zupełnie niespodziewanie, Robbie i Zach padli na glebę niczym rażeni piorunem, po czym zaczęli krzyczeć i tarzać się po ziemi, starając uchwycić się czegoś, czego mogliby się kurczowo trzymać.

- Robbie, co z tobą?! – wykrzyknęła zdezorientowana Sarah.

- Nie, proszę cię Mark, przestań! – krzyczał.

Z Gravestone'm też nie było najlepiej.

- To moja woda! Nie zabierzesz mi jej! Jest moja... to ja przeżyję! – wydierał się w niebogłosy.

- Macie halucynacje! – zawołała najemniczka. – Szybko, podajcie mi ręce, pomogę wam!

Ostatkiem sił Zachary i Robbie podali dłonie Elizabeth.

- Trzymajcie się mnie mocno – rzekła. – Powinno pomóc.

Poruszali się więc dalej w ten sposób, że trzymali się za ręce, Beth szła w środku, oni po bokach.

- Jak to możliwe? – zapytał Zach. – Że ty się nie boisz? Że potrafisz ukoić nasz strach?

- Nie wiem – odparła szczerze najemniczka. – Po prostu taka jestem. Mam nadzieję, że to nam pomoże wydostać się z tego przekłętą miejsca.

- Zawsze posiadałaś ten dar?

- Tak, odkąd tylko sięgam pamięcią.

- Zbliżamy się, czuję to – rzekł drżącym głosem Robbie.

Nagle ciemność przeminęła. Na niebie znów pojawił się księżyc, sprawiając że widoczność stała się dość dobra, choć ograniczała ją jeszcze mgła, która jednak z wolna zaczęła ustępować. Nagle zobaczyli w oddali kontury ogromnej budowli przypominającej kościół. Wkrótce znaleźli się na granicy cmentarza, przez który musieli przejść, aby dostać się do świątyni.

- I co teraz? – spytał Robbie.

- Musimy wejść do środka, no bo cóż innego – odparła Beth.

- Co jeśli nic tam nie znajdziemy? – zapytał Gravestone.

- Pożyjemy, zobaczymy. Nie bądź czarnowidzem.

- Czarnowidzem? To określenie chyba bardziej pasuje do Robbie'go, nie sądzisz?

- Zamknij się, ty tępy białasie – zasyczał Robbie.

- Panowie, spokój, albo puszczę wasze dłonie, zrozumiano?

Znów nic nie odparli. Wędrowali więc w milczeniu przez morze nagrobków, gdy nagle przerażającą ciszę brutalnie przerwał jeszcze bardziej przerażający huk wystrzału z broni palnej.

- Co do... – Sarah nie dokończyła, w zdumieniu obserwując, jak kilkanaście postaci – wyglądających jak duchy, bo mających narzucone na siebie stare, postrzępione prześcieradła z otworami na oczy, nos i usta – otacza ich, sprawiając że ona, Zach i Robbie stali się więźniami zwartego kręgu.

- Biała Sekta – szepnął przerażony Robbie.

- Kim jesteście i czego chcecie?! – zawołała najemniczka.

Jeden z przybylszy wystąpił krok naprzód.

- Co taka piękna kobieta robi w takim miejscu, o takiej porze, w dodatku z takim obrzydliwym czarnuchem? – spytał ironicznie.

Robbie już chciał coś złośliwie odpowiedzieć, lecz Beth mocno go ścisnęła, dając w ten sposób znak, aby był cicho, sama zaś rze-

kła:

- A co taka zgraja idiotów poprzebieranych jak błazny robi w tym miejscu, w czasie, w którym grzeczni chłopcy tacy jak wy powinni już być w swych ciepłych, mokrych łóżkach?

Jeden z sekciarzy zaśmiał się, ale grobowe spojrzenie przywódcy szybko pozbawiło go dobrego humoru.

- Koniec żartów – rzekł wódz i postąpił jeszcze jeden krok naprzód. – Zabieramy czarnucha i lepiej nie sprawiaj nam problemów.

- Kim jesteście i dlaczego chcecie go zabrać?

- Jesteśmy ręką bożej sprawiedliwości, ostoją umęczonych Pustkowi, ostatnią nadzieją ludzkości. Aresztujemy tego śmiecia.

- Aresztujecie? Co takiego zrobili? Czy jego wina jest adekwatna do waszej megalomanii?

- Morderstwo dokonane na białym obywatelu musi zostać pomszczone. Nie martw się, postawimy go przed sądem, podobnie jak i innych czarnuchów, żółtków i mutantów.

- Zaprowadzicie go przed sąd? Jakoś nie chce mi się wierzyć.

- Zrobimy to. Będzie miał uczciwy proces... i otrzyma surowy wyrok.

- Dostanie karę śmierci – szepnął Zach.

- Nie pozwól im – rzekł Robbie przez łzy i instynktownie przyłgął do Beth.

- Nie dostaniecie go ani żywego, ani martwego. – Najemniczka wystąpiła krok naprzód, puszczać dłonie przyjaciół, którym nic się jednak nie stało. Cokolwiek wywoływało potężny strach, teraz już nie przestało oddziaływać. – Odejdźcie stąd, póki jeszcze możecie.

- Daję ci ostatnią szansę: albo wydasz czarnego śmiecia, albo obwołamy cię zdrajczynią białej rasy. I natychmiastowo wykonamy karę za zdradę. Chyba nie muszę mówić, jaką? Więc?

Beth zauważyła, że sekciarze przyszykowali broń i czujnie przysłuchiwali się rozmowie swego dowódcy z nieznaną, gotowi w każdej chwili zaatakować na jego sygnał. W tym momencie walka z duchami skazana była na klęskę wobec braku równowagi w uzbrojeniu.

- Szkoda byłoby zabić tak piękną kobietę, wręcz sztandarową przedstawicielkę białej rasy. To jak będzie, panno... - Dowódca miał się właśnie zapytać najemniczki, jak ma się do niej zwracać, lecz głos utknął mu w gardle ze zdziwienia: Elizabeth, jak gdyby nigdy nic, usiadła na ziemi przyjmując pozycję mniej więcej kwiatu lotosu.

- Co ona robi?! – Robbie dyskretnie szarpnął Zach'a.

- Nie mam pojęcia.

- Myślałem, że ją znasz?!

- Od wczoraj!

Dowodzący oddziałem Białej Sekty, jakby przeczuwając, co ma się stać za chwilę, dobył pistoletu, delikatnie wsunął magazynek i przeładował broń, przygotowując się na ewentualne starcie, którego zwycięstwa był pewien stuprocentowo. Nastąpiła chwila ciszy, jakby oczekiwania na nieuchronne. O dziwo, nikt nawet nie próbował się odezwać. Wszyscy niczym zahipnotyzowani spoglądali na Beth. Nagle atmosfera skupienia została brutalnie przerwana przez krzyk jednego z sekciarzy:

- Co do kur... To parzy!!!

Wszyscy spojrzeli się na jego dłoń, w której trzymał pistolet. Ów broń zaczęła syczeć, lekki dym począł unosić się ku górze – metal topniał z gorąca. To samo stało się u innych.

- Kurwa! – krzyczeli z bólu sekciarze i chcąc nie chcąc musieli upuścić swoją broń.

- Pieprzyć giwery! – zasyczał dowódca duchów. – Bierzcie kosy!

Na ten rozkaz wyciągnęli długie, myśliwskie noże i rzucili się na Beth, Robbie'go i Zach'a. Na szczęście dzięki zamieszaniu z topiącymi się gnatami w ich murze zrobił się wyłom.

- Uciekajmy, już nie zdążę ich ponownie powstrzymać! – krzyknęła najemniczka do swych przyjaciół.

Zaczęli biec w kierunku kościoła. Do wzmożonego wysiłku mobilizowały ich okrzyki wrogów, mówiące, co oni im robią, gdy ich złapią. Biegli bardzo szybko, aż nagle Robbie się potknął i z wyłożył się na glebie. Zachary biegł dalej, lecz Sarah instynktownie się odwróciła i dostrzegła, co się stało. Szybko stanęła w miejscu, zamknęła oczy i skupiwszy się zebrała resztki sił. Jeden z nadbiegających duchów już prawie dotarł do Robbie'go, lecz nagle niespodziewanie wpadł na coś w rodzaju niewidzialnej ściany i odbił się od niej, padając na ziemię niczym trafiony kulą. Najemniczka pomogła podnieść się zdeorientowanemu Robbie'mu i razem niezdarnie kontynuowali bieg ku świątyni. Tymczasem Gravestone już dopadł wrót wejściowych i uchylił je na tyle, aby było można wśliznąć się do wnętrza. Na szczęście dla Beth i Robbie'go nie zamknął ich od razu po wejściu do środka, tylko na nich poczekał. Oni zaś uciekali ile sił w nogach, wciąż słysząc za sobą przekleństwa swych wrogów, a nawet dźwięki kling noży uderzających o nagrobki – sekciarze, nie mając już większych szans na dogonienie ściganych (tym razem Bóg ich opuścił, pomyślała złośliwie Sarah) podjęli desperacką próbę upolowania ich za pomocą noży, czyli rzucając. Zdyszani uciekający wreszcie wbiegli do kościoła. Zach szybko zatrasnął wrota i wraz z Robbie'm i Beth zaryglowali je ogromnym świecznikiem.

- Udało się – westchnął uradowany Robbie.

- Może nam łaskawie wyjaśnisz, o co dokładnie chodziło tym psychopatom w prześcieradłach?! – Gravestone wydarł się na Robbie'go.

- Daj spokój, Zach. – Elizabeth była bardzo wyczerpana. – Ledwo uszliśmy z życiem, a ty wyskakujesz z jakimiś tematami. Nie czas na to.

- O nie. – Zachary był wyraźnie zdenerwowany. – Mogliśmy zginąć, zgadza się, ale to przez twojego kumpla czarnuszkę, więc niech teraz się wytłumaczy. Bo ja chcę wiedzieć, z kim siedzę w tym gównie. Ciebie się nie czepiam, bo twoje paranormalne wyczyny przynajmniej się do czegoś przydają. Ale on, nie dość, że nic nie potrafi, to jeszcze nas przez niego ścigali jakieś świry próbujące udawać duchy, czy cholera wie kogo.

- W porządku, powiem – rzekł niespodziewanie Robbie. – Ale tylko jej, nie tobie – dodał z przekąsem.

- Co?! Mowy nie ma! Narażałem swoje życie, chce wiedzieć, w imię czego!

- Zgódź się, Zach – poprosiła łagodnie Sarah.

- Dobrze, ale tylko pod warunkiem, że potem mi wszystko opowiesz.

- Nic mu nie mów! – zaprotestował Robbie.

- Powiem. Jakby nie było, on też narażał życie, chce wiedzieć, w imię czego!

- Rozejrzę się trochę.

- Tylko się nie zgub.

Gravestone poświęcił sobie latarkę i poszedł przed siebie.

- Więc mów, Robbie.

- Wolałbym jednak nie...

- Muszę wiedzieć. Nie mogę cię bronić, nie wiedząc co i jak. Ja tak nie potrafię, rozumiesz?

- No dobra. Pochodzę z dużego miasta na Południu.

- Czyli teraz nie jesteś daleko od domu?

- Już nie mam domu, ale w tym sensie, w jakim pytasz, masz rację... Nie znam swojego ojca. Odkąd pamiętam, była tylko matka.

- Przykro mi.

- Zupełnie niepotrzebnie. Życzę wszystkim w dobrej wierze, aby nigdy nie mieli przekłętego starego debila, zwanego potocznie ojcem czy ojczymem – jak zwał tak zwał, bo to wszystko jedno gówno. Wystarczy matka.

- Dlaczego tak mówisz?

- Słuchaj dalej: mama ciężko pracowała jako sprzątaczką. I pewnego dnia, niestety, sprowadziła do domu faceta. Białego śmiecia.

- Domyślałam się, że to był Mark, prawda? I co z nim?

- Co tu dużo gadać? Nie domyślasz się? Koleś miał iść do roboty, a skończyło się na tym, że doszła dodatkowa gęba do wyżywienia. I nie tylko. Zabierał mamie wszystkie pieniądze i przepuszczał na alkohol, faję, dziwki i hazard. Całe dni przesiadywał w lokalnym kasynie. Dureń łudził się, że coś wygra. Po powrocie do domu znęcał się nad matką i nade mną. Zwłaszcza nade mną. W końcu pieniądze zarabiane przez mamę okazały się być za małe żeby zaspokoić wszystkie jego zachcianki. Więc zaczął wysyłać mnie na złodziejstwo, a matkę po pracy na ulicę, wiesz w jakim charakterze. Musiałem kraść, bo zagroził mi śmiercią, wiesz, że gdy nic nie przyniosę... Więc już w bardzo młodym wieku stałem się niebezpiecznym chuliganem. Wkrótce koledzy nazwali mnie „Zabijaką”, oczywiście nie zabijałem ludzi, ale prowadziłem tak intensywną działalność przestępczą, że przezwisko to pasowało do mnie idealnie.

- Jednego tylko nie rozumiem... Po co w ogóle twoja matka sprowadziła go do domu?

- No co ty? Wiadomka. Chciała jej się. Potrzebowała faceta. Oczywiście wtedy tego nie rozumiałem. Teraz już tak, jakżeby inaczej. Ty chyba powinnaś wiedzieć o tym najlepiej.

- Słucham?

- Nie udawaj. Ty chyba nie masz problemu z niezaspokojeniem? Na pewno wielu facetów się do ciebie przystawia, masz w czym wybierać, co?

- Nie twój interes, erotomanie.

- A moja matka nie miała zbyt dużego wyboru. Mniejsza z tym. Trwało to wszystko kilkanaście lat, nie pamiętam już dokładnie ile. Z wesołej, pogodnej kobiety, jaką była moja mama, pozostał tylko cień, wrak człowieka. A we mnie przez te wszystkie lata kwitła nienawiść, która w końcu musiała wybuchnąć.

- Czy ty...

- Tak. Zrobiłem to. I nie będę cię oszukiwał: nie uczyniłem tego w akcie rozpaczliwej, heroicznej obrony katowanej matki czy mojej osoby. Poderżnąłem mu gardło. We śnie. Skurwiel się nie spodziewał, że jestem do tego zdolny. Ale ja byłem i sprawiło mi to ogromną przyjemność. Mało tego, pragnąłem więcej: miałem ochotę zabić wszystkich białasów, a ich kobiety brutalnie przetrząsnąć. W oczach Beth pojawił się dziwny błysk: jakby wahanie, czy współczuć, czy też czuć odrazę do tego niewątpliwie pokrzywdzonego, a zarazem żałosnego chłopaka. Tymczasem Zabijaka kontynuował swoją opowieść:

- Ciało zawlokłem do piwnicy. Tam pokroiłem na kawałki i schowałem w worku. Przecież nie mogłem się go pozbyć w inny sposób: wszyscy by widzieli, jak wynoszę zwłoki z domu. Worek zostawiłem, no bo gdzie miałem go wyrzucić? Jak się później okazało, to był wielki błąd. Rankiem mama nic się nie odezwała. Wiedziała, domyślała się, co zrobiłem, a mimo to zachowywała się jak gdyby nigdy nic. To mi bardzo pomogło. Psychicznie. Bo widziałem, że jest szczęśliwa i czułem jej wsparcie. Lecz... Sielanka nie trwała długo. Niecały tydzień. Ale było to najszczęśliwsze 6 dni w naszym życiu. Byłem przekonany, że tym śmieciem nikt się nie zainteresuje... Tu się pomyliłem. Okazało się, że ten skurwysyn...

- Miał kolegów z Białej Sekty? – wtrąciła się poruszona Elizabeth.

- Mało tego. On sam był wysoko postawionym członkiem organizacji! W końcu domyślili się, że coś jest nie tak, przecież nikt go nie widział przez ten tydzień w kasynie, co było do niego niepodobne. Przyszli do nas, przeszukali wszystko... Zakuli mnie w kajdany, a matkę kazali się wynosić. Spalili dom. Trafiłem do więzienia Białej Sekty. Byłem tam więziony wraz z innymi czarnymi. Torturowali nas na najprzeróżniejsze sposoby, to samo z zabijaniem.

- Mordowali ludzi?!

- A czego oczekiwałaś? Jednego po drugim. W końcu zrozumieliśmy, że nie przetrwamy. Wybuchło powstanie. Na początku opanowaliśmy znaczną część więzienia, ale oni byli lepiej uzbrojeni, mieli lekarstwa i byli dobrze zorganizowani. Zaczęli odzyskiwać teren. Zorientowałem się, że zbliża się nasz koniec... I zrobiłem to, co było konieczne.

- Czyli?

- Uciekłem w trakcie jednego ze starć. To była duża potyczka, dużo zamieszania, wykorzystałem to...

- Innymi słowy: zdezerterowałeś.

- Miałem zostać na pewną śmierć? Nigdy! Zresztą, nie masz prawa mnie oceniać!

- Chyba masz rację. Ale jedno mnie zastanawia: to trochę nieprawdopodobne, że udało ci się zbiec z takiego więzienia akurat w takim momencie – na każdym kroku sekciarze...

- Zapomniałeś już, że jestem zaprawionym w bojach złodziejem? Skradanie się czy otwieranie zamków to dla mnie dziecinada. Sarah nie do końca w to wszystko wierzyła, lecz nie drążyła już dalej tego tematu.

- Od tamtego czasu szukasz matki?

- Tak, zakładam że przez te pół roku, które przesiedziałem w więzieniu, mama nie zdołała wywędrować zbyt daleko. Przecież nie przetrwałaby długiej podróży przez Pustkowia, zwłaszcza samotnie.

- No tak, ale jakie masz szanse jej znalezienia?

- Dość duże, powiedziałbym. Zostało tak mało czarnych, że przybywając do jakiegoś miasteczka to nie jest wielka sztuka wypatrzeć czy wypytać o osobę o kolorze skóry innym niż biały.

- Ile już takich miejsc odwiedziłeś?

- Już kilkanaście miejscowości. I słowo daję, jeszcze nigdzie nie spotkałem takiego cyrku jak tutaj. Sytuacja w tej mieścinie jest po prostu kuriozalna, w innych okolicznościach pewnie bym się z tego śmiał, ale teraz, gdy ledwo uszliśmy z życiem...

- A właśnie: gdzie jest Zach? Cholera, jeszcze tylko tego brakowało, żeby się gdzieś tu zgubił. Chodź, poszukamy go.

Ruszyli przed siebie. Kościół spowijał gęsty mrok, tak gęsty, że trzeba było kroczyć bardzo powoli, aby nie przewrócić się o możliwe przeszkody.

- Zach, gdzie jesteś? Przestań się wygłupiać, to nie jest śmieszne! Musimy wspólnie przeszukać kościół.

Cisza. Beth wciąż szła naprzód.

- Gravestone! Zostawię cię tu, przysięgam! Masz się natychmiast pokazać!

Znów głucho. Sarah odwróciła się do tyłu.

- Robbie, chodź trochę szybciej, bo zgubisz się jak... Robbie?

Najemniczka wyciągnęła przed siebie rękę, ale nic nie poczuła. Ruszyła z powrotem, wołając imię Zabijaki. Odpowiedziała jej cisza. W końcu, w tej sytuacji, Beth postanowiła przejść wzdłuż całej świątyni, cały czas nawołując przyjaciół. Dziwiło ją to, że nie odpowiadała jej najmniejsze nawet echo, zwłaszcza że kościół sprawiał wrażenie opustoszałego. Budowla była dość rozległa; Elizabeth przeszła już ponad 50 jardów, a wydawało się jej, że pozostało do zrobienia drugie tyle. Szła więc dalej, lecz wbrew jej oczekiwaniom po przejściu kolejnych 20 jardów dotarła do końcowej ściany budynku, a przynajmniej tak jej się wydawało. Postanowiła skręcić w prawo i poruszać się wzdłuż ściany celem znalezienia drzwi do dalszej części kościoła, o ile takowa w ogóle istniała. Ta część świątyni była dużo bardziej zaśmiecona niż reszta, Sarah potknęła się kilkakrotnie o przewrócone świeczniki i inne kościelne rekwizyty. Przeszedłszy gdzieś około 30 jardów, dotarła do drzwi (a więc miała rację!), które pozbawione były jednak klamki. Na szczęście były bardzo spróchniałe i Beth bez trudu je wyważyła w ogóle się przy tym nie męcząc. Jej oczom ukazały się długie, kręte schody prowadzące w górę jakiejś wieży. Dziwne, wszakże zmierzając ku świątyni nie widziała żadnej wieży, no ale przecież było bardzo ciemno... Elizabeth rozpoczęła mozolną wspinaczkę po schodach, które zdawały się nie mieć końca. W pewnym momencie Sarah przestała nawet liczyć, ile stopni już pokonała. Lecz w końcu odetchnęła: wyglądało na to, że to już koniec; duże, masywne

drzwi, tym razem z klamką, sprawiały wrażenie, jakby zapraszały do środka.

Ostrożnie je otworzyła i natychmiast zamknęła oczy, gdyż poraziła ją wielka jasność bijąca ze środka. Delikatnie unosiła powieki, mrużąc oczy i powoli przyzwyczajając je do ostrego światła. Gotowe. Weszła do środka, a wokół niej roztaczało się oświetlenie tak intensywne, że nie było nic widać dalej niż na dwa yardy. Szła przed siebie niemalże po omacku. Wreszcie dotarła do kolejnych drzwi, identycznych jak poprzednie. Otworzyła je i znów ujrzała wielką jasność, ale gdy tylko przekroczyła próg stało się coś zupełnie nieoczekiwanego: drzwi się same za nią zamknęły i jasność znikła, pozostawiając najnormalniejsze w świecie oświetlenie, naturalne dla ludzkich oczu. To, co Beth zobaczyła, sprawiło że momentalnie cofnęła się do tyłu, jakby broniąc się przed przyjęciem do wiadomości tego, co właśnie zarejestrował jej narząd wzroku: oto w tym pomieszczeniu znajdowały się cztery przezroczyste komory, dwie z prawej i dwie z lewej strony, a w nich zamknięci byli, wyglądający zresztą na nieprzytomnych, kolejno: Duży Jack, Robbie Zabijaka, Pastor Lloyd i Zachary Gravestone. Dokładnie pośrodku między komorami stał wyglądający na mocno zużytego robot, który dzięki temu, że posiadał nogi, ręce, tułów i głowę wydawał się być bardziej ludzki niż jakakolwiek inna maszyna. Tymczasem Beth otrząsnąwszy się z niedowierzania podeszła do komory w której znajdował się Zach z zamiarem podjęcia próby wydostania go na zewnątrz. Lecz Sarah nigdzie nie mogła dostrzec zamka czy choćby jakiegokolwiek mechanizmu otwierającego komorę. Zaczęła więc pięściami dobijać się próbując rozbić szklaną powłokę za którą był uwięziony Zachary.

- To na nic – odezwał się niespodziewanie robot. – Ta szyba jest między innymi kuloodporna. Takie uderzenia nic ci nie dadzą. Beth zaprzestała próby zniszczenia powłoki.

- Kim... czym jesteś?

- Jestem R – 9000, jednostka strzegąca i nadzorująca psychointeraktywną symulację TEST – 2.

- Możesz... możesz to rozwinąć?

- Udzielenie odpowiedzi niemożliwe: pytanie źle sformułowane lub brak danych.

Sarah podeszła do robota.

- Nie jesteś zbyt bystry, co?

- Udzielenie odpowiedzi niemożliwe: pytanie źle sformułowane lub brak danych.

- Dobrze więc. Widzę, że muszę wpasować się w twój ograniczony schemat. Moje pytanie brzmi: skąd się tu wzięłeś?

- Brak danych.

- Kto cię skonstruował?

- Brak danych.

- Dlaczego musisz strzec tej... jak to nazwałeś... symulacji?

- Wypełniam polecenie twórców.

- Kim oni są?

- Brak danych.

- Czym jest TEST – 2?

- Pytanie zbyt ogólne; sugerowana odpowiedź: jest udoskonalonym następcą pierwszego TEST – u.

- Trudno, żeby następca nie był udoskonalony... Wyjaśnij mi, jak ta psychointeraktywna symulacja działa na organizm ludzki. Chodzi mi o TEST – 2.

- TEST – 2 wywołuje u człowieka wizję, sen na jawie, który jednak w dużej mierze przypomina rzeczywistość.

- Hmm... Czy to coś w rodzaju narkotycznej halucynacji?

- Przypuszczenie: można tak powiedzieć.

- Czy dlatego, że w rzeczywistości TEST – 2 to narkotyk?

- Przypuszczenie: można tak powiedzieć.

- Jak jest wprowadzany do organizmu? Dożylnie? W płynie?

- To gaz – stąd te komory. Gdyby nie one, TEST – 2 zmieszałby się z powietrzem i w efekcie nie zadziałał.

- Skąd ci ludzie się tu wzięli? – najemniczka wskazała na swych znajomych.

- Brak danych.

- W czym TEST – 1 był gorszy od następcy?

- Człowiek o silnej woli potrafił się wyrwać ze sztucznego świata TEST – 1, poza tym ten świat był dużo uboższy.

- Znam tych ludzi – Beth wskazała na zamkniętych w komorach – to moi przyjaciele. Czy tak jak oni też byłem poddana działaniu narkotyku?

- Tak.

- Więc jak przypuszczam, to miasteczko to wytwór narkotyku, a gubiący się ludzie i przedmioty to po prostu efekt niedoskonałości symulacji?

- Dedukcja prawidłowa.

- Jak się wyrwałam spod działania tego TEST – u? Jak to możliwe?

- Brak danych.

- Dlaczego nie pamiętam tego... otrzeźwienia?

- Brak danych.

- Jak mogę uwolnić tych ludzi w komorach?

- Informacja niedostępna dla nieupoważnionych.

- Ty nadzorujesz komory, ale kto ich schwytał i tam wsadził?

- Brak danych.

- Gdzie są ich i moje rzeczy osobiste?

- Brak danych.

- Wiesz co mi chodzi po głowie od samego początku rozmowy z tobą?

- Udzielenie odpowiedzi niemożliwe: pytanie źle sformułowane lub brak danych.

- Tak, wiem. Więc sama odpowiem na swoje pytanie: marzę o urwaniu ci tego zardzewiałego głupiego łba!

To powiedziawszy zebrała siły i resztki swojej energii psionicznej użyła do rzucenia robotem o ścianę, który uderzył w nią z ogromną prędkością rozpadając się malowniczo na kawałki. Zaraz po jego zniszczeniu komory automatycznie się otworzyły; jeżeli był tam rzeczywiście jakiś gaz, to był on niewidoczny jak powietrze, gdyż nie było widać, aby cokolwiek wyleciało z komór. Mężczyźni upadli oszołomieni, ciężko łapiąc powietrze.

- To pewnie efekt uboczny narkotyku – powiedziała do siebie Elizabeth i podeszła do Gravestone'a aby pomóc mu wstać. – Zach, wszystko w porządku?

- Chyba... chyba tak... Co się... dzieje?

- Szybko, musimy uciekać zanim zjawią się tu twórcy tego cudaka.

- Co? Pamiętam, że uciekliśmy do kościoła przed sekciarzami... Ale jak się tu znalazłem?

- Nie czas na wyjaśnienia, powiem ci wszystko, kiedy już stąd się wydostaniemy. Pomóż mi postawić na nogi resztę chłopaków. Gravestone podniósł się ociężale, po czym wraz z Beth zaczął pomagać innym dochodzić do siebie. Oczywiście najbardziej zdziwieni i roztrzęsieni byli Lloyd i Jack. Ci nie mieli zielonego pojęcia jak się znaleźli w kościele. Lecz nie było czasu na wyjaśnienia. Cała piątka szybko zbiegła z powrotem schodami na dół i dotarła do zabarykadowanych drzwi wejściowych.

- Słuchajcie – rzekła Sarah – usuńcie teraz ten świecznik i szybko się stąd wynośmy.

- Uciekamy do miasta? – zapytał zdezorientowany Jack.

- Nie możemy wyjść, na dworze są wrogowie! – krzyknął Robbie.
 - Zamknijcie się! – Najemniczka zaczęła tracić cierpliwość. – To miasteczko nie istnieje i nigdy nie istniało, ci sekciarze nigdy nas nie naszli – to wszystko były halucynacje wskutek działania narkotyku! Byliśmy nieświadomymi uczestnikami chorego eksperymentu, ale to już koniec! Jesteśmy wolni! Lepiej to wykorzystajmy, zanim przybędą ci, którzy nam to zrobili!

- Ona ma rację! – rzekł Jack. – Prędko, bierzemy ten świecznik!
 Szybko uporali się z drzwiami i już po chwili byli na zewnątrz. Zabijaka rozglądał się na lewo i prawo, lecz po Białej Sekcie nie pozostał nawet ślad... jakby ich tu nigdy nie było. Zaczęli biec. Z wolna, acz regularnie oddalali się od świątyni. Gdy już trochę przebiegli, Pastor zatrzymał się. Było po nim widać, że jest bardzo zmęczony.

- Co ty robisz?! – wrzasnął Jack. – Musimy uciekać!
 - Dobra, niech chwilę odpocznie. – Robbie zdobył się na litość.
 - Tylko nie za długo. – Gravestone jak zawsze myślał trzeźwo.

Sarah nic nie mówiła. Coś podświadomie nie dawało jej spokoju. Niechcący spojrzała się na kościół, który tym razem był dobrze widoczny. Zaparło jej dech w piersiach. Budynek nie miał... ani jednej wieży. W ogóle był bardzo niski. Więc gdzie ona wspinała się po tych cholernych schodach?!

- Dobra, chodźmy już – powiedział zniechęcony czekaniem Jack.
 Mężczyźni oddalili się na kilkanaście jardów zanim zorientowali się, że najemniczka nie idzie z nimi.

- Beth? Co jest? Chodźże! – krzyknął Zach.
 - Przecież sama mówiłaś, że nie ma czasu – ponaglał Robbie.
 - Spójrzcie na kościół.
 Przyjrżeli się świątyni.
 - I co wy na to?
 - Nic – zdziwił się Pastor. – Powinniśmy już iść.
 - A gdzie widzicie wieżę?
 - Co?
 - Wieża, w której byliście więzieni w komorach.
 Rozłożyli ręce.
 - A skąd schodziliśmy po długich, stromych schodach?
 - Szczerze mówiąc, to nie pamiętam niczego takiego – z rozbijającą szczerością wyznał Jack.
 - A wy?
 Zaprzeczyli kręceniem głowy. Gravestone uczynił krok naprzód w kierunku Elizabeth, lecz ona cofnęła się i powiedziała:
 - Nie zbliżajcie się, ostrzegam was.
 - O co ci chodzi?! Dobrze się czujesz?! Musimy uciekać!
 - Nigdzie z wami nie idę. Możliwe, że nie jesteście prawdziwi. Może wasze pierwowzory wciąż są więzione w świątyni.
 - Co ty wygadujesz?!
 - Jeżeli jesteście po mojej stronie, to chodźcie ze mną z powrotem do kościoła.
 - Nie ma mowy! Ci źli ludzie mogą powrócić i nas złapać! A co jeżeli są gdzieś w pobliżu kościoła i już zorientowali się, co jest grane?

Ale Beth już nie słuchała. Odwróciła się i pobiegła w kierunku świątyni.
 - Co ona wyrabia?! – niedowierzał Jack.
 - To Szatan namieszał jej w głowie – stwierdził Pastor.
 - Co wy pieprzycie?! Skończcie te gadki i biegnijmy! – krzyknął Zabijaka. – Musimy ją złapać nim będzie za późno!
 Rzucili się w pościg za Elizabeth. Tymczasem ona, zdyszana, w końcu dotarła do świątyni, wbiegła do środka i...

- Panie Doktorze...
 - Nie mam teraz czasu.
 - Ale...
 - Co znowu?! Przecież mówię, że nie mam czasu!
 - Ale ta kobieta...
 - Co z nią?
 - Ona...
 - Wykrztuś to wreszcie!
 - Ona się przebudziła!
 - Co?! To niemożliwe! I co robi?!
 - Krzyczy coś, że wie o wszystkim... że jak jej nie wypuścimy, to nas... no wie pan... Nie możemy podać jej środków uspokajających, bo strasznie się wierzga! Boimy się, że może zerwać pasy! Pielęgniarki są przerażone!
 - Zabierz stamtąd cały personel! Sam się nią zajmę!
 - Ale panie Doktorze, to wbrew...
 - Wykonać!

Leżała przykuta do łóżka. Znajdowała się w pomieszczeniu, które przypominało coś w rodzaju laboratorium, a może raczej pokój szpitalny – tak jej się przynajmniej zdawało. Pielęgniarki, które próbowały jej coś wstrzyknąć, poszły sobie. Kto teraz nadejdzie? Paru osiłków, którzy uszkodzą ją, gdy nie będzie chciała współpracować? Ale takimi fizycznymi musi kierować jakiś inteligent, w tym przypadku będzie to pewnie jakiś naukowiec czy lekarz, a więc jest szansa dogadania się. I tak też się stało, po chwili do pokoju wszedł dość niski, chudawy jegomość, z wielkimi okularami na nosie.

- Pacjentka D – 35. Słyszałem, że są z tobą problemy. Co cię znowu trapi?
 - Znowu?! Gdzie ja jestem?! Dlaczego mnie więzicie?!
 - Wciąż te same pytania. Jesteś pacjentką Zakładu dla Psychicznie Chorych Stanu Południowa Karolina. Jesteś niebezpieczna, więc przywiązaliśmy cię.
 - Co ty pieprzysz?! Już od dawna nie istnieje nie tylko żadna Karolina, ale i każdy inny stan! Nie ma żadnej sieci placówek medycznych! Mów prawdę!
 Doktor westchnął.
 - To właśnie jest twoja choroba. Twoje chore urojenia. Wydaje ci się, że podróżujesz przez zdewastowane wojną lub jakimś kataklizmem całe Wschodnie Wybrzeże dawnych Stanów Zjednoczonych, ale to tylko twój wymysł. To nie jest prawda.
 - To ty jesteś obłąkany! Ja jestem normalna! Nie wmówisz mi szaleństwa!
 - Zrozum – Lekarz tłumaczył cierpliwym głosem – każdemu czubkowi wydaje się, że jest normalny. Na tym właśnie polega choroba psychiczna. Ale nie martw się, dam ci teraz lekarstwo i wszystko wróci do normy.
 Doktor podszedł teraz do jednego z wielu stanowisk medycznych i zaczął coś przy nim robić, ona nie widziała co, bo był odwrócony do niej plecami.
 - Skoro to dom wariatów – zagadnęła – to co tutaj robi ten dziwny sprzęt laboratoryjny?
 - Jak już mówiłem, jesteś niebezpieczna dla otoczenia. Znajdujesz się więc na oddziale intensywnej terapii.

- To tobie przydałaby się terapia. Bardzo intensywna.

- Widzę, że poczucie humoru dopisuje. – Lekarz napełnił strzykawkę jakimś płynem i odwrócił się twarzą do pacjentki.

- Co to jest? – spytała.

- Lekarstwo.

- Chyba raczej TEST – 3, mam rację?

Na twarzy Doktora odmalowało się teraz coś jakby zdziwienie czy niedowierzanie, ale nie była tego pewna, bo stał on w niezbyt dobrze oświetlonym miejscu.

- Nazywaj to sobie jak chcesz, ale moim obowiązkiem jest ci pomóc. Nie bój się, nie będzie boleć.

Spojrzała na swoje ręce.

- Więc teraz podajecie narkotyk dożylnie? Rzeczywiście, to mniej roboty niż wsadzanie ludzi do komór i puszczanie im gazu. W Doktorze na dźwięk tych słów zaczęło jakby wzbierać zdenerwowanie.

- Zamknij, D – 35. Jesteś chora, a im szybciej to sobie uświadomisz, tym prędzej wyzdrowiejesz. A teraz nie próbuj stawiać oporu, wstrzyknę ci lek.

- To na nic, i tak znam prawdę.

- Tak sobie tłumacz.

- Po prostu znów wejdę do kościoła i się obudzę. I co wtedy? Znów będziesz chciał mnie naćpać? To błędne koło.

Lekarz stanął w miejscu, opuścił nieco strzykawkę.

- Żaden kościół nie istnieje! Wbij to sobie do tego durnego łba! Bo jak się nie zamkniesz, to inaczej się z tobą policzę!

- Ciekawe jak?

- Widzisz tę kamerę? – wskazał na górny róg sali. – Z łatwością mogę ją wyłączyć, a personel i ochrona nie zareagują, bo to moi znajomi przecież. A wtedy będę cię pieprzył tak długo, aż twoje nogi nie będą pamiętać, kiedy ostatni raz były złączone!

- To ciekawa propozycja, ale co sądzisz o mojej: powiesz mi co jest grane, a w zamian pozwolę ci żyć?

- Widzę, że się nie dogadamy. Idę wyłączyć kamerę.

- Jeszcze nie jesteście w stanie obserwować tego, co robią ludzie w symulacji, prawda? To dlatego nie wiesz nic o moich zdolnościach.

Doktor zatrzymał się.

- Zdolnościach?

- Tak.

- To twój kolejny wymysł.

- Mam do ciebie pytanie.

- Tak, D – 35?

- Przestań mnie tak nazywać, jestem Elizabeth Sarah Williams!

- Dla mnie jesteś tylko jedną z wielu pacjentek. Przedmiotem. Seksualną zabawką, której zacznę używać, jeżeli nie skończysz pieprzyć głupot. Możesz mi zadać pytanie. Ostatnie.

- Jesteś bardzo romantyczny, ale zanim mnie uszczęśliwisz, wytłumacz mi coś.

- Tak?

- Jeśli to rzeczywiście jest zakład dla obłąkanych, a ja jestem psychicznie chora i wszystko co mówię to tylko moje chore wymysły, to jakim cudem jestem w stanie zrobić „to”?

- Jakie „to”? O czym ty... - Doktor nie dokończył zdania, gdyż właśnie dostał w głowę jakąś probówką, a następne były już w powietrzu i leciały w jego stronę. – Kim ty... - Lekarz uchylił się przed przedmiotami, które nie trafiawszy w cel z hukiem potłukły się o ścianę – ... jesteś?

- Kimś tak cholernie niebezpiecznym, że najlepiej zrobisz, jak mnie zaraz uwolnisz.

Po chwili wahania Doktor wyprostował się i przybrał wyniosłą postawę.

- Dobra. Koniec tego cyrku. Już mi się nie chce udawać. Psioniczne ściervo. Myślisz, że robi to na mnie wrażenie?

- A więc jednak miałam rację! To był TEST – 3!

- TEST – 2.

- Co? Ale przecież robot powiedział...

- Powiedział, co miał powiedzieć. TEST – 2 różni się od poprzednika między innymi pewnym ciekawym bajerem: nazwijmy go osobistym projektorem lęków.

- Czyli?

- Jeśli spotkałaś robota, oznacza to, że doświadczyłaś symulacji w symulacji. Zgadza się?

- Można tak powiedzieć.

- To dzięki projektorowi lęków. Któryś z więźniów uczestniczących w eksperymencie ma widocznie obsesję na punkcie spiskowej teorii dziejów i wszędzie doszukuje się niedopatrzeń i niejasności.

- Gravestone! – wyrwało się jej.

- Ach, więc to przez D – 34? Dobrze wiedzieć. A jakie lęki ma, jeśli można wiedzieć, B – 08, niejaki... Robert?

- Robbie.

- Właśnie.

- Nie dowiesz się.

- Nie musisz nic mówić, jestem dobrym psychologiem, domyślam się. Zważywszy na to, że jest czarny, to pewnie jest... Biała Sekta, prawda?

- Jesteś chory.

- Lecz najbardziej interesują mnie twoje lęki. To dla mnie kluczowe zagadnienie, wzięwszy pod uwagę, że jesteś pierwszą osobą, której udało się wyrwać z TEST – u - 2. A tak w ogóle, to jakim cudem dostałaś się do kościoła? Jak przetrwałaś strefę strachu?

- Jak weszłam do kościoła? Normalnie. Drzwiami. Od frontu.

- Mądrała. Wiesz co, tak sobie pomyślałam, że nic ci nie zrobię, jeśli nie będziesz chciała współpracować. Krzywdzenie cię byłoby zbyt proste, a poza tym nie mam ochoty drażnić się z tobą i użerać. Jeżeli nie zaczniesz odpowiadać na pytania, to twoi przyjaciele zaczną cierpieć.

- Zostaw ich w spokoju! Gdzie oni są?! Mów!

- Odpowiedz na moje pytanie.

- Dostałam się do kościoła, bo mam pewną specjalną zdolność. Gdzie oni są?!

- W sali obok. Co to za umiejętność? I jakie masz lęki?

- Ja się niczego nie boję. Rozumiesz? Nie odczuwam strachu. Dlatego też nie mam żadnych lęków. Mało tego, będąc blisko mnie inni potrafią się wyciszyć, jeśli ja tego chcę oczywiście.

Lekarz uśmiechnął się paskudnie.

- A więc ulepszona wersja... Pogromczyni strachu, prawda? Jak się miewają twoi bracia i siostry? Dużo ich jeszcze zostało? Pewnie mają już dość?

- Pogromczyni...? Bracia i siostry...? To są inni ludzie o zdolnościach takich jak moje? O nich mówisz?

Doktor wybuchnął śmiechem.

- Ty nic nie wiesz?! Nie masz zielonego pojęcia?! Ona nic nie wie! Tym lepiej dla mnie, a gorzej dla ciebie. Co prawda mogłem się

to ją posłużyć jako przynętę, no ale skoro nikt się o ciebie nie upomni, to spokojnie mogę się ciebie pozbyć. Na dobre. Ale wcześniej przeprowadzę na tobie kilka eksperymentów, bo szczerze mówiąc jeszcze nie badałem ulepszonej psioniczki. Ciekawe, czy dajesz mężczyźnie więcej rozkoszy niż zwykłe paranormalne panny?

- Wydaje ci się, że teraz kiedy udało mi się uciec z tego wymyślnego świata, kiedy nie nabrałam się na twoje bajeczki o zakładzie psychiatrycznym, to pozwolę ci zrobić krzywdę mnie i moim przyjaciółom?

- Nawet jeśli mnie pokonasz, w co wątpię, to są tu inni tacy jak ja. Plus ochrona. Z nami nie wygrasz.

- Kim wy jesteście? O co w tym wszystkim chodzi? Po co wam ten TEST? I jak się tu w ogóle znalazłam? Przecież pamiętam, że podróżowałam... Więc co robicie tutaj?

- Obawiam się, że nigdy się tego nie dowiesz. Twoje życie będzie na to zbyt krótkie. A za chwilę zrobię ci zastrzyk. To będzie środek uspokajający. Nie stawiaj oporu, dobrze ci radzę. Muszę ci go podać, aby przenieść cię do bardziej zaawansowanego laboratorium. Zresztą w tych pasach i tak niewiele zdziałasz. Co najwyżej trochę się poszarpiesz, ale nie rób tego gdy wbiję ci igłę, to może zaboleć.

Doktor podeszedł do jednego ze stanowisk medycznych aby napełnić strzykawkę, jak to określił, środkiem uspokajającym. Znowu stał odwrócony plecami do Beth.

- Bądź grzeczna – rzekł ironicznie – tatuś nadchodzi, kocha... - nie dokończył, bo obróciwszy się zobaczył pięść, która błyskawicznie znalazła się na jego twarzy. Upadł na podłogę, po drodze zahaczając jeszcze o stół i przewracając go ze sobą. Obok niego leżały potłuczone okulary.

- Czy ty naprawdę myślałaś, że osoba o takich zdolnościach jak moje nie potrafi poradzić sobie z jakimiś pasami bezpieczeństwa?

- Ty suko... - Lekarz błyskawicznie podniósł się na nogi. - Rozczaruję cię teraz, bo nie jestem zwykłym jajogłowym chłopcem do bicia.

- Wiem, jesteś napalonym jajogłowym chłopcem do bicia.

- Niech ci będzie, a najlepszą grą wstępną jest walka, pod warunkiem, że nie uszkodzimy sobie instrumentów.

- Więc przygotuj się na to, że ty już nigdy nie użyjesz tych instrumentów jeśli mnie zaraz stąd nie wypuścisz.

- Sprawdźmy.

Pomimo drobnej budowy ciała Doktor bił się dość dobrze, ale w konfrontacji z Beth, której chlebem powszednim w przeciwieństwie do niego była walka właśnie, a na dodatek posiadała zdolności psioniczne, musiał chęć czy nie chęć przegrać.

- Poddaj się – wystękał – albo każę zabić cię ochroniarzom, którzy z pewnością już tu biegną.

- Zginiesz nim zdążą mnie tknąć, przysięgam. - Sarah postąpiła krok naprzód. - Gdzie naprawdę są Gravestone i Robbie? Mów natychmiast!

- Są w sali obok, przysięgam! Ale i tak im nie pomożesz! Znajdują się pod wpływem TEST – u - 2!

- Na pewno masz jakieś antidotum, coś co ich wyrwie z tej fikcji!

W tym właśnie momencie do pokoju wpadło kilku uzbrojonych mężczyzn.

- Brać ją, tylko nie zabijajcie! – krzyknął Doktor.

Chcieli zaatakować Beth, lecz psioniczna fala rzuciła nimi o ścianę. Było to tak silne uderzenie, że z rąk powypadały im pistolety. Sarah prędko podeszła, podniosła jedną z tych giwer a resztę kopnęła pod przeciwległą ścianę. Podbiegła do Lekarza i przystawiła mu lufę do skroni.

- Prowadź mnie do przyjaciół. Już! – wzięła Doktora jako zakładnika a mężczyznom powiedziała: - Jeden fałszywy ruch i on zginie! Nie prowokujcie mnie!

Wyszła wraz z Lekarzem na korytarz.

- Gdzie oni są?!

- Pierwsze drzwi na prawo.

Weszli w te drzwi.

- Tu jest tylko Gravestone! Gdzie Robbie?!

- Każdego więźnia trzymamy osobno. Twój czarny kolega jest w następnej sali.

- Niech będzie. A teraz obudź jakoś Zach'a!

- To niemożliwe. Obiekt, który już zapadł w stan...

- Przestań pieprzyć! – Elizabeth dużo mocniej przycisnęła pistolet do głowy Doktora. - Obudź go, albo rozwalę ci łeb! Myślisz, że tego nie zrobię?!

- Już dobrze! Podejdźmy do tamtego stanowiska.

Gdy to uczynili, Lekarz drżącymi rękoma napełnił strzykawkę jakimś płynem.

- Teraz muszę mu to wstrzyknąć – rzekł Doktor – ale ostrzegam cię, minie kilkadziesiąt sekund, nim narkotyk przestanie działać, a po przebudzeniu facet będzie raczej trochę... nieprzytomny.

- Zrób to!

Po paru minutach nerwowego oczekiwania i obserwowania uzbrojonych ochroniarzy czających się na korytarzu, Beth w końcu oczekiwała się przebudzenia Gravestone'a.

- Zach, słyszysz mnie? Zach, powiedz coś!

Zachary wydawał tylko bliżej nieokreślone dźwięki i wodził błędnie wzrokiem dookoła.

- Zach, musimy stąd natychmiast uciekać, rozumiesz? Kiwnij głową, jeśli wiesz co do ciebie mówię.

Gravestone posłusznie kiwnął głową.

- A teraz wstawaj! – Sarah podała mu rękę i pociągnęła do góry. - Prowadź nas do Robbie'go – zwróciła się do Lekarza.

Wyszli ostrożnie w trójkę na korytarz i skierowali się do następnego pokoju. Tam miały miejsce te same czynności co parę minut wcześniej w poprzedniej sali. Znowu wyszli na korytarz, tym razem z półprzytomnym Robbie'm.

- Masz co chciałaś, teraz mnie wypuść – rzekł Lekarz.

- Nie tak szybko, najpierw zaprowadź nas do wyjścia.

- Niech ci będzie. Musimy iść do końca korytarza, potem w prawo i schodami na dół.

Cały czas podążali za nimi uzbrojeni ochroniarze. Na parterze Beth od razu spostrzegła wyjściowe wrota. Coś jej przypominały...

- Uwolnij mnie teraz, masz wszystko co chciałaś – zażądał Doktor.

- Wyjdziemy tylko trochę na zewnątrz, żeby wiedziała na czym stoję.

- To ostatni warunek, jaki przyjmuję. Postawisz jeszcze jeden, to dam im znak, aby otworzyli ogień.

- Wtedy ty też zginiesz.

- Być może. Chcesz zaryzykować i sprawdzić, kto przeżyje?

Nie odpowiedziała. Wyszli na dwór. Dopiero teraz Sarah zorientowała się, że budynek w którym przez ten cały czas przebywała to...

- Kościół?! Ale...

- A czego się spodziewałaś? Wszak nie wiesz, że fikcja ma sporo wspólnego z rzeczywistością?

- Ale dlaczego właśnie tu się zainstalowaliście?

- Kobieto, jesteśmy na pustyni, w promieniu wielu mil nie ma jednego nawet budynku. A ten cudownie ocalały kościół to idealne miejsce na bazę i laboratorium, z dala od ciekawskich ludzkich oczu.

- Gdzie Pastor i Jack? – zapytał coraz bardziej świadomy tego co się dzieje wokół Zach.

- Oni nie istnieją, to był tylko wytwór twojej wyobraźni – wyjaśniła Beth. - Stworzyła ich twoja obsesyjna podejrzliwość. Tak jak

Biała Sekta to efekt fobii Robbie'go.

- Skąd ta pewność? – Lekarz roześmiał się diabolicznie. – A może oni leżą gdzieś tam na górze będąc w stanie błogiej nieświadomości?

- No właśnie?! – Gravestone wciąż nie rozumiał, dlaczego nie ma z nimi Pastora i Dużego.

Zawahała się.

- Jestem... Jestem pewna. Oni byli tylko elementem systemu, naśladowali ludzkie zachowania tylko troszkę lepiej niż cała reszta. Zach, pamiętasz jak opowiadałeś mi o tym, jak Jack czytał książkę? Człowiek się tak nie zachowuje. A teraz – zwróciła się do Doktora – puszczę cię, ale musisz stać w miejscu dopóki nie oddalimy się na bezpieczną odległość. To nie jest warunek – to końcowa umowa. Ruszysz się – zginiesz. Mówiłam ci już, że wzrok też mam świetny i nigdy nie puduję?

- Wierzę, w końcu jesteś ulepszoną wersją.

- Ulepszoną wersją czego? Wciąż nie wiem, o co ci dokładnie chodzi.

- Nieważne. Swoją drogą, dokąd uciekniesz? Nie macie kompasu, wszystkie wam zabraliśmy. Pójdiesz na południe – zginiesz na radioaktywnej pustyni. Na zachodzie – Appalachy a za nimi niekończąca się pustynia. Na wschód – ocean. Na północy są resztki waszej żalosnej cywilizacji, ale masz tylko 25% szansy, że uda ci się pójść w tym właśnie kierunku. A zły wybór to szybka śmierć, z czego się bardzo cieszę, nawiasem mówiąc.

- Gadaj zdrow. Dotrę na Północ i ostrzegę przed wami ludzi.

- Ostrzeżesz przed kim? Zresztą nieważne. Gdy przybędziemy, będzie już za późno na jakikolwiek ratunek. Żegnaj, pogromczyni strachu.

Zaczęła wraz z przyjaciółmi powoli się oddalać, cały czas trzymając Lekarza na muszce. W końcu w pewnym momencie zaczęli biec co sił w nogach. Tamci nie próbowali ich ścigać ani nawet strzelać. Sarah odwróciła się, aby po raz ostatni przyjrzeć się budynkowi świątyni. Gdzieś w środku nie była ta głupia myśl, że może to wszystko to kolejny TEST... Ale nie, kościół wyglądał normalnie, nic nie brakowało ani nie wystawało. Po jakimś czasie stracili go z oczu.

- I co teraz? – Robbie dyszał, lecz odzyskał już świadomość. Nie wiedzieć czemu zajęło mu to dużo więcej czasu niż Zach'owi.

- Musimy koniecznie udać się na Północ – rzekła Elizabeth.

- Co?! Chcę zostać na Południu, stąd pochodzę, a co ważniejsze, gdzieś tu jest moja matka!

- Wiem, ale lepiej zrobisz, jeśli opuścisz ten region, bo choć ta przygoda z sekciarzami tym razem była akurat fikcją, to w końcu na nich wpadniesz, prędzej czy później. Poza tym, muszę wrócić w swoje strony i ostrzec moich ludzi, powiedzieć im, co tu zaszło.

- „Swoich ludzi”?! – wtrącił się Gravestone. – Jak to?! Jesteś najemniczką, bo nie masz nikogo, więc wędrujesz po Pustkowiach i wynajmujesz swoje usługi, czyż nie tacy są wszyscy najemnicy?!

- To prawda, ale ja kłamałam. Nie jestem żadną najemniczką i nigdy nie byłam, mam dom i chcę go bronić, a w te strony przybyłam z pewną misją. Ale to nie czas na wyjaśnienia. Zach, byłeś kiedyś aż za Górą Nieprzebytą, masz pojęcie o sztuce przetrwania, proszę cię, poprowadź nas w kierunku północnym.

- Spróbuję zorientować się co do naszego położenia obserwując niebo, gwiazdy. Ale nie wiem, co z tego wyjdzie. Nie mogę nic obiecać.

- Nie szkodzi. I tak nie mamy innego wyjścia.

Ruszyli więc szybko, bo przecież musieli prędko dotrzeć do wody, w kierunku Północy. A przynajmniej Zach'owi tak się wydawało...

Janusz Anderson

Wspomnienia Berserkera

Phantasmagor

Spisane węglem na pergaminie.

Berserk (staro nordyjskie słowo oznaczające "skóra niedźwiedzia") według podań historycznych był nie znającym strachu wojownikiem nordyckim. Wikinga będącego berserkiem ogarniał szal walki, który dodawał mu nadludzkiej siły. Berserkowie ubierali się w zwierzęce skóry, a w czasie walki zachowywali w sposób sugerujący, że nie ma siły, która może ich powstrzymać. Często byli bezkarni, ponieważ uważano, że nie odpowiadają za swoje czyny. Wiking wprawiał się w stan berserka poprzez spożycie dużej ilości grzybów halucynogennych. Po szale bojowym wojownik musiał przez kilka dni odpocząć w domu, w stanie otumanienia i braku kontaktu ze światem zewnętrznym.

CZĘŚĆ I – PRÓBY I SZKOLENIA

Zaprawdę nie wiem co skłoniło mnie do sięgnięcia po ten skrawek pergaminu i spisania na nim kawałkiem węgla mych wspomnień. Wspomnień nieokrzesanego wojownika, który w swoim krótkim życiu widział być może wiele więcej, niż niejeden ze zgrzybiałych starców, którzy teraz szczękają zębami i korzystają z ostatnich promieni słońca wylegując się przed swymi chatami. Postaram się opisać prawdę, a w niej całe moje życie, tak jak je zapamiętałem, niczego nie pomijając i niczego nie zasnuwając woalem milczenia. Zaczynając od początku przedstawię moje szkolenie na wojownika beer'serc, które wprawdzie pamiętam mgliście, ale wiedziałem, jak szkolono innych adeptów po mnie, więc mam podstawy, aby przypuszczać, że moje szkolenie wyglądało podobnie, jeśli nie identycznie.

Ojca mego nie pamiętam, wiem tylko to co opowiadali mi o nim jego przyjaciele. Wkrótce po spłodzeniu mnie poległ bohaterem w walce z dzikimi ludami nachodzącymi naszą osadę od południa. Prawiąc szczerze to gród nasz atakowany jest średnio kilka razy w roku od wszystkich stron, więc takie walki i śmierć pobratymców są na porządku dziennym.

Matka moja była jak każda inna kobieta w naszym plemienu zwykłą osobą przygotowującą strawę i odzienie dla wojowników. O broń i jej naprawę każdy troszczy się sam. Ją też pamiętam słabo, gdyż niedługo po moim urodzeniu i jako takim wychowaniu zabrano mnie do obozu szkoleniowego. Od tamtej pory widywałem ją rzadko, jednak jeśli się już widzieliśmy zawsze miała dla mnie uśmiech i dobre słowo.

Co do położenia mojego obozu to mogę rzec tylko to, iż leży na skraju wiecznie ośnieżonej kniei, w dolinie Młota. Nazwa ta pochodzi od kształtu doliny, którą uformowały nachodzące ją żywioły. Knieja i jej nieprzebyte obszary chronią nas skutecznie od napaści innych ludów barbarzyńskich. Od południa, zachodu i wschodu bronią nas nasze własne siły. Cały nasz kraj zasiedlają inne plemiona, ludy i rasy. Czy to dzikie, półdzikie czy barbarzyńskie lub pół cywilizowane wszystkie są agresywne i skore do bitew. Szarpiemy się o byle co. Raz może pójdzie o terytorium łowieckie innym zaś razem dwa wrogie oddziały po prostu na siebie wpadną. Zgoda też zapada między nami równie często. Wtedy zazwyczaj handlujemy ze sobą, ale podczas handlu każde plemię ma się na baczności bowiem pokoje nasze są bardzo krótkotrwałe.

Gród mój otoczony jest podwójną palisadą, wewnątrz, której ustawione są rzędy skromnych chat kobiet i chłopów. Jedynie szaman i wódz żyją w większym dostatku. Wojownicy beer'serc wiodą zaś żywot o wiele mniej bogatszy- by nie powiedzieć spartański- od niejednego zwierzęcia.

W centralnym miejscu osady leży wielkie ognisko obłożone starannie kamieniami. Święty Ogień płonie w nim cały rok nawet podczas najśroźszych zim i zawieruch. Jego płomieni – podarowanych nam przez bogów pilnują dwaj kolejno wyznaczani wojownicy, których zadaniem jest podtrzymywać go, aby nie zgasł. Jeśliby tak się stało marny byłby ich los, a także najgorsza rzecz w ich życiu. Popadli by w niełaskę plemienia i zostali wypędzeni. Nie mogliby nigdy powrócić i śmierć ich nikogo by nie przejęła. Rodziny owych nieszczęśników zostałyby wystawione na pośmiewisko.

W każdą pełnię księżyca cały nasz gród zbiera się przy Świętym Płomieniu, aby wspólnie oddawać cześć bogom i posilić się na uczcie. Tak mniej więcej przedstawia się życie naszych ludzi i zwykłych wojowników.

Obok głównej osady grody leży mniejszy, z jedną tylko palisadą z ostrzonych pni. Tam to szkoli się wojowników beer'serc. Tam również mieszkają wojownicy, Ci jednak nie posiadają chat. Śpią tylko na skórkach upolowanych zwierząt, aby ich ciało wystawione na mróz i chłód zimowych nocy, na zacinanie jesiennych deszczy i na letnie upały oraz ataki różnej maści owadów i pasożytów hartowało się.

Aby zostać wojownikiem beer'serc kandydat musi przejść szkolenie, a je z kolei poprzedzają trzy próby opisane przez przodków w świętych księgach: próba życia, próba ognia i próba bólu.

Adepci przystępują do pierwszej z nich w wieku sześciu lat, a odbywa się ona zawsze zimą. Chociaż było to wiele lat temu, i w dodatku bitwy, które stoczyłem nadszarpnęły mnie i moją pamięć, dobrze pamiętam swoją próbę. Cały ten strach, który w niej przeżyłem powraca do mnie zawsze, gdy zaglądam w oczy śmierci. Postaram się teraz ją opisać, aby być może ktoś kto przeczyta te wspomnienia zwykłego zabijaki wspomni i pomyśli jak wiele trudności przynoszonych przez los muszą pokonać młodzi wojownicy beer'serc. A było to jakoś tak

Kąsające zimno przywróciło świadomość małemu chłopcy leżącemu na skraju pokrytej śniegiem, nieprzyjaznej i odpychającej kniei. Ubrany był tylko w przepaskę na biodrach i skórzane buty. Do pasa miał przytroczony spory nóż. W głowie czuł szum, który sprawiał, iż nie wiedział prawie co się z nim dzieje. Ssący żołądek przypominał mu, że od dawna nie miał niczego w ustach. Chłopiec obrócił się, ale jedyną rzeczą jaką zobaczył była nieprzenikniona, biała pustka. Nie widząc nic lepszego co mógłby uczynić chłopak wyjął nóż z pochwy i ściskając go kurczowo w dłoni ruszył w stronę ścian drzew, którą miał przed oczyma. Wędrując po skrzypiącym śniegu bacznie rozglądał się dookoła pamiętając opowieści przedstawiające knieję jako miejsce nie tylko nie bardzo bezpieczne, ale i skrywające wśród swych włości bestie okropne.

Głód powoli odbierał mu siły, ale wiedział, że musi iść dalej. Bał się wszystkiego. Tego, że w każdej chwili może umrzeć i to nie wdawszy nawet jęku, tego, że z braku pożywienia umierać będzie długo i boleśnie. Jak gdyby na złość i nieszczęście małemu chłopcu z błękitnego dotąd nieba jęły kołując spływać białe płatki śniegu. Jedyną myślą owego dziecka było tylko zaspokojenie głodu. Tak więc kiedy jego półprzymkniętym już oczom ukazała się nora w ziemi, którą niewątpliwie zamieszkiwała rodzina zajęcy omal nie krzyknął ze szczęścia. Stąpając ostrożnie, aby nie wystraszyć zwierzyny obszedł ją dookoła, żeby sprawdzić czy niema z niej innych wyjść. Znalazłszy takowe zatkał je okazałym kamieniem po czym wczuł się w otwór.

Siedząc cały we krwi, ze zbroczonym nożem i pełnym żołądkiem chłopak -przegryzając resztki pożywienia- powoli odzyskiwał siły, a wraz z nimi rozjaśniał mu się rozum. Przypomniał sobie, iż to dziwne wydarzenie, którego jest głównym bohaterem to próba Życia poprzedzająca jego szkolenie beer'serc. Wiedział też dlaczego spał tak kamiennym snem. To płyn, zaaplikowany mu przez szamana wioski na czas jakiś wyłączył umysł. Znał też cel swojej ówczesnej wędrówki. Miał przeżyć w tej okolicy o własnych

siłach do czasu, aż odnajdą go wojownicy wysłani z grodu w tym celu. Jeśli do tego czasu los będzie dlań szczęśliwy i żył będzie-dopuszczony zostanie do następnej próby.

Gdy z tak jasną głową wyszedł z nory, w której to przed chwilą zakończyły swój żywot dwa dorodne zające był niemalże szczęśliwy. Zginęły, ale nie bez walki, a jej dokładnym dowodem były podeszłe krwią zadrapania na całym ciele. Chłopak jednak wcale się tym nie przejął ciesząc się z faktu, iż królicza nora może mu posłużyć za wspaniałe schronienie podczas opadów śniegu i chłodnych nocy. Wąskie jej wejście skutecznie chroniło również od ataków dzikich bestii, ale młody chłopiec na razie nie doszedł za pomocą swojego słabo jeszcze rozwiniętego zmysłu przetrwania od takiego wniosku. Radość tę powiększyło również odkrycie małego strumyka, który perlił się zakolami i niknął wśród krzewów kilkanaście kroków od jego nory. Jego jedyną wadą było to, iż woda go zasilająca była niewyobrażalnie wręcz zimna. Chłopak jednak, wdzięczny zań bogom nie zwracał na to większej uwagi. Obmywając się z krwi i schładzając zadrapania z przerażeniem odkrył kilka śladów, które bez wątpienia należały do czegoś dużego i wyposażonego w spore szpony. Cokolwiek by to było adept czuł, że mimo wszystko nie chciałby spotkać tego oko w oko. Kiedy więc skończył się obmywać czym prędzej udał się do swej nory.

Przez kilka kolejnych dni jego żywot zataczał wciąż małe kółka, tak małe, iż sam nie pamiętał co działo się wczoraj, a co tydzień temu. Każdego kolejnego dnia wstawał, szedł do strumyka, żywił się czym popadło – od wygrzebanych spod śniegu korzonków i larw do ptasich jaj ukrytych przed chłodem w dziuplach- po czym wracał do swej nory. Jedynym towarzyszem w tych dniach był dlań wciąż obnażony nóż niepewnie ściskany w ręce. W wolnych chwilach w norze sporządził sobie ubranie- a raczej prymitywną kamizelkę- z na pół objedzonych i na pół wyschniętych zajęczych futer.

Przez ten czas lepiej poznał swoje terytorium i coraz dokładniej potrafił określić swój kierunek w przestrzeni. Z tego czego obawiał się najbardziej to jest –wedle prawionych w grodzie opowieści- dzikich bestii zamieszkujących knieję, wiele, jak sądził było przesadzonych.

Nie wiedział jednak, że znajdował się na dawnym obszarze łowieckim swego plemienia, który był dość mocno wytrzebiony z żyjących w nim zwierząt. Z poważniejszych potyczek były tylko dwie. Raz młody i wygłodniały Żyvec – mniejszy, tęższy i wyposażony w kolce kuzyn hieny- zapędziwszy się w te okolice poczuł zapach chłopca i wpelził do jego nory. Kandydat życie swe zawdzięczał tylko przypadkowi. Tak się bowiem złożyło, że chłopak odpoczywając po dłuższej wyprawie czyścił brudny od skrzepłej krwi nóż i posłyszawszy szelest skrył się za kupą ziemi w norze. Kiedy zobaczył zbliżający się kontur odruchowo i na oślep zadał kilka ciosów i pchnięć. Po chwili wśród akompaniamentu pisków i warknięć ciało wroga drgało w agonii u jego stóp. Świadomość tego co osiągnął – w końcu sam bez niczyjej pomocy, prawie bezbronny, będąc jeszcze dzieckiem- pokonał dziką bestię napawał go ogromną dumą.

Chodził więc teraz pewniej po kniei i mniejsze też miał baczenia na okolicę. To sprawiło, iż o mały włos uniknął paraliżu i ponurego końca swego bytu w żołądku malcee'ka, który tropił go od kilku chwil. Stwór ów przypominający włochatą jaszczurkę posiadał bardzo skuteczną broń. Otóż na końcu jego rozdwójonego języka umiejscowione były dwa małe kolce jadowe, a zawarta w nich trucizna w kontakcie ze skórą całkowicie paraliżowała ofiarę robiąc jej z mięśni galaretę. Przed atakiem malcee'ka ostrzegł chłopca skrzyp jego nóg na śniegu. Wiedząc, iż w walce w zwarciu nie ma najmniejszych szans z dwukrotnie przewyższającym go pod każdym względem przeciwnikiem ruszył biegiem przed siebie modląc się by stwór ruszył za nim. Wbiegłszy bowiem do małej kotlinki kończącej się stromą ścianą wspiął się po niej na szczyt i korzystając z pobliskich głazów ukamienował żadną krwi bestię.

Z obu ubitych wrogów zabrał trofeum w postaci szponów, w grodzie jego bowiem zwyczajem było przechowywanie pamiątek po przeciwnikach.

Poza tymi drobnymi wypadkami życie chłopca w kniei biegło monotonnie. Następny tydzień spędził na gorączkowym wyczekiwaniu na wojowników plemiennych, którzy powinni byli przyjść po niego. Jako że to nie nastąpiło postanowił wyruszyć na dalszy rekonesans, aby w miarę możliwości odnaleźć drogę do grodu. Przygotowania nie zajęły mu dużo czasu z prostego powodu- oprócz noża, kamizelki, garstki pożywienia i trofeów nie posiadał nic.

Oddalwszy się już szmat drogi od swej nory zaczął zastanawiać się, czy może by doń nie wrócić kiedy natrafił na wyraźne ślady stóp ludzkich. Początkowa euforia z ujżenia dowodów na bytność ludzi w tej okolicy nakazywała mu biec za odciskami. Po chwili jednak pohamował się. Instynkt samozachowawczy przypominał mu o tym czego uczono go w wiosce tuż przed próbą. A mianowicie tego, że knieja jest siedliskiem nie tylko zwierząt i dzikich bestii, swe siedziby mają bowiem w niej dwa nieprzyjacielskie szczepy: dzikich ludzi Cissayków i półbarbarzyńskie plemię Kendhian. Powoli więc i ostrożnie z napiętym każdym mięśniem i obnażonym nożem ruszył w stronę, z której pochodziły ślady i gdzie powinni znajdować się Ci którzy je zostawili. Szukając kryjówek za każdym krzakiem i podążając od drzewa do drzewa w pozycji schylonej kierował się zapachem jaki dobiegał go już po chwili. Pewien był tego, że wiedział co go wydziela. Ni mniej, ni więcej tylko pieczone mięso. Nie rozumiał dlaczego ktoś rozpala ogień niemal w samym środku nieprzyjacielskiej kniei. Nawet jemu- tak młodemu i nieobytemu dziecku- wydawało się to dziwne. W dodatku ludzie siedzący wokół ognia musieli rozmawiać głośno, skoro ich głosy dochodziły z kilkunastu kroków do adepta. Wstrzymując niemalże oddech podczołgał się ostatnie metry dzielące go od obozujących mężczyzn – poznał ich po niskim brzmieniu głosów- i skrywszy się za sporej wielkości głazem jał nastłuchiwać, a już po chwili wiedziony ciekawością podniósł głowę. Jego oczom ukazał się następujący widok. Sześciu doskonale zbudowanych ludzi o smagłej cerze i czarnych czuprynach, ubranych w skóry siedziało przy ognisku, które paląc się na niezdarnie rozgrzebanym śniegu lizało płomieniami spory kawał mięsa- najpewniej koziego. Każdy z mężczyzn opierał się o broń, po której widać było, iż nie służy tylko za ozdobę. Usilnie wpatrując się w ich twarze z rozpaczą zdał sobie sprawę z faktu, że żadnej z nich nie rozpoznaje.

„Śmierć czeka mnie niechybnie”- myślał. Pewien był jednego. Nie zdoła im uciec choćby nawet chciał. Niechybnie złapią go i zabiją. I w tym strachu o mało nie zrobił czegoś głupiego. Ginący głos zdrowego rozsądku sześciolatniego chłopca zdołał mu rzec jeszcze: upewnij się! Sprawdź! Drżąc na całym ciele chłopak obczołgał obozowisko ponownie. Ze zdumieniem spostrzegł rzecz następującą. Jeden z mężczyzn, choć nie słabszej wcale postury twarz ma zaszuszoną, a włosi siwe i ręka jego nie na broni się wspiera lecz na kosturze drewnianym, a krzywym. Z niewyobrażalną radością rozpoznał w tej odpychającej osobie zbawczą dlań twarz szamana ich plemienia. Mimo, iż widział go dotychczas tylko kilka chwil pewien był, że się nie myli. Zrozumiał też, dlaczego nie poznał jego towarzyszy. Nie znał przecież – oprócz wodza i szamana właśnie- którzy tu go przyprowadzili i to na wpół odurzonego – żadnego innego wojownika. Jednego tylko widział wracającego z polowania. Mały był wtedy i na widok krwi na jego broni uciekł w te pędy.

Teraz uspokojony już zupełnie, wiedząc, iż natrafił na ludzi mających go odszukać –jeśli przeżył oczywiście- i przyprowadzić do domu. Swoja wiedzę postanowił też wykorzystać. Odszedłszy kilka kroków od miejsca gdzie podgładał obozowiczów wyjął nóż i przymierzwszy rzucił go w stronę ognia. Nim ostrze upadło on sam padł na śnieg i wrócił do kryjówki. Ostrze niesione pewniej szczęściem, niż rzeczywistymi umiejętnościami miotacza trafiło w piekącą się kozinę. Na ten widok wszyscy wojownicy, jak jeden mąż chwycili broń i rzucili się – każdy w inną stronę, by odeprzeć domniemywany atak. Przy ogniu pozostał tylko szaman, ale on również porzuciwszy pozory spokoju ścisnął kostur i jał rozglądać się nerwowo. Młody sprawca całego zamieszania, dumny z chaosu w jaki wprowadził swych pobratymców wstał i ruszył w stronę szamana śmiejąc się perliście.

Tak mniej więcej przedstawia się moja próba. Przelałem ją na ten pergamin najwierniej jak potrafiłem, choć dni kiedy monotonnie powtarzałem w kółko kilka czynności zaczęły już zlewać mi się w jedno. Próba ta, jak mi później wytłumaczono miała na celu nauczenia mnie rzeczy, o których dziś- przyzwyczajony do nich- nawet nie pomyślałbym, że je posiadam. Były to: umiejętność dokładnego określania kierunków, dzięki czemu prawie nigdy się nie gubiłem, nawet w nieznanym terenie, sztuka radzenia sobie w trudnych warunkach, a nade wszystko zdolność przetrwania. Teraz więc, stało się dla mnie jasnym dlaczego kilkuletnich kan-

dydatów puszcza się na mróz, prawie bezbronnych i niemal w paszczę dzikich bestii. To był rodzaj selekcji: wytrwają najsilniejsi i najodporniejsi co sprawiało, że wojownicy beer'serc byli bardzo wytrzymali i przeogromnie potężni. I choć z pozoru może się to wydać bestialskie i okrutne, to później wychodzi na jaw, iż postępując w ten sposób pomagamy jednemu naszemu plemieniu, bo dziecko które przeżyło próbę- nawet jeśli ostatecznie nie zostawało wojownikiem- było o wiele bardziej samodzielne, zdolne i zahartowane. Choroby również się go nie imały.

Po tym okresie, kiedy dziecko dochodzi do siebie następuje pierwszy etap szkolenia, nie tylko wojowniczego, ale i praktycznego. Kandydat bowiem chodzi na polowania z innymi wojownikami, uczy się panować nad swoim strachem i ciałem, pomaga naprawiać broń i odzież, a także przyrządza posiłki oraz patroszy i oprawia zwierzyinę. Broni mu jednak nosić nie wolno. Żyjąc w taki sposób i wpajając w siebie te bardzo pożyteczne umiejętności dożywa adept lat dwunastu. Wtedy nadchodzi czas na próbę ognia.

Tę próbę pamiętam dokładnie, ale do dziś nie pojmuję jak możliwe było to co w niej uczyniłem. Ilekroć o tym pomyślę rzeczywiście zdaje się to wbrew wszystkim prawom nakazanym przez bogów. W tym teście uczestniczą tylko szaman i sam uczestnik. Odbyna się ona w niewielkiej grocie leżącej niedaleko grodu. A wyglądała ona tak:

Huk bramy zamykanej za plecami chłopca o bujnej czuprynie i pewnym spojrzeniu poniósł się krótkim echem wokoło. Zza zaostrzonych pali, blisko trzymetrowej długości doszło jego uszu:

- Idź cały czas prosto, aż dojdiesz do rozstai, tam skreć w prawo.

Polecenie było o tyle krótkie, co niepotrzebne, wszyscy bowiem znali drogę do owej jaskini. Chłopak jednak nienawykły do długich rozmyślań posłusznie ruszył krętą drogą wijącą się u jego stóp, wśród pobliskich łąk i pól. Było pogodnie, słońce świeciło mocno, a zazieleniałe i zakwitłe okolice wydzierały oszałamiający zapach.

Według zapewnień droga nie była długa. Doszedłszy do krzyżówki, na środku której widniała czaszka- najpewniej ludzka- chłopiec bez zastanowienia skrecił w prawo. Już po niedługim czasie po obu stronach ścieżyny zaczęły pojawiać się rozłożyste drzewa rzucające głębokie cienie na drogę. W kilka chwil z jasnego, porannego blasku chłopak wszedł w lepki, ciemny półmrok, gęstniejący z każdym krokiem. Wędrując wciąż przed siebie zatrzymał się. Jego uwagę przykuła potężna ściana skalna, w której czernił się niczym oczodół w czaszce okrąg wejścia. Przed nim na ścieżce coś świeciło na czerwono. Ku swemu przerażeniu rozpoznał w owym blasku rozżarzone do czerwoności węgle. Rzuciwszy okiem wkoło upewnił się tylko w swym przekonaniu. Aby wejść do jaskini musiał po nich przejść. Sęk w tym, że był boso. Fakt, iż szaman świadomie i z premedytacją pragnie okaleczyć przyszłych wojowników beer'serc wydawał mu się niedorzeczny. Po chwili wahania uznał, że los dopomoże mu z pewnością powoli wyciągnął stopę. Gdyby tylko wiedział iluż to kandydatów w tym właśnie miejscu kończyło swe szkolenie i wracało do grodu...

Gorący żar bił w ciało jeszcze przed jakimkolwiek kontaktem ciała z węglem. Zdecydowanie postawił stopę. Rozległ się cichy syk, a w jego nozdrza natychmiast uderzył mdły swąd palonej skóry. Poczuł też, jak węgle wtapiają mu się w stopę każdy nerw w mózgu błagał by zawrócić. Lecz twardy upór odziedziczony po wielu pokoleniach dzikich przodków wziął górę nad słabością. Zacinawszy zęby postawił drugą stopę i jał przeskakując z jednej nogi na drugą, tak by jak ciało najkrócej miało kontakt z ogniem. W kilka chwil ból stał się tak nieznośny, iż chłopakowi śmierć się zdawała lepsza od niego. Czuł, że nie uda mu się przebyć tej drogi męki. Choć w rzeczywistości miała ona tylko kilka metrów dla niego i jego zmasakrowanych stóp ciągnęła się kilometrami. Przycisnąwszy zębami wargi tak mocno, że popękały jak wiśnie, a na nich samych strzaskało się szkliwo z rykiem rzucił się w przód. „Dasz radę”- przekonywał się- „to nic, drobnostka zaledwie dla beer'sercera” wmałwiał sobie, mimo, iż ani na chwilę w to nie wierzył. Na ostatni skok zdecydował się na wskroś przeszyty bólem, instynktownie. Z ulgą poczuł chłodną twardość kamiennej posadzki pod stopami. Usiadł na niej i z całej siły starał się nie płakać mimo łez wciskających mu się do oczu. Postanowił spojrzeć na swe nogi i przekonać się jak wiele poświęcił aby zostać obrońcą i wojownikiem swego ludu. Nie do opisania było jego zdumienie kiedy ujrzął swe stopy, wyglądające jak gdyby nigdy nie widziały ognia. Obejrzał się również za siebie wiedziony ciekawością po to tylko, by stwierdzić, że miał rację. Po żarzących się węglach nie było śladu. Niczego nie pojmując i zwyczajem prostego barbarzyńcy nie przeciążając zbytnio mózgu wybrał jedyną drogę, czyli środek groty. Ani przez myśl mu nie przeszło, że po tym co udało mu się uczynić mógłby zawrócić.

Cień drzew na drodze prowadzącej do jaskini wydał mu się śmieszny w porównaniu z ciemnością zalegającą pieczarą. Szedł całkowicie po omacku, rękoma tylko macając ściany. Nieraz uderzał głową o skalne wypusty i kaleczył dłonie o ostre krzemienie zalegające dno, kiedy potykał się i upadał. Ale nadal wierznie szedł. Nie mając niczego do oznaczania upływu czasu, szybko stracił jego rachubę. Poruszał się powoli, czuł, że idzie już bardzo długo, a wejście do groty pozostało o wieki w tyle. Wreszcie mrok ustąpił nieco pod wpływem wbitej w ścianę groty ledwo tłącej się pochodni. Jej blask rzucał plamę światła, w której chłopiec rozpoznał ciężko i topornie ciosane schody. Wspiął się na nie czym prędzej starając się nie myśleć o sztyletach bólu wwiercających mu się w mięśnie.

Po jakimś czasie trafił do małej, wydrążonej w litej skale komnaty wypełnionej zielonym, trupim blaskiem. Na jej krańcu, pod przeciwną ścianą stało potężne siedzisko- niemalże tron- zbudowane w lwiej części z ludzkich kości. Na nim siedział rozparty, ubrany w wilcze skóry szaman. W dłoni dzierżył swój nieodłączny kostur. U stóp tronu leżało kilkanaście małych kadzideł wydzielających ów trupi blaski i opary. Szaman gestem nakazał mu spocząć na gołej ziemi po czym rzekł:

- Witaj.

Chłopak w odpowiedzi skinął głową.

- Niewielu wojowników beer'serc decyduje się przejść ogień decyzji, strzegące wejścia do mej groty. Po tym jednak co wykręciłeś nam podczas pierwszej próby, byłbym srodze zawiedziony, gdybyś ich nie przekroczył.

Kandydat mimowolnie się uśmiechnął. Nie odezwał się jednak.

- Jeszcze bardziej bym się zdumiał gdybyś nie został w przyszłości Wojownikiem beer'serc – prawil swoim monotonnym głosem.

Chłopak miał przemożną ochotę aby się odezwać, ale autorytet i onieśmienie, które towarzyszyło szamanowi przeszkodziło mu w tym.

On zaś znów przemówił. Tak samo monotennie, chrapliwie i bez zycia:

- Jesteś oto poddawany próbie ognia, która ma zdecydować, czy właściwą osobę wybraliśmy na szkolenie.

Od początku ich spotkania szaman nie poruszył się ni razu. Jego dziwny głos i zapach dymu z kadzideł potęgowane dodatkowo trudem jaki kosztowała go ta podróż przyparwiały chłopaka o mdłości powiązane z bólem i zawrotami głowy.

A szaman zamknawszy oczy podjął opowieść.

- Ten test wykaże, czy starczy ci sił, aby podjąć dalsze trudy szkolenia. Chłopak nie pojmował niczego z wypowiedzianych właśnie słów, ale starał się przybrać pozory uwagi i zaciekawienia. Oczekiwał też jakiegokolwiek wyjaśnienia. Wtem szaman jak gdyby czytając myśli adepta rzekł nieco szybciej:

- Nadszedł dla ciebie chłopcze czas decyzji. Musisz wybrać między spokojnym życiem wiejskiego chłopca, a niebezpiecznym i nieprzewidywanym losem woja beer'serc.

To mówiąc sięgnął kościstą dłonią między skóry wilcze, pokrywające jego grzbiet i wyjął mały flakonik. Wyciągnawszy rękę w stronę chłopca powiedział:

- Jeśli nadal chcesz kroczyć ścieżką, na której się znajdujesz, wypij ten eliksir i przejdź tędy. Po czym jednym ruchem odsunął tron ukazując tym samym misternie rzeźbione, niskie przejście.

- Jeżeli zaś uznasz, iż dola wojownika nie będzie ci pisana, wróć skąd przyszedłeś. Drogę znasz. A teraz decyduj. Czas do namysłu masz dopóki nie przesypie się piasek w tej klepsydrze. Gdy to się stanie oczekuję od ciebie odpowiedzi.

Chłopiec ujrzał postawioną przed nim kanciąstą klepsydre. Czasu miał sporo. Niemalże pewien był tego, iż w takiej chwili myśli będą kłębiły mu się setkami pod czaszką niczym burzowe chmury. Zdumiał się czując, że wcale tak nie jest. Był spokojny. Czuł pewność. Nie mógł stracić tego co zrobił do tej pory. Decyzja mogła być tylko jedna.

Bez wahania chwycił flakon tkwiący wciąż w dłoni szamana. Odkorkował go i podniósł do ust. Czuł pływające w nim kawałki. Czuł jak ta zawiesina powoli wdiera mu się do gardła. Czuł, że zwymiotuje. Nie zwymiotował.

Wypisnął skinał szamanowi głowę i ruszył w stronę przejścia. Kątem oka uchwycił pogodny uśmiech na twarzy mężczyzny.

Za przejściem czekały na niego kolejne schody- tym razem prowadzące stromo w dół. Szedł – biegł prawie - nimi krótko, już po chwili wyłupując jakiś szum. W chwilę później. W chwilę potem zatrzymało go dziwne uczucie wszech ogarniającej pustki. Spojrzał w dół. Stał nad brzegiem potężnej przepaści. Gdyby nie instynkt, gdyby uczynił jeszcze jeden krok – byłoby marnie. Jednak nawet teraz sytuacja wyglądała nieciekawie. Kilkadziesiąt metrów niżej płynęła rzeka rozpalonej czarno-czerwonej magmy, a ciepło z niej bijące sięgała go, aż tutaj. Z góry doszedł go głos szamana : - „Nie wahaj się!” Chłopak dałby wiele za to by wątpliwości rzeczywiście go opuściły. Stał bowiem nie wiedząc co uczynić. A choć w głosie szamana biło to samo znudzenie i monotonia było oprócz nich coś co sprawiało, iż mu się ufało. Niemal w tej samej chwili paskudny skurcz targnął jego żołądkiem, tak silnie, że padł na kolana. Przed oczyma – choć rozwartymi do granic możliwości- miał ciemność. Wiedział co się dzieje. Elixir zaczynał działać. Wiedziony więc na poły bólem, na poły świadomością porzuciwszy obawy, rzucił się w dół.

Już w locie zaczął wracać mu wzrok. Leciął ułamki sekund, ale dla zniekształconej chwilowo świadomości chłopca, chwila ta była czasem bardzo długim. Spadał szybko i – w swoim mniemaniu – ku nieuchronnej śmierci, nie wydał jednak żadnego okrzyku trwogi. Wreszcie wśród ogromnego plusku wpadł w magmę. Ów plusk był właśnie tym co go otrzeźwiło. Miał właściwego magmie młalsznięcia usłyszał plusk. Zmysły dodatkowo mówiły mu, iż nie w gorącej skale się znalazł, ale w chłodnej wodzie. Potrząsnął głową i rozejrzał się wokoło. Znajdował się w podziemnej rzece o rwącym nurcie. Nie widział jej dna. Popłynął więc z braku lepszego pomysłu razem z wodą. Długa była to podróż. Nieraz – choć nawykły był do pływania- omdlewały mu ręce, więc pozwoliwszy by niośł go nurt ograniczał się tylko do utrzymania na powierzchni. Koniec końców- wypłynął na powierzchnię. Słońce oślepiło go chwilowo. Na brzegu ujrzał czekającego szamana. Wydawało mu się to niemożliwym, aby mógł być tu przed nim. Nie rozważał jednak długo, wiedząc, że szaman potrafił rzeczy, o których nikt inny nie miał pojęcia. Wsparł się, więc tylko na wyciągniętej przez mężczyznę dłoni , bo brzeg był w tym miejscu stromy, a siły chłopca na wyczerpaniu. Szaman zaś nie pozwoliwszy mu złapać oddechu rzekł po raz pierwszy wesoło:

- Zdałeś próbę ognia. Tak jak próba życia miała na celu nauczania Cię sztuki przetrwania i kształtowała twoje ciało, tak ten test sprawdzał twe zdecydowanie i rozwijał duszę. Choć opadały cię wątpliwości, wiara twa i upór pozwoliły Ci iść obroną przez siebie drogą. Ruszaj adeptcie beer'serc.

Po czym wskazał mu drogę. Po raz kolejny zresztą niepotrzebnie. Chłopak znał ją doskonale. Poszedł więc szparko. Humor mu dopisywał, pogwizdywał sobie więc do taktu. W jakiś czas potem ujrzał szczerzącą się palisadę grodu.

Po tym jak przeszedłem pomyślnie próbę drugą zostałem łaskawie przyjęty w grodzie. Jak mnie poinformowało teraz właśnie rozpocznie się właściwe szkolenie na wojownika.

Oprócz mnie próbę przeszło 40 kandydatów, ponad 50 opuściło ją.

Wtedy to otrzymałem broń. Wprawdzie nie taką, z którą mógłbym walnie paradować po grodzie, ale treningową. Dzięki niej uczyłem się atakować i zadawać ból, wojownikowi beer'serc bowiem wpaja się by nie blokował ciosów. Broń zresztą zmieniano nam często. Zapytałem tedy mego nauczyciela, czy nie lepiej byłoby doskonalić się w perfekcyjnym władaniu jednym rodzajem oręża. Odrzekł mi wtedy:

- Głupcze! A co jeśli twoja broń pęknie? Co zrobisz gdy wróg Ci ją wytrąci? Powiem ci co zrobisz. Chwycisz pierwszy kawał żelaza, który wpadnie ci w łapy i będziesz nim walczył dalej.

Dzięki temu doskonale umiałem ciąć i pchać prawie każdym orężem używanym przez moich współplemieńców. Od toporów poprzez miecze i włócznie do maczug, halabard i wiekiek.

Tarcz, ani pancerzy nie używaliśmy wcale, aby zbytnio nie krępowały naszych ruchów. Za jedyną osłonę naszego ciała uchodziła prymitywna kamizela naszej własnej roboty. Otóż kilka warstw dokładnie wyprawionych, miękkich skór zwierzęcych przeplataliśmy stwardniałymi i nie wyprawionymi skórami. Całość łączyliśmy żywicą leśną. W ten sposób otrzymywaliśmy miękką i ciepłą z wierzchu, a twardą i giętką w środku kurtkę. W podobny sposób przyrządzaliśmy czapki. Dodatkowo z tej najtwardszej i najbardziej tykowanej części skóry robiliśmy ochronne bransolety, które zakładając na przedramię ściągaliśmy rzemieniami. Jako, że doskonale przylegały one do ciała stanowiły świetną ochronę przed lżejszymi ciosami, takimi jak ześlizgnięty ostrzem miecza sztylet.

Od tej pory sami polowaliśmy, a nie jak przedtem tylko pomagaliśmy. Ogólnie staraliśmy wyřęcać starszych w czym się tylko dało. W moim opisie trening zbrojny być może wyda się krótki. Złudzenie to tylko. Dobre i umiejętne władanie jakimkolwiek rodzajem broni przychodzi tylko z czasem. Czasem wypełnionym ogromnym wysiłkiem i nakładem pracy.

Nieustannie też w różny sposób hartowaliśmy nasze ciała: a to śpiąc na śniegu, albo stojąc godzinami po szyję w lodowatej wodzie bądź też podczas bardzo dalekich wędrówek i biegów. Dzięki temu mięśnie nasze z miękkiej galarety zmieniały się w węzlaste guzy. Hart ten pomógł nam kształtować siłę odporność i wytrzymałość.

W ten sposób upłynęło mi kolejnych sześć lat życia. Wtedy przyszedł nasz czas. Piszę nasz mając na myśli mnie i resztę adeptów. Przyszedł nasz czas na ostatnie starcie z losem. Jeśli mu podołam zostanę pełnoprawnym wojownikiem beer'serc. Ślady po tej próbie mam do dziś.

Wszystkich adeptów beer'serc zaproszono na ucztę. Wśród ogólnego gwaru każdy z nich popił tego i pojadł tłusto. Wielu podczas korzystania z tych darów natury spoglądało po sobie nie rozumiejąc, czy aby nie są właśnie poddani próbie.

Po skończonym posiłku Szaman odsunawszy krzesło powstał i rzekł swoim monotonna smutnym głosem.

- Nim poddani zostaniecie ostatniej z prób pozwólcie, że tym razem wyjaśnię wam na czym będzie ona polegać.

Słowa te miały uspokoić zebranych kandydatów w jeszcze większą konsternację.

- Sekret wojownika beer'serc polega na trzech rzeczach: odporności na wszelkie ciosy za wyjątkiem śmiertelnych oczywiście, ogromnej sile i piekielnej wytrzymałości. O ile siła wasza i wytrzymałość zostały ukształtowane waszym trudem i poświęceniem dzięki treningowi, często morderczemu, któremu was poddano, tak odporność na ciosy zawdzięczać będziecie tylko mnie.

Kandydaci uciszeli się w końcu i wlepiając w szamana zaciekawione spojrzenia słuchali z uwagą.

- Otrzymacie ode mnie eliksir, który pozbawi na czas jakiś wasze ciało umiejętności odczuwania bólu. Sęk w tym, że jest on bardzo toksyczny. Trujący znacząco się- poprawił z niesmakiem widząc, że nie zrozumieli.

- Ostatni test będzie miał na celu przyzwyczajanie waszego organizmu do moich mikstur.

To mówiąc usiadł i skinał na wodza. On zaś powstał i przelał po nich swym rozlewistym spojrzeniem znad potężnego brzuszyska.

- A próba będzie wyglądać następująco: zostaniecie zawieszani na Uschłym Konarze, wiecie dobrze gdzie leży, po czym otrzymacie nóż. Nie będziecie dostawali jeść ani pić, ale uzyskanie możliwości odciążenia się w każdej chwili. Każdy kto to uczyni nie ukończy zadania. Wisieć zaś będziecie tak długo, aż połowa z was odpadnie, czy to poprzez odciążenie się, czy to z wyczerpania i w ostateczności śmierci. Kiedy to się stanie pozostali zostaną pełnoprawnymi Wojownikami Beer'serc.

Ostatnie słowa wypowiedział z dumą i uniesieniem. Nikt jednak nie zwrócił na to uwagi, wszyscy bowiem zachodzili w głowę na

czym polegać będzie wspomniane przez wodza „wiszenie”.

Następnie wszyscy ruszyli ponuro za wodzem i szamanem. Był jasny poranek. Uschły Konar leżał daleko. Jego nazwa wzięła się od wyglądu uschniętego drzewa, bo rzeczywiście nie posiadał liści, a kora jego był popielato szara. Było to jednak w pełni zdrowe drzewo, tyle, że bardzo dziwnego gatunku.

Jako że droga doń była spora wszyscy kandydaci wnet zapomnieli o trwodze i poczęli prowadzić stłumione rozmowy.

Na miejsce dotarli około południa, a ich oczom ukazał się następujący widok. Pośród piaszczystych i jałowych pól sterczał ogromny pień, sięgający konarami niemalże nieba. U stóp jego rozłożony był namiot.

Wojownicy zatrzymali się przy nim. Później złożyli swą broń, bez której nie ruszali się już nigdzie. Pozostawili jedynie długie noże u pasa. Potem każdy z nich wchodził do namiotu gdzie otrzymywali długą linę, na której krańcach były związane pętle oraz dwa zaostrzone po obu stronach kije. Każdy również dostał flakon z eliksirem. Szaman zlustrował ich zdumione twarze szybkim ruchem powiek i rzekł:

- Wypijcie teraz tę miksturę. Radzę wam dobrze zapamiętać jej smak, bo to ona dziś będzie waszym wybawieniem. Zacznie działać za kilka minut. Ona też sprawi, że w walce będziecie mogli zadawać ciosy, aż do śmierci. Dodatkowo wzmaga on waszą agresję. Ta mikstura to wasze życie! Teraz przyda się wam bardziej, niż myślicie. Ale nie ma co strzepić języka po próżnicy. Zaczynamy. Na te słowa wszyscy wypili przygotowane napoje i wypili je jak jeden mąż. Jak jeden mąż też zaczęli się krzywić i parskać.

Z czego to? - zakrzyknął któryś.

Lepiej żebyś nie wiedział! - odrzekł szaman bez cienia uśmiechu - A teraz najgorsze! Niech każdy z was podchodzi do mnie pojedynczo.

Pierwszemu kandydatowi przyłożył obie pętle do każdej z piersi po czym naciągając przez nie skórę przebił ją kijem. Adept choć niewątpliwie czuł ból ogromny nie dobył z siebie głosu. Zaciśnął jedynie wargi i pięści i stał nieruchomo. Szaman rzucił linę wodzowi, który mimo swej tuszy piał się zwinnie po gałęziach. Gdy uchwycił linę zawiesił adepta kilka metrów nad ziemią przytwierdzając sznur do drzewa. Kandydat ów, gdy tylko zawisł całym ciężarem na własnej skórze zaczął wydawać stłumione jęki bólu świadczące o tym, że całą siłę woli kierował na to by nie krzyknąć.

Teraz dopiero każdy z nich pojął jak „wisiec” będą.

Przekłuwanie i wieszanie pozostałej czterdziestki trwało ponad godzinę. Był też wśród nich płowowłosy, tego zbudowany chłopak niczym nie przypominający głupiego sześć- i dwunastolatka z poprzednich prób.

Zwisł on jako jeden z pierwszych, a gdy tylko poczuł naprężającą się linę chwycił ją w dłonie i podciągnął się. Zrobił to, by samemu opuścić się powoli zamiast zostać szarpniętym przez wodza. Tak też uczynił. Trzymając go w powietrzu sznur rozciągnął mocno jego skórę wywołując tym samym ból niewyobrażalny. Ogromnym nakładem woli powstrzymał się przed wymiotowaniem. Nie dlatego, by nie narazić się na pośmiewisko, ale w obawie przed wypróżnieniem się z eliksiru.

Z całego drzewa rozlegały się odgłosy świadczące o bólu męczonych ludzi. Jedni mdleli, inni mamrotali do siebie jeszcze inni wrzeszczeli co siłą, ale nie długo, bo krzyk odbiera siły. Słychać było, że mikstura jeszcze nie zaczęła działać. Niemal każdy potracił rachubę czasu. Chłopak był w o tyle dobrej sytuacji, iż mógł obserwować powolną wędrówkę słońca po nieboskłonach.

Już w kilka chwil po zawieszeniu pierwszego kandydata rozległo się przesycone bólem przekleństwo, a po nim głucho uderzenie o ziemię. Pierwszy ze śmiazków zrezygnował. W jego ślady poszła po jakimś czasie jeszcze trójka.

Mężczyzna co chwila zamykał oczy, czasami też tracił świadomość, a nawet mdlał kilka razy z najwyższym trudem cucąc się ponownie. Jęki zaczynały powoli zanikać, coraz więcej osób modliło się do boga wytrzymałości i powodzenia - Artarmarona.

Chłopak również poczuł ze zdumieniem, że rozchodzące się stopniowo po całym jego ciele mrowienie sprawia, iż ból mija. Czuł i owszem naciąganie skóry, czuł swędzenie pełznące mu po plecach gąsienicy, czuł zmęczenie i wyczerpanie, ale nie czuł bólu. Pozostał on jedynie niemiłym uczuciem, które po chwili przeminięło. Sądził, że teraz przejście próby będzie tylko kwestią czasu. Nie miał pojęcia jak bardzo się mylił.

Obrócił głowę na ile mógł spostrzegając siedem par lin wiszących pustych. Widać kiedy zemdlał przed kwadransem kilku wojowników o słabszej sile woli i odporności uległo. Pozostawało ich więc jeszcze ponad trzy dziesiątki. Słońce miało się już ku zachodowi, gdy ssący głód przypomniawszy kandydatowi, o tym, że ostatni posiłek spożył niemal 10 godzin temu. „Trudno” pomyślał siląc się na obojętność i będąc pewnym swej wytrzymałości.

Jak minęła mu noc nie pamiętał. Zemdleć musiał lub usnąć, dość, że kiedy otworzył oczy słońce stało już niemal w zenicie. Poczuł też język przyschnięty z braku śliny do podniebienia. Głód straszliwy i pragnienie pałace doprowadzały go niemal do utraty zmysłów. Ujrzał również niewidzącym wzrokiem następnych kilka pustych sznurków. Uśmiechnął się do siebie w pogardzie mając słabszym duchem i ciałem pobratymców. Teraz zaś poczuł, że w momencie kiedy została ich nieco ponad dwudziestka najsilniejszych kandydatów zaczyna się prawdziwa próba. Spoglądali jeden na drugiego bez złości czy nienawiści jednak czekali - jak sępy i hieny czekają na śmierć strudzonego wędrowca -, aż któremuś puszcza nerwy i wiedziony impulsem wyszarpił nóż.

Około północy eliksir zakończył swe działanie. Jęki jęły powracać. Z początku cicho i powoli by po jakimś kwadransie zabrznieć ze zdwojoną siłą. Co i rusz ktoś kłął, wzywał bogów i mówił, że już nie wytrzyma. I rzeczywiście. Ponowny nawrót bólu zabrał ze sobą dwóch kandydatów. Zostało ich tylko dwudziestu jeden. Wystarczyło teraz, by któryś z nich porzucił próbę, a reszta w końcu spełni swe marzenia otrzymując miano wojownika beer'serc. Nikomu z nich jednak nawet to przez myśl nie przeszło.

W tym samym czasie jasnowłosy chłopak odchodził już od trzeźwego myślenia. Ból, wpływ krwi, głód i pragnienie wzmagane piekącym słońcem sprawiały, że zmysły zaczęły go mamić. Widział ciemne cienie zalegające pod drzewem i czekające tylko okazji by go dopaść. Widział ptaki kołujące w powietrzu z zamiarem wyłubania mu oczu. Widział obślizgłe i obłe ciała sunącego ku niemu węża. „Nie dam rady. Nie chcę. Gdzie mój nóż?. Nie uda mi się. Nie chcę. Nie chcę!!!” krzyczał jego umysł. Zdał sobie sprawę, że musi zebrać choć trochę siły jeśli pragnie wytrwać. Wiedziony pierwotnym instynktem, który nakazywał mu się ratować pochylił głowę i zaczął ssać krew ciekącą mu z piersi i nasiąknięte nią sznury. Łapczywie wsysał się w linę, krztusząc się i dławiąc. Czuł galaretowatą krew schładzającą mu gardło i wypełniającą żołądek, czuł jak ciągnie mu się strużkami po przełyku. Czuł, że zaraz zwiomiuje. Ale nie przestał.

Po chwili przejaśniło mu się w głowie. Na sekundę tylko. Jego umysł bowiem dręczony majakami i ciało jego umęczone bólem nie wytrzymały. Zemdlał.

Obudziło go potężne uderzenie w plecy. Gdy Niemrawo otworzył oczy spostrzegł, że tym co zadało mu cios była ziemia. Leżał u stóp drzewa. Liny trzymające go w powietrzu kołysały się wesoło nad jego głową. W pierwszym przeblysku świadomości pomyślał, że sam przeciął je przez sen kierowany pragnieniem uwolnienia. Niezgrabnie sięgnął pasa i spostrzegł, iż jego nóż spoczywa na swoim miejscu. Niczego nie rozumiał.

Rozmyślania szwankującego umysłu przerwał mu szaman, który pochylając się nad nim oznajmił:

- Gratulacje. Ty i pozostali zostaliście właśnie wojownikami beer'serc.

Chłopak nie rozumiał początkowo jego słów, wycharczał więc tylko:

- Pić!

Ktoś - szaman pewnie wręczył mu w dłoń dorodny bochen chleba i ogromny dzban wina. Młodzian łapczywie przytknął naczynie do ust, czując, że wino pali mu zaschnięte gardło. Chleb łykał niemal bez gryzienia.

Dopiero po posileniu się spostrzegł, że kołki mocujące liny do jego piersi wciąż tam tkwią. Z rykiem wyrwał je jednym ruchem i odrzucił od siebie.

Powstał z trudem i rozejrzał się. Wkoło reszta wojowników beer'serc siedziała, stała bądź leżała. Każdy choć potwornie zmęczony, miał cień uśmiechu na twarzy. Przegranych nigdzie nie było. Odeszli ze wstydem, żalem i zazdrością do grodu, gdy spał. W następnej chwili jego zmęczenie, ból i gniew zastąpiła jedna, jedyna radosna myśl: został Wojownikiem Beer'serc.

Od tej pory życie me zmieniło się nie do poznania. Cały czas trenowałem i doskonaliłem nabyte umiejętności. Pomagałem, też starszym w szkoleniu kolejnych adeptów.

Z chwilą otrzymania miana beer'sercera awansowałem w hierarchii plemienia na bardzo wysoki stopień. Należy bowiem zaznaczyć, iż u nas wojownicy beer'serc obdarzani są specjalnymi przywilejami. Jadamy tłusto i syto nawet w czasie kiedy reszta plemienia niemal głoduje. Prawie we wszystkim nas wyręczano i to właśnie nam przypadają w pierwszej kolejności najładniejsze dziewczęta. Kandydaci beer'serc wybierani są bowiem głównie z pośród dzieci wojowników. Ale by sprawdzić dokładnie, czy wybrano dobrą osobę ustanowiono przed laty próbę ognia.

Cóż jednak z tych przywilejów i dogodności skoro naszym żywiołem jest walka, a przeznaczeniem śmierć w boju. Jak wpajano nam od maleńkości, że jedyną myślą jaka ma nam kołać w głowie w chwili śmierci jest to, aby zabrać w zaświaty jak największą ilość wrogów.

A walki w naszym plemieniu, zresztą tak jak i w innych są na porządku dziennym. Mimo tego ja czekałem na swoją pierwszą wyprawę niemalże rok, a i tak ruszaliśmy- wraz z innymi wojownikami – jako ochrona dla naszych ludzi.

Ruszaliśmy do półbarbarzyńskiego szczepu Azrallców, którzy zamieszkują porośnięte lasami góryste tereny kilka dni pieszej wędrówki od naszego grodu. Lud jest to smagły i muskularny, doświadczony latami zmagania z siłami natury i ciężką pracą. Posiadają oni ogromne ilości żelaza, które wydobywają i przetwarzają, by tworzyć broń i pancerze oraz handlować nim. Brak im za to skór zwierząt, które to my posiadamy w nadmiarze. Raz w roku, zaraz po pierwszym śniegu ruszamy, aby uzupełnić braki żelaza w bitwach i polowaniach minionego roku. Pierwszy śnieg, który jest naszym wyznacznikiem do wyprawy skutecznie wyziewa Azrallców, którym w tym czasie również brakuje skór. W ten sposób możemy łatwiej się handlować, bo są skłonni do większych upustów.

Tak tedy kupcy z naszego plemienia ruszają ku ich sadybom, a że jest to lud wojowniczy i agresywny wraz z kupcami idą w obstawie wojownicy. Ruszyłem, więc by walczyć w obronie naszych dóbr, jeśli zajdzie taka konieczność.

Wyruszyła nas setka. Trzydziestu ludzi mających dokonać wymiany oraz siedem dziesiątek wojowników, z których dwie dziesiątki były- tak jak ja- po raz pierwszy na wyprawie zbrojnej.

Azrallców powinno być około siedmiu setek, z czego pięć było doskonałymi wojownikami i obrabiaczami metali. Nie posiedli oni jednak tajemnicy mikstur, które wynaleźli przed laty nasi przodkowie, i których sporządzenia uczy się każdy nowy szaman kiedy jego poprzednik poczuje swój koniec. Bez mikstur, zapewniających nam niewrażliwość na rany byt i żywot Beer'sercera byłby niemożliwy.

Dotarliśmy w końcu do ich sadyb. Zgodnie z naszymi oczekiwaniami już na nas czekali.

Zima w tym roku nie zapowiadała się sroga, więc Azrallcowie mieli podstawy, by się targować. O dziwo kupcy nasi dobili tak doskonalego targu, że wprost wydawało się to niemożliwe.

Po owej zręcznej wymianie siękowaliśmy się już do powrotu, kiedy wódz ich zaproponował nam wspólną ucztę. Jako że strudzeni byliśmy setnie, bo droga, którą przebyliśmy była długa, a nie brakło na niej zasp i zakrętów, przystaliśmy na jego propozycję niemal bez wahania. Biesiada była wspaniała. Wymieniono się międzyplemiennymi plotkami, wojennymi opowieściami i planami na przyszłość. Mnie jednak rzuciło się w oczy jedno. Polewano na niej ogromne ilości wina, którego gospodarze ledwo musnęli jeno. Wiedziony nieufnością zrodzoną w mych przodkach przed latami i ofiarowaną mi w spadku nie tknąłem go nawet, tak zresztą jak i większość wojowników. Jednak kupcy nasi i część wojów o słabszej sile woli nalewali sobie często i po brzegi. Nietrudno się domyślić, że w stanie trzeźwości nie pozostali zbyt długo. Nie miałem im tego za złe. W końcu to ich wybór. Po skończonych toastach, którym towarzyszyło opróżnianie kielichów i pustoszenie zawartości stołów, podziękowawszy ruszyliśmy w drogę do naszych domów. Spieszyliśmy ku nim, by wrócić na czas, bowiem uczta przeciągnęła się do późnego wieczora i o dzień spóźnieniu byliśmy.

Gdy tylko zatrzasnęły się za nami bramy ich grodu podszedłem do Zahrana, wojownika świętego i doświadczonego o czym świadczyły dobitnie liczne jego blizny, a który był naszym przywódcą na czas tej podróży. Opowiedziałem mu o moich wątpliwościach tłumacząc, że podejrzanie łatwo dobiliśmy targu, a wielu z naszych wojowników spitych na ucztę wlokło się niemal zamiast iść, a o tym by w razie starcia mogli walczyć w ogóle nie mogło być mowy. On zaś przyjrzał mi się badawczo i kiwając głową rzekł:

- I mnie coś tu nie pasuje. Może to tylko nasza wyczulona podejrzliwość, ale lepiej się zabezpieczyć. Raduje mnie jednak, że mamy w grodzie tak młodych, a przy tym spostrzegawczych wojów.

To rzekłszy wydał rozkaz zapadnięcia w lasy, aby przeczekać do rana. Jak się okazało moje przypuszczenia były słuszne. Około północy bramy grodu naszych przeciwników rozwarły się bezgłośnie i wychynęło z nich przeszło dwie setki wojowników.

Na ten widok Zahran nakazał spożyć mi i reszcie nadających się do walki wojowników miksturę, bez której nie ruszaliśmy się już nigdzie. Nietrzeźwych handlarzy i wojowników skryto w głębi lasu, a piecze nad nimi sprawować mieli dwaj bardziej przytomni mężczyźni. Ja w tym czasie mogłem przyjrzeć się wrogom. Używali żelaznych napierśników oraz długich włóczni. Niektórzy posiadali też hełmy z osłoną na nos i kolczugi.

Ścisnąłem stylisko mego topora i z błyskiem w oku oczekiwałem walki. Byłem zły na Azrallców, którzy miast zaatakować otwarcie czynią to w nocy, pierwszej spiwskiej części naszych wojów.

Przed oczyma na chwilę objawiły mi się plamy, a ciało zwiótaczało po czym przeszedł mnie znani mi już dreszcz w czym rozpoznałem zasługę eliksiru.

Tymczasem wrogowie podeszli już wystarczająco blisko. Zahran dał znak do ataku i z rykiem rzuciliśmy się w wir walki. Początkowo stropili się Azrallcowie bardzo zaskoczeni niespodziewanym atakiem z naszej strony, pewni, że to oni rozpoczną walkę. Jednak gdy tylko zwarliśmy się z nimi ochłonęli i podjęli nieuczciwą walkę. Nieuczciwą dla nich. Bowiem mimo, że było ich prawie cztery razy więcej niż nas to w nas drzemała pradawna potęga Wojowników Beer'serc. Zaraz na początku starcia trzech wojowników ruszyło na mnie. Byłem niedoświadczony. Byłem doskonale wytrenowany. Byłem Beer'sercerem! Nie przestając rycząc skokiem uniknąłem pchnięcia włócznią i ciałem oburącz biorąc potężny zamach. Drzewce włóczni pękło, a stal mego topora zatrzymała się na mostku atakującego. Puścił krew z ust po czym osunął się na kolana. Nim dwóch następnych ochłonęło z osłupienia na widok tak nagłej śmierci kompana ja już byłem przy nich. Jeden –sprawniejszy- wraził mi ostrze dzidy w udo. Poczulem mrowienie, nim jednak doszło do mnie co ono oznacza, ja tańczyłem taniec śmierci wśród nich, a właściwie wśród ich ciał. Ich zbroje choć metalowe i grube nie miały szans w zetknięciu z moją bronią. Wkoło słyszałem szcęk uderzających o siebie metalowych przedmiotów i ryki moich pobratymców wyraźnie dodające im animuszu. Nie miałem jednak czasu by podziwiać szczegóły szarżowałem już w stronę kolejnych wojowników. Ci doskonale przygotowali się do starcia. Dwóch zaszło mnie z boków, a trzeci od czoła. Nie mogłem zaatakować żadnego nie odsłaniając się tym samym na ciosy innych. Tak podpowiadał mi rozsądek. Jednak barbarzyńska dzikość wrzaca w mych żyłach od pokoleń i agresja wywołana miksturą kierowała tak naprawdę mym ciałem. Czując zapach krwi i słysząc jęki rannych oraz trzaski pękającej broni wpadłem już właściwie w szal bojowy. Me oczy rozbłyły dziwnym blaskiem, a z płuc wydął się mrozący krew w żyłach okrzyk. Niczym pantera skoczyłem w prawo uderzając toporem jeszcze w locie. Azrallc ani jęknął. Ostrze strąciło mu z głowy szyszak, a on sam padł na ziemię ze strząśniętą czaszką. Momentalnie też obróciłem się tnąc oburącz toporem z półobrotu. Poczulem, że moja stal grzęźnie w ciele nadbiegającego wojaka. Drugi z pasją pchnął mnie krótkim mieczem w pierś- czulem jak pęka mi żebro- nim zdążyłem oswobodzić broń. Jednak gdy mi się to już udało, jego los nie był zbyt daleki. Wir walki wyzwał we mnie dzikość niemal zwierzęcą, a i mrowienie maskujące ból robiło swoje. Nimem się opamiętał ciało jego nie przypominało nawet człowieka.

Powoli powiodłem wzrokiem po polu bitwy i ujrzałem nasze zwycięstwo. Od początku byłem go pewien, nie jednak z pychy to piszę,

ale z wiary w nasze męstwo i siłę. Gdzieniegdzie jeszcze niedobitki Azrallców próbowali wyjść z życiem stawiając opór, nie wytrzymał on jednak długo. Stłumiono go w chwilę po tym jak się zaczął. Niektórzy z nich okrywając się hańbą wobec tych co polegali próbowali salwować się ucieczką. Nasi jednak siedzieli im na karkach nie okazując litości.

Ja sam siadłem na ziemi, tak jak stałem i zerwałem ze zwłok najbliższych kawał szmaty, którym przewiązałem udo oraz miękkie kożuch, by nim osłonic ranę na piersi. Spostrzegłem, że z naszych padło około piętnastki, z Azrallców nie ocalał żaden. Słońce, które zalało tę miejscę swym blaskiem następnego dnia musiało spostrzec ponad dwie setki ciał poważnie już nadszarpniętych przez wilki i sępy.

Po prowizorycznym opatrzeniu ran ruszyliśmy czym prędzej w stronę naszego grodu w obawie przed drugą bandą, która niewątpliwie niedługo wyruszy, aby zbadać pobojuwisko.

Orszak nasz przedstawiał się naprawdę komicznie. Każdy bowiem z naszych otrzymał w walce jakąś ranę lub uraz. Szliśmy więc kusztując, podpierając się nawzajem i klnąc. Wszyscy jednak byliśmy upojeni zwycięstwem, a mnie samego rozpierała duma, z powodu następującego: nie dość, że przetrwałem mą pierwszą bitwę to jeszcze pół tuzina wrogów posłałem w diabły.

Następnego wieczora ujrzyliśmy nasze chaty.

Rannych ułożyliśmy w chatach gdzie zajął się nimi szaman, a tych, którzy spici leżeli w lesie, gdy my przelewaliśmy za nich krew czekało spotkanie z wodzem. Po ich marsowych minach doszedłem do wniosku, że nie należała ona do przyjemnych. Dla mnie samego brakło miejsca w chatach, a że rany me nadal usilnie broczyły krwią zostałem zaprowadzony do chaty szamana. Zaszczycił spotkał mnie ogromny, gdyż prawie nikt jej jeszcze nie widział od środka. Nie wiem czego się spodziewałem, ale na pewno czegoś więcej niż, zwykłego – trochę tylko większego- mieszkania, a w dodatku całego niemal wypełnionego różnego rodzaju pismami i księgami, dość, że spotkało mnie spore rozczarowanie. Zostałem złożony na kilku skórah w okolicy paleniska, aby się wygrzać. Szamana nie było, nie powrócił jeszcze od innych potrzebujących, więc czekając na niego miałem czas, by się przyjrzeć jego chacie dokładniej. Spostrzegłem kilka czaszek ludzkich i zwierzęcych, spory kocioł osmalony porządnie oraz dziwną świecę z bardzo dziwnej substancji. Mnie jednak w szczególności zainteresowały te księgi i pergminy, a dokładnie nie one same, ale ich treść. Bardzo ciekaw byłem ich treści, domyśliłem się bowiem, że to z nich szaman czerpie swoją ogromną wiedzę. Powód przeciwko temu, abym je poznał był bardzo banalny. My prości wojownicy beer'serc od dziecka przyuczani do walki i bitew nie umieliśmy pisać ani czytać, tak zresztą jak i większość naszego ludu. Do tej pory mi to nie przeszkadzało, ale w tym momencie poczułem się bardzo głupi i zawstydzony, przed samym sobą.

Gdy przyszedł szaman natarł mnie cuchnącą straszliwie maścią, a potem owinał dokładnie me rany. Powiedział mi też, że nie ciosy, które otrzymałem niepokoją go, ale pęknięte żebro. Oznajmi mi również rzecz strasliwą: miesiąc cały niewskazane jest bym poruszał się zbytnio. Wywołało to mój słuszny- według mnie –sprzeciw, on jednak natychmiast przyprowadził mnie do pewności.

- To twój wybór, jeśli jednak choć raz zruszysz to żebro czy to machając bronią, czy to za mocnym wysiłkiem, a złamany jego koniec przebij ci serce – mówił to bez uczuć, jak gdyby było mu to całkowicie obojętne. I tak pewnie zresztą było. Na te słowa nic już nie mogłem powiedzieć, nie chcąc też tworzyć głupiej cisy zagadnąłem go o księgi i zwoje, w duchy godząc się z losem. Opowiedział mi to czego się domyśliłem. Z nich bowiem w większej części zasięgał porad, lub dokształcał się. Powiedział mi dodatkowo, że potrzywał je w spadku po poprzednim szamanie naszego plemienia. To co mówił zaciekało mnie bardzo. W końcu szaman zaproponował mi bym w czasie zrastania się żebra zdobył choć trochę wiedzy od niego. Z początku bałem się tego, że zbyt wielka jest to mądrość na proste go woję, ale w końcu wiedziony wstydem nieuctwa przystałem na jego propozycję.

Tak tedy całymi wieczorami, a nieraz i nocami objaśniał mi znaczenia liter, uczył ich zapisu i ogólnie przekazywał mi całą tę wiedzę, której w krajach cywilizowanych uczy się już dzieci. Miesiąc ten więc spędziłem nie jak inni na treningu i ostrzeniu broni, ale na zapisywaniu i przepisywaniu ogromnych ilości pergaminu.

Gdy w końcu żebro me zrosło się z resztą i opuściłem chatę szamana poprosiłem go o kawałek węgla i zwój pergaminu. Popatrzył na mnie z zaciekawieniem, ale dał mi to o co chciałem.

W wolnym czasie spałem to wspomnienia, co i rusz uzupełniając je o nowe zdania, w miarę zdobywania nowej wiedzy i doświadczenia oraz przeżywania wydarzeń, o których mogłem tu pisać. Przez tydzień kolejny od mego wyzdrowienia lud mój żył w tym samym błogim spokoju i beztrące co zawsze. Niemal wszyscy wojownicy wyzdrowieli do tego czasu. Jak się wnet pokazało w samą porę.

W kilka dni później przybiegł bowiem wojownik nasz z polowania i rozgorączkowanym głosem zakrzyknął: „Azrallcowie idą! Całą kupą! W dzień drogi od nas”. Było to o tyle dziwne, że z zemstą- bo było pewne iż dlatego przyszli- powinniśmy iść my, skoro to nas napadnięto. Słowa te jak się można domyślić wywołały w naszej spokojnej jak dotąd osadzie zamęt i chaos. Wszyscy zaczęli biegać bez ładu i składu we wszystkich kierunkach, by przygotować się do obrony. Cały ten rozgardiasz powstrzymały dopiero krótkie i zwięzłe polecenia wodza. I tak kazał nam sprowadzić wszystkich ludzi z polowań. Dzieci i kobiety pozamykać w chatach, a wojownikom beer'serc przygotować się do walki. Każdy z nich otrzymał jak zwykle swoją część eliksiru.

Wedle słów wojownika, który dostrzegł wroga ze szczytu góry, gdzie właśnie tropił zwierzynę Azrallców było przeszło cztery i pół setki- dwa razy więcej niż byśmy mogli przypuszczać. Najprawdopodobniej wzięli ze sobą każdego mężczyznę, który był w stanie utrzymać broń. Nasi woje liczyli około trzech setek plus około jednej wojowników beer'serc. Siły były więc mniej więcej wyrównane. A, że takie rozstrzygnięcie przed bitwą nie ma większego sensu i znaczenia oczekiwaliśmy starcia.

Przybyli około południa dnia następnego. Wiedzieli już, że na nich czekamy, najpewniej słysząc nasze nawoływania wojowników, którzy wyszli na polowania.

Każde z naszych plemion znało obyczaje wojenne. Nigdy nie mordowaliśmy kobiet i dzieci, a na koniec walki puszczałyśmy jednego wojownika – jeśli jakiś przeżył oczywiście- aby zaniósł do domów wieść o klęsce. Dziś to jednak będzie najpewniej zbędne. W razie ich przegranej lud, który pozostawili w chatach byłby niemal bezbronny. Jasnym więc było, iż bić się będą z niezwykłą zaciekłością i poświęceniem, gdyż była to dla nich walka o wszystko.

Tak więc gdy przybyli przywódca ich zadał trzykrotnie w ogromny róg po czym jego wojownicy cofnęli się o kilkadziesiąt metrów wzywając nas tym do opuszczenia grodu i wystąpienia w otwartym polu. Nam również zależało na oszczędzeniu kobiet dzieci i starców, więc otworzywszy bramę wyszliśmy.

Każdy z wojowników beer'serc był już pod wpływem eliksiru, więc na ból mogliśmy nie zważać więcej, niż na gryzienie muchy. Ja będąc świeżo wyleczony i pragnąc odciążyć ramię i żebro zamieniłem mój dwuręczny topór, na dwa lekkie toporki jednoręczne.

Ustawivszy się będąc gotowymi do walki obaj wodzowie zlustrowali swe wojska i kiwając sobie głowami jednocześnie dali znak do ataku. Dwa małe oddziały ruszyły na siebie, by po chwili wśród trzasków pękających kości i głuchych uderzeń broni o broń zetrzeć się ze sobą w otwartym polu. My- barbarzyńcy chowani w chłodzie, głodzie i trudzie mięśni ryczeliśmy – każdy z resztą inaczej- nie jak ludzie ale, jak jakieś dzikie zwierzęta lub duchy, które powróciły z piekła. Oni zaś spokojni, wyrachowani ni głosu nie wydali.

Ja biegnąc w drugim rzędzie dopadłem wrogów w chwilę później. Obok mnie szarżował Merhar, druż mój najlepszy, z którym wspólnie trenowaliśmy chodziliśmy na polowania. Wrogów było istne morwie. Oblegli nas jak mrówki. Zaparłem się plecami o potężne barki Merhara i obracając się powoli szerzyliśmy śmierć i zniszczenie wśród żądnych krwi Azrallców. Choć dźgali, siekli i kłuli najlepiej jak mogli i potrafilo my skakaliśmy wokoło jak demony nie dając się trafić. Przynamnie ja. Czułem kilka razy bowiem jak sztywnieją na chwilę mięśnie Merhara, a on sam sapie i klnie. Domyślałem się z tego, że został dosięgnięty. I rzeczywiście po chwili spojrział na mnie z rozpaczą i zadając ostatnie cięcie wrogowi osunął się na kolana po czym opadł na twarz w krew i błoto. Przez mgnienie oka widziałem jak broczy krwią z czterech ran, a lewa jego ręka jest nienaturalnie wykręcona.

Śmierć mego najlepszego kompana niedoli wyzwoliła we mnie najgłębiej skrywane pokłady gniewu i nienawiści. Ryczałem ze złości i straty, którą odczuwałem. Dziś szal jakowys zawiadnął mym ciałem. Ciąłem i rąbałem jak gdybym mógł tym samym przywrócić

mu życie. Czarna rozpacz mną zawładnęła i poczęłam samotnie rzucać się na coraz to większe bandy wrogów. Poczęli wtedy krzy-
czeć „ramar, ramar” co jak pamiętam w ich języku oznaczało opętanie przez złe duchy. I widząc moją determinację i zapał z jakim
zabijam ich współtowarzyszy poczęli cofać się i trwożyć. Po chwili zrozumiałem, że to nie z mego powodu. Tuż za mną usłyszałem
bowiem dźwięk jakiegoś nie byłoby w stanie wydobyć żadne gardło ludzkie czy zwierzęce. Odwróciłem się i zamarłem. Zrozumiałem
teraz dlaczego Azrallcowie przyszli mścić się za swych wojów mimo, że ubiliśmy ich w samoobronie. Pewni byli zwycięstwa. Albo-
wiem przede mną stał rozwierając łapy i kłapiąc szczekami przedziwny stwór ściągnięty niechybnie przez czary ich szamana z głębi
piekieł. Było to bluźniące naturze skrzyżowanie ciała zwierząt z ciałem człowieka. Wzrostem przewyższając mnie o dwie głowy po-
siadał on zarysowane z grubsza nogi i tors człowiecze, ręce jego jednak do złudzenia przypominały uzbrojone w szpony łapy bestii
zwanej w naszym języku lwem. Nic jednak nie mogło się równać z jego paszczą- ta bowiem należała bez wątpienia do crocodylusa,
stworu łuskowatego i wyposażonego w kilka rzędów ostrych jak szpilki noży. I choć nigdy go na oczy nie widziałem nasłuchiwałem się
dostatecznie przy ognisku, kiedy jako mały chłopiec chłonałem opowieści doświadczonych wojowników. Przez tą krótką chwilę, w
której oceniałem oniemiałe mojego nowego przeciwnika on ruszył ku mnie biorąc mnie jako nowy cel. Złakłem się go ogromnie. Cóż
mi i mej broni uzbrojony człek, któremu wnet mogę rozłupać czaszkę? Ale na nic zdadzą się ma siła i zdolności w starciu z czarami
samego piekła? Nic to jednak, sprzedam skórę drogo!”- postanowiłem.

Jak spostrzegłem jego pazury i zęby zbroczone były krwią. Bałem się. Nim spostrzegłem już był przy mnie i zadawał cios zbyt szybki
by mogło go uchwycić ludzkie oko. Poszarpał mi okropnie skórę na piersi. Poczułem tylko znajome mi mrowienie, ale nie rozmyślając
długo skrzyżowałem przed sobą aby zablokować kłapięcie paszczki mające na celu pozbawienie mnie głowy.

Kopnąłem go w brzuch i nim odzyskał równowagę doskoczyłem doń i ciałem oburącz na skos. Zawył przerażająco i zerwał się błyskawicznie. Poczułem też, że nie jestem sam. Otóż podbiegła mi z pomocą trójka wojowników beer'serc, aby wspólnie stawić czoła
wrogowi.

Nie zdali się jednak na wiele- dwóch, którzy zaatakowali wspólnie pierwsi poszarpał niemal na kawałki. Tego co został przy mnie
uderzył schwyconym w dłoń kamieniem. Usłyszałem jęk trafionego i nie bacząc na jego dalsze losy szarżowałem na poczwarcę.
Doskok, cios, odskok. Najwyraźniej me ciosy nie uczyniły na nim większego wrażenia, prócz oczywiście rozwścieczenia go niemal
do furii. Wydał z siebie ponownie ten okropny dźwięk i przeorał mi szponami lewy policzek. Zaraz po tym krew zalała mi oczy. Od-
ruchowo raz jeszcze go kopnąłem go- tym razem w pysk i po raz ostatni – jak sądziłem- ciałem. Nie miałem bowiem wątpliwości,
że gdy tylko odskoczę on mnie zabije. W cios więc włożyłem całą złość, siłę i chęć przeżycia. Gdy jednak ujrzałem, że otrzymawszy
cios wcale nie palił się do kontrataku ujrzałem w tym swą szansę. Zalałem go gradem szybkich i mocnych ciosów. Powoli i z mo-
zołem z bestii uchodziło życie. Ostatnim zrywem zmasakrowanych przeze mnie dłoni schwylił mnie swymi czepliwymi pazurami.
I byłby mnie zagryzł, gdyby nie łaskawość bogów. Zjawił się niewiadomo skąd. Podniósł swój sękaty kostur i zaintonował coś w
nie znanym mi języku. Ważne, że zadziało. Z kija buchnęło oślepiająco czerwone światło i ugodziło poczwarcę między łopatki.
Widziałem jeszcze tylko jak drga w konwulsjach i kwiczy histerycznie. Kątem oka dostrzegłem resztki Azrallców umykające na ten
widok w panice, jak gdyby goniło je całe piekło. Dalszego ciągu bitwy nie znam, gdyż wraz z upływem krwi z poszarpanej piersi i
zmęczeniem ciała padłem nieprzytomny na ziemię.

Obudziło mnie klucie i drapanie w plecy. Półprzytomnym ruchem głowy odwróciłem się i zobaczyłem, że ponownie zostałem ułożony
na kilku skórach zwierzęcych. To ich szorstki dotyk mnie zbudził. Pierwszą osobą, którą ujrzałem była Lahralia. Miejscowa dziew-
czyna- bardzo ładna zresztą- przysłała z miską, by obmyć me rany. Jej dotyk sprawiał mi ogromną przyjemność.

- Dziękuję- wyszeptalem uśmiechając się słabo, bowiem ruch warg sprawił, iż krew zaschnięta na mej twarzy niczym skorupa spę-
kała cała, a ciało moje paliło żywym ogniem.

Odpowiedziała uśmiechem i wybiegła z chaty- bo w chacie się znajdowałem- aby po chwili wrócić z płótnem i tą samą cuchnącą
maścią jaką wtedy natarł mnie szaman. Kiedy opatrzyła mnie – dość boleśnie- zapytałem ją o szamana, któremu również winien
byłem podziękowanie. Na te słowa dziewczyna spochmurniała na chwilę, ale w chwilę potem wyrzuciła z siebie jednym tchem co
następuje: Okazała się bowiem rzecz taka. Co jakiś czas z naszego grodu, a jak przypuszczam z innych również wyrusza kilka grup
zwiadowców, którzy idą na przeszeptki do innych osad. Sprawdzają przygotowania wrogów do bitew, przekazują nam ich słabości
i konflikty, zdają relację z tego, kto ruszył do walki, z kim i dlaczego, słowem przynoszą bardzo potrzebne informacje. Ci, którzy
wyszli ostatnio przynieśli zatrważające wieści. Perthanie- lud bytujący w prymitywnych lepiankach w klinie wielkiej rzeki oraz pół-
nocno-zachodniej części kniei- zaczęli oswajać Erthary. Są to stworzenia wielkości półtora metra, o potężnych czterech nogach,
masywnym cielsku i ogromnym kostnym płatem czołowym, z którego wyrastał zakrzywiony, półmetrowy róg.

Tak więc- donosili zwiadowcy- Perthanie trzymali ich blisko setki, różnej wielkości w drewnianej zagrodzie. Karmili je, oswajali, a
kilku z nich już założyli uprzęże. Gdyby udało im się je udomowić zupełnie mieliby zatrważająca przewagę nad resztą plemion i
ludów zamieszkujących tę okolicę- w tym i naszym. A jako że był to lud bardzo wojowniczy i skory do walki mogliśmy przypuszczać,
że będą próbowali podporządkować sobie resztę w walce. Słysząc to nasz szaman wraz z wodzem i kilkoma wojownikami beer'serc
ruszyli, by dokładniej zbadać całą sprawę i podjąć ostateczną decyzję. Jeśli by bowiem wszystko było tak jak to opisali zwiadowcy
musielibyśmy ruszyć na Perthian, aby schłodzić ich zapędy przywódcze i niszczyć zagrody porozpędzać Erthary.

Początkowo zły byłem na szamana, który ruszając na wyprawę nie wziął mnie ze sobą- w końcu podczas nauki oglądy poznał mnie
trochę lepiej niż resztę wojowników, a ostatnio przecież uratował mi życie- ale po chwili zszedłem na ziemię. Przypominałem sobie,
że kiedy ruszali ja leżałem cały zakrwawiony i poszlachtowany przez demona Azrallców.

W chwilę potem uświadomiłem sobie, iż rany jakie odniosłem podczas tej nierównej walki choć nie śmiertelne to trwale
unieruchamiające mnie na jakiś czas. Cóż z tego, że mogłem wstać, czy podnieść coś skoro każdy intensywniejszy ruch sprawiał,
że rany otwierały się na nowo, a gojące się strupy pękały ponownie.

Ponownie, więc spędziłem czas na pisaniu wspomnień oraz naprawie i ostrzeniu broni. Z biegiem czasu mój zakres ruchów
powrócił do stanu początkowego, więc robiłem to co reszta wojowników to jest trenowałem i ćwiczyłem ciosy, chadzałem na polo-
wania i oporządzałem upolowane zwierzęta. Z niecierpliwością też oczekiwałem powrotu szamana i wodza.

Jak się okazało nie przyszło nam czekać długo. Nazajutrz po mym ostatnim polowaniu byli w osadzie. Momentalnie zostali otoczeni
przez wszystkich wojowników- w tym i mnie. Ci jednak upomnieli nas, żądając wprawdzie strawy i napitku. Gdy tylko się posili szaman
powstał i oznajmił.

- Cóż! Sprawy wyglądają dokładnie tak jak przedstawili to zwiadowcy. Z tą tylko różnicą, że do czasu naszej podróży Perthanie
złapali kilka sztuk więcej, a w dodatku parę samic powiło w niewoli młode. Znać było, że plan ich spełnia się doskonale. Jeśli więc
im nie przeszkadzimy w pół roku obrócą w perzyna nas i resztę wolnych plemion. Jako że uznaliśmy wspólnie z wodzem, iż skoro
nasze siły powinny wystarczyć do rozpędzenia ertharów i przytępienia zapędów przywódczych Perthan nie będziemy się jednoczyć
z żadnym innym plemieniem. Każdy z was wie dobrze zresztą jak niegodziwi i nielojalni są nasi sąsiedzi. Postanowiliśmy więc za-
atakować- szykujcie broń w dwa dni opuścimy nasz gród.

Słowa te wprawiły mnie w euforię. Kochałem świsł przechodzących mimo ciosów, jęki konających wrogów i mrowienie zastępujące
ból po otrzymaniu ciosu, słowem – walka była moim żywiołem. Przygotowany do wyprawy byłem dokładnie. Doszedłem też do sie-
bie po śmierci i całopaleniu kompanów poległych w bitwie, a w szczególności Merhara. Oczekiwałem więc wyruszenia tak jak adept
beer'serc wyczekuje chwili, w której otrzyma po raz pierwszy broń.

Dzień miał się już ku zachodowi, więc położyłem się, aby wstać rano. Obudziłem się gdy słońce dopiero zaczynało swą wędrów-
kę po niebie. Założyłem kamizelkę ze skór, przytroczyłem mój nieodłączny topór do pasa i skreśliłem na pergaminie te słowa. Przed
chatą słyszałem już gwar i niepewność czekających wyprawy wojowników. Już miałem iść ku nim, gdy ktoś podszedł do mnie cicho.
To była Laralia- jak się okazało przyszła się pożegnać. Podziękowałem jej za to i skierowałem się w stronę szamana, przy którym

łoczyli się wojownicy. Zaraz ruszamy, a przebieg bitwy opiszę po powrocie- o ile wrócę oczywiście. I niech Artarmaron nade mną czuwa!

Następne słowa napisane są zgoła innym pismem, chwiejnym bardziej i nieco czytelniejszym, znać, że osoba je stawiająca lepiej wprawiona była do pióra:

Ja szaman grodu Cerranhów, wiedziony obowiązkiem i poczuciem winy postanowiłem dokończyć wspomnienia mego najlepszego beer'sercera, który z wyprawy przeciwko Perthanom -, której celem było jak sam opisał przywrócenie równowagi między plemionami- już nie wrócił. Pergamin ten wraz z kawałkiem węgla, które otrzymał w podarku ode mnie znalazłem pod jego posłaniem i przeczytawszy zamierzam uzupełnić. Być może nikt go nigdy nie przeczyta, być może zniszczy go czas, moim zdaniem jednak jest moją powinnością doprowadzenie go do końca.

Wojownicy, wraz ze mną i wodzem przybyli do grodu Perthan drugiego dnia od wyruszenia z naszych osad. Podróżowali- śmy szybko i bez postojów, więc zjawiliśmy się niespodziewanie.

Kiedy ujrzeli nas u swych bram, my nawoływaliśmy do wypuszczenia ertharów, które w dziczy żyć powinny. Oni zaś wyśmiali nas tylko i ruszyli w bój. Wojownicy beer'serc, wspomagani moim eliksirem w pył byliby ich roznieśli gdyby nie właśnie ich erthary. Do czasy bitwy oswoił ich bowiem przeszło trzy dziesiątki, każdy z tęgim Perthanem usadowionym na grzbiecie.

Ja sam miotając klątwy i zaklęcia ponad sześć ubiłem, a kilkanaście kolejnych położyli wojownicy, każdy jednak z tych śmiazków postradał życie. Te zaś, które przeżyły siały zamęt i zniszczenie w naszych szeregach. Posłuszne głosom i rozkazom jeźdźców szarżowały z nisko opuszczoną głową i nastawionym rogiem.

Wojownik, do którego należał ten pergamin bił się jak demon w ludzką skórę obleczon. U stóp jego leżała ponad dziesiątka wrogów i jeden erthar, którego pozbawiwszy jeźdźca zarąbał na śmierć. Wtedy on sam piekielnie zmasakrowany skoczył w największy wir bitewny.

Kolejny erthar otrzymał od niego cios śmiertelny, gdy jeden z przyczajonych przeciwników puścił włócznię, która byłaby niechybnie go przebiła na wylot, gdybym jej nie przeszkodził magią. On zaś nawet nie bacząc na mnie ruszył biegiem w stronę największej bestii, której sam przywódca Perthan przewodził. Zmiotł go z siodła jednym ciosem kiedy erthar wiedziony przedśmiertnym krzykiem pana naparł nań rogiem. Róg miękko wszedł w trzewia, mego beer'sercera odbierając mu życie, gdy ja stojąc zbyt daleko mogłem się jedynie przyglądać. Wojownik ostatnim zamachem ramienia z ogromną siłą strzaskał czoło bestii samemu będąc już zezwłokiem.

Tak oto odszedł Wojownik Beer'serc, który nie pomny na rany i ból zabijał wrogów niczym robaki. Zabijał chcąc zapewnić spokój swemu ludowi i reszcie plemion nieświadomych zagrożenia. Nie zląkł się czarów piekielnych, ani bestii dzikich wierząc w swoją siłę i powierzając życie bogom. To dzięki niemu cel naszej wyprawy został osiągnięty.

Aby dokładniej oddać cześć memu najlepszemu wojownikowi, poświęcając życie z sprawę innych skreślę takie oto zdanie: Artarmaron niechybnie ma Cię w swej opiece, a ty sam zasiadasz na zaszczytnym miejscu przy jego stole w Verterhalli.

Tomek „PHANTASMAGOR” Kasperowicz

20:52 28.10.2006 r.

Tekst ten chciałbym zadedykować moim mistrzom fantasy:

Człowiekowi, który odarł dotychczasowy świat fantasy z całej jego różowej cukierkowatości i ukazał tą nagą i szarą, ale jakże po- ciągającą chropowatość rzeczywistości.

Andrzejowi Sapkowskiemu

Pisarzowi, który udowodnił, że postępując- powiedzmy szczerze- wedle jednego schematu można zachwycać ludzi na całym świecie. Wkładając Conanowi miecz w dłoń i rzucając wciąż kłody pod nogi w postaci hord wrogów i bestii piekielnych pokazał, jak sprytnie ułożone słowo potrafi jednoczyć czytelników całego globu.

Robertowi Ervinowi Howardowi

I oczywiście NZorce – za wszystko.

Ukryte w piwnicy

Gór

Józef Niesiołowski nie mógł zasnąć. Przeszkadzał mu w tym natłok myśli oraz kakofonia dźwięków napływająca zza okien. Wiatr dał w budynek z taką siłą, że szyby we framugach trzeszczały, a ściany wydawały się naginać pod jego wpływem. Do tego dochodził padający deszcz, którego krople uderzały o blaszane parapety domu. Wsluchiwał się w to wszystko z narastającym poczuciem osamotnienia – z tęsknotą za żoną Magdą oraz trzymiesięcznym synem Kazimierzem.

Odwrocił się na prawy bok, zaciągając przy tym na głowę kołdrę, aby stłumić atakujące zewsząd dźwięki. Pod grubą kołdrą było gorąco i po chwili włosy z czołem pokryły mu się potem. Nie przeszkadzało to jednak Józefowi – liczyło się, że odgłosy stały się przytłumione, przez co mógł ponownie spróbować zasnąć.

Zamknął oczy, żeby pod powiekami ujrzeć twarz roześmianego syna oraz trzymającą go na rękach Magdę. Po raz kolejny żałował, że nie ma ich przy nim. Zaczął robić sobie wyrzuty z tego powodu, że postanowił przyjechać szybciej. Chciał przygotować dom na przybycie małego dziecka, które cały czas chorowało i nawet krótkie siedzenie w zimnie mogło wywołać kolejną infekcję. Przez to dogadał się z Magdą, że wyjedzie kilkanaście godzin wcześniej od nich.

Opuścił Warszawę w południe 16 listopada biorąc swojego mercedesa. Zapakował do niego walizki z ubraniami swoimi, żony i syna. Magda miała wyjechać następnego dnia rano drugim samochodem. Proponowała, że ruszy wieczorem, ale Józef się nie zgodził; nie wyobrażał sobie jej jadącej w nocy w taką pogodę.

Podróż zajęła mu ponad sześć godzin. Gdy dotarł do Chlebowia – niewielkiej wsi oddalanej o trzydzieści kilometrów na południe od Częstochowy – ściemniało się już. Deszcz padał od dobrych trzech godzin utrudniając jazdę.

Przemierzając główną drogę miejscowości ciągle nie mógł uwolnić się od jej uroku – fascynowały go starodawne domostwa, pozostałości po dworach miejscowych szlachciców, a także liczne kaplice oraz drewniany kościół w centrum. Trafił do Chlebowia mniej więcej rok wcześniej podczas jednej z podróży służbowych do Katowic – do tej pory nie wiedział, dlaczego wybrał akurat taką drogę. Od pierwszego wejrzenia zapragnął tam zamieszkać. Niestety, wówczas interesy na to nie pozwalały. Jako współwłaściciel kancelarii prawniczej Niesiołowski & Wieczorek (specjalizującej się głównie w wygrywaniu z lekarzami, co przyniosło im sławę na całą Polskę) musiał być na miejscu w Warszawie.

Dopiero pod koniec tegorocznych wakacji pojawił się pomysł utworzenia filii w Katowicach, z których dostawali coraz więcej zleceń. Po długich rozmowach postanowił przenieść się w tamte okolice, aby rozporządzać poczynaniami zatrudnionych prawników. Jako miejsce zamieszkania wybrał Chlebowo. Do Katowic jechało się niedługo, a co najważniejsze okolica była czysta; pozbawiona smogu, korków samochodowych czy różnego rodzaju wykołajeńców grasujących na ulicach.

Wybrał dom na uboczu, stojący na wzniesieniu we wschodniej części wsi. W odróżnieniu od większości wybudowano go niedawno i nie wymagał gruntownego remontu. Była to parterówka z pięcioma pokojami, dużą łazienką, kuchnią, piwnicą oraz rozciągającym się z tyłu ogrodem. Z tego, co usłyszał od agenta nieruchomości, poprzednio należała do biznesmena, który pod koniec października trafił do więzienia...

Po dotarciu do nowego domu włączył ogrzewanie, aby pomieszczenia wypełniły się przyjemnym ciepłem. Powykładał w łódźce zakupione po drodze produkty, rozpakował walizki oraz przygotowywał sypialnię dla syna – pozawieszał nad łóżeczkiem wirujące zabawki, a także rozłożył pościel, żeby zaraz po przyjeździe Kazimierz mógł kontynuować swoje ulubione zajęcia, czyli spanie.

Teraz, w siedem godzin po przyjeździe, Józef usilnie starał się zasnąć, ale z nieznanych powodów nie udawała mu się ta sztuka. Od dzieciństwa miewał problemy ze spaniem w nowym miejscu i jak widać w miarę upływu lat wcale się to nie zmieniło. Może gdyby ten przeklęty wiatr z deszczem nie uderzałby w szyby oraz parapety, to byłoby prościej.

Westchnął pod kołdrą, przewracając się jednocześnie na drugi bok. Zrobiło mu się za gorąco, więc odkrył głowę. Odgłosy zaatakowały go ze zdwojoną siłą. Spojrzał na cyfrowy zegarek stojący na szafce obok łóżka; wskazywał 2:57. Pozostały czas do przyjazdu rodziny zdawał się Józefowi epoką, która będzie ciągnąć się w nieskończoność.

Znajdował się na granicy między jawą a snem, kiedy po raz pierwszy dotarł do jego uszu dźwięk odmienny od tych, które słyszał dotychczas. Było to przeciągłe plaśnięcie, jakby ktoś uderzył wilgotną ręką w ścianę. Otworzył klejące się oczy, obrzucając wzrokiem wnętrze ciemnej sypialni. Nie widział nic oprócz cyfr wyświetlanych przez zegarek oraz rozmytych kontur mebli.

Położył się na plecach nasłuchując. Deszcz padał za oknem, a każdej kropli towarzyszył podmuch wiatru i nic więcej. Już myślał, że to mu się przyśniło, gdy plaśnięcie powtórzyło się. W odróżnieniu od dwóch znajomych dźwięków, ten pochodził ze środka domu, a dokładniej spod podłogi.

Niesiołowski zadrżał.

Zrobił głęboki wdech, chcąc uspokoić zaczynające galop serce. Dotychczas było mu ciepło, ale teraz wysoka temperatura panująca w domu opadła, wywołując gęsia skórę na odkrytych fragmentach ciała. Uderzenie powtórzyło się, lecz tym razem znacznie głośniejsze.

Usiadł w łóżku rozglądając się na boki. Było za ciemno, aby wyłowić dokładny zarys czegośkolwiek stojącego w pokoju. Sięgnął dłonią w kierunku szafki, aby zapalić lampkę nocną. Nacisnął przycisk i słabe światło rozlało się po wnętrzu sypialni. Zobaczyć znajome meble, kremowe ściany, a także telewizor z odtwarzaczem DVD podłączonym do niego. Spojrzał w stronę drzwi na korytarz. Tam również nie czaiło się nic, co mogłoby tak hałasować.

Uspokajał się, kiedy po raz czwarty nowy dźwięk doszedł do jego uszu. Tym razem na pewno wydobywał się spod podłogi. Nie zastanawiając się długo wstał z łóżka, ażeby sprawdzić co to takiego. Wyszedł na korytarz, gdzie zapalił światło. Na wprost Józefa znajdowały się drzwi do piwnicy. Nie uśmiechało mu się tam schodzić, ale było to warte ceny spokoju.

Przeknął gęstniejącą ślinę i złapał za klamkę. W ułamek sekundy później pokonywał drewniane schodki. Jakiś inteligentny człowiek umieścił włącznik światła w ścianie na dole, przez co musiał poruszać się po ciemku. Schody trzeszczały od naporu ciała Józefa, wzmagając jego strach. Chłód piwnicy owiewał mu ciało odziane tylko w slipki. Z pośpiechu zapomniał nawet założyć kaptcie.

Postawił stopy na betonowej powierzchni piwnicy. Skręcił w lewo, gdzie powinien mieścić się włącznik.

- Halo, jest tu ktoś? – szepnął w mrok.

Nic nie odpowiedziało.

Zastanawiał się, jak daleko mieści się ściana od schodów, gdy uderzył w nią ciałem. Zawył z bólu, klnąc pod nosem. Wymacał dłonią znajomy kształt, po czym włączył światło. Sączyło się z nagiej żarówki na środku sufitu, oświetlając pustą piwnicę.

Stwierdził, że dał się nabrać wytworom własnej wyobraźni. Zgasił światło, oddalając się od ściany, poruszając się z powrotem do schodów. Postawił bosą stopę na deseczce, przy czym zrobił głęboki wdech. Po kilku sekundach znajdował się przy wyjściu na oświetlony korytarz; wtedy plaśnięcie rozległo się po raz kolejny.

- Co jest do cholery? – wyszeptał. Stał w miejscu jak wryty. Zmobilizował się i wrócił do piwnicy, ponieważ dźwięk na pewno dochodził stamtąd.

Zapalił drugi raz światło. Znowu nic nie zobaczył, a przecież był pewny, że to z piwnicy pochodził hałas. Nasłuchiwał, rozglądając się na boki. Już miał skapitulować, kiedy pod schodami dostrzegł niskie wejście do dalszej części piwnicy. Dziwne, plany nic o nim nie mówiły. Agent nieruchomości też o nim nie wspominał.

Przeszedł pod stopniami schylając się odrobinę. Gdy przechodził przez wcześniej niewidziane wejście poczuł dolatujący z głębin smród. Śmierdziało rozkładającymi się zwłokami, odchodami i gnijącymi przetworami. Skrzywił się, przełykając napływające do ust porcje złości.

Umysł Józefa ogarniała panika.

A co jeśli tam coś jest i czeka na mnie? – pytał sam siebie. Zdradliwa świadomość podsuwała kolejne scenariusze okropieństw, które mogły cziąć się tuż za ścianą: morderca z zakrwawionym nożem w dłoni, demon o wylupiastych oczach pozbawionych źrenic, duch zbłąkanej duszy zabitej w pobliskiej okolicy... Myśląc o tym zrozumiał prawdziwą istotę horroru filmowego i książkowego. Doszedł do wniosku, że mają one przerażać nie podczas oglądania, a właśnie w takich chwilach – gdy jesteśmy sami w domu, a jedynymi towarzyszami są odgłosy padającego deszczu oraz wającego wiatru napierające na budynek; do tego dochodzą nowe, nieznane wcześniej dźwięki, przypominające brzmieniem dłoń całą we krwi uderzającą w ścianę/sufit.

Po tym, jak minął niskie wejście, przystanął w pół kroku. A właściwie dlaczego poprzedniego właściciela zamknęto w więzieniu? – zastanawiał się. Agent nieruchomości nie powiedział wiele na ten temat. Rzucił mimochodem, że aresztowali go na początku października a skazali pod koniec, ale nie podał przyczyny. Józef – zafascynowany domem – nie pytał dlaczego. Logiczne więc było to, iż biznesmen musiał zrobić coś strasznego, bo gdyby było inaczej, to na pewno facet od nieruchomości nie uciąłby tak szybko wątku.

Jego rozbudowana wyobraźnia od razu zaczęła utożsamiać drugie pomieszczenie w piwnicy, jako Pokój Kaźni Pana Biznesman. Prawie widział wykrzywioną w grymasie nienawiści twarz innego mężczyzny; w ręce trzymał rzeźnicki topór – albo, oczywiście, zakrwawiony nóż – który w równym tempie opadał na bezwładne ciało młodej dziewczyny, którą odpowiednio wcześniej zgwałcił; krew zalewała posadzkę, wnętrzności parowały, a z trzewi piwnicy dochodziły tylko jęki zadowolenia mordercy i kolejne ciach, ciach topora/noża...

Potrząsnął głową, rozwiewając chore wizje. Zatrząsł się z zimna, przy czym rozejrzał się dookoła. Wbrew oczekiwaniom nie ujrzał plam krwi, ani pozostałości po ćwiartowaniu ciał zabitych kobiet. Trafił do zwykłego pomieszczenia, które oświetlała mała żarówka zawieszona pod sufitem – widocznie połączono ją szeregowo z tą z pierwszej części piwnicy. Wnętrze różniło tylko to, że tuż za wejściem kończyła się betonowa wylewka, a zastępował ją nie przykryty niczym piasek. Na samym środku leżał szpadel oraz kilka rozbitych słoików, z których wylały się jakieś przetwory.

- Jest tu ktoś?! – krzyknął.

Odpowiedział mu tylko wiatr, wdzierający się w jakąś szczelinę w ścianie, powodując świst.

Zimno zaczynało przeszkadzać Józefowi, więc masował dłońmi ramiona, aby choć trochę się ogrzać. Jądra schowały mu się w pachwinach tak wysoko, że za niedługo pewnie dotrą do szyi. Dodatkowo, przez piasek w piwnicy, będzie zmuszony umyć sobie stopy po powrocie do góry.

Westchnął wyrażając w ten sposób swoją dezaprobatę.

Zaczął znowu twierdzić, że dał się nabrać zmęczonemu umysłowi i jak głupi biegał po całym domu szukając jakiegoś wymagowanego ducha plaszcącego w sufit. Dźwięk, jeżeli istniał, to na pewno pochodził stąd. Był to koniec piwnicy – po bokach oraz na wprost nie widział żadnych drzwi, tylko przeklęty szpadel oraz przetwory.

- Nieźle, wystraszyłem sam siebie – powiedział odwracając się do wyjścia, a jego zachrypnięty głos wymieszał się z plaśnięciem; tym razem dochodziło spod ziemi.

Podskoczył krzycząc krótko przy tym.

- Kurwa mać – zaklął; wydawało się Józefowi, że coś roześmiało się... pod ziemią.

Zawrócił ciało z powrotem w stronę wnętrza pomieszczenia. Trzęsąc się z zimna podszedł do szpadla, po czym podniósł go. Zauważył, że trzonek był nadgnity, ale reszta wyglądała całkiem nieźle. Podczas oglądania sfatygowanego narzędzia płask ponownie dotarł do uszu Józefa; był w stu procentach pewny, że odgłos wydobywał się dokładnie spod jego stóp.

Przełknął gęstniejącą ślinę. Postanowił przekonać się, co może powodować takie hałasy – wbił ostrą końcówkę w piasek.

Podczas pracy czuł się jak dłużnik skazany przez mafię na śmierć, który wykopywał sobie grób własnymi rękami. Przez wysiłek fizyczny przestało Niesiołowskiemu przeszkadzać zimo, ale świst wiatru ciągle docierał do jego uszu; do tego dochodziły te plaśnięcia, wzmagające się podczas powiększania dołu (mogiły).

Po dłuższych się minutach uderzył szpadlem w deskę (wieko) jakiejś skrzyni. Z szybko bijącym sercem oczyścił ją z resztek piasku, aby zobaczyć, że jest to zbita domowym sposobem trumna nosząca ślady krwi na sobie. Strach paraliżował mu ruchy, ale dalej pracował; z niewiadomych przyczyn chciał dowiedzieć się, co kryje się w środku.

W końcu wyrzucił ostatnią grudę pisaku z grobu, a za nią również szpadel. Wyszedł poza obwód dołu, aby unieść wieko. Dyszał niczym parowóz, a myśli pulsowały tysiącem obaw przed nieznanym. Nie wiedział czego może się spodziewać czy demona o ostro zakończonych kłach, zbuntowanej duszy uwięzionej pod stertą piasku, czy rozkładających się zwłok wykonujących najprzeróżniejsze sztuczki gimnastyczne pod wpływem nagromadzenia gazów i robaków...

Schylił spływające potem ciało. Wyciągnął drżące palce prawej dłoni, kierując je do wieka. Słyszał jak coś wierci się w środku, płaska oraz skrobie palcami o deski. Nie dziwiło go to, że plaskanie wcześniej dochodziło spod ziemi aż do jego sypialni, ponieważ jak każdy człowiek w obliczu grozy zatracił możliwość racjonalnej oceny faktów.

Złapał za wierzch trumny, po czym uniósł go do góry; buchnął mu w twarz odór zgnilizny. Widok, jaki czekał na Józefa Niesiołowskiego wewnątrz, zmroził mu skórę oraz zatrzymał na chwilę serce.

W środku leżała mniej więcej trzydziestoletnia kobieta. Jej blond włosy zasłaniały górną część czaszki, aby niżej opadać po bokach, sięgając wypukłości niewielkich piersi. Miała na sobie białą suknie, przypominającą strój panny młodej – z nóg zwisały pantofelki w takim samym kolorze. Odkryte fragmenty ciała nie rozkładały się, a wręcz przeciwnie: prezentowały się żywiej niż skóra Józefa. W szczególności policzki z pełnymi ustami emanowały czerwienią. Uśmiechała się do niego tak, że nie odslaniała zębów.

- Witaj piękny – odezwała się do Niesiołowskiego. – Już myślałam, że nigdy tu nie trafisz.

Józef nie odpowiedział, tylko zaskoczony wodził po sylwetce kobiety. Badał wzrokiem całą jej postać, aż dotarł do szeroko rozwarzonych oczu. Wówczas zatracił się do reszty – utonął. Nie potrafił określić ich barwy, ale miały w sobie coś takiego, iż nie był w stanie przestać w nie patrzeć. Kobieta uśmiechnęła się, odsłaniając długie kły noszące ślady krwi.

W ułamku sekundy złapała go za nadgarstek. Była niewyobrażalnie ślina i jednym szarpnięciem wciągnęła Niesiołowskiego do trumny. Wylądował policzkiem przy jej czole – tak, że usta kobiety znalazły się przy jego szyi. Nie zdążył zaprotestować, kiedy wbiła mu zęby w tętnice. Ból trwał tylko chwilę, zaraz pojawiła się słodycz oraz obawa przed tym, że to wspaniałe uczucie może zbyt szybko minąć.

Zanim zamknął oczy zobaczył rzecz, która uszła jego wcześniejszej uwadze: z ramienia kobiety sterczał drewniany kołek. Nie przejął się tym jednak. Pograżył się w słodycz, poddając się bez walki. Zanim zemdlął widział jeszcze przez moment twarz Moniki oraz ich syna, Kazimierza. Tym razem nie było tęsknoty, a coś, co można by nazwać... głodem. Wampiryzca przerwała ssanie i zaśmiała się, następnie wieko trumny opadło na leżącą parę, odcinając ich na jakiś czas od reszt świata.

Trochę informacji na koniec:

Pierwsza strona „Gazeta Śląska”, Katowice, 2 Października 2006 roku:

ZNANY BIZNESMEN ZA KRATKAMI!

Maciej Heller

Wczoraj wieczorem częstochowska policja aresztowała znanego biznesmena Andrzeja Z. Jest on podejrzany o cztery morderstwa na terenie Chlebowia i okolic. Jego ofiarami byli: Zygmunt S., sześćdziesięcioletni ksiądz, znaleziony 3 września przy zejściu do kościelnych katakumb; Marcin B., dwudziestosześcioletni diakon, znaleziony martwy 6 września w domu parafialnym; Marta G., dziewiętnastoletnia pracownica miejscowego baru, znaleziona martwa 12 września w swoim mieszkaniu; Jacek N., narzeczony Marty G., znaleziony martwy 21 września w piwnicy swojego domu. Andrzej Z. jest także podejrzany o zamordowanie swojej dwudziestosiedmioletniej małżonki Joanny. Jednak jej ciała wciąż nie odnaleziono. Zbrodnie były wyjątkowo krwawe, a łączył je jeden makabryczny szczegół: każda z ofiar zginęła od ciosu drewnianym kołkiem w serce.

Częstochowska policja wciąż stara się ustalić motyw. Według biegłych Andrzej Z. już od dawna zmagał się z poważnymi zaburzeniami osobowości, które potęgował stres w pracy. Pracodawca Andrzeja Z. mówił, że był on (...).

Pierwsza strona „Gazeta Śląska”, Katowice, 4 Października 2006 roku:

NOWE DOWODY W SPRAWIE BIZNESMENA-MORDERCY

Maciej Heller

Na wczorajszej konferencji prasowej szef częstochowskiej policji przyznał, że znaleziono mocne dowody obciążające Andrzeja Z. Akt oskarżenia jeszcze dzisiaj ma trafić do sądu.

Jak donosi nieoficjalne źródło w domu Andrzeja Z. znaleziono kilka kompletów ostro zakończonych drewnianych kołków, młotek ze śladami krwi oraz przedmioty należące do ofiar. Ciało jego żony nadal nie odnaleziono.

(...)

Pierwsza strona „Gazeta Śląska”, Katowice, 5 Października 2006 roku:

BIZNESMEN PRZYZNAJE SIĘ DO WINY!

Maciej Heller

Jak donosi nieoficjalne źródło Andrzej Z. przyznał się do winy! Niestety jego zeznania wymykają się wszelkiej logice, przez co możemy wywnioskować, że będzie chciał zostać uznanym za niepoczytalnego.

Według naszego informatora, Andrzej Z. wyznał, że zabijał, ale nie ludzi lecz wampiry! Oskarżony uważa, że podczas ostatniego remontu kościoła w Chlebowie, obudzono w nim pradawną, uwięzioną w katakumbach istotę, która jednym ugryzieniem ma zmienić człowieka w nieumarłego, żadnego krwi potwora. Andrzej Z. twierdzi, że dotarł do dokumentów, które mówią o tym, że kościół w Chlebowie nigdy nie został poświęcony, przez co cały czas był siedliskiem nieczystej siły. Według niego pierwszą ofiarą obudzonej istoty był ksiądz, później diakon, a następnie Marta G. i Jacek N. Wspominał też coś o swojej żonie, ale policjantom nie udało się uzyskać zeznań wskazujących miejsce jej pochówku.

Cała sprawa mordercy z Chlebowia zaczyna przybierać nieco komiczny wydźwięk, lecz pozostaje wierzyć, że sąd nie uzna majaczeń Andrzeja Z. za objaw niepoczytalności. Biegli psychiatrzy uważają, że jest to klasyczny przykład symulacji. (...)

Trzecia strona, „Gazeta Śląska”, 26 Października 2006 roku:

WYROK W SPRAWIE BIZNESMENA-MORDERCY WYDANY!

Maciej Heller

Wczoraj zakończyły się obrady sądu w sprawie Andrzeja Z., który we wrześniu zabił co najmniej cztery osoby na terenie Chlebowia. Wyrok wydano wyjątkowo szybko za sprawą interwencji Ministra Sprawiedliwości. Decyzją sądu Andrzej Z. został skazany na 25-letni przymusowy pobyt w klinice psychiatrycznej o zaostrzonym rygorze. Ma tam zostać poddany leczeniu psychiatrycznemu.

Znawców prawa nie dziwi taka decyzja sądu. Zeznania Andrzeja Z. na sali sądowej były bardzo przekonujące lecz fikcyjne. Niestety, oskarżony nadal uważa, że zabijał nie ludzi, a wampiry. Przed odwiezieniem do zakładu krzyczał, że nie można pozwolić na sprzedaż jego domu, a także że trzeba powstrzymać istotę, która wydostała się z katakumb. Według Andrzeja Z. obudzona istota już dawno opuściła tejsze tereny i udała się w sobie tylko znanym kierunku.

Psychiatrzy sądzą, że zaburzenia Andrzeja Z. mogły być spowodowane trudnym dzieciństwem oraz stresem w pracy, który niejako indukował serię morderstw. (...)

KONIEC?

Szczecin – Wielgowo
28 i 30 maja 2006 roku

Ogór
gaau@wp.pl

Kryształy Niebios

MarcinD

- Odlecieli? - zapytał mężczyzna, zadzierając głowę do góry. Jego twarz, trzymający w dłoniach ciężką kuszę, wzruszył ramionami. Obaj byli kupcami, podróżowali traktem wiodącym do stolicy Aennoru.

- Nie wiem - odparł towarzysz, trzymając kuszę w pogotowiu. Chwycił pewnie broń lewą dłonią i prawą zrobił daszek nad oczami - słońce stało w zenicie, a na niebie nie było ani jednej chmury, tylko jedna Latająca Forteca Skrzydlatych - istot różniących się od ludzi jedynie dużymi skrzydłami u ramion. Mężczyzna zmrużył oczy - widać Kryształ - dodał. Rzeczywiście, w wolno przesuwającej się nad nimi twierdzy zbliżonej kształtem do trójkąta widać było cztery punkty o krwistoczerwonym zabarwieniu - trzy z nich były w wierzchołkach trójkąta, a czwarty w środku, dokładnie w środku ciężkości.

- Do diabła z nimi!! - warknął wreszcie mężczyzna wpatrujący się w powietrzny statek i opuścił rękę - wiemy teraz, że te kusze są warte swej ceny - dodał, patrząc na pobocze traktu idącego przez las. Na trawie leżała Skrzydlata. Wystrzelony belt ugodził ją w klatkę piersiową gdy przelatowała zbyt nisko nad wozem, chcąc zapewne ugodzić kogoś z nich mieczem.

- Zbierz jej rzeczy, Jozue - powiedział ten z kuszą i znów popatrzył w niebo. Na razie jednak nie widział nigdzie drobnych, skrzydlatych postaci. Jego towarzysz zeskoczył z dużego wozu i podszedł do kobiety. Miała na sobie spodnie i koszulę z delikatnego, niebieskiego materiału i jak każda Skrzydlata, miała bose stopy. Była wysoka, miała prawie dwa metry, ale wśród Skrzydlatych to była norma, wszyscy byli bardzo wysocy. Jej twarz, zabrudzona od krwi, spływającej z pękniętego luku brwiowego, zwrócona była ku niebu, a jej długie blond włosy były rozrzucone wokół głowy jak promienie słońca. Duże piersi unosiły się i opadały niemal niezauważenie w płytkich, urwanych oddechach. Jednak jej ręka powoli i konsekwentnie zbliżała się do skózanego, szerokiego pasa. Jej długi miecz leżał obok niej, wypuściła go, gdy trafił ją belt wystający teraz spod jej ostatniego lewego żebra.

- Ona jeszcze żyje, Izmachel!! - powiedział spokojnie Jozue i sięgnął do miecza przy pasie. Miał rację. Skrzydlata żyła, ale tylko dlatego, że upadła na swoje opierzone skrzydła, łamiąc w nich prawie wszystkie kości. Zamortyzowały jej upadek, ale wiedziała, że już nigdy nie poleci.

- Dobij ją!! - powiedział Izmachel - dobij ją, zanim... - nie zdążył. Skrzydlata krzyknęła z bólu, ale ostatkiem sił sięgnęła do pasa i zerwała przykrywkę dużej klamry. Ciemnoczerwony kryształ w jej pasie, oświetlony słońcem, rozjarzył się krwistą czerwienią i nim Jozue zdołał zareagować, kobieta uniosła się, gdy Kryształ zaczął ciągnąć ją ku niebu. Artefakt nie zdołał jednak unieść jej wystarczająco wysoko - mężczyzna skoczył szybko w górę i chwycił ją za bosą kostkę. Skrzydlata krzyknęła z bólu, gdy ciągnący w górę pas zahaczył o belt, tkwiący w niej pod żebrem. Wydała kolejny krzyk, gdy Jozue mocno pociągnął ją ku ziemi i usiłował chwycić drugą ręką. Skrzydlata zacisnęła zęby i zrobiła niewielki ruch skrzydłami, by uderzyć nimi trzymającego ją mężczyznę, ale była tak wyczerpana, że ten ledwie poczuł dotyk jej piór.

- Zabij ją!! - powiedział Izmachel, z trwogą wpatrując się w wolno przelatujący nad nimi statek - na pewno ją usłyszą!! - Jozue zacisnął dłoń na jej kostce i drugą ręką sięgnął po miecz, ale Skrzydlata, ostatnim wysiłkiem, kopnęła go drugą nogą w twarz, trafiając niemal pełnym przypadkiem.

- Suka!! - syknął Jozue, odruchowo chwytając się za rozbity nos i po chwili patrzył tylko, jak półprzytomna Skrzydlata powoli się wznosi ku niebu mocą Kryształu tkwiącego w jej pasie.

- Trzeba było od razu dobić!! - warknął Izmachel i przyłożył kuszę do ramienia. Mierzył chwilę, po czym nacisnął spust. Kusza trzasnęła cicho i kobieta zawyla, gdy wystrzelony belt trafił ją na wysokości łędźwi. Belt przebił ją na wylot i grot trafił w dużą sprzączkę pasa. Metal nie wytrzymał i pas pękł, a Skrzydlata zawyla przeraźliwie, gdy poczuła, jak ponownie zaczyna spadać. Jozue z uśmiechem na twarzy zobaczył, jak reszta pasa, zupełnie pozbawiona ciężaru jej ciała, przyspiesza gwałtownie. Po chwili odsunął się nieco na bok i patrzył, jak Skrzydlata, cały czas spadając, krzyczy głośno. W duchu Jozue jej współczuł. Ale to Skrzydlaci zaatakowali ich niespodziewanie. Skrzydlata uderzyła o ziemię z głuchym huknięciem. Z jej ust wydobyło się tylko ciche, przeciągłe jęknięcie. Jozue dobył miecza i jednym pchnięciem wbił jej ostrze między jej piersi. Szybko zdarł z niej ubranie, po czym podniósł jej miecz. Zarówno materiał, z którego były ubrania Skrzydlatych, jak i ich broń, była bardzo droga, bo niemal niedostępna dla ludzi. Po chwili popatrzył w ciemne, niemal czarne oczy Skrzydlatej, nadal szeroko otwarte, ale już martwe i palcami zamknął jej powieki...

- Nie udało się, panie - rosły Skrzydlaty uklękły na kolano przed królem we wnętrzu Gniazda - kupcy obronili się przed naszymi. Winni zostali już ukarani. Ponadto... straciliśmy jedną z naszych.

- Jedną... ? - zapytał - czy zginęła Aenria?

- Tak. Zginęła, bo towarzyszący jej wystraszyli się kusz i zostawili ją samą.

- Ich było dwóch!! - ryknął przywódca - tylko dwóch!!

- Wiem, panie.

- Ci kupcy przewozili bardzo ważne dla Pelżających dokumenty. Wiem, że już dawno podpisałem z ich królem pokój, ale chcę je mieć, bo nie ufam ludziom.

- Zdobęde je, panie - powiedział cicho klęczący mężczyzna. Był brunetem i jak każdy Skrzydlaty, miał czarne niemal oczy.

- Wstań - powiedział spokojnie władca, siedzący cały czas na dużym tronie. Gdy Skrzydlaty wykonał jego polecenie, mówił dalej - nie ty je zdobędziesz, Anachrion.

- Tak, panie - Anachrion nie krył rozczarowania.

- Niech Aerie dołączy do mnie przy przednim Kryształu - powiedział dowódca, po czym wstał i szybko wyleciał z sali tronowej przez okragły otwór w kopule.

- Wzywałś mnie, panie? - obok dowódcy, staro wyglądającego już Skrzydlatego, wylądowała jedna z jego rodaczek.

- Tak - odparł i zerwał się do lotu. Aerie poprawiła miecz i ruszyła za nim. Lecieli obok siebie, prawie nie ruszając skrzydłami, wykorzystując prądy powietrzne i lekki wiatr. Daleko pod nimi wił się szary trakt, niczym wąski strumień przedzierający się przez ziemię. Na nim powoli przesuwał się wóz kupców, którzy odparli atak. Skrzydlaci byli jednak bardzo wysoko i nie musieli się obawiać dostrzeżenia.

- Ludzie, którzy podróżują tym wozem - odezwał się po chwili - wiozą pewne dokumenty. Twoja siostra, która zginęła dziś z ich ręki, śledziła ich od dawna. Chcę, by nigdy nie dotarli do stolicy Aennoru. Dokumenty, jakie będą ze sobą wzięli, przyniesiesz mi. Ja nie ufam królowi ludzi. Nie ufam ludziom. Jestem pełen obaw co do naszego spotkania za dwa miesiące.

- Dobrze, ojciec - powiedziała - zrobię co każesz.

- Jeszcze jedno. Działamy potajemnie.

- Zrobię to - powtórzyła i popatrzyła w dół. Doskonały wzrok pozwolił jej dostrzec wóz wyraźnie - czy mam to zrobić teraz?

- Nie. Będziesz ich śledziła. W nocy ktoś cię zmieni. Teraz jesteśmy zbyt blisko miasta - powiedział. Rzeczywiście, oddalili się dość daleko od Gniazda i teraz daleko przed sobą widzieli już dymy licznych kominów - gdy zatrzymają się w mieście, zlecisz tam i będziesz ich śledziła na ziemi.

- Rozumiem.

- Wracam do Gniazda, a ty podążaj za nimi. Jak powiedział, po zachodzie słońca ktoś cię zmieni - powiedział i jednym ruchem skrzydeł zawrócił. Aerie została sama i zataczając szerokie kręgi, wolno śledziła wóz...

Jak każde miasto ludzi, również i to było w niemal całości pokryte siatką o małych oczkach. Ci ze Skrzydlatych, którzy chcieli odwiedzić miasto, musieli albo skorzystać z głównych wrót do miasta, albo z kilku wież, wystających ponad siatkę. Aerie wykorzystała to drugie rozwiązanie i miękko wylądowała na wysokiej, kamiennej wieży. Natychmiast otoczyli ją strażnicy, uzbrojeni w ciężkie kusze. Popatrzyła na nich gniewnie, chociaż wiedziała, że takie właśnie były procedury. Poza tym Skrzydlaci witali by w Gnieździe ludzi z taką samą, jeśli nie większą podejrzliwością. Z wysokości wieży spojrzała na duży rynek i dostrzegła już wóz kupców, których śledziła.

- Imię, cel wizyty, rzeczy osobiste, ramię - powiedział we wspólnym języku żołnierz. Popatrzyła na niego wilkiem.

- Aerie - odpowiedziała - cele handlowe, z rzeczy osobistych tylko dziewięć Kryształów klasy drugiej, miecz i sztylet - żołnierz popatrzył na nią nieco zaskoczony, gdy usłyszał nad podziw poprawny język ludzi. Aerie uśmiechnęła się - tak, mówię w waszym języku - dodała i uniosła szeroki rękaw koszuli. Przez koronę ze skrzydłami przechodził miecz, co znaczyło, że niegdyś należąca do służb królewskich, teraz Aerie była wolna. Ale miecz na tatuażu przedstawiającym koronę ze skrzydłami został dodany zaledwie wczorajszego dnia. Tyle, że strażnicy i tak nie byli w stanie tego poznać.

- Byłe służby królewskie? - zapytał żołnierz.

- Owszem - powiedziała lekceważąco Aerie - czy mogę dostać dokument? - dodała, nieco zniecierpliwiona.

- Naturalnie - powiedział żołnierz i skinął głową na jednego z żołnierzy, siedzących przy stoliku - aż dziewięć Kryształów? Połów musiał być udany.

- A owszem - przyznała, czekając aż żołnierz przy stole wypisze jej odpowiedni dokument. Klasa druga oznaczała Krystały wielkości odpowiadającej ludzkiemu oku. A połów... Handel Kryształami niósł zawsze pewne niebezpieczeństwo, bo moc Kryształów uaktywniała się natychmiast po ich naświetleniu światłem słońca lub księżyca. Gdy jakiś nieroztropny handlarz za bardzo uniosł wieko skrzyni, chcąc pokazać swój towar, Krystały uaktywniały się i uciekały ku niebu. Im większy był Kryształ, tym wyżej mógł uciec i praktycznie nad każdym miastem zawsze można było odnaleźć co najmniej kilka Kryształów unoszących się na granicy swojej mocy. Jednak te krystały, które Aerie miała przy sobie, pochodziły z ładowni jej Gniazda.

- Gotowe - powiedział żołnierz przy stoliku i podał drugiemu dokument. Ten podszedł do Aerie i podał jej pergamin, ale cofnął rękę, gdy po niego sięgnęła. Popatrzyła na niego gniewnie - ale mam jeszcze jedno pytanie... Przybyli dziś do miasta dwaj kupcy, którzy mówili, że zostali napadnięci przez Skrzydlatych. Ponoć jedną z atakujących zestrzelili i miała na ramionach królewskie znaki. Wiesz coś o tym? - Aerie popatrzyła w jego oczy.

- Wiem, że teraz niewielu z nas przestrzega praw tatuaży. Wiem też, że dowódca królewskiego Gniazda wysyła do stolicy raporty, podając ilość podległych mu mieszkańców. Nie wolno nikogo zwalniać bez zmiany tatuażu, ale z tego co wiem, zdarzają się ucieczki. Poza tym nie wiem nic więcej - powiedziała i wysunęła dłoń po dokument. Żołnierz oddał glejt niechętnie.

- Przed opuszczeniem miasta...

- Jestem wolną podróżniczką - przerwała mu - znam zasady - dodała i bez słowa ruszyła na kręte schody. Jednak, gdy tylko znalazła się pod siatką, sfrunęła na ulicę, omijając ponad pięć pięter wieży...

Karczma, przed którą stał wóz handlarzy, których śledziła, była wyjątkowo paskudna. Ale Aerie nie miała większego wyboru. Złożyła skrzydła na plecach, po czym pchnęła drzwi. Karczma, mimo, że nadchodził wieczór, była pełna ludzi. Dostrzegła w niej także kilku Skrzydlatych, ale ci patrzyli na nią nieufnie. Dojrzała wreszcie jedyny pusty stół, w dodatku stojący przy otwartym oknie. Szybko usiadła więc na ławie i westchnęła ciężko. Powietrze w karczmie wypełnione było dymem licznych fajek, zapachem spalonych potraw i ogólnym smrodem. Aerie usiłowała nie zwracać na to większej uwagi, ale po nawyku do czystego, chłodnego powietrza wysoko na niebie, nie było to takie łatwe. Na szczęście gdy skupiła się na kupcach siedzących przy stole z kimś, kogo zapewne spotkali tutaj w karczmie, szybko przestała zauważać przykry zapach. Dwaj kupcy rozmawiali z postacią, której twarz była skryta w cieniu dużego kaptura. Jedynie po głosie postaci Aerie poznała, że była to kobieta.

- To mówicie, że zostaliście zaatakowani przez Skrzydlatych?

- Tak było - potwierdził jeden z kupców - dzisiejszego dnia, w południe. I statek też widzieliśmy. Nisko siedł, widać było Krystały. Jedną z nich ubiliśmy, reszta uciekła, potem nikt ze statku nie wyleciał, a sam statek się wzniósł tak, że straciliśmy go oczu.

- To nie wiecie, czy was nie śledzono?

- Nie wiemy - powiedział drugi kupiec - ale raczej nie, bo i po co? Skrzydlaci dostali w dupę, a tu zaraz miasto i balisty. Po co by nas mieli śledzić?

- Dla zemsty. Ustrzeliliście im kobietę. Nie popuszczą.

- Co by mieli nie popuścić? - zapytał kupiec, siedzący bliżej Aerie - tu miasto, złupią innego podróżnika, co będzie miał mniej szczęścia.

- Ja tam nie wiem - odparła kobieta w kapturze - ale skoro twierdzicie, że to był tylko sam napad... - dodała i konspiracyjnie rozejrzała się po tawernie, na końcu patrząc właśnie na Aerie. Ta jednak miała szczęście - w tej bowiem chwili podeszła do niej młoda dziewczyna.

- Coś pani podać? - zapytała, z radością patrząc na złożone skrzydła Aerie.

- Dobrego wina - odparła Aerie, zauważyła spojrzenie dziewczyny i niby przypadkiem poruszyła delikatnie skrzydłami.

- Są piękne - westchnęła dziewczyna - chciałabym mieć takie - dodała. Aerie uśmiechnęła się tylko delikatnie, patrząc hebanowymi oczami na dziewczynę.

- Hej, Katha, nie objaj się!! - krzyknął karczmarz i dziewczyna, nie mogąc mieć więcej, niż czternaście, piętnaście lat, jakby obudziła się ze snu.

- Dobrego wina - powtórzyła szybko, jakby przypominając sobie, czego chciała Aerie, odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę szynku. Skrzydlata ponownie wsłuchiwała się w rozmowę.

- Jasne, że tylko napad. Nikt nic nie wie, bo i skąd? Izael wiedział, nie żyje. Nikt nic nie wie. Wie tylko...

- Bez nazwisk - przerwała kobieta, zanim kupiec zdolał wypowiedzieć nazwisko - po co ktoś ma słyszeć.

- Nikogo tu nie ma - ofuknął ją drugi kupiec - wie tylko ten, do którego mamy dotrzeć u celu. I tam mamy oddać, co wieziemy. Nie rozumiem tylko, czemu tego nie wiezie ktoś taki jak ty.

- Zbyt oczywiste - powiedziała kobieta - jedźcie do celu. Tutaj sprzedajcie część towaru, wyruszycie jutro wieczorem.

- A ty?

- Ja mam swoje własne drogi, wyjadę jeszcze dzisiaj - powiedziała kobieta w kapturze - a wy... najlepiej, gdybyście znaleźli jakiegoś towarzysza, najchętniej ze skrzydłami.

- Co? Toż ledwie jedną Skrzydlatą pozbawiliśmy życia...

- Zwykli bandyci unikają Skrzydlatych, a Skrzydlaci na swoich nie napadają. Dobrze wam radzę, znajdźcie jakiegoś skrzydlatego towarzysza.

Na stole przed Aerie dziewczyna postawiła pucharek wina. Skrzydlata sięgnęła po naczynie, a choć wino było podłe w smaku, uśmiechnęła się... Jeszcze tego samego wieczoru w wynajętym na jedną noc pokoju, napisała list. Teraz popatrzyła na trzymany w dłoni ciasno zwinięty pergamin ze streszczeniem rozmowy, jaką usłyszała, po czym sięgnęła do torby. Wyciągnęła z niej Kryształ o

podłużnym, cylindrycznym kształcie, z precyzyjnie wyłobionym w środku otworze. Wsunęła pergamin do Kryształu i upewniła się, że osiadł wystarczająco mocno, po czym podeszła do okna. Gdy je otworzyła, poczuła, jak Kryształ, trzymany w dłoni, nagrzewa się od promieni zachodzącego słońca i zaczyna ciągnąć ku niebu. Wychyliła się przez okno i wypuściła go z dłoni. Patrzyła, jak szybko zaczyna nabierać wysokości. Zmrużyła nieco oczy i zauważyła bardzo wysoko nad miastem, ledwie widoczne Gniazdo trójkątnego kształtu a pod nim wolno kołującego Skrzydlatego. Uśmiechnęła się, po czym szybkim ruchem zamknęła okno...

Targ, jak na miasto tych rozmiarów, był wyjątkowo zatłoczony, mimo tego, że ledwo co wzeszło słońce. Aerie szła spokojnie wzdłuż straganów, stąpając ostrożnie bosymi stopami po wydeptanych kamieniach. Kierowała się w stronę wozu kupców, jakich miała śledzić, chcąc zaproponować im sprzedaż swoich Kryształów. Zauważyła, że podeszedł do nich jakiś bogato ubrany mężczyzna i wstrzymała się w pół kroku.

- Witajcie, przyjaciele - powiedział - skąd przybywacie?
- Z daleka - odparł Jozue z uśmiechem - czego szukasz wśród towarów?
- Czegoś specjalnego - odparł ten - widzę, że Kryształy macie... - westchnął, widząc pergamin ze spisem Kryształów, jakie można było u nich kupić - ale czy jakieś artefakty z nimi macie?
- No, to zależy od tego, ile ma pan złota - westchnął Izmachel - i czego konkretnie pan szuka?
- Kryształowego Pasa Lewitacji - powiedział nieznajomy - zapłacę dowolną cenę. No, prawie dowolną - dodał z uśmiechem.
- Ma pan szczęście, akurat to mamy - powiedział Jozue.

Aerie patrzyła, jak jeden z kupców sięgnął do wozu i wyciągnął z niej dużą skrzynię. Uniósł nieco wieko i wsunął do niej rękę, a dopiero potem otworzył je zupełnie i wyciągnął z niej pas z wprawionym Kryształem. Pas był przywiązany do skrzyni sznurem, ale mocne, wschodzące słońce sprawiło, że mimo metalowej osłony pokrywającej Kryształ, cała skrzynia uniosła się nieznacznie do góry. Jeden z kupców wyszedł przed stół, na którym mieli rozłożone swoje rzeczy i podał nieznajomemu pas. Ten chwycił go pewnie w dłonie i zaczął oglądać ze wszystkich stron. Niechcący trącił metalową zasłonę i ta przekreśliła się na bok, a Kryształ rozjarzył się krwistoczerwonym światłem. Pas wyrwał się z jego dłoni i skoczył ku niebu, bez trudu unosząc ze sobą skrzynię.

- Łap ją, łap ją!! - krzyknął jeden z dwójki kupców, stojący w cieniu rozpiętego namiotu nad wozem, ale nim drugi zdążył zareagować, winowajca zamieszania podskoczył w górę i chwycił mocno uchwyt skrzyni.

- Trzymam, wszystko spokojnie - powiedział z zadowoleniem i zacząć ciągnąć wiszącą tuż nad nim skrzynię ku ziemi. Nagle sznur pękł z trzaskiem, a niedoszły klient zdążył tylko jęknąć, gdy nie unoszona już mocą Pasa Lewitacji skrzynia runęła wprost na niego. W tej samej chwili nad nimi coś przemknęło z dużą szybkością. To Aerie zareagowała błyskawicznie; wbiła się w powietrze i na wysokości czwartego piętra wieży, tuż pod siatką, złapała pas w ostatniej chwili. Po chwili sfrunęła w dół i dotknęła bosymi stopami wyłożonego kamieniami placu tuż przed wozem zdumionych handlarzy. Czuła, że mimo metalowej osłony, Kryształ nadal jest aktywny i ciągnie ku niebu. Był niezwykle silny.

- To chyba do panów należy - powiedziała, z uśmiechem na twarzy podając im uciekiniera.

- Dziękujemy, pani - powiedział Jozue, a Izmachel podniósł skrzynię, nadal leżącą na pomstującym winowajcy wypadku. Ten, wreszcie uwolniony spod ciężaru skrzyni, krzyknął głośno:

- Odpowiedcie za to, złoczyńcy!! To jest narażanie zdrowia!!

- Zamilcz - powiedziała Aerie z pogardą w głosie - bo jak nie umiesz się posługiwać Kryształowymi Artefaktami, to lepiej o nie nawet nie pytaj - mężczyzna popatrzył w jej czarne oczy krzywo, ale już bez słowa odszedł.

- Mów, czego chcesz, pani - powiedział Izmachel, zamykając pas w skrzyni. Zgodnie z prawem, mogła domagać się nagrody za uratowanie pasa przed ucieczką. Aerie popatrzyła na nich.

- Niczego od was nie pragnę w zamian - powiedziała z uśmiechem - miałam powód, by rozprostować skrzydła - dodała i z mrugnięciem oka rozłożyła skrzydła a zaraz potem złożyła je z powrotem.

- Ha, przydałby się nam taki kompan w podróży - powiedział Jozue - nie więcej, jak ze dwa, trzy dni temu straciliśmy jeden Kryształ; uciekł, nim zdołaliśmy go uratować - Aerie uśmiechnęła się i popatrzyła po ich stoisku.

- Chętnie bym towarzyszyła, nie lubię samotnie podróżować. Ale ja w kierunku waszej stolicy podróżuję... A panowie to chyba ze stolicy wracacie? - rzeczywiście, kupcy mieli w swojej ofercie sporą ilość Kryształów, a w stolicy Aennoru można było kupić Kryształy po wielokrotnie niższych cenach, niż w pozostałych miastach królestwa. Wynikało to z tego, że z Kryształowych Kopalni, w których wydobywano Kryształy, transportowano je właśnie do stolicy na Latających Fortecach Skrzydlatych i dopiero stamtąd były rozprawdane na cały kraj i poza jego granice.

- A my właśnie do stolicy jedziemy - powiedział jeden z nich - mam na imię Jozue a to mój przyjaciel, z jakim podróżuję, Izmachel.

- Ja jestem Aerie - westchnęła - i chętnie z wami pojadę - obaj kupcy skinęli głowami i Aerie zauważyła, jak cieszą się z jej towarzystwa. Z całą pewnością jednak nie bardziej, niż ona sama cieszyła się z faktu zyskania ich zaufania...

- Gdzie ona jest? - zapytał Jozue, zadzierając głowę ku niebu.

- Nie mam pojęcia - burknął Izmachel, nawet nie zerkając na niebo. Patrzył na trakt, a w dłoni trzymał lejce dwóch koni, powoli ciągnących ich wóz - i nic mu nie rusza.

- Tam jest!! - powiedział Jozue wskazując na niebo. Wysoko nad nimi widział mały punkt. Jozue zasłonił oczy od zachodzącego słońca i wpatrzył się w nią. Dostrzegł dwie kreski, którymi najpewniej były rozprostowane skrzydła Aerii - ale wysoko wyleciała, ledwie ją widząc.

- Ale ona na pewno doskonale widzi nas - burknął Izmachel.

Aerie niemal bez wysiłku unosiła się wysoko nad lasami, przez które przedzierała się wąska linia traktu. Jednym ruchem skrzydeł zatrzymała się i dzięki szybkim ruchom unosiła się w miejscu, patrząc ku zachodowi. Jej Gniazdo powoli sunęło za kupcami. Dwa dni temu jeden z jej współbraci przyniósł nowe rozkazy. Miała zdobyć listy, jakie wieźli kupcy, potajemnie, bądź zabić obu kupców. Ale nie chciała póki co zabijać. Gwałtownie poruszyła skrzydłami, by odwrócić się ku wschodowi i odszukać wzrokiem wóz. Mimo ogromnej wysokości, widziała ich dokładnie. Po chwili złożyła skrzydła, a ręce przycisnęła do ciała i zaczęła szybko spadać.

Oba konie zarżały głośno i stanęły dęba, gdy Aerie nisko nad wozem wyrównała lot. Izmachel z trudem opanował wystraszone konie.

- Płoszysz nam konie!! - warknął, cmokając na wierzchowce. Aerie zupełnie go zignorowała i wylądowała miękko na odsłoniętym wozie.

- Cicho i spokój - powiedziała - w odległości pół dnia podróży nie widziałam żadnego podejrzanego ruchu.

- Bardzo dobrze - powiedział Jozue - cieszę się, że podróżujesz z nami.

- A przez liście też widzisz? - burknął Izmachel, nawet się do niej nie odwracając. Aerie popatrzyła na niego gniewnie. Choć podróżowała z nimi ledwie od dwóch dni, zdążyła już polubić szczerze Jozuego i równie szczerze poczuć wrogość do Izmachela. Jozue popatrzył na zachód, skąd podróżowali. Dostrzegł na niebie mały punkt. Aerie podażyła za jego wzrokiem.

- To statek królewski - powiedziała - ale nie zbliżałam się do niego. Nie zostalabym mile przyjęta - dodała. Jozue uśmiechnął się. Zapewne jeszcze zanim zbliżyła by się do fortecy, straż sprawdziłby jej tatuaż, bo tacy, jak ona, Wolni, zwłaszcza zwolnieni ze służby królewskiej, nie byli traktowani z szacunkiem przez Skrzydlatych należących do fortec.

- Ciekawe, czemu - powiedział znów Izmachel. Aerie popatrzyła na niego gniewnie.

- Izmachel, daj spokój - burknął Jozue.

- Jestem zmęczona - westchnęła Aerie i położyła się na ubraniach, jakie kupcy wieźli na sprzedaż. To było kłamstwo, najtrudniejsze i najbardziej męczące było samo oderwanie się od ziemi, potem wystarczyło szybować i nabierać wysokości, wykorzystując tylko powietrze prądy. Ale chciała mieć powód, by rozejrzeć się po wnętrzu wozu. Nie mogła tego jednak robić otwarcie, bo Jozue też odpoczywał.

- Wieziecie dużo towarów - powiedziała.

- Owszem. W stolicy chcemy to wszystko sprzedać - westchnął - i pewnie po drodze również. Zobaczymy, jak będzie. A jak to się stało, że masz na ramieniu taki tatuaż? Że odeszłaś z królewskiego statku?

- Z Gniazda - poprawiła go z uśmiechem - dla Skrzydlatych to po prostu Gniazda - dodała i odwróciła wzrok - to... dawna historia. Nie chcę o tym opowiadać - ukradkiem otarła łzę. Gest był tyleż teatralny, co skuteczny.

- Rozumiem, nie będę więcej pytał. Każdy z nas ma swoją własną historię - powiedział.

- Jestem wykończona - westchnęła i dodała, gdy jej głowa stuknęła o coś twardego - co to? - jej dłoń znikła pod ubraniami, na których się położyła i w jej dłoni pojawiła się niewielka, drewniana szkatułka, zamykana na klucz, z okuciami na rogach - co to?

- zapytała ponownie, drugą dłonią pocierając intensywnie głowę. Mimo ubrań, uderzyła dość mocno. Domyślała się, co było w szkatule, zapewne listy, których szukała. Izmachel odwrócił się do tyłu i brutalnie wyrwał szkatułę z jej dłoni.

- To jest nasze - warknął - pozwolił ktoś tykać?

- Przepraszam - odparła urażonym tonem - nie chciałam, po prostu uderzyłam głową - dodała niewinnie.

- Nic się nie stało - powiedział Jozue i odebrał z rąk towarzysza skrzyknę, po czym wsunął ją pod ubrania, na których sam siedział - to nasze całe złoto - dodał.

Aerie spojrzała przez ramię do tyłu. Izmachel spał w najlepsze. Ona siedziała na koźle wozu, a obok niej siedział Jozue, trzymający lejce.

- Dobrze go znasz? - zapytała Aerie. Jozue pokręcił głową.

- Nieszczególnie. Ja pochodzę z Równin Dalenoru...

- Z tak daleka? - przerwała mu. Równiny Dalenoru leżały daleko na południu królestwa, przy samej granicy, wyznaczonej przez dziką Białą Rzekę.

- Tak - powiedział z uśmiechem Jozue - całe życie podróżuję. A Izmachel dołączył się do mnie jakieś dwa miesiące temu, nie lubię podróżować sam, razem łatwiej - Aerie popatrzyła w rozgwieżdżone niebo nad nimi.

- Rozumiem - westchnęła - możesz się położyć - dodała.

- Umiesz prowadzić? - zapytał zdziwiony, gdy wysunęła swoją dłoń po lejce.

- Umiem wiele rzeczy - powiedziała z uśmiechem, chwytając pewnie lejce. Poczekala, aż Jozue ułoży się na ubraniach i zamknie oczy. Szybko sięgnęła do swojej torby i napisała krótki list, po czym wysłała go przy użyciu odpowiednio ukształtowanego Krysztalu. Patrząc, jak magiczny kamień szybko oddalał się od niej i wkrótce zniknął jej z oczu...

Następnego dnia Aerie długo jechała na wozie z kupcami, dopóki gdzieś na niebie nie rozległ się długi, przenikliwy pisk. Obaj kupcy spojrzeli w niebo z przestraszonym Aerie spokojnie wstała i wyszła spod białej budy rozciągniętej na wozie, stając zaraz za obaj kupcami, siedzącymi na koźle. Spojrzała w niebo i gdy zauważyła mały punkt, gwizdnęła przeciągle. Po chwili patrzyła, jak w stronę wozu opada w dużych kręgach sokół. Wystawiła rękę i ptak spokojnie usiadł na jej przedramieniu. Gdy popatrzyła mu w oczy, zaczął świergotać cicho i po chwili zamilkł. Aerie popatrzyła na zaskoczonych kupców.

- Przed nami, w odległości mniej więcej jednego dnia drogi, jest grupa zbrojnych - powiedziała.

- Rozmawiasz z sokołami? - zapytał Jozue, zaskoczony.

- Ze wszystkimi ptakami - powiedziała - jak każda Skrzydlata - dodała i popatrzyła na sokoła czarnymi oczami. Poruszała ustami niemal bezgłośnie, a gdy skończyła, sokół rozprostował skrzydła i odleciał, szybko znikając jej z oczu.

- Ile ich jest?

- Nie wiem - powiedziała Aerie - sokoły nie umieją liczyć. Ale poprosiłam go o coś, co być może da nam jakieś pojęcie o ich liczbie.

- Co robimy? - zapytał Jozue.

- Jedziemy dalej - powiedział hardo Izmachel - nie tak dawno odegnaliśmy pięciu Skrzydlatych, a jedną z nich zabiłeś...

- Ty ją dwoma beltami ustrzelełeś!! - przerwał mu Jozue, jakby chcąc usprawiedliwić się przed Aerie.

- Ale to ty jej wbiłeś miecz między piersi, gdy runęła na ziemię, całkiem łamiąc skrzydła - powiedział Izmachel. Aerie popatrzyła na Jozuego.

- Dobrze zrobiłeś - powiedziała - każdy Skrzydlaty, który połamie skrzydła, popełni samobójstwo. Bo skrzydła dla nas są cenniejsze, niż życie bez nich.

- Mówisz, że jesteś wolna, a gadasz zupełnie jak byś do twierdzy należała - powiedział Izmachel i nader wymownie zerknął na niebo, na którym spokojnie przesuwała się Twierdza.

- Skrzydła są dla nas tym, czym są nogi dla ludzi - odparła gniewnie Aerie - bez względu na tatuaże, jaki zdobia nasze ramiona.

- Można wyleczyć złamaną nogę - powiedział Izmachel.

- Ale na połamanych, choć wyleczonych skrzydłach, nie polecą już nigdy - warknęła gniewnie Aerie - skończmy tę rozmowę, bo wy, Pełzający, nigdy tego nie pojmiecie - pozwoliła sobie na ton pogardy w głosie.

- Nie podoba mi się, że podróżujesz z nami. Nie ufam ci. Ale to wóz Jozuego i to on cię do towarzystwa zaprosił. Jednak schowaj dumę, bo może ci się stać krzywdą - warknął Izmachel. Aerie zamierzała nadal go prowokować, ale nad nimi rozległ się gwizd sokoła. Aerie podniosła się i stanęła ponownie tuż za nimi. Gwizdnęła krótko i sokół obniżył lot, zrobił nad wozem niewielki krąg, po czym ponownie usiadł na jej ręce. Krąg, jaki zatoczył sokół był mały i wiedziała teraz, że nie bandytów nie mogło być wielu.

- Doskonale - powiedziała - nie jest ich wielu, pięciu, może sześciu.

- I to ma być niewielu? - zapytał Jozue.

- Naturalnie - powiedziała - poza tym teraz powinnam przebywać jak najwięcej w powietrzu, by nie wiedzieli, że podróżuję z wami

- Jozue ze zrozumieniem skinął głową...

Następnego dnia Aerie kołowała powoli nad wozem, wolno toczącym się po traktach. Prowadził Izmachel, Jozue siedział z tyłu, na ubraniach. Obok Izmachela leżała szeroka, brązowa derka, pod którą spoczywały dwie kusze. Jozue z tyłu miał pod ręką dwie kolejne. Byli gotowi, a Aerie bardziej uważnie, niż zwykle, patrzyła z góry na wóz. W lesie, mimo południa, panowała cisza. Już to wystarczyło, by obaj kupcy podróżowali w napięciu, nie mówiąc ani słowa. Gdy pokonali kolejny zakręt, ujrzeli przed sobą dwójkę mężczyzn, zbrojnych w łuki. Gdy Izmachel zatrzymał wóz, do dwójki dołączyli kolejni i teraz na trakcie stała szóstka mężczyzn. Wszyscy byli tak samo ubrani, w zielone ubrania, z chustami na twarzach.

- Witajcie, podróżnicy - powiedział jeden z nich, stojący na samym środku traktu, zapewne przywódca bandy - cieszę się bardzo, że wybraliście podróż przez nasz las. Jednocześnie pragnę gorąco podkreślić, że dzięki mojej wesołej kompanii możecie podróżować bez obaw. Nie ma w naszym lesie żadnych dzikich zwierząt, a każdy, kto do naszego lasu wjedzie mając nieczyste zamiary, zostaje przez nas szybko ujęty i pokarany odpowiednio do zbrodni tak dopiero co zamierzonych, jak i już dokonanych.

- Niezmiernie mnie to cieszy - powiedział Izmachel - nie omieszkamy zatem rozgłaszać wszystkim napotkanym, że podróż przez

wasz las jest czystą przyjemnością.

- Wspaniale - powiedział herszt - ale wiedźcie, że utrzymanie lasu w takim bezpieczeństwie wymaga sporych sił i nakładów pieniędzy - Izmachel skinął potakująco głową i rzucił mu pod stopy jedną, złotą monetę.

Aerie, złożąwszy skrzydła i przycisnąwszy ręce do ciała, runęła w dół. Z chwili na chwilę była coraz niżej, nabierając coraz większej prędkości. Doskonale widziała swój cel. Gdy była ledwie pięć metrów nad wierzchołkami drzew, rozłożyła skrzydła i łagodnym łukiem wyrównała lot. Teraz leciała z ogromną prędkością w stronę bandytów, zamierzając zaatakować ich zza ich pleców.

Herszt bandy roześmiał się głośno, gdy złota moneta upadła pod jego nogi. Dwaj stojący po obu jego stronach mężczyźni oparli na cięciwach luków strzały, choć jeszcze nie naciągnęli ich. Herszt schylił się po monetę. To zadecydowało.

Nie zdradziło ją nic. Ani szum skrzydeł, ani nawet przywykłe już do niej konie kupców. Nadleciała cicho i niespodziewanie jak śmierć, bo istotnie była śmiercią.

Dwaj łucznicy krzyknęli głośno, gdy coś uderzyło ich w plecy i pociągnęło w górę. To Aerie, nadlatując błyskawicznie, niczym wystrzelona strzała, schwyciła ich mocno i wykorzystując ogromną prędkość, do jakiej się rozpędziła przy opadaniu, porwała obu w górę. Nim zdążyli zareagować, była już na tyle wysoko, by obaj skazani na jej łaskę mężczyźni zaczęli się bać. Gwałtownie skręciła nad las, po czym puściła ich obu. Pod sobą usłyszała ich krzyki i trzaski łamanych gałęzi. Jeden ruch skrzydeł i spokojnie unosiła się już nad wozem. Obaj kupcy trzymali teraz w szachu czwórkę pozostałych, trzymając w obu dłoniach kusze.

- Chyba ten wasz las nie do końca taki bezpieczny - zakpił Izmachel - skoro wam w biały dzień Skrzydlaci ludzi porywają - dodał. Herszt popatrzył na nich gniewnie. Choć wiedział, że to koniec.

- Robicie błąd. Niedaleko, na polanie, jest jeszcze dwudziestka naszych - warknął. Kłamstwo. Aerie doskonale o tym wiedziała.

- Nie - powiedziała wyraźnie Aerie - było was tylko sześciu. Obserwowałam was od wczoraj - dodała - zabić ich - cztery kusze szczerknęły jednocześnie i cztery belty nieomylnie trafiły w cztery serca prawie w tej samej chwili...

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł? - zapytał Jozue.

- Dobry, niedobry, odpocząć nam trzeba. I konie też muszą się popaść - powiedział Izmachel, uwalniając konia od dyszla - teraz droga na płaskowyż, cały czas w górę, niech odpoczną.

- Też tak myślę - wtrąciła Aerie i raz jeszcze rozejrzała się po polanie, na której dotychczas zamieszkiwali zbójcy - trzeba odpocząć - dodała, z namysłem mrużąc oczy...

Wilgotne, świeżo porąbane polana młodej brzozy zaczęły głośno strzelać, gdy Aerie położyła je w sam środek żaru. Nieco wystraszona, popatrzyła na Jozuego i Izmachela, ale obaj kupcy spali kamiennym snem. Aerie poczekała, aż ogień rozпали się na dobre, po czym wstała z nieco wilgotnej, pokrytej jeszcze wieczorną rosą, trawy. Las wokół nich szumiał spokojnie na delikatnym, ledwie wyczuwalnym wietrze. Uśmiechnęła się nieznacznie i spojrzała w czyste, rozgwieżdżone niebo. Wystawiła lewą rękę. Sokół dostrzegł bez trudu jej ruch i po chwili poczuła jego ciężar na ramieniu. Patrząc mu w oczy, wyszeptała kilka słów i ptak odleciał, kierując się do wiszącego nad nimi Gniazda...

Dwaj Skrzydlaci, pełniący rolę straży na Królewskim Gnieździe, dostrzegli sokoła z daleka. Patrzyli, jak ptak spokojnie się zbliża, zatacza kręgi, wreszcie siada na krawędzi kamiennej wieży.

- To sokół Aerie - powiedział spokojnie jeden z nich, nim jeszcze ptak zdążył się odezwać. W chwilę później obaj wsłuchiwali się w jego piskliwy głos.

- Ja polecę - westchnął jeden z nich, gdy sokół skończył. Jednym skokiem przesadził drewnianą poręcz wieży obserwacyjnej i rozprostował skrzydła. Szybko opuścił Gniazdo i zaczął kołować nad widzianym z wysoka ogniskiem. Zauważył, jak sokół Aerie coraz bardziej obniża lot, by wreszcie po chwili usiąść na wozie. Skrzydlaty, noszący imię Anachrion, rozejrzał się. Zauważył od razu. Coś małego, oplecionego siatką z Kryształami, wolno leciało w górę, unoszone mocą Kamieni. Bez trudu chwycił małą, drewnianą szkatułkę.

- Gdzie to jest? - warknął któryś raz z rzędu Izmachel - no gdzie? - raz jeszcze rozwinął grubą derkę, na której tej nocy spał. Nigdzie jednak nie było tego, czego szukał.

- Czego ty szukasz? - zapytał Jozue, zaprzęgając spokojnie oba konie do wozu.

- Dobrze wiesz!! - warknął Izmachel - szkatuły!! - dodał i popatrzył na Aerie - zabrałaś ją!! Złodziejko!! - Aerie popatrzyła na niego.

- Niczego nie zabrałam - powiedziała i wylała wodę z bukłaku na gasnące już ognisko. Był późny poranek i zarówno jej, jak i Jozuemu zależało, by szybko ruszyć w dalszą drogę.

- Akurat - warknął Izmachel - doradzałem Jozuemu, by nie proponował ci wspólnej podróży - Aerie prychnęła gniewnie i rzuciła bukłakiem o ziemię.

- To trzeba było się nie zgodzić!! - warknęła - ale gdyby nie ja, ptaki kończyłyby pożywiać się twoim ścierwem!! Uratowałam was obu wczoraj - Jozue patrzył to na Aerie, to na Izmachela. Obaj już oddychali głęboko z gniewem i domyślał się, że jeżeli czegoś nie zrobi, rzucą się sobie do gardeł. Ale nie wiedział, że gniew Aerie był sztuczny, że specjalnie prowokowała Izmachela.

- Ukradłaś mi szkatułkę!! - syknął ze złością.

- Uratowałam wasze życie, a ty masz czelność oskarżać mnie o kłamstwo? Gdzie twój honor, człowieku? - zapytała, wkładając w ostatnie słowo pogardę. Izmachel popatrzył na nią z gniewem w oczach. Spokojnie wysunął miecz z pochwy i wymierzył klingę w nią.

- Torba - syknął.

- Przestańcie oboje - powiedział Jozue - Izmachel, pomogę ci szukać. Pewnie schowała się gdzieś w trawie...

- Torba - powtórzył, ignorując słowa Jozuego. Patrzył na niewielką niebieską torbę Aerie, wiszącą u jej boku - chcę zobaczyć zawartość twojej torby!! Już!!

- Nie jestem złodziejką - powiedziała dobitnie. Izmachel zrobił krok i ostrze jego miecza było ledwie metr od jej twarzy. Aerie w odpowiedzi zrobiła błyskawiczny ruch i w jej dłoni zamigotała klinga. Rozległ się brzdęk stali uderzającej o stal, gdy ich miecze skrzyżowały się.

- Schowaj miecz - powiedziała Aerie - dla własnego dobra!! - dodała, mocno trzymając miecz. Izmachel popatrzył w jej oczy z gniewem.

- Pokaż mi twoją torbę - syknął z gniewem. Ostrza ich mieczy nadal na siebie napierały.

- Nie interesuje cię, co w niej jest - powiedziała - opuść miecz. Nie chcę cię zabijać.

- To ja cię zabiję - warknął, szybko cofnął miecz i zaatakował płaskim cięciem. Sparowała je bez trudu. Izmachel był silnym mężczyzną, ale ona była o wiele silniejsza. Łatanie wymagało sił. Na razie tylko się broniła, parując bez trudu uderzenia jego klingi, bądź po prostu uskakując przed nim.

- Przestańcie oboje!! - warknął Jozue - natychmiast!! - ani Aerie, ani Izmachel nie zareagowali na jego wezwanie, nadal słysząc było tylko świst przecinanego ostrzami mieczy powietrza, brzdęk ostrzy i szybkie oddechy. Jozue podszedł do wozu i wyciągnął z niego kuszę. Przyłożył broń do ramienia i nacisnął spust. Kusza szczerknęła cicho i Aerie oraz Izmachel odskoczyli, gdy w ziemię

między nimi wbił się belt. Oboje popatrzyli na Jozuego gniewnie.

- Nie wtrącaj się, Jozue - warknął Izmachel i znów popatrzył w czarne oczy Skrzydlatej - to moja sprawa!!

- Nie wiem, co tak cennego jest w tej szkatule - powiedział Jozue - ale nie wydaje mi się, by było warte utraty życia - dodał.

- Nie twoja sprawa - powiedział Izmachel - i lepiej niech mi ją zwróci - dodał i popatrzył znów na Aerie - pokaż mi zawartość torby - syknął. Skrzydłata popatrzyła na niego z rozmysłem. Jozue nie wiedział, co było w szkatule, więc pewnie nie wiedział także, komu należało ją przekazać. To oznaczało, że Izmachel musiał na razie żyć. Przez jej twarz przeszedł grymas niezadowolenia. Opuściła miecz i szybko wsunęła go do pochwy przy pasie.

- Dobrze - powiedziała, zmieniając ton głosu, teraz już nie było słychać w jej słowach gniewu. Zdjęła torbę z ramienia i podała Izmachelowi - sprawdź. Nie odnajdziesz tam tego, czego szukasz - Izmachel, zaskoczony jej postawą, opuścił nieufnie miecz. Widziała, że waha się ze schowaniem go do pochwy - śmiało, gdybym chciała cię zabić, już byś nie żył - dodała z okrutnym uśmiechem na ustach i jakby przypadkiem rozłożyła skrzydła i złożyła je po chwili. Izmachel dotychczas rzeczywiście żył tylko dlatego, że miała dobry humor. Zazwyczaj Skrzydlaci w takiej sytuacji nie dobywają nawet broni, ale najczęściej porywają atakującego ich człowieka i upuszczają odpowiednio wysoko, jak sokół, zniechęcony zbyt wijącą się w jego szponach ofiarą. Izmachel wsunął jednak miecz do pochwy i zdecydowanym ruchem sięgnął po torbę. Aerie miała nadzieję, że popełni błąd. Szczęśliwie postąpił tak, jak się spodziewała. Jednym, szybkim ruchem otworzył torbę i zajrzał do środka. Gdy dostało się do niej światło wschodzącego słońca, wszystkie Kryształły, jakie miała, wyrwały się w górę, ku niebu. Odskokczył, gdy jeden z nich mocno uderzył go w twarz.

- Mógłbyś uważać - warknęła, patrząc, jak uciekają. Żaden z kupców nie miał szansy dostrzec krążącego nad nimi Skrzydlatego, należącego, jak ona, do Królewskiego Gniazda. Ale ona widziała go wyraźnie - to jak, jesteś zadowolony? - zapytała gniewnie - znalazłeś to, czego szukałeś?

- Nie - burknął, oddając jej torbę - co nie znaczy, że nadal cię nie podejrzewam - dodał.

- Dobrze, dobrze - Aerie westchnęła cicho, przekładając długi pas torby przez ramię - a teraz lecę po moje Kryształły - dodała i wyskoczyła w górę. Rozprostowała skrzydła i szybko zaczęła się wznosić.

- Witaj, Aerie - powiedział Skrzydlaty, gdy zaczęła krążyć obok niego - mam tutaj coś twojego - dodał, podając jej kilka Kryształów, które uciekły z jej torby i teraz unosiły się na takiej wysokości, na jaką pozwalała im moc.

- Dziękuję - powiedziała - a masz...

- Tak. Mam szkatułkę. Poza tym mam dla ciebie nowe rozkazy - popatrzyła na niego zaintrygowana - oni nie podróżują do stolicy. Ich celem jest Miasto pod Skrzydłami.

- Co? - skrzywiła się. Miasto pod Skrzydłami było zwykłym miastem, ale tym różniło się od innych, że dokładnie nad nim unosiło się Gniazdo. Aerie знаła dokładnie jego historię; kiedyś było siedzibą samego króla. Jednak od dobrych kilku lat jej ojciec za swoją siedzibę wyznaczył inne, a jego dawne Gniazdo zostało grubymi łańcuchami zatrzymane nad miastem i od tamtego czasu i miasto i Gniazdo stały się jednym, przybierając nowe nazwy - Górne Miasto oraz Miasto pod Skrzydłami. „Sznujący się”, to znaczy należący do Sił Królewskich Skrzydlaci nie pojawiali się nawet w okolicach Miasta pod Skrzydłami i Górnego Miasta, nie wspominając o zaglądaniu tam. Obie kultury, zarówno ludzi, jak i Skrzydlatych w tym jednym miejscu splotyły się jak nigdzie indziej w całym Aennorze - skąd wiesz? - zapytała z niesmakiem.

- Nasz król poznał treść listów, które wieźli ze sobą kupcy. Dziś w nocy zwołuje zebranie. Twoje zadanie jest skończone.

- To znaczy?

- To znaczy, że kupcy nie są nam już do niczego potrzebni. A listy są adresowane do dowódców obu miast.

- Czy mam ich... ?

- Tak. Nie są już do niczego potrzebni. Znasz zasady. Zaraz po tym król oczekuje cię w Gnieździe na zebraniu.

- Oczywiście - powiedziała i do swojej torby wsunęła Kryształły - to wszystko?

- Tak - powiedział krótko Skrzydlaty.

- Zatem do zobaczenia - powiedziała Aerie, złożyła skrzydła i runęła w dół...

Gdy Aerie poczuła pod bosymi stopami ciepłą trawę, obaj kupcy krążyli wokół niedawnego ogniska, z oczami wbitymi w ziemię.

- Nie wiem, jak można zgubić taką małą szkatułkę - powiedział Jozue. Aerie spokojnie stanęła obok wozu i oparła się o niego z założonymi rękami, patrząc na kupców.

- Dokładnie - powiedziała Aerie, z małej pochwy przy pasie wyciągnęła niewielki sztylet i zaczęła wolno obracać go w dłoni. Broń o klindze przypominającej skrzydło Skrzydlatego idealnie nadawała się do rzucania. Izmachel popatrzył na nią gniewnie.

- Nie zgubiłem jej - warknął.

- Oczywiście - powiedziała znów z ironią Aerie - mała, czarna szkatułka dostała skrzydeł i odleciała - Izmachel popatrzył na nią, po czym ruszył w jej stronę. Jego dłoń oparła się o rękojeść miecza. Stał ledwie trzy kroki od niej.

- Aerie, nie lubię cię - syknął - od samego początku. Nie drażnij mnie, bo...

- Bo co? - przerwała mu, prowokująco patrząc mu w oczy. Znów obróciła kilka razy sztylet w palcach. A po chwili wybuchła śmiechem.

- Z czego tak się śmiesz? - zapytał Izmachel.

- Z ciebie. Wiesz, gdzie jest szkatułka? - zapytała i nie czekając na jego odpowiedź, dodała - tam - patrząc wysoko w niebo. Opuściła dłoń, w której trzymała sztylet - w moim Gnieździe.

- Wiedziałem, od samego początku wydałaś mi się podejrzana. Ty podła... - warknął Izmachel, ale urwał, gdy Aerie zrobiła tylko jeden błyskawiczny ruch. Tak szybki, że Jozue, patrząc spokojnie na ich rozmowę, nawet go nie zauważył, dostrzegł tylko, że na ostrzu noża, jaki trzymała Aerie, pojawiła się krew, a Izmachel powoli uniośł obie ręce i chwycił się za szyję. Powoli odwrócił się w stronę Jozuego i dopiero teraz zobaczył, jak z między jego palców wycieka krew. Charczał chwilę przez poderżnięte gardło, po czym osunął się na ziemię. Aerie, nadal stojąc oparta o wóz, popatrzyła na niego pogardliwie.

- Strasznie długo umieracie - powiedziała. Jozue wyszarpnął miecz z pochwy i wymierzył w nią ostrzem.

- Zabiłaś go!! - krzyknął - a ja ci ufałem!!

- Widzisz, może nie trzeba było - powiedziała z okrutnym uśmiechem na ustach i ruszyła w jego stronę.

- Nie ruszaj się!! - warknął Jozue - bo...

- Bo co? - przerwała mu z uśmiechem, zdecydowanym krokiem idąc w jego stronę. Jozue, z przerażeniem na twarzy, cofał się, cały czas mierząc w nią mieczem

- Nie zbliżaj się!! - uśmiechnęła się i zatrzymała. Delikatnie wciągnęła powietrze. Jak każda Skrzydłata, miała doskonały węch. I właśnie poczuła jego strach. Bał się jej. Uniosła dłoń i znów zaczęła bawić się sztyletem.

- Uwielbiam to - westchnęła, patrząc na niego z pogardą.

- Co... uwielbiasz? - wyjąkał Jozue, cały czas się cofając w stronę lasu.

- Zapach waszego strachu - powiedziała z okrutnym uśmiechem na twarzy i zrobiła jeden niewielki ruch ręką. Ostrze mignęło tylko w powietrzu i wbiło się w jego gardło. Jozue patrzył na nią z przerażeniem, czując, jak z każdą chwilą uchodzi z niego życie - bywaj zdrów - dodała, roześmiała się głośno i rozprostowawszy skrzydła, odleciała ku Gniazdu...

Tak, jak powiedział jej Skrzydlaty, spotkanie, jakie zarządził jej ojciec, rozpoczęło się w kilka chwil po zachodzie słońca. I z każdym kolejnym jego słowem Aerie czuła, jak dostaje gęsiej skórki. Oczywiście chodziło o pieniądze. Konkretnie - o kopalnie Kryształów, bo te znajdowały się w zasadzie tylko na terenach Aennoru i były własnością Skrzydlatych. Jednak przy wydobywaniu i obróbce Krysz-

tałów pracowały obie rasy - ludzie pracowali w kopalniach, kopiąc tunele i wyrywając ze skał kolejne Kryształły, zaś Skrzydlaci zajmowali się jedynie szlifowaniem wydobytych minerałów oraz wykonywaniem Kryształowych Artefaktów. Wszystkie gotowe Kryształły oraz artefakty były transportowane w Gniazdach Skrzydlatych do stolicy Aennoru, gdzie już przez ludzi, były rozprowadzane na cały Aennor oraz eksportowane poza granice królestwa. I chociaż to Skrzydlaci na długo przed ludźmi pojęli naturę Kryształów i znacznie później zaprosili ludzi do współpracy, to jednak zyskami dzielono się pół na pół. Aerie westchnęła. Nigdy nie rozumiała ludzkiej chęci posiadania. Sięgnęła do sakiewki i wyciągnęła mały krążek metalu z domieszką złota. Obróciła monetkę w palcach kilkakrotnie, by zobaczyć, jak odbija światło księżyca, wpadające do sali przez duże okna. Skrzydlaty, dowódca Górnego Miasta, zaraz się tą śmiertelnie groźną przypadłością. Porozumiał się z dowódcą, czy też, jak nazywali ich ludzie - burmistrzem Miasta pod Skrzydłami i wykorzystując wprawy mu Skrzydlatych z Górnego Miasta zamierzał wywołać wojnę, by zająć miejsce jej ojca i zasiąść na tronie Skrzydlatych. Westchnęła cicho. Zawsze uważała, że nazbyt częste przebywanie w towarzystwie ludzi jest szkodliwe. W tej sytuacji kara dla dowódcy Górnego Miasta mogła być tylko jedna. Ponieważ jednak, zanim doszłoby do ewentualnej kary, należało zdobyć inne dowody winy, poza dwoma listami, Król postanowił wykorzystać prawo, jakie sam ustanowił - Królewskie Gniazdo, bądź dowolne inne, pozostające pod rozkazami Króla i mające odpowiedni dokument, mogło dokonać drobiazgowej kontroli innego, nawet nie pozostającego pod rozkazami Króla, Gniazda. Inna sprawa, że nad ziemią Aennoru unosiło się około pięćdziesięciu Gniazd, z czego może cztery nie należały już do Sił Królewskich i Król szczylił się wielkim autorytetem także wśród wolnych Skrzydlatych. Tak więc jeszcze tej nocy wysłano z Królewskiego Gniazda sokoły z listami do pozostałych Gniazd, a Gniazdo Króla zostało skierowane w kierunku Miasta pod Skrzydłami...

W pobliżu Miasta pod Skrzydłami Królewskie Gniazdo doleciało w niespełna dwa dni. Aerie, stojąca na dziobie Gniazda, westchnęła. Popatrzyła na Górne Miasto, rozświetlone licznymi pochodniami. Jak każde Gniazdo, również i Górne Miasto było zbudowane na planie trójkąta równobocznego, w którego wierzchołkach znajdowały się duże Kryształły a w środku ciężkości całego Gniazda znajdowało się Kryształowe Serce. Gniada musiały być idealnie zrównoważone i każda najmniejsza zmiana, nawet najmniejszy nowy budynek musiał być doskonale przemyślany, by nie zaburzyć delikatnej równowagi. Zwykle Gniazda były takiej wielkości, by bez trudu zmieścić domy dla dwóch setek Skrzydlatych. Jednak w Górnym Mieście Aerie nie dostrzegła Kryształów Stabilizujących na trzech wierzchołkach trójkąta. Zapewne ich rolę przejęły trzy grube łańcuchy, utrzymujące Górne Miasto w stałym położeniu dokładnie nad miastem.

- Coś cię trapi? - zapytał jej ojciec, lądując tuż obok niej.

- Nie, ojcz. Zastanawiałam się tylko... gdy zniszczymy Serce, Górne Miasto runie na Miasto pod Skrzydłami. Tam będzie wiele śmierci.

- Żałujesz ludzi? - zapytał. Aerie uśmiechnęła się pod nosem.

- Ludzie, rzućni swoimi namiętnościami są jak pył, rzućni wiatrem. Nie żałuję. Żałuję, że musimy opuścić niebo Aennoru.

- Wiesz, że wojna doprowadziłaby do unicestwienia ich rasy. Kopalnie zostaną zamknięte. Zniszczymy moc Kryształów. Wysłałem już sokoły dwa dni temu. Nie ma odwrotu. Jutro, w czasie kontroli, zabierzemy dowódcę Górnego Miasta na nasze Gniazdo. Potem, zgodnie z prawem, pozbawimy Górnego Miasta Serca. Zajmiesz się tym.

- Dobrze, ojcz - powiedziała cicho Aerie.

Następnego dnia, wczesnym porankiem, sokoły, jakie zostały wysłane, powróciły i nadszedł czas realizacji planu. Do Górnego Miasta przyleciał Król Skrzydlatych wraz z Aerie i najbliższą ochroną. Aerie wyszła przed przybyłą grupą i popatrzyła gniewnie na strażników.

- Upadnijcie na kolana, przed wami stoi Król wszystkich tych, którzy dzielą niebo z ptakami - powiedziała z gniewem. Skrzydlaci nie padli na kolana, ale rozstąpili się, robiąc przejście, wcześniej nisko schylając głowy. Po chwili naprzeciwko Aerie stanął wysoki nawet jak na Skrzydlatego, brunet. Miał na sobie piękne, krwistoczerwone spodnie i koszulę tego samego koloru. Jego duże skrzydła wystawały zza ramion a przez lewe oko przechodziła czarna opaska - najwyraźniej Skrzydlaty utracił jedno z oczu. Aerie popatrzyła w jego twarz. Pamiętała go i teraz widok jego twarzy wprowadził ją w zdumienie.

- Abner, ty tutaj? - zapytała zdziwiona - i to jako dowódca Gniazda? - Abner był jej młodszym ledwie o chwilę bratem. Ona wyszła z łona matki, zmarłej tuż po ich narodzinach, chwilę przed nim, ale to wystarczyło, by wszyscy uznali ją za prawowitą dziedziczkę tronu. To ona, po śmierci ojca, miała zostać królową i jej roszczeni sobie prawo do tronu brat nigdy się z tym nie pogodził i znie-nawidził siostrę. Pewnego dnia napadł na nią, pragnąc ją zabić. Z tamtego wydarzenia pozostała jej niewielka szrama w miejscu serca a jemu czarna opaska na oku - życie Aerie uratował jej sokół, szponami wydrapując Abnerowi oko. Wtedy Abner porzucił własną rodzinę i Królewskie Gniazdo, gdy po tym incydencie ojciec go wydziedziczył i było już pewne, że to Aerie zostanie Królową Skrzydlatych.

- Owszem, siostrzyczko. Cóż takiego cię do mnie sprowadza? Czyżbyś się z mną stęskniła?

- Naturalnie, chciałam wiedzieć, co u ciebie, ale widząc, że jesteś przywódcą Gniazda, muszę stwierdzić, że radzisz sobie całkiem dobrze, braciszku - powiedziała Aerie z teatralnym uśmiechem. Słowa, słowa, słowa. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że jej brat ją nienawidził. A ona odpłacała mu tym samym uczuciem.

- Mój ojciec, a twój król pragnie porozmawiać z tobą w Królewskim Gnieździe - z satysfakcją patrzyła, jak jego mięśnie na twarzy napięły się, gdy usłyszał jej złośliwość. Po chwili jego usta ułożyły się w sztuczny uśmiech.

- A czy mogę zapytać o powód?

- Naturalnie - powiedziała Aerie - ścigamy Skrzydlatych podejrzewanych o napady. Rutynowa kontrola. Chcemy sprawdzić twoje listy załogowe - dodała. Popatrzył na nią zaskoczony i w jej hebanowych oczach zobaczył satysfakcję. Westchnął nieznacznie i ponownie poczuł ukłucie nienawiści.

- Górne Miasto już dawno utraciło status Gniazda - powiedział - wiesz o tym, Aerie. Nie prowadzę takiej listy.

- Wiem - powiedziała, nawet nie starając się ukryć satysfakcji w głosie - ale zmieniłeś status Gniazda bezprawnie. Musisz więc odpowiedzieć na kilka pytań - zwiesił głowę z rezygnacją, po czym popatrzył na jednego z towarzyszących mu Skrzydlatych. Z jego spojrzenia można było wyczytać rozkaz - „wiesz, co masz robić.”

- Zatem lećmy - powiedział i po raz pierwszy od początku rozmowy z Aerie spojrzął na ojca. Twarz Króla Skrzydlatych była jednak nieprzenikniona. Aerie uśmiechnęła się z ironią, po czym wraz z bratem, ojcem oraz resztą Skrzydlatych chroniących króla odleciała...

Gdy tylko Abner dotknął bosymi stopami dziedzińca Królewskiego Gniazda, dobiegli do niego strażnicy i na jego skrzydła, tak, by nie mógł latać, nałożyli łańcuchy.

- Co to ma znaczyć? - szarpnął się - puśćcie mnie natychmiast!!

- Idziemy, braciszku - powiedziała gniewnie Aerie i pchnęła go. W ledwie kilka chwil później znalazł się już w niewielkiej komnacie wewnątrz Gniazda.

- Aerie, czy możesz mi to wyjaśnić? - zapytał Abner, gdy przez strażników został brutalnie posadzony na krześle. Jęknął cicho, gdy grube łańcuchy mocniej nacisnęły na jego skrzydła. Król, obecny w sali, rzucił na stół listy, odebrane kupcom. Abner popatrzył na nie, zaskoczony. Po chwili sięgnął po nie i szybko przeczytał. Uśmiechnął się pod nosem i z rezygnacją rzucił oba listy na stół.

- Zatem już wiesz - westchnął, czując, że jego plan właśnie zyspał się w pył.

- Wiemy - powiedział Król i popatrzył na niego. Abner odważnie patrzył mu w czarne oczy.

- Jaka będzie kara? - zapytał z nadzieją w głosie.

- Doskonale wiesz - powiedziała twardo Aerie - już więcej nie będziesz latał.
- Zabijcie mnie od razu - jęknął Abner - ale nie pozbawiajcie skrzydeł.
- Utracisz skrzydła!! - powiedział Król - twoje Gniazdo runie. Na miasto. A wszyscy Skrzydlaci odlecą za morze, zostawiając kopalnie zalane wodą. Ludzie nie dorośli jeszcze do współistnienia z nami.
- Nie możesz...
- Może - przerwała Abnerowi Aerie - i ty doskonale o tym wiesz.
- Aerie, należy złożyć odpowiednie dokumenty, tak w Górnym Mieście, jak i w Mieście pod Skrzydłami. Zajmiesz się tym.
- Naturalnie, ojcze - powiedziała i wyszła z komnaty...

Miasto pod Skrzydłami jako chyba jedyne ludzkie miasto nie miało rozciągniętej siatki. Aerie mogła więc wylądować tuż przed drzwiami prowadzącymi do bogato wyglądającego domu gubernatora miasta. Jednak, gdy tylko jej bosa stopy dotknęły bruku, zjawili się wokół niej strażnicy. To ją trochę zaskoczyło, spodziewała się, że mieszkańcy Miasta pod Skrzydłami nawykli do Skrzydlatych. Wolnym ruchem uniosła krótki rękaw niebieskiej koszuli. Po mieczu, przebijającym Skrzydlatą koronę, nie było ani śladu.

- Pochodzę z tamtego Gniazda. Jeżeli się jeszcze nie domyśliłeś, to powiem, że to jest Królewskie Gniazdo. Mam ważny dokument dla dowódcy Miasta pod Skrzydłami - powiedziała strażnik stojący najbliżej niej, popatrzył na nią podejrziwie, po czym popatrzył w niebo. Istotnie, blisko Górnego Miasta unosiło się Gniazdo. W końcu żołnierz pchnął drzwi i gestem zaprosił ją do środka. Kazał jej czekać, a gdy uprzedził gubernatora o jej przybyciu, mogła wejść. Gubernator, człowiek w wieku czterdziestu z górką lat, popatrzył na nią krytycznym wzrokiem.

- O co chodzi?

- Nie mam zbyt wiele czasu, więc powiem krótko. A w zasadzie... Pokażę - powiedziała i rzuciła na stół zwinięty dokument. Gubernator rozwinął list informujący o karze nałożonej na Górne Miasto i sugestii ewakuacji Miasta pod Skrzydłami, przeczytał go i popatrzył na nią rozgniewanym wzrokiem.

- Nie możecie tego zrobić!! - krzyknął gubernator - to jest... nieludzkie.

- Możemy. Na mocy porozumienia Królów.

- Ale w Mieście Pod Skrzydłami stale przebywa około tysiąca ludzi!! Oni zginą, gdy Górne Miasto runie - Aerie wzruszyła ramionami.

- Zwróć uwagę na to, że mieliśmy prawo zrobić to, nie udzielając wam żadnego ostrzeżenia - powiedziała.

- Nie możecie!! - krzyknął gubernator - to jest... nieludzkie.

- Na szczęście... - powiedziała i pochyliła się ku niemu. Zauważyła, że nie mógł oprzeć się pokusie zerknięcia w jej dekolt -... my nie jesteśmy ludźmi - dodała i odwróciwszy się na pięcie, ruszyła do drzwi.

- Zaczekaj - powiedział, a Aerie zatrzymała się w połowie kroku i odwróciła. Popatrzyła mu w oczy wyczekująco. W tej chwili wydały mu się puste i zimne - ile mamy czasu?

- Właśnie w tej chwili udaję się do Górnego Miasta, by powiadomić jego mieszkańców o naszej decyzji i zniszczyć jego Kryształowe Serce - powiedziała z uśmiechem.

- Cóż, w tej sytuacji... - westchnął - straż!! - po jego krzyku do pomieszczenia wpadło dwóch żołnierzy - proszę nie dopuścić, by ta Skrzydłata opuściła Miasto pod Skrzydłami - wydał rozkaz - związać ją i... - zastanawiał się chwilę, po czym dodał, z okrutnym uśmiechem na ustach - połamać jej skrzydła - pierwszy z dwójki żołnierzy ruszył odważnie w jej stronę, lecz powstrzymała go jednym, celnym kopnięciem. Drugi z żołnierzy zawałał się, a Aerie wykorzystała to i podeszła do biurka, za którym nadal siedział gubernator.

- Jestem córką Króla i prawowitą następczynią tronu. Myślę, że rozkaz uwięzienia mnie, a tym bardziej połamania moich skrzydeł, byłby najgłupszą rzeczą, jaką byś uczynił w swoim życiu. Dodam także, że ostatnią - powiedziała, patrząc mu w oczy - poza tym już za samą taką groźbą mój ojciec kazałby tak cię torturować, że sam odgryzłbyś swój język tylko po to, by umrzeć - dodała - kara jest nieodwołalna. Sądziś, że tylko ja potrafię zniszczyć Kryształowe Serce? Zamiast mi grozić, ogłoś ewakuację miasta. Macie czas do zachodu słońca - szybko odwróciła się i ruszyła do drzwi. Wystarczyło tylko, że spojrzała na żołnierza, a ten odsunął się, robiąc jej przejście...

Gdy tylko dotknęła bosymi stopami dziedzińca Górnego Miasta, pojawili się obok niej strażnicy.

- Gdzie Abner?? - zapytał jeden z nich.

- To ciebie wyznaczył na swojego zastępcę?? - zapytała gniewnie Aerie.

- Owszem. Co się dzieje? - w milczeniu podała mu list od króla, w którym była informacja o nałożeniu na Górne Miasto Kary Upadku. Patrzyła, jak twarz Skrzydłatego zaczyna błędnąć. Popatrzył w jej oczy.

- Aerie, jaka kara nas spotka? - zapytał. Kąciki jej ust uniosły się nieznacznie w górę w pogardliwym uśmieszku.

- Król okazał wam łaskę. Skaże was na miesiąc więzienia. Tylko Abner utraci skrzydła - powiedziała. Skrzydlaci popatrzyli na nią z przestachem. To była najcięższa kara, z jaką mógł się spotkać Skrzydłaty. Łatwo odgadła, co pomyśleli - tak, to Abner poniósł największą odpowiedzialność za bunt waszego Gniazda. Proszę zastosować się do rozkazu - dodała, patrząc wymownie na dokument - wróć tutaj - rozłożyła skrzydła i odleciała w stronę Królewskiego Gniazda...

Niebawem wszyscy Skrzydlaci mieszkańcy Górnego Miasta zostali zakwaterowani na Królewskim Gnieździe i każdy z nich miał już założone kajdany na skrzydłach. Na miesiąc. Wszyscy zebrali się na głównym dziedzińcu. Król stanął na samym środku i popatrzył na zebranych.

- Wszyscy doskonale wiedzą, dlaczego jesteśmy tutaj - powiedział spokojnie, ale na tyle głośno, by każdy mógł go usłyszeć - zebraliśmy się tutaj, by zobaczyć, jaka kara spotka każdego z was, który łamał będzie nasze prawo. Obecny tutaj Skrzydłaty, imieniem Abner, został oskarżony o spiskowanie przeciwko Sprzymierzeniu Królów, za co należy się najwyższa kara - w tej chwili tłum rozstał się i w przejściu pojawili się trzej Skrzydlaci, a dwaj z nich trzymali łańcuchy, przypięte do rąk Abnera. Szedł spokojnie, ze zwieszoną głową - zgodnie z mocą nadaną mi wyznaczonym przez nas prawem, skazuję tego tutaj Abnera na utratę skrzydeł - dwaj skrzydlaci zatrzymali się i do Abnera podszedł inny Skrzydłaty, w czarnym kapturze na głowie, kryjącym twarz. Skinął na towarzyszących mu Skrzydlatych. Dwaj z nich chwycili skrzydła Abnera i zmusili go do położenia się na dziedzińcu, a trzeci, ten w kapturze, opierając mu stopę na plecach, przycisnął go do kamiennego dziedzińca.

- Z mocy nadanej mi przez prawo - powiedział kat - pozbawiam cię obu skrzydeł - dodał, unosząc rękę. W dłoni trzymał długi miecz. Gdy Skrzydłaty mocno wyciągnął skrzydło Abnera, ciął mocno. Krew chlusnęła szeroko, a ciszę przerwał głośny krzyk. Abner uniosł głowę i popatrzył w oczy stojącej niedaleko Aerie. Zauważyła w jego wzroku błaganie o litość. Odwróciła wzrok i przymknęła oczy. Spod jej powiek spłynęły dwie łzy. Współczuła bratu, choć z drugiej strony wiedziała, że w pełni zasłużył na tak srogą karę. I rozumiała teraz, dlaczego jej ojciec odnosił się z taką niechęcią wobec wszelkich kontaktów z ludźmi. Po chwili świst powietrza rozległ się ponownie i ponownie zebrani usłyszeli krzyk, choć nie tak już głośny. Łańcuchy zostały zdjęte i Abner leżał chwilę, walcząc z bólem. Wreszcie wstał i jęknął, gdy odruchowo poruszył krwawiącymi pozostałościami jego skrzydeł. Popatrzył na swoje skrzydła, leżące u jego stóp i spod jego powiek spłynęły dwie łzy. Kat oddał miecz o pozłacanym ostrzu, używanym tylko do tego jednego celu, dwóm młodym pomocnikom, po czym podał Abnerowi sztylet. Ten odebrał go z jego rąk i popatrzył w swoje złote odbicie w jego kłindze. Teraz mógł zakończyć swój żywot. Ostatnia łaska króla. Zawsze wyglądało to tak samo. Najpierw odcięcie skrzydeł, a potem łaskawie wepchnięta w dłonie broń. Abner popatrzył w oczy ojca, ale ten nawet nie drgnął. Rzucił sztylet pod stopy kata i odwrócił się. Ruszył w stronę krawędzi Gniazda. Tłum rozstał się w milczeniu. Gdy od przepaści dzielił go zaledwie krok, Abner

odwrócił się.

- Aerie!! - krzyknął. Jego siostra wyszła z tłumu, ale po chwili odwróciła głowę, nie patrząc na niego - patrz na mnie - syknął ze złością - pokaż, że jesteś na tyle twarda, by być godną tronu - dodał. Popatrzyła na niego ze złością, a z jej oczu spływały kolejne łzy - patrz na mnie - powtórzył Abner i uśmiechnął się. Po czym przymknął oczy i odchylił się do tyłu. Stracił równowagę i spadł. Tłum westchnął cicho. Aerie podeszła do krawędzi i patrzyła w dół. Obok niej wylądował ojciec.

- Już czas, Aerie - powiedział spokojnie, podając jej niewielką torbę. Skinęła głową i przewiesiła torbę przez ramię, po czym zerwała się do lotu. Spojrzała w dół. Z Miasta pod Skrzydłami spokojnie wyjeżdżała karawana wozów. Wiedziała, że pewnie wielu mieszkańców nie zdąży, ale prawdę mówiąc, niewiele ją to obchodziło. Szybko wyleciała nad Górne Miasto i dojrzała Żrenicę. Było to szeroki, okrągły otwór, przez który wpadało słońce wprost na Kryształowe Serce. Uśmiechnęła się pod nosem. Żrenica była maksymalnie otwarta. Złożyła skrzydła i szybko zaczęła opadać. Stał dojrzała zbyt późno. W Żrenicy była włożona krata, zasłaniająca wejście. Szybko złożyła zupełnie skrzydła i docisnęła je z całej siły do ciała. Przeszła przez kratę, lecz poczuła na skrzydłach dotknięcie metalu. Gdy stanęła tuż obok Serca, ujrzała kilka jej piórek, opadających powoli spod kraty. Uśmiechnęła się pod nosem. Odrusnęła. Popatrzyła na Serce. Ogromna, szklana kula, na stałe przymocowana do głównych fundamentów Gniazda, w której środku unosiła się mniejsza kula, w całości wykonana z Kryształów. Serce było ogromne, prawie dorównywało jej wysokością. Dojrzała na szczycie szklanej kuli mały punkt. Szybko uniosła się na skrzydłach nad Serce i wyciągnęła sztylet. Mały, okrągły otwór w górnej części Serca był zasłonięty szklaną pokrywką. Jednym uderzeniem ostrza rozbiła ją. Usłyszała świst powietrza. To dlatego, że wewnątrz szklanej kuli poza Kryształami nie było niczego. Nawet powietrza. Wynikało to stąd, że w powietrzu zawsze znajdowała się wilgoć, która niszczyła moc Kryształów. Po prostu, woda, gdy zetknęła się z Kryształami, przejmowała ich moc. Gdy szklana kula wypełniła się już powietrzem, Aerie wyciągnęła z torby niewielką, szklaną sakwę w całości wypełnioną wodą. Przyłożyła do otworu i spokojnie wypełniła Serce wodą. Schowała sakwę do torby i czekała. Woda dokładnie otoczyła Kryształy, połączone razem w kulę i powoli przejmowała ich moc. Na razie Kryształy złożone w kulę nadal unosiły się przy samym szczycie szklanej kuli, unosząc cały statek, ale wiedziała, że to zmieni się za kilka chwil. Wreszcie kryształowa kula opadła na dno, a woda zaczęła uciekać przez otwór, lecąc prosto w górę. Niemal natychmiast Aerie poczuła, jak Gniazdo zaczyn opadać. Szybko ruszyła ku Żrenicy i znów tracąc kilka piór, przecisnęła się przed kratą. Unosiła się nad Gniazdem, które zaczynało spadać coraz szybciej. Słyszała już brzdęk łańcuchów, które nagle przestały być napięte. Huk aż ją zaskoczył. Gniazdo runęło na Miasto pod Skrzydłami, ale wtedy nie widziała już nic, poza wielką chmurą pyłu uniesionego upadkiem. Szybko zawróciła do Królewskiego Gniazda, które już powoli leciało na zachód...

Niespełna miesiąc później...

- Kopcie szybciej, u licha - powiedział mężczyzna. Był naczelnikiem kopalń Kryształów i był wściekły. Ledwie tydzień wcześniej Skrzydlaci zawaliłi kopalnię i co gorsza, zalali je wodą z dużego jeziora. Poza tym ostatni ładunek Kryształów, transportowany na Gniazdach do stolicy, nigdy tam nie dotarł. Skrzydlaci nagle zwinęli skrzydła i odlecieli ku zachodowi. Popatrzył raz jeszcze na prawie dwudziestu górników, próbujących odsłonić wejście do kopalni.

- Robimy, co możemy - powiedział jeden z górników - ale to nie jest zwykłe zawalenie się wejścia - dodał - runął cały korytarz prowadzący do głównej hali. Jesteśmy dopiero w jego połowie.

- Musimy uratować choć część Kryształów - powiedział naczelnik - inaczej król skróci mnie o głowę - warknął - kopalnie muszą ruszyć!! Skrzydlaci odlecieli ponoć za morze i pewnie za szybko nie wrócą.

- Robimy, co możemy - odezwał się znów górnik - ludzie pracują bez przerwy. Ale odsłoniłismy ledwie połowę tunelu. Jeszcze dzień, może dwa dni i dojdziemy do głównej jaskini. O ile również nie runęła - westchnął górnik. Dalszą rozmowę przerwał im krzyk z tunelu, rozświetlonym pochodniami.

- Woda!!

- Nareszcie!! - powiedział naczelnik z uśmiechem na twarzy - będziemy mogli odsączyć całą wodę z kopalni - dodał. W tej chwili z tunelu wyszła grupa dwudziestu paru górników i ze zniechęceniem siedli na trawie, rzucając kilofy gdzie popadnie - co się dzieje?

- zapytał naczelnik.

- Kopalnia utracona - powiedział jeden z nich - przekłęci Skrzydlaci dokładnie wiedzieli, co i jak zaważyć, by z kopalni nie dało się już więcej skorzystać - warknął.

- Jak to? - zapytał naczelnik, patrząc na kopalnię.

- Tak to - powiedział górnik - woda w kopalni stała wystarczająco długo - dodał i także popatrzył na kopalnię. Właśnie przy wejściu pojawiła się woda, płynąca... po suficie tunelu. A gdy tylko wypłynęła z tunelu, zaczęła lecieć prosto w niebo. Naczelnik zaklął.

- Cóż więc, chyba ludzie muszą odłożyć myśli o lataniu na jakiś, obawiam się, że dłuższy, czas. Nawet nie chcę myśleć, co się teraz będzie działo na rynku. Kryształy staną bardzo cennym towarem - powiedział - idę napisać odpowiedni raport dla króla...

- westchnął.

MarcinD

marcindrozd@poczta.onet.pl

Woda lała się z szumem, spadając do srebrzystej miski. Nad nią unosiły się dłonie walczące z mydłem pieniącym się obficie. Gruba piana, pod wodę - i jeszcze raz. Aż skóra przypominać będzie zeschniętą miąższ.

Nabrał lodowatą wodę w dłonie; zanurzył w niej twarz. I jeszcze raz. Stoi tu przed lustrem, krew ścieka jeszcze z brody.

Ale to nie on jest ranny. Nie jego krew na palcach. Krew. Zauważył ją w lustrze - znów pod wodę, znów mydło.

Wychodzi z kuchni. Wyciera ręce; kleją się nieprzyjemnie, oblepione syfem z ręczników.

Zabił.

Zabił wcześniej. Zabił brutalnie, aż krew wytrysnęła z czaszki i ściekła po dłoniach i koszuli. Koszulę spalił w piecu. Ręce wymył.

Dobrze.

Nie chciał zabić, tłumaczył sobie. To nie on chciał zabić. To wszystko wyjaśnia.

Zabił, ponieważ tak mu kazano. To nie tylko głosy, nie tylko one; polecenie pojawiało się w trakcie dnia. Na etykietach, które nagle czytał robiąc zakupy. W strzępkach prawie podsłuchanych zdań.

Chciano, by zabił.

W pokoju stoi wiele luster. Jednym z nich jest tafla ekranu telewizora, innym - kwarcowe szkiełko zegarka.

Idzie przez pokój. Przesuwają się powykrzywiane odbicia; on ogląda się w nich po wielokroć. Wyciera ręce o spodnie.

Podchodzi do okna. Firanki zerwał parę dni temu. Był zły. Był wściekły. Teraz spokój.

W przestrzeni okna otwiera się podwórze; wyschnięte drzewko stoi obok piaskownicy. W niej bawi się dziecko sąsiadów. Szersze perspektywa odpręża. Stojąc w oknie rozciąga mięśnie twarzy, aż coś przeskakuje z chrupotem w szczęcie. Rozciąga ramiona; liny mięśni przesuwają się pod skórą.

W mieszkaniu stoi fotel.

Człowiekowi trzęsą się nogi; to ze zmęczenia, myśli. Jego stopy potrzebują odpoczynku. Wraca więc do pokoju i siada.

Czas mija w chwiejnych ruchach pyłków kurzu.

Bezszelestny spokój. Przez krótką chwilę człowiekowi jest dobrze. Pozwala sobie nawet zamknąć oczy. W cichym mieszkaniu rozbrzmiewa miękki tupot nóg. To mógłby być kot. To jednak tylko myszka; wychyla łebek spod komody. Siedzący w fotelu zdaje się śnić.

Jednak nie teraz. Myśli.

Myszka zdaje się nasłuchiwać wiadomości.

Siedzący w fotelu człowiek nic nie mówi; podnoszą się wolno ramiona w takt kolejnych sennych oddechów.

W pokoju jest jeszcze radio; jest brąz starego drewna zmieszany z serwetką, na której stoi. Matowe pokręta i przyciski.

Martwa igła skali.

Człowiek momentalnie się ocknął; zrywa się, dyszy ciężko. Nie daje się mu spać. Wstaje więc i zmierza do lodówki.

Pije łapczywie przeżarte zimnem mleko. W kuchni są lustrzane ostrza noży; wiszą nad srebrzystymi powierzchniami naczyń. Stoi tu opiekacz; jest i mikrofalówka. Gdy jego wzrok pada na jedzenie znajdujące się w lodówce, dociera do niego, iż odczuwa głód. Głosy szepczą: zjedz.

Więc je. Nie traci rezonu nawet, gdy widzi swą twarz odbitą od rączki lodówki. Kiedyś nie chciałby uwierzyć; dziś nie dziwi go, jak teraz wygląda i jak bardzo zmienił się w ciągu swojego krótkiego życia.

Krótkiego. Nie pamięta zbyt dobrze niczego, czego pamiętać nie musi.

Wie, co jego znajomy robił parę godzin temu. Ach, no tak. Przecież go zabił. W niepamięć więc.

Pamięta początek życia; nie dalej niż tydzień temu obudził się zziębnięty na podziemnej stacji metra.

Zamyka lodówkę. Co teraz? Cisza w mieszkaniu nie odpowiada niczego dobrego. Nie spłukał dokładnie krwi; już chce wziąć papierowy ręcznik, gdy dociera do niego, że lepiej zrobić to wodą.

Ciśnienie wypycha spienioną przezroczystą ciecz z kranu. Wyciera palcami zlew, obmywa je. Zakręca wodę.

Trzeszczą mu stawki.

Wraca do pokoju. Jest tu stół; na nim leżą gazety i flamastry. Zauważył, że lubi rysować. Nie szukał długopisu czy ołówka; nie czuł takiej potrzeby. Wystarczyły flamastry.

Rysował kółka, owale, kwadraty. Postacie z kresek. Trawy i drzewa.

Nie czuł się wcale z nich dumny. Nie lubił tego, co narysował; liczyło się rysowanie. Czynność.

Przysuwa do siebie stół; flamastry cicho rozsypują się po blacie. Siada na fotelu. Nie chce już rysować.

Zabił?

Nie jest pewien.

(Krew?..)

Przegląda gazety. Pozbawione sensu i treści obrazki. Wykrzywione twarze, głęboko naciągnięte kapelusze i hełmy. Słonie stojące na trawie... nie, to tylko zabawki. Więc i reklamy tu są.

Wzdycha. Jest zmęczony.

Nie, jednak zabił.

Pamięta własne ręce i obcą szyję; obce oczy, obce słowa. Dotyka własnych ust, by potwierdzić swoje przypuszczenie o ich istnieniu. Rusza językiem. Własne palce smakują solą; zdążyły się już spocić. Przypomina sobie, co warto byłoby wypowiedzenia.

- Ja.

Więc mówi. Więc tak brzmi własny głos.

Prawie że obco... no tak, nie zdziwił się nawet.

Nie było powodu.

W mieszkaniu docierało chwilami do niego cykliczne cykanie zegarów; zegarów, których szkiełka tak doskonale skręcały i wypaczały obraz rzucony w skrócie perspektywy; oko olbrzyma, wraz z uciekającą gdzieś w dół twarzą, wyszponiała dłoń, z palcami niby pnąca lub ciernie, zmarszczone czoło, którego spiętrzone fałdy skóry potężnieją wraz z odległością do tafla.

Są tu Zegary i zegary; jeden z nich leży na stole. Cyka uprzejmie, przesuwają się wskazówki. Cyk, cyk, cyk, w szeptanym rytmie.

Aż serce wypełnia się strachem przez złowieszczą ciszę.

W mieszkaniu jest i człowiek; pochylony nad stołem, bawi się naręcznym zegarkiem. Uśmiecha się.

Światło padające przez zatłuszczony judasz rozpełza się po pokoju. Miękkie cienie wyławiają z ciemności jedynie nos i błyskające oczy człowieka; słysząc szep.

Unosi w nagłym zainteresowaniu głowę; wpatruje się w przedpokój, jakby zaintrygowany czyimiś odwiedzinami. Wstaje powoli, nogą odsuwając stół.

Za drzwiami coś skrzypiało; tak skrzypią buty ze skóry.

Człowiek przygarbił się, a twarz poważnieje; jest więcej maską niż skórą powłoką, od szaleństwa do rozkoszy przekładały się moduły kształtów. Jak stalowe puzzle, zazębiające się bezszelestnie.

- Proszę poczekać. - rzuca w głuchą przestrzeń. Nie porusza się.

Zobacz, szepcze Głos. Człowiek idzie do drzwi. Odczuwa ogarniający go smutek. Podchodzi. Przystawia ucho do drewna drzwi. Cisza. Przesuwa głowę do wizjera; wybałuszone jasne schody. Niczego więcej nie widać. Otwiera jedną ręką zamek; pierwszy, drugi. Ciągłe patrzy przez wizjer; nie poruszył się nawet kurz. Trzeci zamek otwiera się jakby od niechcenia. Szpara między drzwiami i framugą wlewa do środka mieszkania światło. W przedpokoju znajduje się kolejne lustro; człowiek widzi własne odbicie, z wpółotwartą buzią i przytulonym do drzwi policzkiem. Są tu także trzy pary butów. Wpuszczone światło migocze; człowiek otwiera drzwi na oścież i przekonuje się, że rozchwiane jest tylko przez gałęzie, filtrujące je zza okna. Zamyka drzwi, by rozejrzeć się uważniej po przedpokoju. Pamięta, gdzie było lustro i jak stały buty; podchodząc obmacuje niepewnie własną twarz. Skóra znów nabrała elastyczności. Człowiek przypatruje się sobie. - To ty?... - pyta. Odpowiada mu cisza. Z tej perspektywy spogląda na pokój. Nie jest to babciny salon, w który mruczający kot bawiłby się z czymś wnuczkiem. Nie jest to tryumf ilości sprzętów. Jest tu to, co być powinno. Głosy podszeptują w nieznanym języku. Człowiek wchodzi do pokoju. Na stole jest popielniczka. Nie wydaje mu się, by była tu wcześniej. Jednak nie ma przypadku. Człowiek podchodzi i ogląda przedmiot; ciężkie, matowe szkło. Sam nie wie, czy lubi palić. Obszukuje kieszenie spodni; nie, popielniczka jest tu z gościnności. Znalezione w kieszeniach klucze mogą być jednakże użyteczne; ornamentowany metal przypomina relikwie. Nie pamięta ich. Pamięć jest zabawna; człowieka stojącego w pokoju rozśmiesza absurd niepamięci. Nikt nie pamięta tego, co mógł zapomnieć. Pamięta myte ręce i twarz. Człowiek zaczyna okrążyć pokój; płaski owal jego drogi nie omija sprzętów, burząc rytm równych kroków. Człowiek w pokoju zastanawia się, co pamięta. Pamięta podziemną stację metra. Puchową kurtkę, którą miał na sobie. Zimne elektryczne światło. Pamięta również śnieg na zewnątrz. Czy jest zima? W co było ubrane dziecko sąsiadów, bawiące się w piaskownicy? Wyschłe drzewo nie mogło i tak mieć liści. Tak, możliwe, że jest zima. Co pamięta, pyta siebie. Tryskającą z oczodołów krew. Nie, to nie wspomnienie; to wyobrażenie, śmierć nie jest taka. Kolejno; co pamięta. Kobiety. Tak, to pamięta doskonale. Siła i koloryt wspomnień aż zatrzymują go w półmroku, w uniesieniu stopy, z nieskończonym oddechem. Kobiety brudne, wulgarne, nagie, ubrane, sapiące i płaczące ze szczęścia. Umalowane i te, których uroda nie potrzebowała przybrania w kolory. Kobiety, a może kobietę. Jedną. Jedną?... Potrząsa głową; nieważne, choć niepamięć go irytuje, aż wydyma w nadąsaniu usta. - Tutaj, tutaj! Pamięta! Jest więc stacja metra, och, jest i odpływające w mrok światło, ze świstem powietrza i szumem szyn. Teraz pamięta. Zziębnięty poszedł do przybytku rozkoszy, by znaleźć kogoś ciepłego. W nagłym przypomnieniu ogarnia go zakłopotanie i przez moment rogląda się po pokoju. Ale nie ma się przed kim wstydzić. To zegary cykają cicho. Pamięta. Kobieta była dla niego; miał portfel. Miał i pieniądze. Były szepty Głosów. Nie pamiętał jej twarzy. Zabił ją?... nie, nie zabiłeś, nie pamiętasz?... nie ja, tłumaczy sobie, nie ja, nikogo nie zabiłeś (krew) krew, krew, KREW Uspokój się. Uspokój i weź w garść. Człowiek nie chciał być w tym pokoju. Głowa zaczęła mu ciążyć. Był zmęczony. Przeszedł do kuchni. W szafce nad zlewem znalazł kawę i herbaty. Stały w nieopisanych puszkach. Wyciągnął pierwszą w brzegu; herbata zapachniała mocno i ciężko. Wstawił pełen czajnik; woda spływała do niego cicho szemrzając. Oparty o blat białego kuchennego stołu, stanowiącego jednocześnie swoistą mozaikę kolorowych szkielek, starał się skupić myśli. Czuł się zmęczony, co wraz z przejmującą świadomością niedawnego przebudzenia i słodczy krótkiego odpoczynku dawało piorunujący efekt. Przykląkł i oparł się plecami. Drewno zaprotestowało cicho. W kuchni są niebieskie ściany. Powinny uspokajać, jednak obecny w niej człowiek spokoju wcale nie czuje. Czeka na wrzątek. W tym samym czasie wędruje gdzieś wśród przymglonych wspomnień, układających się w chaotyczny ciąg przyczyn, skutków i wszystkiego pomiędzy. Pamięta swoje stopy. Były bose, nagie? Nie; buty zostawiały ślady na śniegu. Więc jednak był śnieg? Tak. Prawdopodobnie. Należy przyjąć, że był; zazębi to mocniej kolejność wspomnień. Do człowieka, teraz siedzącego w kuchni, dociera, że ogląda swoje dłonie. Wzdryga się przed tym, jak przed złą wróżbą. (czy słyszałem kiedyś wróżbę, jakąkolwiek? Tak? Nie? Słyszałem?...)

Opuszcza dłonie na kolana. Wpływa we wspomnienia. Dobrze; więc burdel. Byłem tam, dwa węzły życia - stacja metra i burdel. W burdelu miałem kobietę; jedną, chyba, nieważne! Było to tydzień temu. Był to wieczór, (dlaczego wieczór?) bo pamiętam latarnię, pamiętam kobietę, tak, to też się wiąże. Banał. Człowiek wstaje, zniecierpliwiony czekaniem na wrzątek. Bawi się jabłkiem; leżało wraz z innymi owocami w koszu na blacie kuchennego stołu. Człowiek przerzuca je z ręki do ręki. Nagryza je. Całkowicie nowy smak, nigdy wcześniej przecież... Z pokoju dobiega miarodajne bicie serca zegara. Nie liczy uderzeń od początku, jednak wydaje się, że to popołudnie. (Kiedy zabiłem...?) Woda wrze; czajnik gwiżdże przejmująco. Człowiek zalewa herbatę. Wraca z nią do pokoju. Stół i fotel, w raczej chaotycznym układzie, wydają się być mimo wszystko znacznie bliższe i naturalniejsze. Człowiek zerka jeszcze do przedpokoju. Judaszowe światło sączy leniwie odbicia na zwierciadłach. Największy z zegarów, wsparty dwiema kolumnkami, pokazuje czwartą po południu. Zwierciadła przesyłają przez całe mieszkanie światło; ugięte na kolejnych taflach odbija się w bliską nieskończoność, tak, że nawet

przedpokój zdaje się być przyjemnie szarawy.
Choć szarawy nie jest; czerwone ściany przypominają
(krew)
mięsz grejpfruta, pozbawiony tego charakterystycznego fioletu.
Człowiek stoi tak na progu kuchni i pokoju, sycąc się spektaklem światła. Głosy szepczą prawie niesłyszalnie, niezauważalnie.
Jednak coś błyszczy, tam, w głębi.
Twarz człowieka znów zamienia się w maskę; fuzje posępności i uważnego wzroku z precyzją rozłożyły cienie na jego twarzy.
W lewej dłoni trzyma herbatę.
Naczynie zaczyna go parzyć; przytomnieje on na chwilę i odkłada szklanke.
To głębia przedpokoju tak nęci; jej nie rozświetlają odbite światła. Zastąpił im drogę; część pomieszczenia ma złamaną perspektywę, zamiast drzwi - czernieje przestrzeń.
Nie, myśli człowiek, to nie czerń bez dna - tam coś błyszczy, to raczej głęboka szarość, może granat, bliski czerni fiolet - ale nie otchłań.
Postępuje krok. Drugi.
Zbliży się do drzwi. O krok, o dwa.
Przestępuje próg przedpokoju. Wcześniej były tu cztery kroki chłodnej podłogi - teraz przed wzrokiem otwarta przestrzeń. Człowiek wchodzi, głębiej, głębiej. Obraca się; pokój tak daleko. Spłaszczyl się, jak przeniesiony na płótno; toż to nawet zegary zatrzymane w ruchu. Przestrzeń jednak woła silnie, zaklina magią: to pomost raczej, a po bokach podsycana czerwienią przestrzeń, wpadająca w głuche przestworza.
Człowiek boi się; strach silniejszy niż kiedykolwiek ustępuje miejsca przerażeniu, które wydobywa się z gardła, mrozi ciekłym azotem serce.
Długi prosty pomost podparty jest nieskończonym mechanizmem; on przypomina bezładną mieszaninę kół zębatych, nachodzących na siebie, obracających się nawzajem w wielkim łańcuchu drapieźców.
Gdzieniedzie koła wystają ponad kładkę. Wydać wyraźnie, że rdza wyżarła w nich szczerbate żłobienia. Trk-trk-trk, wraz z kolejnym obrotem.
Człowiek idzie; stąpa ostrożnie. Zastanawia się, czy nie lepiej jest się czołgać, wzorem robaków; zbyt wielki jest lęk przed przestronią.
Nad jego głową przewieszone wahadła w wielorybich ruchach. Z kolejnym wychyleniem rozbrzmiewa ciężki odgłos dzwonu; tak pięć razy. Po ostatnim zostaje tylko echo.
Wtedy człowiek zbliży się do szerokich schodów. Za nimi metal; to on tak błyszczał.
Nachodzące na siebie, zazębiające się kręgi metalu. Gdy człowiek zbliży się, listwy rozchodzą się, rozstępują.
Coś rusza się w głębi.
Powoli, przez próg metalu przeczołguje się macka.
To raczej zwoje macek ośmiornicy; przyssawki pulsują w skurczach, rozwierają się, rozpierają, by zaraz - opaść, rozprężyć.
Człowiek patrzy na to z przerażeniem. Kręgi rozstępują się coraz bardziej.
Krok w tył. Jeden.
Coś błyska złym blaskiem wielkich źrenic przez otwór.
Coś mruczy w nieznanym gaworzeniu nowonarodzonych. Słysząc złość i wstręt.
Człowiek odwraca się i biegnie przez pomost.
Przez próg przedpokoju przeskakuje, jak gdyby była to wysoka przeszkoda; w biegu, zamykając oczy.
Bolesnie upada na podłogę pokoju. Odwraca się.
Przedpokój złowieszczo trwa; nie widać ruchu, nie słychać niczego. Drzwi ze swoimi trzema zamkami stoją spokojnie.
Odczołguje się do fotela. Opiera się o niego. Oddech się uspokaja.
(co to było?!)
Zegary wybijają piątą.
Człowiek bezwiednie sięga po herbatę. Stoi, już wystygła. Fusy pływają na powierzchni cieczy.
Wypija ją dużymi łykami. Stara się uspokoić. Stara się - cokolwiek, byle spokojnie. Dobrze. Pamięć.
(to moje mieszkanie?..)
Mieszkanie wydaje się znacznie mniej gościnne, niż przed chwilą. Więcej cieni nadchodzi wraz z wieczorem.
(metro, burdel, dalej!..)
Człowiek ściska głowę dłońmi. Czuje uciskający ciężar na skroniach. Podkurczył nogi; siedzi skulony, oparty o fotel. Blisko jego nóg - stoi stół, na nim trochę gazet, reklam, są też flamastry.
Człowiek przypomina sobie o nich, i jeszcze lekko drżącymi dłońmi zapisuje na jednej z gazet słowa:
MIESZKANIE. JA.
Nie przychodzi mu nic więcej do głowy. Zna słowa, lecz nie wie, które warto byłoby zapisać. Jednak:
MORDERSTWO. MORDERCA.
Po chwili, najbliższe ze skojarzeń, poruszone żdźbło traw:
KREW.
Patrzy przez sekundę na napisane przez siebie słowa. Momentalnie jednak czuje na plecach czyjś dotyk, ucisk. To macki!
Zrywa się, odpędzając się od nich.
Nieistniejących.
Wydawało mu się.
Rozgląda się po mieszkaniu.
(dlaczego tu jestem...!)

Schyla się ponownie do gazety.
TAJEMNICA.
Zapisał słowo idealnie komponuje się z pozostałymi. Człowiek przypatruje się tej szczególnej konstrukcji liter.
Przez mieszkanie przetacza się odbity obraz pochylonego człowieka. Zwierciadła wykrzywiają jego twarz, dłonie - jego postać zmienia się w kolejnych odbiciach raz w wampira, by w kolejnym ugięciu przeistoczyć się w coś otyłego, ledwie rozpoznawalnego.
Zegary cyk-cyk cykają. Przesuwają się wskazówki. Judasz wpuszcza do mieszkania niewiele światła; przebywająca od dłuższego czasu pod komodą myszka przekręca główkę i kręci wąsikami. Świat zamiera w oczekiwaniu, w suspensie; coś ma się wydarzyć.
Człowiek wstaje. Na jego twarzy rysuje się uprzejme zainteresowanie.
Idzie do kuchni. Przetacza się przez nią w lustrzanych powierzchniach aluminium.
Człowiek przegląda noże; podzwaniają przyjemnie, uderzone opuszkami palców.
Wybiera jeden, ostry, długi jak cała jego dłoń. Przypatruje mu się przez chwilę.
Wygląda jeszcze do pokoju.
Mieszkanie z wolna się uśmiecha; odsłaniają się szerokie zęby, stół ugięty w dolnej wardze. Ze skrzypieniem rozsadzane są deski, wyginana podłoga.
Mężczyzna przekornie kręci głową. Uśmiecha się również.
Przytyka dłoń do framugi drzwi, oddzielających pokój i kuchnię.

Odgina kciuk; zbliża do niego ostrze.

Pokój nabiera głośno powietrza; judaszowe światło migocze.

Z wrzaskiem człowiek obcina sobie kciuk. Ostrze zatrzymało się na kości; ale to nic, wystarczy mocniej przycisnąć. Lekki chrzęst; odpada ciało od ciała, krew strużką po ciemnym drewnie.

Człowiek wrzeszczy. Odgina następny palec; ten łatwiej obciąć. Odcina powoli, segment po segmencie.

Dłoń drży, wydaje się żyć własnym życiem. Już niedługo, myśli człowiek, już niedługo i będzie po wszystkim.

Z wyrazem lekkiego obrzydzenia na twarzy odcina następne dwa palce.

Do ostatniego przymierza się jak artysta; ten odetnie powoli. Krew bezszelestnie spływa po framudze.

Człowiek opiera czoło na krwawiącym kikucie dłoni. Wzdycha. Tak trudno nie być egoistą.

Mieszkanie wykrzywia się w uśmiechu; zegary podzwaniają, wybijając różne godziny, tak, że nawet na chwilę nie jest cicho. Zębiska szczerbią się popękanymi deskami.

(ciekawskie szeptyszeptyszepty)

Krew ścieka w rytm słów, szeptanych przez Głosy. Czerwieni podłogę; kolor framugi staje się jeszcze bardziej ciemny.

Człowiek wraca do kuchni. Obmywa pozostałość dłoni. Obojętnie przygląda się widokowi za oknem. Wyschnięte drzewo w zamasy-
stych wychyleniach ugina się pod wiatrem. Piaskownica straciła jedyne lokatora, pozostały jedynie foremki i zielone wiaderko.

Woda barwi się przez chwilę czerwienią, jednak po paru minutach - jest równie czysta, jak na początku. Człowiek wyciera dłonie w papierowe ręczniki. Nasiakają krwią. Otwiera więc szafkę nad głową, wyjmując bandaż. Pod zlewem są nożyczki. Znajduje tam także zapalniczkę.

W pokoju siada na fotelu. Nogi wyciąga wygodnie przed siebie; przysuwa stół. Zakłada śmiesznie nieefektywny opatrunek. Zdejmuje go, zakłada raz jeszcze.

Zegary ciche cykady wygrywają w takt jego ruchów.

Mieszkanie ponownie zastyga w oczekiwaniu. Judasz wygaś; uwieszony wyżej, niż reszta zasłoniętych okien, nie ukazuje niczego wartego uwagi.

Puku, puk, puk. Pukanie do drzwi.

Człowiek podchodzi do nich; wizjer znów pusty.

Otwiera zamki, teraz w innej kolejności. Od dołu. Pierwszy, drugi i trzeci.

Piętro jest puste. Człowiek wychodzi za próg. Miga mu jeszcze malejący cień, rzucany przez kogoś przyczajonego za załomem ściany. Po chwili cichnie odgłos kroków. Szepty Głosów każą wracać do mieszkania; prędko, bo czas ucieka.

Przez wizjer powtórnie zamkniętych drzwi widać ściany, podłogę, sufit i światło. Piętro jest spokojne.

Po chwili jednak pojawiają się czyjeś włosy. Człowiek przyciska oko do szybki, starając się zobaczyć cokolwiek więcej.

Włosy unoszą się. Rozwarta we wściekłości żrenica zajmuje całą wyolbrzymioną przestrzeń piętra; wypycha horyzont wizjera. Ciało słyszalnie napiera na drewno, aż obsypuje się tynk znad progu. Zamki powoli się otwierają; jeden, drugi. Trzeci ze skrzypiącym niezdecydowaniem nie przekreślił się do końca.

Człowiek cofa się, przerażony.

Drzwi jednak pozostają zamknięte. Cisza.

Człowiek potyka się na progu przedpokoju; chwila zachwiania i nieuwagi, trzeci zamek odskoczył. Drzwi ze skrzypieniem otwierają się na centymetr.

Przez postać szparę, z mokrym pluskiem przepycha się ośmiornicza macka. Pojawia się u dolnej krawędzi, sekundę później - trzy inne zaciskają się na drewnie. Człowiek wstaje, podbiega i z całych sił zatrzaskuje drzwi.

Z ich zamknięciem, macki nikną. Bezszelestnie i nic po sobie nie pozostawiając.

Bandaż przesiąkł krwią; zbiera się ona w małe kropelki i cicho opada na drewno podłogi.

Człowiek przytrzymuje drzwi. Zamyka zamki. Sprawną ręką zamyka też drzwi na klucz; chrobocze metal tu, chrobocze i w zegarach.

Pamięta; trzymał już te drzwi. Parę dni temu. Mieszkanie... jest tu osiedlowy sklepik. Parę pięter niżej. Tam kupił chleb. Pamięta. Myśleli, że gapi się na dziecko. Chcieli go dorwać tutaj, w mieszkaniu. Ale nie dali rady. Mu. Mieszkaniu. A może... czy naprawdę...?

Obejrzał się za ramię; w rozproszonym świetle skóra lśni przelotnie.

Pokój czeka.

Czeka w cięciwach napędzających wskazówki zegarów; w ledwie tłącym się świetle dnia; w narastających, stale pogłębiających się cieniach; w złowrogim ułożeniu ścian; w śladach mokrych stóp człowieka, zanikających wolno na deskach podłogi.

Mokrych...? tak, to własna krew, nie było innej, przecież...

(nie było? Co tu się dzieje!?)

Szepczą Głosy. Nakazują spokój. Pokój wygina się w mentalnym rozkazie; w niemym ugięciu brwi światłocienia. Człowiek ucieka do mroku, utworzonego przez ścianę. Coś zimnego i oślizgłego owija się wokół jego nogi. Światło pokoju mruga i po sekundzie przygasa; rozrastające cienie przygarniają kolejne miejsca jak niewidoczna fala przyptywu.

Człowiek wychyla się zza ściany; w pokoju chaos rozpruwa fotel, który okazuje się być pełen szarawej i żółtej waty. Stół pęka z trzaskiem. Lustrzane szkła zegarów pękają po kolei; odłamki zasiedlają podłogę jak grad. Judasz najczarniejszym oknem; z niego wypływają ośmiornicze macki. Ich wielkie, wciąż wijące się zwoje zawłaszczają chyboczącą się ścianę. Kapie z nich woda, zwieszają się wodorosty. W powietrzu czuć solą.

Człowiek patrzy na to bez zrozumienia; głosy łamliwymi szeptami nakazują wiele rzeczy jednocześnie. Cofa się w kąt. Zamyka oczy. Jęczy cicho, po chwili zaś, by zagłuszyć szepty i odgłosy dochodzące z pokoju, zaczyna mówić głośnie. Jego głos przechodzi we wrzask; człowiek zaciska mocno powieki, jak - pamięta! - robił w dzieciństwie. Woda wypływająca z pokoju zaczyna owijać jego stopy. Po paru sekundach sięga już kostek. Coś człapie ciężko w pokoju; chwiejne odbicie nęcone w wodzie jest jednak tylko rosnącą bryłą czerni. Człowiek milknie na ten widok.

Drzwi w przedpokoju otwierają się; nagle, bez skrzypu tak dla nich charakterystycznego, bez zgrzytu zamków. Woda z chlupotem wylewa się na zewnątrz. Do środka mieszkania wpada postać; niezgrabnymi susłami wbiega do pokoju. Słuchać szelest, czyjs skowyt, strzał - widać jeden błysk, drugi - ciszę szemrzącej wody.

Człowiek z lękiem wygląda do pokoju; coś tuż przy uchu przeskakuje z trzaskiem. Przypadkiem włączył światło; jasność zdaje się wsysać, wchłaniać w wielkich pętłach obraz zniszczenia; w czymś krótszym od momenty, szybszym niż myśl stół zabłysł matowym szkłem, fotel wyprężył się dumnie, a podłoga - pokryła się cieniutką warstwą kurzu. W ciągu jednego zamknięcia oczu bezgłośnie przywrócony został porządek świata.

Człowiek osuwa się na klęczki. Ciemnieje mu w oczach; zdaje mu się, że widzi jakieś kształty, skrzydlate bóstwa - i ciszę słyszy spokojną, wiatr jedynie szumi na zewnątrz. Okna wyglądają na ciemniejszy świat; parę pięter niżej zapalają się lampy, tnąc mocnymi cieniami parapety i ściany.

Upada na twarz; pamięć uderza w burty świadomości i aż zatyka dech. Pare dni temu był zły, był wściekły; zerwał firanki, zdemolował mieszkanie. Odkręcił gaz i wodę; chciał się zabić, czy to w wybuchu, czy porażony prądem w wannie. Dlaczego? Nie wie, nie pamięta. Nie pamięta!

Ale... czy naprawdę? Nie ma śladów, nie ma i nie było...

(firanka, przecież)

Człowiek wpatruje się, wyczekując, w ściany i meble.

Mieszkanie odpowiada taksującym spokojem. Nic nie wzburza niepokoju.

Człowiek podnosi się wolno, z wysiłkiem. Podchodzi i siada w fotelu, przysuwa do siebie stół. Do ręki bierze zielony flamaster. Chciałby coś napisać, ale nie znajduje wcześniej zapisanej gazety. Przeszukuje małą ich stertę leżącą na stole. Schyla się, szukając pod fotelem.

Gazeta jest tam. Mokra. Zimna woda kapie z rozmiękłych kartek.

Wcześniej zapisane wyrazu rozpływają się ciemnymi strugami. Zegary zamierają w wygrywanych cicho melodiach; zasady zostały przeinaczone, rygory - przekroczone.

Radio, stojące dotąd w wielkim spokoju, włącza się. Jazzująca melodia trąbką rozbrzmiewa w mieszkaniu. Powykrzywiane, rozdęte i zapadłe przez szkło światło osadza się chmurkami w kurzu.

Człowiek kłęczy przy fotelu, wpatrując się w mokrą gazetę.

Zamyka oczy. Wznosi głowę.

Pamięta.

Z traskiem i łoskotem rozbite zostają zwierciadła w pokoju; pęka szkło w zegarach i oknach. Człowiek krzyczy. Twarz zmienia mu się z każdą sekundą; w groteskowych układach rozkoszy, nienawiści, przerażenia i bólu zmieniają się układy mimiki.

- Tego chcieliście!? Bym doświadczał!? Bym wiedział!?

Mieszkanie rozprute zostaje linią podziału; pęka z ogłuszającym hukiem podłoga. Pod nią otwiera się czerwień przestrzeni. Tysiące olbrzymich źrenic obserwuje; bezgłośnie zwierają się powieki, by zaraz otworzyć się z gadzią szybkością; chłoną łapczywym wzrokiem widowisko. Kikut ręki człowieka drga w powolnych obrotach ciała; bandaż pęcznieje, po chwili - wybucha, rozepchany okaleczonymi wcześniej palcami. Działające jeszcze zegary rozbrzmiewają chwiejnymi uderzeniami; w ich to rytm człowiek obraca się w powietrzu, w zawirowaniu i skręcie ciała.

- Po to, bym wiedział!.. Ale ja pamiętam, przecież, pamiętam!..

Podłoga pokoju, rozerwane deski i rozpruty kamień, tężeje w jednej pozycji. Z krawędzi obsypują się drzazgi. Człowiek zostaje zwinięty w pozycję embrionalną.

- Przynajmniej wiecie, co chcieliście?!... - pyta, unosząc jeszcze drżącą głowę.

Wicie oplatają jego stopy; po chwili docierają do miednicy i barków. Po sekundzie, będącej może momentem zawahania, wdzierają się do gardła i nozdrzy. Splotają wokół głowy koronę. Człowiek milknie.

Szepcze cichy Głos:

- Tak.

Listopad 2006

Vith aka Kot z Cheshire

Szepty zebrane

Misiael Pierwszy

- Umieram - powiedziało cicho moje odbicie w lustrze. Uśmiechnąłem się ponuro.
- A wiesz, co jest na końcu życia? - zapytałem cicho.
- Wiem. Nicość. Nieistnienie. To jest na końcu życia. Zastanowiłem się.
- Na którym końcu?

* * *

Mała dziewczynka siedziała w czytelni i bawiła się kostką do gry. Upuszczała ją z pewnej wysokości i obserwowała jak tańczy po mahoniowym blacie biurka. Podszedłem bliżej.

- Trzy - powiedziała dziewczynka i upuściła kostkę. Ta potoczyła się po blacie, po czym znieruchomiała. Trójka. „Przypadek” pomyślałem.

- Jeden.

Jedynka.

- Pięć.

Piątka

- Dwa.

Dwójka.

- Jeden.

Jedynka.

- Jak to robisz? - zapytałem. Dziecko uniosło głowę i uśmiechnęło się.

- Chcesz spróbować?

- Pewno - uśmiechnąłem się niepewnie i wziąłem kostkę do ręki. Skupiłem się.

- Cztery - zaryzykowałem i wypuściłem ją z rąk. Kostka zatańczyła na blacie.

Sześć.

Popatrzyłem pytająco na dziewczynkę.

- To trzeba wiedzieć - wyjaśniła - Jeśli będziesz tylko miał nadzieję, to nie wystarczy. Musisz wiedzieć. Inaczej się nie uda. Popatrz.

- Podrzuciła kostkę w górę. Gdy sześcian osiągnął punkt szczytowy powiedziała

- Dwa - kostka głośno stuknęła o parkiet. Kilka osób - moli książkowych, kręcących się o tej porze w bibliotece - obejrzało się.

Popatrzyłem w dół.

Dwójka.

- To niemożliwe - oświadczyłem, zwracając się do całego świata w ogólności. Mała zdziwiła się.

- To proste - oświadczyła - Jeśli będziesz dużo ćwiczył i nie przejmował się tym, że się nie udaje, to w końcu się nauczysz. Tylko musisz bardzo, bardzo dużo ćwiczyć. zobaczysz, że w pewnym momencie to się powtarza. Powtarza... Co się powtarza. Dziewczynka uśmiechnęła się szczerbato.

- Wszystko.

* * *

Katedra była zrujnowana. Ale porozbijane witraże, walące się ściany nie sprawiały złowrogiego wrażenia. Wręcz przeciwnie - czuć było, że w tym miejscu Wszechświat wstrzymał oddech. Szedłem ramie w ramie z Risaldo - moim Aniołem Stróżem. Jak zwykle miał na sobie szary T-shirt i granatowe džinsy.

- Jak to właściwie jest? - zdziwiłem się.

- Słowa, które zostały napisane, nie są tymi, które zostały wypowiedziane.

- Czyli, że w Piśmie są kłamstwa?

Risaldo zaśmiał się.

- Oczywiście, że nie - powiedział - To, co tam jest, to prawda. Ale nie zawsze pokrywa się ona z tym, co wydarzyło się naprawdę.

Weźmy, na przykład, tę historię z Adamem i Ewą. Oboje są w rzeczywistości alegorią dwóch plemion ludzi pierwotnych, które...

Nie słuchałem. Wpatrywałem się w gołębie, które fruwały na tle intensywnie błękitnego nieba. Nie były białe, tylko zwykłe, szare. Pospolite.

- Halo! - głos Anioła Stróża wyrwał mnie z bezmyślenia. Odwróciłem się.

- Tak? - zapytałem niezbyt przytomnie. Risaldo popatrzył na mnie i pokręcił głową z dezaprobatą.

- Lepiej wracaj do siebie - oznajmił.

... Strzeż duszy, ciała mego i doprowadź mnie do żywota wiecznego, Amen. Przeżegnałem się i usiadłem przy biurku. Jak to szło? Kiedy na ciało działa siła...

* * *

Dzieciaki darły się na placu zabaw. Jakiś mężczyzna rozmawiał przez telefon. Kobieta w średnim wieku wyszła na balkon rozwiesić pranie. Dwóch chłopaków dyskretnie zaciągało się krążącym z rąk do rąk papierosem. Zaraz miał spaść deszcz. Idąca drogą dziewczyna miała skrzydła u ramion. Zdziwiło mnie to i podszedłbym do niej, gdyby nie moja wrodzona nieśmiałość.

* * *

Kostka potoczyła się po podłodze. Zakląłem i spróbowałem jeszcze raz.

- Cztery.

Jedynka.

- Dwa.

Szóstka.

- Pięć.

Szóstka.

- Trzy.

Szóstka.

- Sześć.

Dwójka.

Zrezygnowany usiadłem na tapczanie. To się nie uda. Ćwiczyłem już od trzech godzin i nie zauważyłem żadnej prawidłowości. po-

czątkowo zapisywałem liczby, jakie wypadają i te, które wymawiałem, jednak po siedmiuset rzutach poczułem zniechęcenie.

- Jeden.

Jedynka.

- Cztery.

Czwórka. W przypiływie nadziei ponownie chwyciłem kostkę.

- Pięć.

Trójka.

i tak dalej, i tak dalej...

* * *

Odbicie zmarszczyło nos. Nie miało większego wyboru, bo ja też zmarszczyłem.

- Brzydki jestem - oświadczyło.

- Obaj jesteście.

- Jesteś tylko ty. Ja nie istnieję. Westchnąłem.

- Ale i tak jesteś brzydki.

- Tylko dlatego, że ty jesteś. - odparował ten drugi, lustrzany ja.

- Jak tam jest? - zapytałem.

- Gdzie?

- No... Tam, gdzie ty jesteś. Odbicie zastanowiło się.

- Tak samo.

- Tak samo? - tylko, że odwrotnie.

* * *

Risaldo milczał. Nikt nie potrafił milczeć tak jak on.

- Tracę wiarę - powtórzyłem. Anioł zacisnął usta.

- Nie wiem, co robić - ciągnąłem - ale ogarnia mnie zwątpienie. Wiara wydaje mi się taka... Nieprawdopodobna. Anioł wzruszył ramionami.

- To się zdarza - rzucił.

- I co? - zapytałem.

- Co "I co"?

- Z moją wiarą.

- Przejdź Ci - powiedział - Każdemu to się zdarza. Najpierw macie, że Boga nie ma, że prymitywny zabobon, że to, że tamto... A potem dzieje się coś w życiu, że nie można już dłużej nie wierzyć. Że jest tylko jedna droga do wyzwolenia i takie tam...

- Nie powinienes chyba mówić o Wierze tak... Swobodnie. - zauważyłem.

- Dlaczego? - zdziwił się - Przecież wiara powinna być w życiu człowieka czymś oczywistym, bliskim... To tak jak mówienie o dobrym kumplu - Można z niego żartować, można się ponabijać, ale zawsze jesteście dobrymi kumplami. Prawda?

- Wiesz, Risaldo, czasem zastanawiam się jak ktoś tak nieanielski może być Aniołem.

* * *

- Nie umiem - powiedziałem - Zdradź mi, jak ty to robisz.

- Normalnie - zdziwiła się - Birzesz kostkę, mówisz liczbę, rzucasz i ona wypada. Ta liczba.

- Mi nie wypada.

- Ćwiczyłeś? - dziewczynka prześwidrowała mnie paciorkowym spojrzeniem.

- Kilka godzin...

- Tylko? - zdziwiła się - Trzeba ćwiczyć cały czas. Nie tylko z kostką.

- A jak jeszcze mogę ćwiczyć? - zaciekałem się.

- Popatrz - wskazała palcem na ładną dziewczynę, która stała przy półce i wertowała jakąś książkę.

- Jak myślisz, kim są Anioły Stróże?

Nie byłem przygotowany na takie pytanie, ale odparłem bez wahania.

- Są podporą człowieka. Jego strażnikiem i opiekunem. Światłem, wskazującym drogę Chrystusa...

- Tak, tak - przerwała mi niecierpliwie - Ona nie ma Anioła.

Przez chwilę przetrwiałem tę informację.

- To niemożliwe - oświadczyłem z całą pewnością siebie - Wszyscy mają Anioła.

Nawet najgorsi grzesznicy. Ja mam Anioła. Jest trochę nietypowy, ale...

- Ona nie ma. Popatrz uważniej.

Odwrociłem głowę w stronę dziewczyny, która przez ten czas przysiadła na krześle, niedaleko księgozbioru podręcznego. Przypatrzyłem się jej dokładnie. Szczupła sylwetka, czarne włosy... Nie, to błędny trop. Zajrzałem do jej duszy. Przypatrzyłem się zmarszczkom mimicznym na jej twarzy, dłoniom, oczom. Potem popatrzyłem na to wszystko jako całość. I zauważyłem.

- Nie ma obwódki - powiedziałem cicho. Każdy człowiek ma kształt obrysowany bardzo cienką, jasną linią - jakby tarczą, albo skorupką jajka. A ona tego nie miała.

- To straszne - szepnąłem wstrząśnięty do głębi - Można jej jakoś pomóc?

- Nie - powiedziała cicho dziewczynka - Jedynie ona sama może sobie pomóc. Nikt inny, a już na pewno nie my. Uniosłem pytająco brew.

- My widzimy - wyjaśniła - Będziesz ćwiczył dalej?

- Co? Aaa... Tak. Chyba tak.

* * *

- Jak dużo czasu nam zostało?

- Niewiele. Sądzę, że parę dni - odbicie pokręciło głową - Trochę szkoda, co nie?

- Trochę - przyznałem.

- Ale wiesz... Jak ty, to i ja. Nie będę potem istniał. Byt rodzi byt. I odwrotnie.

- To już twoje zmartwienie.

* * *

- Co się dzieje z Aniołami Stróżami, po śmierci ich...

- Człowieka? - odpowiedział Risaldo.
- Tak, człowieka.
- Odchodzimy do światłości Boga. Jeden człowiek, jeden Anioł.
- To straszne! - zawołałem - Przecież to gorsze, niż śmierć!
- Nie rozumiesz - powiedział Anioł łagodnie - Każdy z nas marzy o chwili, w której zatopi się w blasku Stworzyciela - westchnął, rozmarzony. Milczenie. Gołębie ganiały się po niebie.

* * *

Mędrzec zmęczony przysiadł na ławce. Na placu dzieci ganiały się po piaskownicy, w jednej z tych swoich zabaw, których reguł na potrafił pojąć żaden dorosły. Jedno z nich pomachał wesoło do Mędrca. uśmiechnął się. Podczas swojej długiej podróży poznał wielu ludzi - dobrych i złych. Tych drugich było, co prawda, wiele więcej, ale Mędrzec nie przejął się tym - świat z definicji jest zły. Ludzie tylko się przystosowali. W swojej arogancji twierdzą, że to oni zmieniają świat. Przez głowę im nie przejdzie, że to świat może zmieniać ich. Mędrzec westchnął. Gdyby ludzie na prawdę potrafili zmienić świat, uczynili by go lepszym. To przecież proste - każdy zdrowy na umyśle człowiek chce żyć w dostatku i umrzeć w zgodzie z Bogiem i ludźmi. Jeśli tak nie jest, to - w mniemaniu Mędrca - są dwa ku temu powody. Albo świat jest pełen szaleńców, albo ludzie zwyczajnie nie chcą takiego życia. To takie dziwne... Mędrzec wstał i poszedł do sklepu. Kupił loda na patyku. Miał tylko siedem lat.

* * *

- Cztery.
Piątka.
- Dwa.
Dwójka.
- Pięć.
Jedynka.
- Sześć.
Dwójka.
- Cztery.
Jedynka.

* * *

- Dlaczego zniszczona katedra?
Risaldo poprowadził mnie przed ołtarz. Jezus wiszący na krzyżu toczył krwawe łzy. Wokół niego gromadzili się uczniowie, żołnierze, faryzeusze...
- Zamknij oczy - polecił. posłusznie zaciśnąłem powieki.
Katedra była teraz cała. Ludzie stłoczeni w ławkach przyklękli. Kapłan uniósł Przenajświętszy Sakrament.
- To czyńcie na moją pamiątkę.
Risaldo uśmiechnął się.
- Wytlumacz mi jedno - poprosiłem - Czemu zawsze na ołtarzu jest przedstawiony Jezus ukrzyżowany? - wskazałem ołtarz - Przecież to przedstawienie Go w chwili największej klęski.
Risaldo przyklękł.
- Popatrz na tych ludzi - szepnął - Czy to nazywasz klęską?

* * *

- Jak długo? Jak długo jeszcze? Ile mam jeszcze cierpieć, wiedząc, że niedługo umrę? Powiedz.
- Nie wiem dokładnie. Śmierć to rzecz tak straszna i ostateczna, że odbija się szerokim echem w obu kierunkach linii czasu. Ale sądzę, że dzień, może dwa.
Przygotuj się. Wiesz - spowiedź i te rzeczy...
- O to się nie martw. Jakoś to przeżyję... Metaforycznie.
- Kto wie?

* * *

Czemu to życie trwa tak krótko?

* * *

Zadowolony zasiadłem przed dziewczynką. Niemal pękałem z dumy.
- Popatrz - powiedziałem i podrzuciłem kostkę - Cztery - powiedziałem. Kostka zatańczyła na białce.
Czwórka.
- Sześć.
Szóstka.
- Dwa.
Dwójka.
- Pięć.
Piątka
Popatrzyłem na nią wyczekująco. Uśmiechnęła się.
- Mówiłam, że ci się uda. Trzeba tylko...
- ...dużo ćwiczyć. - dokończyłem zadowolony.
- I co teraz? - zapytała.
- Jak to co? - stropiłem się.
- Teraz widzisz. widzisz więcej, niż reszta. Jak to wykorzystasz?
Zamyśliłem się.
- Niedługo umrę - wyznałem.
- Skąd wiesz?
- Przecież widzę.
Dziewczynka pomyślała przez chwilę.

- No to patrz! - roześmiała się - Ludzie umierają, bo są ślepi. Ty patrz uważnie na drogę, to się nie potkniesz. Nie upadniesz i nie umrzesz.
- To podziała? - poczułem zamęt w głowie. Mogę nie zginać...
Szczerebaty uśmiech
- Na pewno.
- Tak zrobię.

* * *

- Czy można powstrzymać Śmierć?
Risaldo zastanawiał się przez chwilę.
- Przecież robisz to codziennie. Oddychając, powstrzymujesz Śmierć. Chodząc, myśląc, działając...
- Ale mi chodzi o przeżycie w tym... W tym, momencie, w którym powinniśmy zginać.
Anioł zdziwił się.
- A kiedy powinniśmy zginać?
- Myślałem, że każdy człowiek ma taką, jakby klepsydre i jeśli piasek przesypie się do końca...
- Bzdura - przerwał mi Risaldo - owszem, czasem Bóg przesądza o czymś życiu lub śmierci, ale reszta zależy od ciebie.
- Myślałem, że Bóg wie, kiedy ma umrzeć każdy...
- Ależ wie - zapewnił - Na przykład wie, że ty zginiesz jutro. Przed chwilą jednak wiedział, że zginiesz za miesiąc. Po kolejnej chwili wiedział będzie, że umrzesz za pięć lat.
- Czyli wszystko się zmienia...
Risaldo poklepał mnie po ramieniu.
- ON wszystko zmienia.

* * *

- Już?
- Już.

* * *

Odkleilem wzrok od szyby wystawowej i wszedłem na jezdnię. Pędzący samochód minął mnie dosłownie o włos. Poczułem, że umarłem, a równocześnie mój umysł uparcie przekonywał mnie, że ciągle żyję. To już koniec, zdziwiłem się. Spodziewałem się... Sam nie wiem, czego. Walki ze Śmiercią, rozpaczliwej ucieczki przed nieuniknionym... Jakim nieuniknionym, zreflektowałem się natychmiast, przecież Risaldo twierdził, że prawie nic nie jest do końca przesądzone. Czyli żyję dalej.
To dziwne, ale poczułem rozczarowanie. Przygotowałem się już na odejście, byłem praktycznie pogodzony z losem... I co dalej? Będę musiał ponownie przeżywać tę agonię, potem znowu i znowu, aż w końcu umrę, no bo ile można odwlekać nieuniknione?
- I co dalej? - szepnąłem wstrząśnięty.
Podeszła do mnie dziewczyna ze skrzydłami.
- Dalej jestem już tylko ja.
Słońce zachodziło. Bardzo powoli.

Misiael Pierwszy

Apostoł Śmierci

Nikko Takeda

PRZEDMOWA

Chciałem napisać parę słów na początek, ale jakoś mi nie wyszło. Myślałem, że da się coś powiedzieć na wstępie lecz byłem w błędzie. "Apostoł" powstał bo musiał powstać. Nie dlatego, iż chcę tu komuś mieszać w głowie. Po prostu napisałem go i nie będę się tu rozwodził z jakich pobudek. To był impuls. Krótki tekst stał się prologiem długiej i zawilej historii. Coś się kończy a coś zaczyna...

Chciałbym zaznaczyć jeszcze jedno: nie mam zamiaru tworzyć nowej religii. Nie odpowiadam za szkody wyrządzone w światopoglądzie różnych ludzi. I najważniejsze: jeśli ktoś poczuł się urażony tym tekstem, szczerze, z całego serca go przepraszam.

"UPADŁY ANIOŁ STAJE SIĘ PEŁNYM ZŁOŚCI SZATANEM"

Mary Shelley "Frankenstein"

PROLOG

Patrzysz w te oczy. Błyszczały w nich nienawiść tak wielką, jakiej nie możesz sobie wyobrazić. Czarne oczy, a w nich całe zło tego świata. Widziałeś w nich Śmierć, taką, która przychodzi w całym swym majestacie okrucieństwa. Czaiła się też beznadzieja ludzkiego żywota. Ten ogrom bezsensu, jaki towarzyszy każdej chwili, każdemu wyborowi.

Wszystko skazane jest na klęskę. Po co mamy żyć skoro wszyscy umrzemy? Jaki jest tego sens? Odpowiedź jest prosta: nie ma sensu życia. Dążymy do spotkania ze Śmiercią, a jej przeznaczeniem jest spotkanie z nami. Nie ważne, kiedy to nastąpi, dziś, jutro, może za rok...

Śmierć ma oczy niebieskie i puste, zimne jak lodowe pustynie Antarktydy. Przychodzi do nas jako akwizytor, policjant, kasjerka w sklepie, nawet jako żul stojący pod monopolowym i proszący o pięćdziesiąt groszy. Dla niej postać nie ma żadnego znaczenia. Pozostają oczy, zawsze te same. Zwiastujące koniec...

Patrzysz w nie. Widzisz wszystkie tragedie świata: wojny, morderstwa, samobójstwa... Czujesz rozpacz rodziców po straconych dzieciach, strach malutkich dzieci, co będzie z nimi po stracie najbliższych... Rozlewa się po tobie nienawiść, zazdrość, agresja, strach... Patrzysz w lustro...

Myślisz, że zwariujesz. To się nie dzieje naprawdę. Dzwonek. Witaj w rzeczywistości. To nie "Matrix", ale prawdziwy świat. Nienawidzisz go za to. Ale musisz w nim żyć. Pomiatają tobą emocje, ludzie wykorzystują twoje słabości, a sąsiad znowu drze mordę, leżąc po pijanemu pod drzwiami. Czy nie denerwuje cię to? Tak to już jest... Masz jednak zaszczyt... Śmierć wybrała cię jako swojego Apostoła. Przyniesiesz jej poselstwo jeszcze pięciu innym osobom... Bracie, wiedz, że długo to nie potrwa. Za dzień, może dwa Śmierć powie ci, że zabiera cię na drugą stronę. Nie musisz się martwić... To będzie bardzo bolało... Mimo tego będziesz umierał krótko. Żegnaj, mój bracie...

Bruce zerwał się z krzykiem. Tak było już od kilku dni. Ciągłe ten sam sen. Po tym traumatycznym wydarzeniu miał problemy ze snami.

Wstał i poszedł do kuchni. Wyjąwszy szklankę i butelkę szkodliwej, poszedł do pokoju. Bruce nigdy nie tolerował picia ponad miarę, ale tym razem czuł potrzebę urznięcia się przed snem. Byleby zapomnieć. Niestety. Tego nie można zapomnieć...

LATO, ROK 2006

Bruce`owi wydawało się, że jego życie jest szare i monotonne. Miał już trzydzieści trzy lata, czarne włosy, piwne oczy i budowę ciała godną typowego Amerykanina, to znaczy był typowym flakiem, zero ćwiczeń fizycznych. Z jego życiem nie wiązała się żadna ciekawa historia. Codziennie rano wysłuchiwał wrzasków sąsiada, wracającego do domu po całonocnej popijawie. Wyjeżdżał do pracy, by harować za nędzne grosze i wysłuchiwać narzekania szefa na jego bezproduktywność. Za "przyjaciela" miał świra, który non-stop nawijał o śmierci. Chciał, aby coś w nim się zmieniło. Nigdy nie myślał, co dla niego zgotowała sama Śmierć.

Pewnego dnia, podczas przerwy w biurze wyszedł na korytarz udając się w kierunku palarni. Szedł wkurwiony, bo szef znów groził mu wymówieniem. Wszedł do pokoju gdzie siedział już John - fanatyk Śmierci.

- Jeszcze tego tu brakowało - wyburczał Bruce ledwo panując nad sobą.

- Witaj Bruce - powiedział spokojnie John. - Może się dosiadzisz?

- Nie będę przecież stał - warknął.

- Co w tobie tyle nienawiści stary? Znowu ten świr Marshall się do ciebie zwał? Nie martw się... To niedługo przestanie mieć znaczenie - mówił z trochę podejrzanym spokojem.

- Co ty możesz o tym wiedzieć! - warknął Bruce. - To moja sprawa.

- Mylisz się. Nie tylko twoja. - odparł.

- Gówno prawda. I nie gadaj mi o twej zasranej śmierci - dodał z groźbą w głosie.

- Zasranej? - aż się zachłusnął. - Czy ty wiesz, co mówisz? Obrażasz największą dobrodziejkę ludzkości! Tą, która towarzyszy człowiekowi od zarania dziejów! - zniżył głos. - Ostrzegam cię. Nie mów tak o Niej.

- Nudzisz.

John zaśmiał się tym swoim śmiechem, bardzo zresztą osobliwym. Przypominał rechot czarnego charakteru z dobrego horroru. Robił tak zawsze, kiedy osoba, z którą rozmawiał nie chwytała tego, co mówił. Tak było i tym razem.

- Powiedz mi prawdę. Czy nie jest tak, że patrzysz w te oczy? Błyszczy w nich nienawiść tak wielką, jakiej nie możesz sobie wyobrazić. Błękitne oczy, a w nich całe zło tego świata. Widziałeś w nich Śmierć, taką, która przychodzi w całym swym majestacie okrucieństwa. Czai się też beznadzieja ludzkiego żywota. Ten ogrom bezsensu, jaki towarzyszy każdej chwili, każdemu wyborowi

- przerwał na moment, patrząc Bruce`owi prosto w oczy. - Wszystko skazane jest na klęskę. Po co mamy żyć skoro wszyscy umrzemy? Jaki jest tego sens? Odpowiedź jest prosta: nie ma sensu życia. Dążymy do spotkania ze Śmiercią, a jej przeznaczeniem jest spotkanie z nami. Nie ważne, kiedy to nastąpi, dziś, jutro, może za rok... - znów urwał patrząc na Bruce`a z coraz większym szaleństwem w oczach. - Śmierć ma oczy niebieskie i puste, zimne jak lodowe pustynie Antarktydy. Przychodzi do nas jako akwizytor, policjant, kasjerka w sklepie, nawet jako żulina pod monopolowym proszący o pięćdziesiąt groszy. Dla niej postać nie ma żadnego znaczenia. Pozostają oczy, zawsze te same. Zwiastujące koniec... - zarechotał. - Patrzysz w nie. Widzisz wszystkie tragedie świata: wojny, morderstwa, samobójstwa... Czujesz rozpacz rodziców po straconych dzieciach, strach malutkich dzieci, co będzie z nimi po stracie najbliższych... Rozlewa się po tobie nienawiść, zazdrość, agresja, strach... Patrzysz w lustro... - spojrzał na przerażone oczy Bruce`a. - Myślisz, że ja zwariowałem. Myślisz, że ty zwariujesz. To się nie dzieje naprawdę. Dzwonek. Witaj w rzeczywistości. To

nie "Matrix", ale prawdziwy świat. Nienawidzisz go za to. Ale musisz w nim żyć. Pomiatają tobą emocje, ludzie wykorzystują twoje słabości, a sąsiedzi znowu drze mordę, leżąc po pijanemu pod drzwiami. Czy nie denerwuje cię to? - zapytał z uśmiechem na ustach. - Tak to już jest... Masz jednak zaszczyt... Śmierć wybrała ciebie jako swojego Apostoła. Przyniesiesz jej poselstwo jeszcze pięciu innym osobom... Bracie, wiedz, że długo to nie potrwa. Za dzień, może dwa Śmierć powie ci, że zabiera cię na drugą stronę. Nie musisz się martwić... To będzie bardzo bolało... Mimo tego będziesz umierał krótko. Żegnaj, mój bracie... - powiedział wstając. - Co ty do cholery mówisz?! - zapytał wreszcie Bruce. - Powiedziałem ci już o wszystkim. Resztę powie ci Śmierć... - Jesteś chory! - krzyknął z trwogą. - Nie... Ja jestem Apostołem Śmierci... - powiedział z namaszczeniem John. - Mój pontyfikat się zakończył. Został mi tylko jeden, który opierał mi się przez trzy lata. Dziś nastąpi jego koniec... - Co?... Kto?... - wyjąkał Bruce. - To już moja sprawa... i mojej Pani.

John wyszedł z palarni, zostawiając Bruce'a w samotności. Mężczyzna stał przez chwilę nie wiedząc, co myśleć o gadce John'a. Następnie wyszedł z pokoju.

John dążył w kierunku windy. Wiedział, że za pięć minut tą kabiną będzie jechał Marshall, by potem wsiąść do swego pontiac'a i pojechać do swej kochanki. John uśmiechnął się pod nosem. Co za ironia losu. Umrzeć w drodze na schadzke. Stał pod drzwiami i wcisnął guzik. Chwilę później zza rogu wyszedł Marshall. Podszedł do Johna i zapytał:

- Pan na parter, Kowalski?

- Tak szefie.

- A pracę swą wykonaliście, że do domu leciecie?

- Tak szefie.

- No. I tak ma być! - huknął Marshall tonem starego generała.

John już nie mógł się doczekać. Kiedy wyświetlacz u sufitu wskazywał, że winda jest już na miejscu, czyli na dwudziestym piętrze, był bliski płaczu ze szczęścia. Obydwaj weszli do kabiny. John nacisnął guzik z napisem "Parter". Winda ruszyła, powoli mijając piętra. John odwrócił się i popatrzył na szefa.

- No co się tak gapisz? - zapytał Marshall ze zdziwieniem.

- Długo opierałeś się mojej Pani Marshallu Jamesie Rocksonie... Trzy lata to trwało... Ale twój czas nadszedł...

- Co ty u licha ciężkiego gadasz? - wykrzyknął ze zdziwieniem.

- Trzy lata temu miałeś wypadek samochodowy, który cudem przeżyłeś. Moja Pani była wtedy bardzo zła. Przez ten czas ciągle zdarzały ci się różne brzydkie historie... - przerwał delektując się jego przerażoną miną. - Zmarła twoja żona, zamordowano córkę... Ale to były przypadkowe zgony. Nie satysfakcjonowały mojej Pani. Ona chciała ciebie. I dzisiaj otrzyma ode mnie prezent. Twoją duszę...

Marshall wykręcił się i próbował uderzyć Johna. Niestety, Apostoł był szybszy. Złapał jego rękę, wykręcił ją jednocześnie chwytając go drugą wokół głowy z przeciwnego policzka. Marshall pomyślał, że za chwilę będzie po drugiej stronie, ze swą żoną i córką. Ciekawiło go czy śmierć boli. John postarał się by była widowiskowa, okrutnie bolesna i niewiarygodnie szybka.

- Pani Zaświatów! Usłysz głos swego unizonego Apostoła! Duszę ostatnią dla ciebie przynoszę, ma misja skończona! - mówił egzaltowanym głosem. - Zabierz mnie do swego orszaku Upadłych Aniołów! Daj mi moc nieśmiertelnego! Bogini Ciemności, Pani Upadłych Aniołów, Ewangelio Apostołów, Śmierci przybywaj!!!

Wtem stało się coś nieoczekiwanego. Lina windy zerwała się i zaczęła spadać, nabierając szybkości. John i Marshall zaczęli się unosić w górę, pod sufit kabiny. Szef z przerażenia zaczął krzyczeć, darł się tak przeraźliwie jakby miał nadzieję na cud, że ktoś go usłyszy. John rechotał jak obłąkaniec. Winda pokonywała odległość dwudziestu pięter w ciągu kilkunastu sekund. Na końcu drogi uderzyła z ogromną siłą w ziemię, miażdżąc Johna i Marshalla ze sobą. Krew rozlała się po całej okolicy. To co niegdyś było windą, teraz stanowiło kupę zgniecionego metalu. Zanim opadł kurz wokół "kabiny", pojawił się kruk. Symbol Śmierci.

Bruce wyszedł właśnie z pracy i wracał do domu. Był zmęczony całodzienną harówką i całą rozmową z Johnem. Miał ochotę odpocząć tak jak najbardziej lubił: w domku, przed telewizorem, oglądając mecz i popijając piwo. Niestety, nie dane mu to było. Idąc ulicą i gapiąc się w chodnik, zderzył się z kobietą.

- Wybacz mi pani - mówił pomagając jej wstać. - Szedłem patrząc się pod nogi. Przepraszam.

- Nic się nie stało, młody człowieku - odparła kobieta. - Dziękuję panu za pomoc.

Bruce przeprosił jeszcze raz i odwrócił się by odejść. Nie uszedł jeszcze dziesięciu kroków kiedy uderzyło w niego dziwne uczucie, jakby nagle wynurzył się z zimnej wody. Usłyszał pisk opon i krzyk kobiety. Raptownie odwrócił się i ujrzał tą przerażającą scenę. Na środku ulicy stał samochód, a parę metrów dalej leżała kobieta. Ta sama, którą potrącił idąc po chodniku. Bruce natychmiast podbiegł do niej. Ukląkł i dotknął jej szyi w miejscu, gdzie jest tętnica. Nie wyczuł pulsu. Spojrzał martwym wzrokiem po zebranych gapiach.

- Ona nie żyje - wyszeptał.

- Wezwijcie policję! - ktoś z tłumu krzyknął.

Bruce nie wiedział co się działo dookoła. Nie wiedział też co wydarzyło się potem, jak dotarł do domu... W telewizji widział reportaż z miejsca wypadku w jego firmie. Ze strachem słuchał o tym, że zginęły dwie osoby. Zanim podali jakąkolwiek informację o ofiarach, Bruce wiedział już kto zginął. John i Marshall.

- A jednak ten stary śmieć nie kłamał... - powiedział martwym głosem.

Dużo czasu minęło zanim dotarło do niego, że to on jest nowym Apostołem Śmierci i że jego pontyfikat już się rozpoczął. Myślał o tych pięciu osobach, które chce osiąść Śmierć. Zastanawiał się jak je znajdzie, by je sprowadzić do niej.

- Co ten świr mówił... - myślał Bruce. Nagle spłynęło na niego olśnienie. - Taaak... Śmierć można spotkać na cmentarzu!

To mówiąc zabrał się do swego wozu i pojechał do najbliższej nekropolii imienia Chrystusa Dobrego Pasterza. Wysiadł z auta i przemierzał zaułki wiekowego domu zmarłych. Lecz nic nie przyciągnęło jego uwagi.

- O co może chodzić?... - zastanawiał się szukając jakiejś wskazówki.

- Nowy Apostoł, a taki niedomyślny, kra kra... - odezwał się zachrypnięty głos.

- Co do kur... - zająknął się Bruce.

Jego oczom ukazał się duży, czarny jak noc kruk. Miał oczy puste jakoby bezdenne studnie i dziób popielaty, twardy niczym granit. Spoglądał na Bruce'a, siedząc na zapadłym grobie.

- Ty gadasz? - zapytał niedowierzając. - A może ja już zwariowałem?

- Jesteś głupi jak cep i na dodatek niewychowany - powiedział kruk. - Przychodząc do kogoś w gości należy się przedstawić - mówił z wyrzutem.

- Wybacz mi - odparł ze skrucą. - Jestem Bruce... - urwał szukając słów. - Nowy Apostoł...

- To widzę... Jeśli mnie rozumiesz, musisz nim być. Zatem ja jestem Karasu, demon - kruk. Sługa naszej miłościwej Pani.

- Karasu, czy ty wiesz coś o mojej misji... - podjął temat Bruce, lecz kruk nie dał dojść mu do słowa.

- Należą ci się słowa wyjaśnienia. Po pierwsze: ja nie mogę powiedzieć ci nic ponad to co muszę. Taki jest rozkaz dla mnie. Po drugie: nie ma żadnej misji. To jest Pontyfikat. W jego czasie jesteś naznaczony Piętnem Śmierci. Masz nieograniczoną władzę nad sługami ciemności. Tobie posłuszni są zombie, wampiry, żywe szkielety, duchy, upiory. Nad tobą są najwyżsi kapłani - licze i sama Pani. Ciebie nie może nikt tknąć, bo narazi się Jej gniewowi. - wykladał Karasu z miną profesora tłumaczącemu temat tępemu uczniowi. - Pontyfikat trwa do momentu aż zdobędziesz pięć dusz dla Śmierci. Wbrew pozorom to nie jest piknik. Twój poprzednik,

Mefistofeles V, potrzebował na to dwudziestu lat.

- Że kto? Ile? - zapytał Bruce z kompletnym mętlikiem w głowie.

- Hmm... Nie moja sprawa dlaczego Pani wybrała tak tępego następcę... Mefistofeles V, Nazywany Johnem Kowalskim, był sześćset sześćdziesiątym piątym Apostołem Śmierci i jego Pontyfikat trwał dwadzieścia lat. Ty jesteś sześćset sześćdziesiątym szóstym Apostołem. Imię możesz wybrać sobie sam. Ostrzegam: Belzebubów było osiemdziesięciu, Mefistofilów trzydziestu jeden, a Borut pięćdziesięciu czterech - mówił protekcyjnym tonem Karasu.

- Musiałbym się zastanowić... - powiedział Bruce. - Czy mogłoby być Piotr?

- Tak jak pierwszy chrześcijański papież? Opoka? - pytał z zaskoczeniem demon. - Co ma symbolizować twoje imię?

- Nie wiem. Myślałem, że ty mi powiesz - ironicznie odparł Apostoł.

- Cóż, jeśli je wybrałeś niech już takie będzie. Kolejnym krokiem ku oświeceniu twego pustego umysłu będzie wskazanie twego miejsca w hierarchii Krainy Cienia - objaśniał kruk. Jego głos nadal miał ironiczne zabarwienie. - Na samym szczycie stoi Pani - Władczyni Ciemności - Śmierć. Jej prawą ręką jest Archanioł Judasz...

- Że kto?! - wykrzyknął Bruce. Myśl, że zdrajca Mesjasza jest archaniołem nie mieściła się w jego porządku świata.

- Tak, dobrze usłyszałeś - kontynuował Karasu. - Trzysta trzydziesty trzeci Apostoł Judasz urodził się z przeznaczeniem, jakiego nie mógł ominąć. Musiał zdradzić tego chrześcijańskiego proroka. Za tą największą zasługę został nieśmiertelny i mianowany Najwyższym z Upadłych Aniołów. Jest on, jak już mówiłem prawą ręką Pani.

- Ale Judasz powiesił się z rozpacz za swój czyn! - nie dawał za wygraną Bruce.

- Bzdura. - uciął Karasu. - Pani zabrała Judasza do siebie. Jako jedynego śmiertelnika przeniosła do Królestwa Cieni. Nie przerywaj mi kiedy mówię i nie zadawaj głupich pytań. Na wyjaśnienia przyjdzie pora. Bezpośrednio pod Archanioła podlegają kolejni wybierani przez niego Apostołowie. Nazywani są też Upadłymi Aniołami. Oni zaś pod sobą mają wszystkich nieumarłych. Tak pokrótce wygląda hierarchia. To wszystko co na początek powinienes wiedzieć... - urwał.

- A co z tobą, Karasu? - zapytał Bruce.

- Co ze mną?...

- Gdzie jest twoje miejsce?

- Ja jestem majordomusem Archanioła Judasza. Mam też za zadanie wskazywać drogę takim jak Ty... - spojrzał na wschodzące słońce. - No, na ciebie już czas... Na mnie też. Kiedy będziesz potrzebował wskazówki, wiesz gdzie mnie szukać.

- Zaczekaj... - powiedział Bruce. - A jeśli nie przyjmę Pontyfikatu?

- Już go przyjąłeś, bo tu jesteś. Nie można być w tym miejscu... Miejsu, którego nie ma... Żegnaj, mój bracie...

Nagle cały cmentarz zniknął. Bruce otrząsnął się z obrzydzenia. Stał po kolana w błocie, a obok, równie utyłany jak on, stał jego zdezelowany wóz. Powiodł wzrokiem po okolicy. Mimo usilnych starań nie mógł sobie przypomnieć jak się tu znalazł. Wsiadł do wozu i odpalił silnik. Mimo jego niepewności odnalazł drogę do domu. Myślami wrócił do swej pracy. Cekał go kolejny dzień życia. Nie był jednak taki jak wszystkie. To początek jego końca.

- Jak myślisz Judaszu, czy on będzie do końca posłuszny - odezwał się kobiecy głos.

- Nie byłbym tego taki pewien. Nie jest zbyt inteligentny na pierwszy rzut oka... - odpowiedział Judasz.

- Myślę, że jednak przekona się do takiej zmiany... Ciekawi mnie jedno... - dociekała kobieta.

- Tak, Pani?

- Co kierowało jego wyborem imienia? Czy ma to związek z jego Pontyfikatem?

- Sześćset sześćdziesiąty szósty?

- Tak.

Zapadła cisza, przerywana sporadycznym hukiem grzmotu. Pani myślała o nowym Apostole i symbolice panującej wokół niego. Oraz o przepowiedni o Nowym Zbawicielu. Była to stara formuła wypowiedziana przez umierającego kapłana Laamemnona, zapowiadająca czas ciemności i śmierci. Przepowiedział on, że Zbawiciel uwolni ciemność z okowów i stanie do walki z ładem świata. I doprowadzi do końca istnienia. Nurtowało Panią jedno pytanie: Czy będzie nim Kefas?

Bruce`a trapił jeden problem: dlaczego Śmierć wybrała go na swego Apostoła? Czym on się jej naraził, lub czym wyróżnił? Niestety, tak jak mówił Karasu, nie do niego należały rozważania na ten temat. Wszelkie próby wymyślenia czegokolwiek spełzały na niczym. W końcu dał za wygraną. Postanowił czekać na znak od Pani. nie trwało to długo. Po około dwóch tygodniach beczynności stało się coś dziwnego. Bruce przechodził tuż obok kawiarni. Było ciepło, więc rozstawiono parasole. Przy jednym ze stolików siedziała kobieta. Miała na sobie czarny żakiet, a jej czarne włosy swobodnie opadały na ramiona. Bruce mimo woli podszedł do stolika i usiadł na wprost tej kobiety. Spojrzała mu w oczy. Wtedy Bruce doznał tego przerażającego uczucia, jakie towarzyszyło mu kiedy widział śmierć tej staruszki. Kobieta miała elektrycznie niebieskie oczy, zimne i puste. Jej głos miał niemiłe twardą barwę.

- Apostoł Kefas? - zapytała patrząc w jego oczy.

- Kim jesteś? Skąd znasz moje imię? - zapytał zdziwiony.

- Jestem posłanniczką Pani. Sara - przedstawiła się.

- Jesteś...

- Upadłym Aniołem, tak. - uprzedziła pytanie.

Sara wyglądała całkiem ładnie. Jeśli tak można mówić o osobie, która prawdopodobnie nie istniała. Przy bliższym przyjrzeniu była naprawdę śliczna. Tylko ten jej straszny głos i puste oczy odrzucały jakąkolwiek chęć konwersacji.

- Masz dla mnie jakieś polecenia, prawda? - zapytał Bruce.

- Tak. Pani chce sprawdzić jak sobie poradzisz z pierwszą duszą - głos Sary nabrął wreszcie miły dla ucha, rzeczowy ton. - Będzie nią kobieta-medium zwana Falką. Spotkasz ją w salonie spirytystycznym na rogu Rosco Avenue. Tu masz wszystko co ci będzie potrzebne - powiedziała, wręczając Bruce`owi dossier. - Powodzenia Kefasie.

- Nie możesz iść ze mną? - zapytał, czując jaka będzie odpowiedź.

- To twój Pontyfikat. Ja już dostałam tego zaszczytu...

W tym momencie za nią rozstąpiło się powietrze i ukazała się dziura czasoprzestrzenna. Z niej emanowała energia ciemności. Sara wstała i podeszła do niej. Odwróciła się i powiedziała: "Żegnaj Apostole Kefasie". Przeszła na drugą stronę, po czym wyrwa zamknęła się.

Bruce gwizdnął pod nosem. rozejrzał się wokoło. Żaden z klientów kawiarenki, a było ich sporo, nie zauważył niczego dziwnego. Apostoł wstał i poszedł do domu, by tam przestudiować dossier jakie otrzymał od Sary. Musiał też wybrać się po poradę do Karasu. Jakoś nie wyobrażał sobie, że ma pozbawić kogoś życia i nie pójść za to do więzienia lub na krzesło.

Było już grubo po północy. Bruce zbierał się by dotrzeć do demona. Wiedział już o Falce wszystko co powinien wiedzieć. Była ona medium i od pewnego czasu kontaktowała się z ludźmi uwięzionymi w zaświatach. Doprowadzała tym Panią do sąła.

Niestety, Śmierć ma ważniejsze sprawy na głowie niż zwracanie sobie niej takimi wariatkami. To należało do Apostoła. Zanieść poselstwo Pani do takiej osoby. "Cóż, jeśli to pozostało mi w życiu to muszę wykonać obowiązki jak najlepiej" - myślał Bruce wsia-
dając do wozu i jadąc w kierunku cmentarza.

Kiedy dotarł na miejsce, ruszył w kierunku grobowca, na którym po raz pierwszy spotkał Karasu. Nie musiał wiele się
trudzić, gdyż demon był na tym samym miejscu. Kolejny raz przemówił do Bruce'a swym ironicznym, protekcyjnym tonem.

- Witaj Kefasie. Cóż cię tu sprowadza?

- Witaj Karasu. Chciałbym dowiedzieć się czegoś na temat mojej... mojego poselstwa.

- A co konkretnie chciałbyś wiedzieć? Sądzę, że Sara dała ci wszystkie informacje na temat Falki, jakimi dysponowaliśmy na twój
użytek - powiedział kruk.

- Tak, ale jak mam to wykonać? - zapytał.

- Po prostu pójdz do niej i powiedz: "Jeszcze dzisiaj umrzesz".

- I to wystarczy? - Bruce niedowierzał prostocie swego zadania.

- Tak. To naznaczy ją Znamieniem Śmierci. Już nic jej nie uchroni przed końcem. Jeżeli będzie się stawiała, powiedz: "Wzywam na
pomoc sługi moje, wojowników ciemności". Przybędą wtedy twoi podwładni. Pamiętaj, żeby nie używać ich nadaremno.

- I to wszystko?

- Tak. Pośpiesz się, ona nie będzie tam wiecznie - upomniał Karasu.

Bruce pożegnał się z demonem i wszedł do auta. Ruszył w stronę Rosco Avenue. Oczekiwał czegoś co przerośnie jego siły,
a tu misja porównywalna do zjedzenia kanapki. Jak to zwykle bywa, kanapką można się udławić.

Kefas dotarł wreszcie pod wskazany adres. Salon był jeszcze otwarty. Wkroczył do środka i otworzył drzwi gabinetu Falki.
Rozejrzał się wokoło. Pokój urządzone był na modłę cygańskiej wróżki: szklana kula na stoliku zdobionym w szkarłat. Przy owym
stoliczku siedziała starsza kobieta, około pięćdziesiątki. Dossier mówiło, że ma sześćdziesiąt sześć. Miała na sobie szkarłatną suknię
i czarną chustę. Spojrzała przenikliwymi oczami na Bruce'a.

- Witaj, Upadły Aniele...

- Widzę, że wiesz kim jestem i z czym przychodzę... - powiedział cichym głosem.

- Tak. Nie będę cię zatrzymywała przed niczym. Pani wreszcie mnie dostała. Moja aura nie może już mnie chronić. Znaczy to, że
nadszedł wreszcie czas Nowego Zbawcy...

- Co, do jasnej cholery?

- Przepowiednia Laamemnona, która mówi o nadejściu czasu Chaosu, Śmierci i Mesjasza Ciemności. Głosi ona, że nadejdzie dziecię
Boga, Upadły Anioł, który stanie się panem Podziemi i rozpocznie apokalipsę tego świata. Stanie się to gdy pokona dziedzica swego
imiennika i pograży kult Boga w ciemności Śmierci. Dopełni się to w ciągu najbliższych sześciu lat.

- Co ty chrzanisz? - zapytał z wściekłością Bruce. - Mam tego dość. Wiedz, że jeszcze dzisiaj umrzesz.- Tak, wiem to i nie mogę się
doczekać. Ale czy ty możesz czekać na swe przeznaczenie?

- Nie denerwuj mnie... Ostrzegam...

- Bruce, czy wiesz dlaczego ciebie wybrano na Apostoła?

- Nie i nie chce wiedzieć. Tracę cierpliwość. Ta twoja gadka jest tak nudna, że aż mnie to wnerwia.

- Bruce...

Wtedy Apostoł stracił cierpliwość. Instynkt kazał mu podnieść prawą rękę. Na twarzy Falki pojawił się czerwony penta-
gram, który po chwili rozjarzył się krwawym blaskiem. Kobieta wrzasnęła dziko i chwyciła się za zalane krwią lico. W Bruce'ie wy-
buchła nienawiść ogromna, jakiej nie mógł sobie wyobrazić. Zaciśnął palce, a twarz Falki eksplodowała fontanną krwi. Ciekła ona ze
wszystkich otworów: ust, nosa, oczu, uszu. Falka targana spazmami bólu wrzasnęła metalicznym głosem: "Pamiętaj przepowiednię
Bruce!" po czym skonała. Apostoł stał nad jej ciałem i rechotał. Bawiła go łatwość z jaką pozbawił ją życia. Cieszyła go moc jaką
posiadał. Nie zwrócił uwagi, że na jego dłoni dalej rozjarzony był pentagram. Znak zguby i przekleństwa...

Bruce pojawił się na cmentarzu, aby pogadać z Karasu. Miał do niego kilka istotnych pytań. Przede wszystkim chciał się
dowiedzieć dlaczego na jego dłoni rozjarzony jest ten pentagram. Dziwił się, że coś takiego się dzieje, mimo iż nie używa mocy.

Karasu, tak jak zawsze, siedział sobie na imponującym nagrobku zapadłego w ziemi grobu. Skubał sobie żdźbło trawy i
nie patrząc na Apostoła powiedział:

- Coś nie śpieszyłeś się tutaj...

- Wybacz Karasu, musiałem jeszcze pozbyć się trupa.

- Nie musiałeś tego robić. Mogłeś zawsze wezwać któregoś ze sług cienia.

- Aha. Mam do ciebie kilka pytań... - Bruce nie dokończył, gdyż demon przerwał mu w pół słowa.

- Nie czas na twe irytujące pytania, matole! Pani ma dla ciebie kolejne zadanie.

- Ale...

- To były dwie. Słuchaj uważnie... - tym razem Bruce nie dał skończyć demonowi.

- PATRZ!!!

Mówiąc to, Bruce podsunął Karasu pod dziób prawą pięść z czarno połyskującym pentagramem na niej. Kruk spojrzał
swymi ślepiami. Malowała się w nich ciekawość mieszana z przestachem. Ostrożnie, ważąc każde słowo zapytał:

- Jak to się stało?

Bruce uważnie obserwował demona. Zastanowiła go ta nagła zmiana głosu Karasu. Znał go tylko mniej więcej dwa ty-
godnie, ale wiedział, że on zawsze używa ironicznego tonu, jakby uważał swego rozmówcę za coś gorszego od siebie. Postanowił
uważać na to co mówi. I komu mówi.

- Pojawiło się to tuż po pozbawieniu Falki życia - skłamał.

Kruk wpatrywał się w dłoń Apostoła. Po kilku minutach, starannie dobierając słowa powiedział:

- To ciekawy przypadek... Już kiedyś tak się stało... Dziwna reakcja na użycie Mocy Ciemności... Nie masz czym się martwić... To
niedługo zejdzie... Czy coś jeszcze chcesz?

- Kto to był kapłan Laamemnon?

Karasu wyraźnie zadrżał. Jeśli coś takiego można powiedzieć o kruk, oczywiście. Wyglądało to na sprawę, o której wolął
nie mówić. Mimo pierwszej reakcji odpowiedział.

- Kapłan Laamemnon był najwyższym namiestnikiem kultu Szatana. Ludzie wyznający tą przeklętą wiarę stanowili ledwie częst-
kę tych szaleńców, którzy nie wiedzieli co zrobić ze swoim życiem... Dorobili swoją ideologię umieszczając w centralnym miejscu
pierwszego Apostoła - Lucyfera. Nazwali go Szatanem, Panem Ciemności, i innymi dziwnymi określeniami. Nie traktowaliśmy tego
poważnie, dopóki...

- Dopóki co?

- Kolejny arcykapłan satanistów nie wypowiedział tych słów: "Nadejdzie nowy Zbawiciel, Dziecię Boga, który stanie się Upadłym
Aniołem. Gdy czas się dopełni zabije On dziedzica swego imiennika i przejmie jego moc. Ciemność zwycięży Światło i rozpocznie
zagładę świata. Wypatrujcie tych znaków: sześciu Znamion Ciemności i dwóch Znaków Czasu Ciemności od Początku Czasów..."

- Co to wszystko ma znaczyć? - zapytał Bruce zdezorientowany.

- Skąd mam wiedzieć? Nie mam zielonego pojęcia... Mimo tego, proszę cię, uważaj na siebie... Nie nadużywaj swej mocy...

- Co ci tak na mnie zależy?
- Wiesz, mimo iż jesteś taki tępy... Nie jesteś zły... Dobrze. Kolejne zadanie, które cię czeka...

Bruce siedział w swym wysłużonym wozie. Krople deszczu uderzały w szyby, usypiając monotonią dźwięków. Apostoła czekał tak już dwie godziny. Na siedzeniu obok leżała teczką. Czarnym atramentem na okładce było napisane: "Michael Conky". Kolejna dusza, którą pragnęła posiąść Pani. Dwa miesiące trwało zanim Bruce wreszcie znalazł miejsce jego pobytu. Arizona, prawie sto mil do miejsca ostatniego pobytu, zapisanego w dossier. "No cóż, nikt nie jest doskonały, nawet konfidenci wynajęci przez Archaniola Judasza" - myślał Apostoła. O przepowiedni Laamemnona Bruce zapomniał wyjątkowo szybko. Po części dlatego, że od pewnego czasu zajmował się kasowaniem osób, które mu się naraziły. Listonosz, bo zamówione paczki dotarły uszkodzone, konduktor w autobusie, bo wlepił mu mandat, et cetera. Ludzka śmierć dawała mu rozkoszne uczucie nieśmiertelności, władzy nad czasem, życiem. Nie zaniedbywał tym swoich obowiązków wobec Pani. Dawał jej dodatkowe dusze i zasiliał jednostki nieumarłych w kolejne służby.

Bruce miał przed sobą trudniejsze wyzwanie. Jego "ofiara" parała się okultyzmem. Michael Conky znany był ze swoich umiejętności kontaktowania się z duchami, demonami, oraz potrafił tworzyć projekcje ciała astralnego bez konieczności wprowadzania się w trans. Mimo tych nieciekawych informacji Bruce nie obawiał się otwartego starcia. Był przygotowany na wszelkie możliwe wypadki. Jednym z jego "asów z rękawa" był zestaw orionów, małych, sześcioramiennych gwiazdek. Zrobione ze stopu tytanu i wolframu, odporne na wszelki oręż zwykły, broń palną, odznaczające się niewiarygodną szybkością, stanowiły idealne uzupełnienie umiejętności magicznych. Przy wprawnym oku można zdjąć cel oddalony o ponad sto metrów.

Apostoła postanowił przerwać bezczynne oczekiwanie. Przeklinając w duchu pogodę, otworzył drzwi i wyszedł z samochodu. Nałożył kaptur płaszczu na głowę i poszedł w kierunku małego hotelu. Tam, według informacji jego sług, znajdował się Mike.

Bruce wszedł do środka i rozejrzał się po pomieszczeniu. Na parterze znajdował się bar z kilkunastoma stolikami, po prawej stronie były schody prowadzące na górę, najpewniej do pokoi. Apostoła podszedł do kontuaru, opierając się o niego zapytał barmana:

- Szeffie, jest tu może Mike Conky?

Barman, gruby dziadga, spojrzał na Bruce'a swymi czarnymi, przepitymi oczyma i wybełkotał:

- Taaa... Birse bintro banie hik!

Bruce zdęgotowany odsunął się i poszedł w kierunku schodów. Rozglądał się po korytarzu, zastanawiając się, w którym z ośmiu pokoiw siedzi ta szumowina. Nie mogąc wybrać odpowiednich drzwi, postanowił zaryzykować i użyć mocy. Apostoła skupił się i złączył palce wskazujące, małe i kciuki obu dłoni, na wysokości splotu. Pentagram prawej dłoni zabłyśnię krwawym blaskiem. Paskudny uśmiech wykwitł na twarzy Bruce'a. Energia Mroku wskazała mu szósty pokój, tam bowiem wykryła użycie mocy przywoływania ciała astralnego.

Nagle drzwi pokoju eksplodowały z hukiem. Wyskoczyło z niego sześć postaci, ubranych jednakowo w czarne kimona. Miały one czarne włosy i świecące się szkarłatnym światłem oczy.

- Czego chcesz przybyśtu posługujący się Mocą Mroku? - zapytały postaci. - My, obrońcy naszego pana, nie pozwolimy ci go dotknąć!

- Jak sobie życzycie... - powiedział Bruce, czując już euforie walki. - Ja, Apostoła Śmierci, Piotr przynoszę poselstwo Michaelowi Conky. Daję mu znak mej Pani, Znamię Śmierci!

- Po naszych trupach!

Sześciu wojowników ruszyło do walki. Każdy z nich dysponował dużą siłą magiczną. Strzelali energią byleby trafić w Apostoła. Niestety, Bruce - Piotr był naprawdę szybki. Pierwszego z nich strzelił energią z obu złączonych dłoni. Z niesamowitą szybkością odwrócił się i uderzył drugiego łokciem w twarz, wbijając mu nos w mózg. Trzeci z przeciwników chciał wbić Bruce'owi nóż w głowę, co niestety mu się nie udało. Apostoła zrobił side-step w lewo, pochylił się i opierając ciężar ciała na lewej stopie odbił, zadając cios z półobrotu prosto w kark. Usłyszał nieprzyjemne chrupnięcie i jego przeciwnik osunął się na ziemię. Pozostali oponenci przez chwilę stali skonsternowani. Zgubił ich ten moment braku skupienia.

Bruce zaatakował, nie dając ani chwili na złożenie gardy. Krótkim półobrotem znalazł się w odpowiedniej pozycji do zadania ciosu. Walnął oponenta obiema pięściami wyrzuconymi równolegle do siebie, trafiając prosto w splot. Żebra poszły w drzazgi, a gościek osunął się po ścianie, rzygając krwią. Pozostali dwaj mieli nieco więcej szczęścia. Umarli szybko i prawie bezboleśnie. Apostoła zawirował w szybkim obrocie, jednocześnie rzucając orionami. Gwiazdki zawyły przecinając powietrze i z impetem wbiły się równo między oczy pozostałych ciec. Siła rzutu cisnęła nimi o ścianę, zostawiając na niej malownicze plamy krwi.

- Hahahaha! Nie można pokonać przeznaczenia!

- Tak sądzisz? - dobiegł głos z głębi pokoju.

Mike wyszedł z pomieszczenia na korytarz. Wyglądał dokładnie tak samo jak pozostała szóstka pacjentów, ozdabiających swą krwią budynek. Różniły go tylko oczy, które nie jarzyły się szkarłatnym blaskiem. Miały one barwę świeżej krwi, czerwieni tak intensywnej, że aż ćmiło w oczach. Wokół niego panowała aura szalonej energii.

- Nie poddam się Pani! Pokonam każdego Apostoła jaki wejdzie mi w drogę!

- Nadszedł czas umierać... - wycharczał Bruce.

Korytarz napelił się istic egipskimi ciemnościami. Na lewej pięści Bruce'a rozjarzył się kolejny pentagram, który po chwili zaczął pulsować czerwonym blaskiem. Apostoła już nie panował nad swą mocą. Czuł tylko chęć mordy, nieprzemogłą ochotę pozabawienia Mike'a życia. W najokrutniejszy z możliwych sposobów.

Conky skoczył w stronę Bruce'a. Nie pokonał połowy odległości dzielącej ich, gdy podmuch wiatru cisnął go o ścianę. Mur pod naporem tej siły pękł, zasypując Mike'a gruzem. Bruce uniósł obie dłonie i kierując oba pentagramy na okultystę powiedział: - Zdychaj!!!

Wokół Mike'a pojawiły się jaskrawe błyskawice. Niewidzialna siła uniosła go w górę i pozostawiła lewitującego pod sufitem. Conky zaczął wrzeszczeć targany obłędem. Jego koszula spłonęła, parząc ciało, zostawiając na nim czerwone plamy, bąble i spadające płyty skóry. Klatka piersiowa poczęła nabrzmiewać i puchnąć. Po kilku sekundach pojawiła się na niej czerwona linia biegnąca od lewego ramienia do prawego biodra. Skóra napięta w wyniku opuchlizny, rozerwała się wzdłuż owej linii. Krew zabryzgała cały korytarz, nie oszczędzając Bruce'a. Mimo tej ohydnej, lepkiej cieczy na ciele, Apostoła nie przestawał wymierzania kary. Przyciągnął dłonie do swego splotu i gwałtownie je odepchnął. Zwłoki Mike'a lewitując "podpłynęły" w powietrzu do Piotra i z impetem odleciały ku zniszczonej ścianie hotelu. Uderzenie przebiło mur, przy okazji dekapitując Mike'a.

Bruce postanowił się zbierać i to szybko. Moc pentagramów pozwoliła mu stać się niewidzialnym i wyjść niezauważonym z budynku. Spokojnie poszedł do swego wozu. Zanim wsiadł, stanął przy nim i zapalił papierosa.

- Kuźwa, czy ja zawsze muszę się pobrudzić? To był mój ulubiony płaszcz...

Pałac tonął w potężnych cumolonimbusach, czarnych chmurach zwiastujących burzę. Nigdy nikt nie widział tam innej pogody. Egipskie ciemności, momentami rozjaśniane przez błyskawice, spowijały cały Tartar. Pani zawsze lubiła gwałtowne burze, te ze spadającymi kroplami wody wielkości piłeczki golfowej, wiatrem zdolnym wyrwać drzewa, piorunami przecinającymi

niebo. Przesiadwała wtedy w oknie swego pałacu i wspominała.

"To nie zawsze było takie smutne miejsce" - myślała. Przywoływała chwile, kiedy jej świat wyglądał pięknie i barwnie: słońce przygrzewało, leciutki wiaterek mierzwił jej piękne czarne włosy, ptaki śpiewały i wokoło czuć było zapach kwiatów. Każdy by chciał tak spędzić wieczność...

Gdyby nie zależność od Jahwe. To by nie przeszkadzało Pani, dopóki nie urodził się Judasz. Był przeznaczeniem Śmierci a Ona była jego przeznaczeniem. To Judasz sprawił, że Jahwe zniszczył Świat Pani. Swym gniewem sprowadził na nich Mrok. Nagromadził chmury i rozpętał Chaos.

Pani czekała na dzień, kiedy nadejdzie Czarny Zbawiciel. Kiedy stanie się Apostołem Śmierci i pomoże jej odegrać się na Jahwe. Za tą szkodę jaką jej wyrządził. Niecierpliwie wypatrywała człowieka "obdarowanego" sześcioma Znakami Mroku. Przeznaczenie szykowało jednak inny scenariusz.

- O czym myślisz Pani? - zapytał Judasz wchodząc do komnaty.

- Jakież wieści do Piotra, Archaniele?

- Tak.

Pani odwróciła się od okna. Spojrzała na rosnącego mężczyznę o twardych rysach twarzy. Miał on czarne włosy, ciemną karnację i gęstą, zmierzwioną brodę. Ubrany w połyskującą zbroję wyglądał naprawdę groźnie. Z jego pleców wystawały duże, czarne skrzydła. "Jak zawsze elegancki i wytworny" - uśmiechnęła się. Tak, to trzeba było przyznać Judaszowi. Bardzo dbał o swój wygląd.

- Co takiego mówił?

- Pozbył się Medium i Astralnego Władcy. Trafili już do Lochów.

- Dobrze. Dobierz im przykładowe kary za wchodzenie mi w drogę.

- Tak, Pani.

- Zostaw mnie samą. Chciałabym trochę pomyśleć.

- Tak, Pani.

Judasz po cichu, uniżenie opuścił komnatę. Nikt nie mógł towarzyszyć Pani Śmierci w rozmyślaniach. Dlatego, że sama o to prosiła i przez respekt dla majestatu ciszy i skupienia śmierci.

- Karasu, przestań wżerać te ciacha i posłuchaj mnie! - powiedział Bruce.

- Tak, Piotrze? - kraczał demon z pełnym dziobem, nie przejmując się prośbą Apostoła.

- Nie mów tak do mnie. Mam na imię Bruce. Ile razy mam ci przypominać?

- Jesteś Apostołem Piotr i basta. Takie imię sobie wybrałeś i tak każdy będzie cię nazywał.

- Ale na przykład list wysłany do mnie będzie adresowany "Bruce Johnson".

- Świat żywych jest dla ciebie bez znaczenia. Ty należysz do naszego świata.

- Eeee... No niech ci będzie.

Kruk skończył wreszcie pałaszować paczkę herbatników. Beknął (modą kruczą) przeciągle i przefrunął na gałąź wierzby płaczącej. Rozciągnął swe połyskujące skrzydła i przyjrzał się uważnie Piotrowi. Mimo, iż uważał go za tępaka, polubił go. Sam nie wiedział czemu ale jednak. Coś połączyło starego demona z tym mężczyzną. Karasu służył Pani od około półtora tysiąca lat i nigdy nie pozwolił sobie na coś takiego jak przyjaźń. "Dziwaczej na starość" - pomyślał kruk.

- Z czym do mnie przychodzisz?

- Mówiłeś, że to tylko dziwna reakcja na moc... Ale dlaczego pojawił się drugi pentagram. A kiedy ten Conky chciał mnie uderzyć, uniosłem go w powietrze i jego koszula spaliła się na ciele. Potem pękł mu tors. Równiuteńko na pół.

- O w dzioba... Rzeczywiście musiałem się mylić. To ciekawe...

- Co jest takiego ciekawego w tym, że nie dotykając pacjenta rozrywam go na strzępy?

- Eeeee... No rzeczywiście nie ma nic w tym ciekawego. Chyba pamiętasz co ci mówiłem na temat przepowiedni?

Bruce zamyślił się. Nadal nie widział związku pomiędzy swoim Pontyfikatem a kapłanem Laamemnonem i jego słowami. Ta cała gadka wydawała mu się kompletnym bezsensu, mową trawą. Po kilku minutach rozmyślań powiedział:

- Słuchaj, może ta przepowiednia to kompletne bzdury, wyssane z brudnego palca starego capa?

- Nie byłbym tego taki pewien...

- Na razie nic nie wymyślimy. Najlepiej będzie jak zobaczymy, co przyniesie czas.

- Czas jest pojęciem względnym...

- Co masz na myśli? - zapytał Bruce lekko zdziwiony.

- Nic, nic. Tak sobie tylko kręcę...

Bruce spojrzał na Karasu. "Ciekawe ile jest prawdy w tym co mówi" - myślał Apostoł. Nadal nie był pewien czy może ufać krukowi. Pomimo, iż wreszcie miał jakieś rozeznanie w tym całym bajzlu, nadal nie wiedział komu może tak naprawdę zaufać.

- Co z kolejną osobą, której duszę mam oddać Pani? - zapytał rzeczowo.

- Musisz trochę poczekać. Zanim dostaniesz jakieś informacje, muszą one zostać zebrane, no nie?

- Dobrze. Byłoby nie musiał długo czekać.

"Nareszcie coś się dzieje" - pomyślał Piotr, wchodząc do obskurnego baru na rogu Staunton Road. Od ostatniego poselstwa minęło ponad dwa lata. Była zima roku 2008, bardzo śnieżna, jakby ktoś pytał. Białych puch padał z nieba już od tygodnia, a wszędzie czuć było atmosferę zbliżających się świąt. "Też mi coś" - parsknął Piotr, przechodząc obok pary upitych mężczyzn, śpiewających (raczej bełkotających) koledy.

Brodząc w śniegu, podszedł do drzwi baru. Nie lubił takich miejsc. Wszędzie śmierdziało alkoholem, pijanymi ludźmi i ciemnymi interesami. Tak szczerze mówiąc to jego też przyprowadził biznes. Nie spoglądając na obecnych, podszedł do lady i zawołał barmana.

- Szeffie, Rusty to jest tutaj?

- Tak synu. Zaraz go zawołam.

Rusty. Z informacji Piotra wynikało, że ma około szesnastu lat. Ciekawe, że to jego rodzice ofiarowali go Pani, gdy miał lat pięć. Obracał się on w kręgach nekromantów i miał pojęcie o niektórych sprawach związanych z Pontyfikatem. "Zobaczymy jakie ma dla mnie informacje" - pomyślał Piotr.

Z kuchni wyszedł drobny chłopaczek. Miał może z półtora metra wzrostu, rude włosy, piegowaną twarz i ubrany był w znoszony fartuch kucharski. Podszedł do Apostoła i powiedział:

- Apostole Kefasie, bądź pozdrowiony przez twego uniżonego sługę Rusty`ego.

Piotr uśmiechnął się pod nosem. Podobało mu się jak ludzie i nieludzie zwracali się do niego z szacunkiem, jakiego nigdy nie otrzymywał.

- Masz dla mnie jakieś wieści Rusty?

- Tak, panie. Dotyczą one twego Pontyfikatu i kolejnej duszy. Zadanie czeka cię bardzo trudne, gdyż osoba wyznaczona przez Panią

jest ciężko osiągalna. Jest nią Carl Coval, były prezes Computronica.

- Dlaczego to ma być trudne, Rusty?

- Siedzi on w pace na Boulevard of Liberty w Anglii.

- No nieźle... - zagwizdał cicho. - Za co takiego mam go uśmiercić?

- Coval stanowi pomost między Światem Ciemności a światem żywych. Raz na dwa tysiące lat rodzi się człowiek, który pokonuje tę barierę bez najmniejszego problemu. Pani pragnęłaby zapobiec dalszym uwolnieniom niepowołanych ludzi z Lochów...

- Czy masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

- To wszystko, najciemniejszy Panie.

- Dziękuję za twą pomoc. Wiedz, że zostanie ci ona wynagrodzona...

- Wielkie dzięki Panie. Twa hojność będzie sławiona po wsze czasy.

- Nie o takiej nagrodzie mówiłem... - wyszeptał Piotr unosząc dłoń z czarnym pentagramem. Znak rozjarzył się krwawym blaskiem.

- Nie... - powiedział chłopiec zduszonym głosem.

Na jego klatce piersiowej pojawił się pentagram. Niewidzialna siła cisnęła nim przez całe pomieszczenie, wprost na betonowy filar podtrzymujący sufit. Chłopiec z impetem uderzył w ów słup. Rozległ się trzask łamanych kości.

- Myślę, że skręcony kark to najlepsza nagroda dla ciebie - powiedział z uśmiechem. - Jak ja mam się, u licha ciężkiego, dostać do Anglii?

Apostoł Piotr opuścił w pijanej ciszy bar. Postanowił podjąć swoje oszczędności i kupić sobie bilet na statek do Londynu, a stamtąd pociągiem ku Manchesterowi. "Jeżeli mam tam jechać, to chociaż zwiedzę sobie trochę świata" - pomyślał pocieszony i rażno ruszył do swojego wozu.

Manchester. Niewielkie, ale tętniące życiem miasto w Anglii. Piotr widział już metropolie Ameryki, miejsca hałaśliwe, zadymione, pozbawione jakiegokolwiek stylu. Manchester zrobił na nim naprawdę wielkie wrażenie. Wszystkie negatywne cechy Ameryki i angielski tryb życia to wybuchowa mieszanka. Szczególnie na drogach.

- Jak jedziesz ośle!!! - wrzeszczał Piotr wychylając się przez okno.

- Zamknij się pęta!!! - odkrzyknął kierowca, zajeżdżając mu drogę i pokazując środkowego palca.

Tak, Anglik za kierownicą to prawdziwa katastrofa. Jak to miło poczuć ten przyjemny chłód, jakby wyłaniając się z wody. "Dla ciebie Pani będzie łaskawa" - pomyślał.

Rzeczywiście była łaskawa. Pajac obejrzał się na vauxhalla Apostoła i uderzył z dużą siłą w ciężarówkę przewożącą pnie drzew. Jedno z nich, przebijając przednią szybę, zmiażdżyło mu głowę. Bruce ominął przeszkodę i pojechał dalej, w kierunku centrum. Do takich zdarzeń był już przyzwyczajony. Przecież to wokół niego skupiały się wszelkie prawdopodobne i nieprawdopodobne zdarzenia. Nie ma czym się podniecać.

Dwie godziny minęły na bezowocnych poszukiwaniach Boulevard of Liberty, zanim Piotr wreszcie poprawnie zorientował mapę i wyczytał wskazówki dotyczące drogi. Nie był to jednak czas stracony. Apostoł zdążył obejrzyć z bliska zmianę warty przy pałacu Buckingham. "Ciekawe - myślał - co takiego ludzie w tym widzą. Tylko sobie pomaszczą i to wszystko. Żadnych fajerwerków..."

Budynek więzienia na Boulevard of Liberty prezentował się interesująco w porównaniu do pałacu Buckingham. Był to około dziewiętnastowieczny zameczek, z instalacją drutów kolczastych, plastikowych i zakratowanych okien i wieżyczek wartowników. Prawdopodobnie byłby nie do zdobycia. Aż do dzisiaj...

Piotr podeszedł do bramy. Zapukał do drzwi. Minęło pięć minut i otworzył się judasz.

- Czego tu?

- Chciałbym odwiedzić Carla Covala.

- Jest pan wpisany na listę?

- Eeee...

- Nazwisko?

- Johnson.

- Nie ma pana na liście. Proszę stąd odejść, bo jak nie to wartownicy zaczną strzelać!

Piotr zdenerwował się. Dlaczego nie można załatwić wejściówek, przepustek i innych takich dupereli? Czy zawsze trzeba robić wszystko samemu?

Odszedł kilka kroków od wrót więzienia. Stał w rozkroku, złączając obie dłonie na wysokości splotu. Energicznie odepchnął je od siebie, rozprostowując palce. Drzwi eksplodowały z hukiem, zabijając wartowników. Zawył alarm ostrzegając personel, przed atakiem na fort. Piotr nie przejmował się upierdliwym wyciem syren. Wbiegł do wewnątrz i rozpoczął poszukiwanie swej ofiary. Po około stu metrach wpadł na ochronę. Czterech goryli wyposażonych w pałki elektryczne.

- Zginiecie pierwsi... - wyszeptał, unosząc naznaczone dłonie.

- Brać go!!!

Walka skończyła się równie szybko jak zaczęła. Apostoł robiąc gwałtowny unik, odbił się od ściany i kopnął pierwszego jednocześnie wykonując salto w powietrzu. Dwaj kolejni dostali ciałem swego kompana. Ostatni cofając się upuścił broń, i oparł się plecami o ścianę. Zasłaniał twarz rękami, bełkotając: "Panie daruj mi życie! Mam żonę i dziecko!" Gdy opuścił ręce nikogo już nie było.

Piotr przemierzał korytarze budynku nie niepokojony przez nikogo, z prostego powodu: kto wszedł mu w drogę natychmiast ginął. Tylko nieliczni przeżywali spotkanie z Apostołem Śmierci. Byli to ludzie, którzy zawczasu uciekali, bądź tacy, których oszczędził sam Piotr. Niektórzy otrzymywali Piętno Śmierci, które samo sprowadzało na nich gniew Pani.

Niestety, nie wszystko co dobre się dobrze kończy. Kiedy Piotr czuł już obecność Covala, zaatakowali go komandosi S.A.S -u. Uzbrojeni w karabinki H&K MP5 i parę innych zabawek byli cholernie niebezpieczni. Apostoł nawet się nie zatrzymał. Dowódca wydał rozkaz:

- OGNI!!!

Kule przeszły powietrze pędząc w kierunku Piotra. On wykonał serię nieprawdopodobnie szybkich uników, wykluczających jakiegokolwiek zranienie. Niestety pewność siebie wyprowadziła go w pole. Cztery zbłąkane kule dosięgnęły celu. Pierwsza przeszła jego rękę, kolejna prawe płuco, trzecia lewe ramię, a ostatnia drasnęła łuk brwiowy, ledwo, ledwo mijając oko i skroń.

Czerwony tuman padł na lica Piotra. Wściekła furia wyzwoliła pełną moc pentagramów rozjarzonych na dłoniach oraz połykając na stopach. Apostoł doskoczył do ściany i trzasnął w nią pięścią. Pękający mur zrzucił na głowy komandosów strop, zabijając ich na miejscu.

- Upierdliwy problem z głowy - powiedział metalicznym głosem Kefas.

Odwrócił się i spojrzał na okute drzwi celi, w której siedział Carl. Nie widział problemu w rozwaleniu ich, - inną kwestią był sam Coval. Był Pomostem, więc mógł kierować jednostkami nieumarłych. A to oznaczałoby ciekawą zabawę. "Nie przekonam się jeśli nie spróbuję" - pomyślał Piotr.

Drzwi z hukiem wleciały do środka. Z kłębów kurzu wyłoniło się światło i cień. Ów cień odezwał się metalicznym głosem.

- Carl Coval! Przyjmij Znamie Śmierci!

Na Piotra wyskoczyły trzy szkielety, uzbrojone w zakrzywione szable. Dołączył do nich straszliwy Nosferatu - wampir bę-

dający alter-ego hrabiego Vlada Draguli. Oszołomiony nagłym atakiem Kefas nie zdążył zasłonić się przed ciosami szabli wojowników. Ostrze rozorało mu twarz od czoła, poprzez prawa brew, policzek, do szczęki. Ból rozlewający się wraz z krwią wzmógł w nim szal. Wyciągnął rękę i wyrzyczał:
- Morte!

Szkielety nagle po prostu wyparowały. Drobną popiół posypał się na ziemię wraz z spadającym orężem i resztkami zbroi. Nosferatu zaatakował Piotra, mając nadzieję na obfity posiłek. Przeliczył się, a błąd kosztował go bardzo drogo.

Piotr wykonał szybki przysiad, jednocześnie zaczynając się obracać w przeciwnym kierunku do lotu wampira. Kiedy ten przelatował nad Apostołem otrzymał cios w brzuch z wykorzystaniem pełnej siły obrotów i odbicia. Pięść Kefasa przebiła na wylot ciało potwora, które niemal natychmiast znikło. Piotr zeskokczył na ziemię. Był już naprawdę wkurwiony. Wskoczył do celu, gdy nagle niewidzialna siła przygniotła go do ziemi. Nie mógł się w ogóle ruszyć.

- Hahahahaha!!!! - rozległ się śmiech. Z ciemności wyłonił się łysy, wytatuowany mężczyzna. - Aposto! Śmierci wpadł we własną pułapkę. Jak to jest być złapanym we własny pentagram?

Piotr spojrział na podłogę. Rzeczywiście, na niej namalowany był wielki pentagram, z wypisanymi na nim zaklęciami w języku aramejskim. "Cholera! Znowu coś nie idzie po mojej myśli!" - gryzł się Piotr.

- Pora się ciebie pozbyć! Szybko i bardzo boleśnie... - powiedział Coval składając ręce do ostatecznego ciosu.

Nagle ogarnęła ich ciemność. Piotr wrzasnął dziko i wyprężył się. Wszystkie pentagramy rozjarzyły się na czerwono. Na jego ciele rozświeciły się jeszcze dwa: na obu stopach. Oczy niemal wyskakiwały z orbit. Żrenice stały się żółto-zielone, podobne do kocich. Włosy stanęły dęba, jakby podłączyli go do prądu. Płaszcz i koszulę rozerwały ogromne, błoniaste skrzydła. Kefas ryknął głosem godnym lwa i stanął, patrząc w oczy przerażonego Carla.

- Coo sieee stta!oo? - wyjąkał.

- Twój pentagram tylko dodał mi mocy. Dziękuję za pomoc... - uśmiechnął się paskudnie.

- AAAAA!!!! - wrzasnął jak zarzynane prosię Coval.

- Giń!!!

Piotr doskoczył do gościa strzelił go z łokcia w twarz, łamiąc mu nos, szczękę i łuk brwiowy. Błyskawicznym półobrotem kopnął go w głowę, miażdżąc kolejne kości. Odskoczył na kilka kroków i uderzył, rozpościerając skrzydło. Cisnął Carla na ścianę wbijając go na stopę w mur. Znowu doskoczył, uderzając kolanem w brzuch. Coval odruchowo schylił się i dostał cios oburącz, tak zwany "młot", prosto w potylicę. Twarz wbiła mu się w podłogę. Piotr złapał go za kark i wyrwał z ziemi. W tym momencie do celu wpadło kilkunastu komandosów S.A.S. Piotr roześmiał się szatańsko.

- Coval! Pozdrów Panią ode mnie!!!

Mówiąc to zdanie, cisnął Carlem wprost w żołnierzy, zabijając całą grupę, włącznie z "pociskiem". Aposto! przysiadł i odbił się od ziemi, rozpościerając skrzydła. Przebił się przez dwa kolejne piętra i wyfrunął w powietrze. Skierował jeszcze dłoń w dół i wrzasnął:

- Shou!!!

Budynek malowniczo eksplodował, tworząc ładny grzyb na atomową modę. Piotr z uśmiechem obserwował pobjawisko i odslaniany przez wiatr krater.

- Poselstwo zanesione, sprawa załatwiona. Czas wracać do Nowego Yorku, spotkać się z Karasu.

Jeszcze przez chwilę patrzył na gruzy, uśmiechając się paskudnie. Potem odleciał w kierunku zachodzącego słońca.

Cmentarz, oświetlany zachodzącym słońcem był naprawdę piękny. Światło delikatnymi promykami przebijało się przez gałęzie wierzb płaczących, sosen, dębów. Ta cisza panująca wokół była źródłem ukojenia dla wielu dusz, które błąkały się po świecie. Jedną z nich był demon zaklęty w kruk - Karasu. Od pięćset lat mieszkał na tym cmentarzu wśród potępionych i skazanych na wieczną tułaczkę po świecie żywych, beznadziejny los wyrzutków.

Cała jego rola sprowadzała się do siedzenia na tym malowniczym przedsionku Świata Ciemności i dawania wskazówek nowym Apostołom. Musiał też wysłuchiwać ciągłych przechwałek Archaniola Judasza o jego niesamowitej ważności i niespotykanej sile. Nuda i uczucie przygnębienia udzielało mu się coraz bardziej, gdy nastał Pontyfikat sześćset sześćdziesiątego szóstego Aposto! Śmierci - Piotra. Karasu czuł szczególną aurę wokół niego, mieszaninę Światła i Ciemności, sił dobra i zła. Przepowiednia Kapłana miała się sprawdzić co do joty, a demon miał być jej świadkiem. "Nastały ciekawe czasy" - wielokrotnie myślał.

Mimo tej atmosfery, polubił Bruce`a - Piotra. Kiedy miał czas, odwiedzał Karasu na jego cmentarzu. Grali razem w karty, pałaszowali herbatniki i rozmawiali. Gadali godzinami o wielu nie związanych ze śmiercią sprawach. Sprzeczała się, która drużyna futbolowa jest lepsza: L.A Devils czy N.Y Angels. Omawiali wyniki totalizatorów sportowych, zakładów bukmacherskich i opowiadali sobie dowcipy.

Patrząc wstecz Karasu zrozumiał, że dzięki Bruce`owi stał się o wiele spokojniejszy, bardziej przyjazny. Kiedyś przepełniony ironią, ociekający jadem, ponury. Dziś zapominał nawet opierniczyć słowiki z ich trele parę wierzb dalej.

Wreszcie przybył Piotr. Wbiegł na cmentarz i omal nie uderzył głową w niską gałąź. Rozejrzał się nieprzytomnie i usiadł pod drzewem. Kilka minut rozglądał się na wszystkie strony. Zdjął kaptur z głowy. Karasu omal nie zadławił się herbatnikiem.

- Co ty zrobiłeś ze swoją twarzą?

Rzeczywiście, widok był imponujący. Sznyt zniekształcający twarz, biegnący od czoła poprzez łuk brwiowy, policzek do końca szczęki wyglądał obrzydliwie. Karasu widział w życiu wiele najróżniejszych obrażeń i nic nie mogło go już zdziwić. Ciekawe było to, że Aposto! został tak poturbowany. Zazwyczaj nigdy się to nie zdarzało.

- Mów, bracie, kto ci to zrobił? Wykonałeś poselstwo?

- Taa... - bąknął Piotr.

- Co się stało?

Piotr pokrótce opowiedział mu cały swój pobyt w Anglii. Demon był już niemal pewien, że musi powiedzieć mu o sprawie, która nurtowała go od dawna. Wiedział też, że może ponieść za to karę. Ale Bruce był jego przyjacielem, a przyjaciołom się poma-ga.

- Słuchaj bracie. Za to co ci teraz powiem mogę ponieść karę, ale wiem, że ty nic nie piśniesz. Słuchaj uważnie. Pamiętasz słowa Kapłana Laamemnona?

- Jak mógłbym zapomnieć... Co to ma do rzeczy?

- "Nadejdzie nowy Zbawiciel, Dziecię Boga, który stanie się Upadłym Aniołem. Gdy czas się dopełni zabije On dziedzica swego imiennika i przejmie jego moc. Ciemność zwycięży Światło i rozpocznie zagładę świata. Wypatrujcie tych znaków: sześciu Znamion Ciemności i dwóch Znaków Czasu Ciemności od Początku Czasów..."

- Dalej nie rozumiem...

- Zbawiciel Mroków przepowiedziany przez tego starego capa to ty.

- JA?!!!

- Tak, bracie mój.

- Karasu...

- Powoli. Jesteś ochrzczone, prawda?

- Tak...

- A więc jesteś Dzieciem Boga, tak?

- No...

- Na "no" to się krowy gno. Idziemy dalej: stałeś się Upadłym Aniołem? - Jestem nim - odpowiedział z mocą.

- Cieszę się, że mówisz z taką pewnością. Dziedzic twojego imiennika... Tego sam jeszcze nie rozumiem.

- Fajnie wiedzieć...

- Nie przerywaj mi! - ofuknął go demon. - Wobec tego idąc dalej... Masz już cztery Znamienia Ciemności - wskazał skrzydłem pentagram na jego dłoni. Który mamy rok? - zapytał nagle.

- Po co...

- Gwałtownie zapragnąłem to wiedzieć, bracie mój.

- Mamy rok dwutysięczny ósmy.

- Znaki Czasu Ciemności po Początku Czasu to rok dwutysięczny dwunasty. Dwa tysiące lat od rozpoczęcia naszej ery i dwa okresy. Dwanaście lat.

- Jakie okresy?

- W kulcie śmierci ważna jest liczba sześć. Jeden okres to tyleż lat.

Przez długą chwilę panowała cisza. Piotr ważył w sobie wszystkie rzeczy, jakie usłyszał od demona. On miał zapoczątkować koniec świata. "Więc ode mnie będzie zależeć los wszystkich ludzi?" - myślał. Nie chciał brać na siebie tej odpowiedzialności. Wolał uniknąć swego przeznaczenia za wszelką cenę.

- Karasu, czy to musi się wypełnić?

- Myślę, że tak.

- Co to znaczy to "myślę"? - zapytał ironicznie.

- Wiesz o tym...

- Czym?

- Przeznaczenia nie da się uniknąć.

- W każdym bądź razie mogę się powiesić i zakończyć tę kwestię.

- Nie możesz... Apostoł na ziemi jest fizycznie nieśmiertelny. tylko Pani decyduje o życiu i śmierci Wybrańca. Ciebie to nie dotyczy - zakończył z uśmiechem.

- Co mnie nie dotyczy? Przecież mówiłeś że wszyscy przynależymy do niej: ty, ja, Archanioł, Upadłe Anioły...

- Jesteś Mrocznym Zbawicielem. Stanowisz istotę ponad wszelkimi ograniczeniami. Pani, Judasz i wszyscy inni nie dorastają ci do pięć...

- Ale ja mam zniszczyć świat! - krzyknął z rozpaczą Piotr.

Karasu przefrunął z nagrobka na gałąź obok Apostoła. Spojrzał na niego z troską. Teraz, kiedy zaprzyjaźnili się też nie chciał takiego końca. Ostatecznie mógłby przyjść "nieco" później. Niestety, jak już mówił, przeznaczenia nie można uniknąć. Ono zawsze dopadnie cię, choćbyś uciekał na koniec świata.

- Wiesz Bruce...

- Jak mnie nazwałeś? - zapytał zdziwiony.

- Nieważne. Polubiłem cię. Przez pięćset lat mego życia tutaj, nigdy nie miałem bratniej duszy... Dopóki nie zjawiłeś się ty... Chciałbym odwlec jakoś czas, lecz nie mogę. Przepowiednia musi się spełnić...

- Czy... Mniejsza z tym. To już nie ma znaczenia. Niech będzie, co ma być - powiedział, wstając.

- Tak...

Wiosna. Okres, kiedy dusza ludzka rozbudza się do życia, tak jak czynią to kwiaty. Synowie człowieczy ogarnięci euforią zakochania, nadziei. "Brednie" - pomyślał Piotr. Chyba tylko on nie czuł wszechogarniającego zapachu wiosny. Dla niego nie miało to już znaczenia. To było kompletnie bez sensu.

Czekało na niego kolejne zadanie. Minęło już dziesięć miesięcy, strawionych na bezczynnym czekaniu. Czas mu się dłużył. Karasu powiedział mu o przepowiedni, o nadejściu Mrocznego Zbawiciela. Do wypełnienia się przeznaczenia pozostał tylko rok. Piotr chciał spędzić ten czas jakoś przyjemnie, zanim własnoręcznie zniszczy ten świat. Dlatego też często widywano go w różnego rodzaju szynkach i spelunach.

Człowiek jest istotą społeczną. Istota społeczna ma kilka filarów swojego funkcjonowania. Jednym z nich jest odpowiedzialność. Każdy człowiek ponosi za coś odpowiedzialność: za pieczę nad czymś, za drugą osobę, za siebie. Natomiast niemiłe jest uczucie, kiedy odpowiada się za coś złego. Zdajesz sobie sprawę, że czegoś nie wykonałeś, kogoś zawiodłeś. Musisz zatem zdawać sobie sprawę, jak musiał się czuć Bruce. Tak, to nie były wesołe rozmyślenia. Poność odpowiedzialność za cały wszechświat z wszystkimi istotami zamieszkującymi go.

Pewnego wiosennego dnia, kiedy Piotr zajęty był jakże trudną czynnością, znaną jako opróżnianie butelki Johnny Walkera, zadzwonił telefon. Sprawdzając stabilność ścian, Apostoł podszedł do stolika i podniósł słuchawkę.

- Słucham? - wybełkotał. - Zamawiano budzenie - powiedziała telefonistka. - Na godzinę trzynastą.

- Ale ja niczego nie zamawiałem... - powiedział, usiłując sobie przypomnieć wczorajszy dzień.

- Mam jeszcze wiadomość - odparła niezrażonym głosem kobieta.

- Taaa... Jaka?

- Pan Piotr Johnson ma się stawić na tarasie widokowym Empire State Building o godzinie dwudziestej. Miłego dnia.

- Eee... - wyjąkał Piotr, ale nim zdążył zadać pytanie telefonistka rozłączyła się.

Nie uległo kwestii, że pani chce zdobyć kolejną duszę. Następne poselstwo, które zbliża go do wykonania Pontyfikatu i nastania Czasu Mroku. Piotr miał zamiar zastosować starodawną maksymę życiową, wymyśloną przez głowę rodu Takeda - Yoshimitsu. Głosi ona pochwałę ludzkiej pomysłowości, a brzmi ona "Pierdolę, nie robię".

Apostoł, pomimo wszelkich myśli tego typu, pojechał na miejsce. Wychodząc na taras miał głowę pełną najczarniejszych myśli. Rozejrzał się po miejscu i podszedł do balustrady. Spoglądał w dół, mając nadzieję na szybkie rozwiązanie sprawy.

Nagle poczuł dotknięcie w ramię. Odwrócił się raptownie. Widok zaparł mu dech w piersiach.

- Miło cię znów widzieć...

- John Kowalski... - powiedział Piotr zdumiony.

Istotnie był to John. Różnił się bardzo od czasu, kiedy Piotr widział go po raz ostatni. Jego twarz była blada, biała jak śnieg. Oczy barwy wścieklej czerwieni, rozjątrzone szaleńczym paroksyzmem wesołości. Ubrany w aksamitny garnitur z czarnymi, błoniastymi skrzydłami. Piotr natychmiast rozpoznał znak członka Upadłych Aniołów, elity wśród potępionych. Tylko nieliczni stawali się nimi. Naznaczeni skrzydłami z gadziej łuski, wywyższeni spośród poniżonych. Tak, John zaszedł daleko.

- Jak leci, Kefasie?

- John, tak...

- Nie nazywam się John. - warknął. - Zapamiętaj to sobie.

- Wybacz Mefistofelesie Piąty - powiedział z przekąsem.

- No, tak już lepiej. Wiesz co cię czeka...

- Domyślam się... - szepnął Piotr. - Kolejna dusza, której pożąda Pani. I kolejne, cholernie trudne zadanie...

- To mnie ciekawi... Tobie to się wszystko udaje... - mówił przymilnie Mefisto. - Może to przez Karasu...
- Masz coś do niego? Uważaj to majordomus Archaniola... - ostrzegł.
- Spokojnie. Nie chciałem go urazić. Przejdźmy do rzeczy...
- Pierwsze poważne słowa. Zaczynamy.

Obydwa usiedli przy pierwszym lepszym stoliku. Mefisto wyjął z reklamówki dossier, które wręczył Piotrowi. Ten, spojrzawszy na pierwszą stronę, mało co nie spadł z krzesła. Pytającym wzrokiem zerknął na Anioła.

- Czy wyście przypadkiem z byka nie spadli? Jakim cudem mam się tam dostać?
- Tak jak zwykle przemieszczają się Apostołowie...
- Na pieszo?...
- NIE! - wrzasnął Mefistofeles. - Myślałem, że masz nieco więcej oleju w tym łbie. Cóż, myliłem się. Na lotnisku PanAtlantic jest zarezerwowany bilet lotniczy w tę i z powrotem. Pierwszą klasą. Podróż do Japonii jest długa, więc musisz się zrelaksować.
- Kim jest osoba, którą mam odnaleźć? I jak mam ją odnaleźć, co? Znowu nie ma pełnych informacji. Co ja jestem wróżka, czy jakiś inny jarmarczny frajer? Pomyślelibyście trochę... - pieklił się Piotr.
- Powoli, Kefasie, powoli... Zaczniemy od tego, co zrobisz jak dostaniesz się do Japonii. Mianowicie, wylądujesz w Osace. Następnie pojedziesz do hotelu "Shi Doragons", gdzie czeka na ciebie luksusowy apartament. Wiesz, pięć pokoi, jacuzzi i podobne pierdoły
- dodał z uśmiechem. - Fajnie, co?
- Eeee... Kto za to płaci? - zapytał Piotr, bądź co bądź bardzo skonsternowany.
- Mniejsza z tym. Ważne jest kogo masz załatwić.
- Zamieniam się w słuch.
- Słusznie. W Osace odbędzie się światowy konwent przywódców wyznań czarno magicznych. Gościem głównym będzie potomek Laamemnona - Hamoru Moshi. Dzięki swym zdolnościom paranormalnym wielokrotnie opierał się swoim wrogom, a także samej Śmierci. Pani chciałaby posiadać tak cenny nabytek w swym orszaku... Stanowi on wartość kilku Upadłych Aniołów. Sam wiesz, będąc nim, jaką mocą dysponują sługi Pani.
- Taa... - mruknął z dezaprobatą. - Wiem o tym...
- Radziłbym ci użyć co najmniej dziesięciu Aniołów. Twój cel jest na tyle silny, że sam nie dasz rady.
- Dziękuję za radę - przerwał mu w pół słowa - ale dam sobie radę.
- He he he... Zobaczymy... - powiedział głosem ociekającym jadem. - Tymczasem bywaj Apostole...
- Czołem...

- Ci Japończycy są rzeczywiście zdrowo pomyleni - powiedział z przekonaniem Piotr. Był w Osace już od dwóch dni i zdążył się o tym przekonać na własnej skórze. Ulice zatłoczone jak metro w Nowym Jorku, taksówki z otwieranymi automatycznie drzwiami, sklepy wielkości schowka na miotły i ich bzik na punkcie uprzejmości to niektóre przykłady, jakie umocniły go w tym przekonaniu. Kolejna rzecz to język japoński, składający się z części uprzejmej, super uprzejmej i części dla osób będących w zażyłych stosunkach. Dalej pismo złożone z trzech alfabetów: hiragany, katakany i kanto, każdy mający po kilka tysięcy znaków. Oraz ich irytująca wymowa angielskiego. Wystarczająco dużo aby dostać nerwowego ataku i apopleksji.

Jedno trzeba było przyznać Japończykom: Osaka była naprawdę pięknym miastem. Pomimo negatywnych cech, charakteryzujących ogromne metropolie, była zbudowana z tym ciekawym orientalnym stylem połączonym z nutą nowoczesności. Przez te dwa dni Apostoł zdążył zwiedzić przynajmniej połowę z tego interesującego miejsca. Nie omieszkał także zrobić rekonesansu miejsca, w którym znajdzie Moshi`ego. Profesjonalizm nade wszystko. Oraz kuracja poprzez pracę. Od spotkania z Mefistofelesem nie zajął się przygotowaniami do przekazania Znamienia.

Pierwszą rzeczą, którą musiał się zatroszczyć było dopełnienie wszelkich formalności związanych z wejściem na teren hali konwentu. Zadbano o jego dokumenty i tożsamość. Miał się tam stawić jako Adrien Hermann, niemiecki pismak z bawarskiego brukowca. "Miło mieć takich współpracowników" - pomyślał, kiedy odbierał identyfikator i wejściówkę.

Następnie należało odnaleźć osobę, wyznaczoną w dossier. Hamoru Moshi. Rysopis podawał, że jest to starzec, wieku około osiemdziesięciu lat, łysy, niebieskooki, ubierający się w czarny garnitur z białą różą w butonierce. Cechy szczególne to tatuaż smoka na karku.

- No, nie sądzę, aby pacjent z smokiem na łbie był niezauważalny - powiedział cicho Piotr. Nie wiedział, co go może czekać w tym niecodziennym miejscu.

Apostoł wyszedł z holu i niskim korytarzem dotarł do drzwi sali głównej. Otworzył je i aż cofnął się do wewnątrz. Widok zaparł mu dech w piersiach.

- Oooo kuuurwaaa.... - wyjąkał.

Rzeczywiście widok przypominał ogromną zabawę z okazji Halloween. Wszyscy ludzie, odstrojeni jak stróże w Boże Ciało, paradowali po sali. Duchy, kościotrupy, dynie, tatuaże, wisiorki, proszki ze zdechłych szczurów, lakierki, duperelki, sadzawki i wodotryski. Słowem jednym podkreślając: maskarada.

- Czekam mnie trochę trudniejsze zadanie, niż się tego spodziewałem... - mruknął.

Piotr postanowił zasięgnąć porady u pierwszej lepszej osoby. Była nią kobieta w sile wieku, przebrana za "okrutną" wiedźmę. Wyglądała na w miarę rozsądną personę, jeżeli można było kogoś tu tak nazwać.

- Przepraszam najmocniej, szukam Herr Moshi. Pragnąłbym przeprowadzić z nim wywiad...

- Młodzieńcze, znajdziesz go w samym centrum tego budynku, w ogromnym czarnym namiocie, wokół którego namalowany będzie pentagram - powiedziała.

- Dziękuję. Same dziwolągi - dodał ironicznie odchodząc.

Droga ku namiotowi zajęła mu co najmniej pół godziny, mimo iż zdawało mu się, że wędrował całe wieki. Tłum z każdą chwilą stawał się coraz większy. Trzeba było im to przyznać: te ich magiczne głupstwa rozpleniły się na cały świat. Piotr rozpoznawał flagi wielu różnych państw, między innymi Chile, Rosji, Anglii, Polski.

- Czy nie mogliby zająć się takimi sprawami jak sadzenie kapusty, normalna praca czy picie piwa z kolegami w pobliskim barze?

- usłyszał sarkanie jednego z pismaków z Francji. - Czyż nie ma pan takiego zdania kolego Hermann?

Apostoł zdziwił się, gdyż pytanie kierowane było do niego. Przez chwilę patrzył się na niego i odparł nieco sztucznie:

- Tak macie rację koledzy. Święte słowa...

- W dupach im się poprzewracało z tego dobrobytu - wrzasnął dziennikarz z Hiszpanii. Wtem odezwał się Polak tonem człowieka chcącego jak najszybciej opuścić konwent.

- Panowie, zrobmy co mamy do zrobienia i wynośmy się stąd. Pójdziemy na dobre piwo...

Wszyscy przyjęli wesoło pomysł pismaka. Może prawie wszyscy. Piotr miał swoje zadanie do wykonania. Idąc ku namiotowi natknął się na krępego, łysiego człowieka o aparycji boksera.

- Zjeżdżaj mi z drogi pętaku - warknął Piotr.

- Spokojnie Apostole... - powiedział metalicznym głosem mężczyzna.

- Że co mówisz?

- Wejdźmy do środka... Znalazłeś mnie...

- Ty jesteś Hamoru Moshi? - zapytał z rozbrajającym zdziwieniem w głosie.
- Tak, to ja...

- Więc Pani chce mieć mnie w swojej armii? Jako Naczelnego Upadłych Aniołów? - zapytał z nutką ironii.
- Tak. Twoja rola polegać będzie na sprawowaniu władzy nad jej Armią... Do której ja wkrótce dołączę... - powiedział fałszywym tonem.
- A oprócz tego cieszył się będę nieśmiertelnością i niemal nieograniczoną władzą... Będziesz miał dostęp do niepoliczonych zbiorów ksiąg czarno magicznych w zamku Pani - ciągnął Piotr. Twarz Moshi`ego wyrażała coraz większe zadowolenie.
Apostoł przerwał perswadowanie kapłanowi korzyści płynących z zawarcia umowy. Nagły impuls targnął nim. "Przecież on nie stawia żadnych warunków, tu coś jest podejrzané" - pomyślał. Cisza trwała dłuższą chwilę, którą wreszcie Moshi postanowił przerwać.
- Może здаwać ci się to dziwne, że nie stawiam żadnych warunków... Wiedz, iż szanuję twoją Panią... Bez urazy... Ale włóż sobie twą umowę głęboko w rzyć...
- COOO?!!! - wrzasnął Piotr.
- Ciszey - powiedział swobodnie, z uśmiechem na twarzy. - Posłuchaj mnie uważnie... Moje życie trwa nieprzerwanie od ponad trzystu pięćdziesięciu lat...
- Bredzisz! Jesteś takim samym dziwolągiem jak wszyscy tutaj, a ze względu na twoją wiedzę, Pani cię potrzebuje!
- Niestety, mylisz się - odparł tak samo pogodnie jak wcześniej. - Z całą uprzejmością. Przyszedłem na świat w roku pańskim tysiąc sześćset sześćdziesiątym szóstym. W dniu moich urodzin nastąpiło zaćmienie słońca. Książdz, który mnie ochrzcił powiedział, iż stanę się straszliwym magiem....
- Co z tego?
- Oznajmił, że dożyję końca świata...

Zapadła niezręczna cisza. Apostoł unikał wzroku Hamoru. Czuł, że czerwienieje na twarzy. Temat jego przekleństwa był dla niego sprawą bardzo krępującą. Zdziwił go spokój z jakim przemówił do niego kapłan.

- Stałem się kapłanem metropolii chrześcijańskiej. Początki mej posługi Jahwe były bardzo obiecujące, no wiesz: bardzo zdolny adept et cetera, et cetera. Ludzie zaczęli ciekawiej mi się przyglądać, kiedy moje ciało się nie starzało. Moi przyjaciele odchodzili w zaświaty, do raju lub do Królestwa Cieni. Ja żyłem.

Jego oczy nagle zmieniły wyraz. Twarz stała się jakaś dziwna. Piotr ze strachem zauważył, że mimo iż wyglądała młodzieńczo, odbijało się w niej piętno starości.

- Z początku mi się to podobało. Doceniałem nowe wynalazki, nowe sposoby życia, zmieniające się standardy... Życie stało się cudowne. Ale była też druga strona medalu. Zakochałem się w kobiecie...

- Widziałeś jej śmierć - wpadł mu w słowo Apostoł.

- To by było najłżejsze do zniesienia. Ma ukochana konała na mych rękach. Leżała bez duszy na mych dłoniach - spojrzał na nie oczami pełnymi łez.

- Od tego czasu szukałeś środka na śmierć. Cudownego remedium na pozbycie się nieśmiertelności... I wreszcie go znalazłeś. Spotkałeś mnie...

- Tak - odparł po długiej chwili milczenia. - Jedynym sposobem na nieśmiertelność jest moc Pana Ciemności. Tylko ty Kefasie jesteś w stanie odebrać mi dar życia...

- Jak mam to zrobić?

- Nie wiesz? - oczy Hamoru rozszerzyły się. - I ty się zwiesz Apostołem Śmierci?

- Nie mogę cię zabić. Na amen. Jesteś potrzebny Pani. Mam rozkaz odstawić cię do Jej pałacu.

- Wybacz mi, ale muszę cię zmartwić. Nie mam zamiaru spędzić wieczności na służeniu komuś. Ja chcę umrzeć. Na amen.

Piotr powoli wstał. Wyprostował się i zmienił w bestię. Ciało pokryły czarne znaki, skrzydła powiększyły się a z przedramion wyrosły długie połyskujące kolce. "Zmieniam się, cholera" - pomyślał.

- Tak myślałem. Jednak nim jesteś. Chyba rzeczywiście dożyłem końca świata...

- Nie chciałbym tego, ale przeznaczenia nie da się uniknąć. Jeżeli ci pisana jest śmierć to niech tak będzie.

Hamoru powstał i podszedł do Apostoła. Stał na wprost niego i powiedział:

- Niechże się stanie co ma się stać...

Wyjął wysadzany brylantami puginał i z rozmachem wbił go sobie w gardło. Momentalnie padł na ziemię, trzęsąc się w konwulsjach i wymiotując krwią. Piotr szybko nachylił się i złapał puginał z ręką. Przycisnął go mocno do ciała i spojrzał w koszmarnie rozwarłe oczy.

- Żegnaj... MORTE! - powiedział machinalnie.

Ciało rozjarzyło się błękitnym blaskiem. Nogi Hamoru gwałtownie podrygiwały, by za chwilę spocząć na ziemi. Na zawsze.

Splot Apostoła błyszczał rozświetlony przez jaskrawoczerwony pentagram...

- Pani, Kefas nie wykonał zadania. Czy mam się go pozbyć? - zapytał mocny głos.

- Nie. To był tylko sprawdzian, należący do jego Pontyfikatu... - odparł miękki, kobiecy alt.

- Co to ma znaczyć, Pani?

- Chciałam sprawdzić jego siłę... Judaszu, przygotuj się. Kiedy dam ci znać, przekażesz kolejne informacje dla Apostoła. I zajmij się tym demonem.

- Karasu?

- Tak. Ma za długi język... - Tak jest, Pani.

Piotr jak zwykle czekał na swe zadanie, myśląc, że już o nim zapomniano. Mimo wszelkiej sposobności do zakończenia swego żywota, czekał na Szósty Znak. Odczuwał coś w rodzaju podniecenia, co też będzie działo się, kiedy nastąpi czas Mrocznego Apostoła. Wyczynał, jak niespokojne wibracje towarzyszą każdej chwili, w której jego moc potężniała, z minuty na minutę. Miał już sam wybrać się do Krainy Ciemności, kiedy otrzymał wiadomość.

Pewnego popołudnia zadzwonił telefon. Piotr z niechęcią podniósł słuchawkę i powiedział odczepnie:

- Czego?

- Spuść z tonu, chłopcze... Bądź za pół godziny na moście przy Saint Peter`s. Przygotuj się odpowiednio...

- Kto mówi, do jasnej cholery? - zapytał wkurzony.

- Jeśli to ma cię usatysfakcjonować... - powiedział drwiąco głos ze słuchawki - Mówi Archanioł.

- O żesz... Jasne że będę! - odrzekł gorliwie.

Niemal natychmiast wybiegł z domu, wskoczył do swego wozu i ruszył z piskiem opon. Cieszyła go myśl, że pozna wreszcie Archaniola. Wiele o nim słyszał do Karasu i bardzo chciał z nim porozmawiać. Niestety, rzeczywistość przedstawiała się trochę inaczej niż przypuszczał.

Apostoł przybył na miejsce dziesięć minut przed czasem. Starał się wyglądać przyzwoicie, by spodobać się swojemu przełożonemu. Wyobrażał sobie, jak też może wyglądać Judasz. Biblia nie określała jego wyglądu, nie było też żadnych zapisków dotyczących jego osoby.

Nagle zjawił się, tak jak zawsze przychodzi śmierć. Nieoczekiwanie. Wyłonił się z ciemności zaułków Saint's Peters. Mężczyzna ubrany w czarny garnitur, wysoki i atletycznie zbudowany. Z majestatycznymi skrzydłami, pokrytymi piórami, koloru najciemniejszej nocy.

- Witaj Apostole Kefasie. Domyślasz się kim jestem, prawda?
- Tak. Archaniół Judasz, jeśli się nie mylę?- Zgadłeś. Mam dla ciebie kolejne poselstwo do zanieśienia...
- Nie mogłem się już doczekać. Kogo Pani chce posłać?
- Twoje zadanie będzie najtrudniejsze do wykonania... Będziesz musiał pokonać naszego największego wroga...
- Kto to jest?

Archaniół wykonał krótki gest dłonią i pojawiło się w niej dossier. Lekkim ruchem przysunął teczkę pod nos Piotra i uśmiechnął się lekko. Apostoł przeczytał nazwisko, niewierząc własnym oczom. Podniósł wzrok i spojrzał na Judasza.

- To nie możliwe... - wyszeptał.

Wieczne Miasto. Stolica Apostolska. Watykan. Zadanie Piotra graniczyło niemal z cudem. Kto mógł dostać się do pałacu na Placu Świętego Piotra niezauważony? Sprawa przedstawiała się nieciekawie: kilkuset gwardzystów, drugie tyle agentów bezpieczeństwa.

Kefas podszedł do muru otaczającego ogród papieski. Lekkim odbiciem przeskoczył ponad czterometrowe ogrodzenie. Kocią modą wylądował delikatnie i bezszelestnie. Podniósł wzrok i ku swemu zdziwieniu ujrzał siostrę zakonną, patrzącą prosto w jego oczy.

- Ojciec Piotr Johnson?
- Eeee... Tak.
- Jak to dobrze, że Ojca znalazłam! - powiedziała, klasnąwszy w dłonie. - Ojciec Święty czeka na Ojca.
- Zaprowadzi mnie siostra, jestem tu pierwszy raz...
- Oczywiście.

Siostra wzięła za rękę Piotra i poprowadziła do bocznych drzwi, przez kaplicę, jadalnię, ku pokojom księży. Wędrowali jakieś dziesięć minut, a siostra cały czas trąkotała o tym, jak bardzo Ojciec Święty czekał na "Ojca Piotra". "Skąd, u licha ciężkiego, przyszło im do głowy mianować mnie księdzem" - zastanawiał się. Siostra wreszcie przywiodła go do ogromnej sali, całej w malowidłach i obrazach. Piotra zaciękała ściana, na której w równym szeregu powieszono były portrety wszystkich papieży, od Szymona Piotra do obecnego papieża.

- Dzisiaj twój portret zasłonią czarnym kirem, Benedykcje Szesnasty... - wyszeptał Piotr.
- Słucham Ojca? - zapytała siostra.
- Nic, nic. Modlę się o rychły powrót do zdrowia naszego Ojca Świętego.
- Tak. Powinniśmy prosić Boga o łaskę sił dla niego. Tamtymi drzwiami - wskazała - Ojciec wejdzie do pokoju papieża.

Piotr szedł długim korytarzem. Na końcu ujrzał białe drzwi, przed którymi stało kilku kardynałów. Piotr podszedł do nich i zapytał po włosku:

- Czy można wejść?
- Tak, papież oczekiwał pana - odpowiedział ten nazywany kardynałem Dziwiszem.

Piotr ukrywając zaskoczenie wszedł do wnętrza. Księża chcieli wejść razem z nim, lecz leżący w łóżku Ojciec Święty powiedział cichutko:

- Bracia, chciałbym porozmawiać z Piotrem sam...

Kardynałowie, aczkolwiek zdziwieni, wyszli w milczeniu. Apostoł Śmierci i Apostoł Chrystusa. Co za wiekopomna chwila. Za chwilę przepowiednia się spełni. Mimo tej wiedzy Piotr chciał jakoś odwlec chwilę wykonania poselstwa.

- Usiądź Piotrze, czy raczej Bruce`ie...
- Piotrze.

Apostoł usiadł na skraju łóżka. Patrzył na starą, zmęczoną chorobą twarz. Mimo trudów walki z infekcją i powikłaniami, z jego twarzy nie schodził uśmiech. To spojrzenie... Piotr przypominał sobie, kto tak na niego patrzył. Ojciec... Ten, który zmarł, kiedy Piotr - Bruce miał dwanaście lat. Być może widział wtedy Apostoła?

- Wiesz, ojczu, z czym przychodzę?
- Tak, mój synu. Wiem.
- Lękasz się śmierci?
- Nie. Wiem, że nasz Pan czeka na mnie. Czego mam się bać? - dodał ze śmiechem.
- Mam oddać twą duszę Pani... Jak możesz się nie obawiać Lochów? - powiedział zdziwiony Piotr.
- Synu mój, Pan ma władzę nad Panią... Jest jej władcą i on decyduje o czyjejś śmierci i miejscu wiecznego pobytu.
- A te osoby, które zabiłem dla niej?
- Synu... Pan, eony temu dał Pani władzę nad umieraniem. Dał jej imię, jakiego bano się wymawiać... Śmierć. Śmierć, która jest początkiem życia wiecznego... To, co najważniejsze jest po drugiej stronie. Zbawienie, albo potępienie.
- Ale to ma się skończyć. Kapłan Laamemnon przepowiedział nadejście Mrocznego Zbawiciela...
- Synu mój, synu... Ta przepowiednia jest ułudą.
- CO?! - krzyknął Piotr zrywając się z miejsca. - Co ty starcze wygadujesz?!
- Spocznij synu. Kapłan Laamemnon, oślepiiony wiarą w Szatana, wypowiedział te słowa na krótko przed śmiercią na stosie Inkwizycji. Nie mówię, że Officium działało moralnie, ale to był ich największy błąd. Od roku 1543, czyli spalenia na stosie owego satanisty, rozpoczął się rozkwit kultu śmierci, wiesz synu, poświęcenia Pani, nekromancja i tak dalej...
- Ojczu, to, co mówisz nie może być prawdą...
- Jest, mój synu. Jest. Słyszałeś o Trzech Tajemnicach Fatimskich?
- Tak - powiedział ostrożnie ważąc słowa.
- Słyszałeś, więc jak brzmi trzecia?
- Tak, ojczu. Była o ocaleniu Jana Pawła II od śmierci.
- To była oficjalna wersja. Jan Paweł przekazał mi prawdziwą jej treść tuż przed swoją śmiercią...
- Eeee...

Piotr był lekko zdezorientowany tą wiadomością. To wszystko, co robił do tej pory pozbawione było sensu. Pozbywanie się ludzi, oddawanie dusz Pani... To było bezcelowe?

- Synu mój, synu... Ostatnia Tajemnica Fatimska dotyczyła zmian w hierarchii świata boskiego. Przepowiednia kapłana była fałszywa i nie nadejdzie Mroczny Zbawiciel. Pan pewnego dnia przyśle Swego Syna i nastąpi Sąd Ostateczny, potem nastanie czas, kiedy

człowiek będzie bratem człowieka, nie będzie śmierci, mordy, wojny i głodu.

- Ale co ze mną? Ja zabijałem... byłem przesycony nienawiścią... kłamstwem... ułudą...

- Człowiek zawsze popełnia błędy, synu. Tobie zostało wybaczone...

- Ojczce, przecież ja jestem naznaczony przez Śmierć! - krzyknął Piotr.

- Masz w sobie Znak Pana, mój synu.

- Taa, pewnie to jego... - powiedział z przekąsem pokazując pentagram na prawej dłoni.

- Gwiazda wpisana w okrąg. Gwiazda betlejemka, symbolizująca narodzenie Mesjasza i okrąg będący alegorią księżyca, nocy panującej podczas życia ludzkiego.

- Co to znaczy?

- To symbol Światła Chrystusa...

- Ale ja tym znakiem pozbawiałem życia ludzi!

- Jesteś tylko człowiekiem, mój synu...

Piotr wstał, zdjął marynarkę, kamizelkę i koszulę. Podeszedł do drzwi i zamknął je. Twardym głosem powiedział do Ojca Świętego:

- Tak według ojca wygląda człowiek?

Warknął i zmienił się w monstrum o zielono-żółtych, kocich oczach, sterczących włosach, połyskujących pentagramach i błoniastych skrzydłach. Spojrzał mściwym wzrokiem na Ojca, ale nie zaatakował. Wrócił do swej normalnej postury i wyglądu. Ubrał się i podeszedł do łóżka. Papież dalej uśmiechał się przyjaźnie.

- Ty wybrałeś taki wygląd, mój synu...

- Ja niczego nie wybierałem! A z pewnością nie tego!

- Tak wybrałeś, mój synu. Tak chciałeś korzystać z daru władzy nad Życiem i Śmiercią.

- Ale...

- Nie jest jeszcze za późno by wszystko zmienić... Myślę, że twój przyjaciel Karasu będzie mógł ci pomóc...

- A ty ojczce?

- Wybaczone zostało ci wszystko... Resztę pokaże ci czas... Pomódl się za moją duszę...

- A jeśli Pani uwięzi cię w Lochach?

- Nie ma takiej władzy nad sługą Pana...

Piotr podeszedł do łóżka i pochylił się nad chorym papieżem. Objął go delikatnie i uściśnął. Łzy napłynęły mu do oczu. Odgonił je szybkimi mrugnięciami powiek.

- Żegnaj, mój synu...

- Żegnaj, mój ojczce...

Położył dłoń na jego oczach i powoli przesunął ją w dół. Długie westchnięcie wyrwało się z piersi odchodzącego papieża. Piotr odetchnął ciężko. Wiele prawd dotarło do jego umysłu. I bardzo dużo spraw czeka jeszcze na wyjaśnienie. Delikatnie odpiął białą różę z butonierki i włożył w dłonie Ojca. Podeszedł do okna i otworzył je na oścież. Stał na parapecie i zmienił się w demona. Ostatni raz spojrzał na zmarłego Benedykta XVI.

- Dziękuję za wszystko, ojczce. Teraz śpij...

Piotr wpadł na nekropolię Chrystusa Dobrego Pasterza. Miał wiele spraw do omówienia z Karasu. Nie widział go już od dobrych trzech miesięcy i w tym czasie uzbierało się mnóstwo różnych faktów, które zmieniały całą postać rzeczy. Piotr wiedział, że nie ma czegoś takiego jak Mroczny Zbawiciel, przepowiednia jest fałszywa i najprawdopodobniej zbliża się koniec jego Pontyfikatu. Chciał poradzić się demona, co ma robić dalej.

Coś było nie w porządku. Ilekroć zjawiał się na cmentarzu, Karasu zawsze siedział na tym samym nagrobku. Dzisiaj go nie było. Apostoł patrzył wszędzie, lecz nie mógł trafić na żaden ślad. Po kilku minutach postanowił podeptać majestat ciszy cmentarnej.

- Karasu! Karasu! Gdzie ty jesteś, cholerny demonie! - wrzeszczał, a odpowiadało mu echo.

Postanowił rozejrzeć się po okolicy. Nigdzie nie było żadnej wskazówki co do pobytu demona. Nagle ujrzał coś, czego ujrzyć nie chciał. Karasu. Leżący na ziemi, z rozpostartymi skrzydłami. Nie żywy. W jego czarnych, szklistych oczach widać było zastygłe przerażenie.

Piotr klęknął i wziął ciało na ręce. Powtarzał cicho: "Dlaczego? Dlaczego mój przyjaciel?". Cały jego świat nagle opustoszał. Odszedł jego najlepszy przyjaciel. Piotr wspominał, co Karasu mówił mu podczas ich ostatniego spotkania. Że mogą ukarać go za informacje o przepowiedni. Nagle usłyszał szept. Cichy, bardzo podobny do szumu liści, poruszanych przez wiatr.

- Upadły Aniele... Upadły Aniele...

- Kim jesteś?! - warknął zrywając się na równe nogi. - Co zrobiłeś Karasu?

- Odpowiedzi na swe pytania szukaj wśród tych ziomeków...

- O czym ty gadasz?

- W twoim świecie jest twe przeznaczenie...

- Kim jesteś? ODPOWIADAJ!!! - wrzasnął zmieniając się w demona.

- Idź a dowiesz się...

- AAAAAA!!! - ryknął niczym potężny lew, rozrywając wymiary światów.

Utworzyła się wielka dziura, wisząca w powietrzu. Apostoł podeszedł do niej. Postawił wszystko na jedną kartę. "Pani musi wiedzieć coś o tym. I powie mi to, czy tego chce czy nie" - pomyślał. Nie przewidział, że w świecie umarłych czeka na niego jego własne przeznaczenie. I przeznaczenie całej Krainy Cieni.

W powietrzu utworzyła się wielka wyrwa, która natychmiast rozjarzyła się błyskawicami. Wyłonił się z niej Apostoł Śmierci, w swym majestacie demonicznej grozy. Zapowiedź upadku i nadejścia zmian.

Piotr, ogarnięty szaleńczą żądzą zemsty, rozłożył skrzydła i wyskoczył w powietrze. Leciał ponad bagnami, pustyniami, obozami, w których potępieni wykonywali swe kary. Widział też oddziały nieumarłych: żywe szkielety, wampiry, mumie. Były ich miliony, a wszystkie dzierżyły jakąś broń. "To samobójstwo..." - myślał. Mimo tego chciał walczyć.

Na horyzoncie zamajaczył cień zamku. Nim zdążył do niego dolecieć, zatrzymała go straż. Trzy Upadłe Anioły. Z zaskoczeniem zauważył, że pośród nich była Sara.

- Zawróć, Apostole Piotrze - powiedziała zimno. - Nie możesz lecieć do zamku.

- Odejdźcie, jeśli chcecie dalej istnieć... Rozkazuję wam! - warknął.

- Mamy wyraźne polecenie Archanioła.

Ciało Piotra otoczyła jaskrawa poświata. Oczy rozbłysły blaskiem wschodzącego słońca. Nagle obrócił się ku Sarze lewym ramieniem i uderzył ją, rozpościerając skrzydło. Sara, z pociętą twarzą i połamanymi kośćmi, spadła na ziemię. Pozostali dwaj nawet nie zareagowali. Wysokim kopnięciem Piotr trafił Anioła w krtań, łamiąc kark, natomiast drugiemu odciął głowę swoim kolcami.

Niemal natychmiast pojawiły się setki tysięcy innych sługusów Pani. Wszyscy z tymi samymi wyrazami twarzy, wyglądający tak samo, mówiący tym samym tonem. Wszyscy gotowi na przegraną walkę.

- Nadszedł czas globalnej niepogody... - powiedział Piotr.

Zakotłowało się i wszyscy zaczęli walczyć. Przeliczyli swe możliwości. Piotr używał swej mocy, niszcząc i zabijając tych, którzy do niedawna byli jego podwładnymi.

Apostoł, złapawszy jednego z aniołów, wyrwał mu skrzydła i cisnął w grupę nacierających. Złączył obie dłonie i pchnął energię w ich kierunku. Eksplozja rozerwała ich na strzępy. Niemal natychmiast odwrócił się i ukośnym ruchem ręki w górę, poprzecinając tętnice innego przeciwnika, dołożył mu jeszcze ciosem ogona i swych skrzydeł. Kolejnym zwrotem uniknął rany od zakrzywionej szabli. Anioł trzymający miecz wydał mu się znajomy. Nagle olśniło go.

- John!

- Nie ma już Johna! Tak jak nie ma już ciebie!

Piotr w ostatniej chwili wzniosł magiczną sferę wokół siebie. Dzięki niej uniknął pocięcia na kawałki, przez szablę Upadłych Aniołów. Będąc już nieźle wkurzonym, postanowił od ręki pozbyć się całego kłopotu walki. Zebrał w sobie całą moc, pozwalając unieść się gniewowi. Sfera, ochraniająca go przed atakami, nabrała barwy najciemniejszej nocy. Po chwili rozszerzyła się, pochłaniając wielu z zastępów Pani. Wybuch rozerwał ziemię, podmuch energii zniszczył ciała astralne Aniołów i utworzył na niebie wyrwę, przez którą widać było Eden. Boskie światło, nigdy niewidziane w Krainie Cieni, spłynęło na umęczoną ziemię oświetlając resztki oddziałów Pani.

Apostoł postanowił biec ku pałacowi, tak by nie natknąć się na innych sługusów na samego Archanioła. Czuł, że jednak przeznaczenie nie pozwoli mu uniknąć konfrontacji. Wiedział, że nie może tego uniknąć.

Pierwsi na jego drodze stanęli nieumarli. Zastępy nieporównanie większe od Upadłych Aniołów, lecz daleko słabsze. Miliony wojowników oddanych na śmierć i życie (jeśli coś takiego o nich można powiedzieć). Wszelkie prawdopodobne i nieprawdopodobne stworzenia jakie istniały na przestrzeni wieków, które po śmierci stawały się sługami Pani.

- Odejdźcie! Zróbcie drogę dla Mrocznego Zbawiciela! - powiedział machinalnie.

- Panie Mroków Śmierci! Ty odejdziesz, bo jeśli tego nie zrobisz będziesz musiał umrzeć! - odpowiedział kapłan - licz.

- Sami tego chcieliście...

Znowu ruszył do walki, nieporównanie trudniejszej niż wcześniej. Obracał się w unikach, uderzał z niewyobrażalną siłą, ciskał promieniami magii. Wybuchy rozrywały stare kości, płomienie paliły spróchniałe płótno, siła pentagramów niszczyła ciała astralne. Wszędzie pożoga, ryki, błyski piorunów. Żniwo Apostoła było bardzo obfite, takie jakiego żaden wcześniej nie zebrał.

Cała walka trwała jakąś godzinę, mimo iż Piotrowi wydawało się, że minęły wieki. Chmury już zdążyły zasłonić światło raju. Piotr wziął głęboki oddech i ruszył dalej. Czuł, że kolejnym przeciwnikiem, z jakim przyjdzie mu się zmierzyć, będzie Archanioł Judasz. Dalsza drogę przeszedł nie niepokojony przez nikogo. Dotarł do głównych drzwi zamku.

- Przeznaczenie mnie dosięga - powiedział podnosząc wzrok na najwyższą wieżę. - Niech więc będzie co ma być...

Pani patrzyła uważnie na zamykającą się wyrwę w chmurach. "Eden... Tysiąclecia minęły od czasu kiedy tam byłam..." - myślała. Dotychczas wszystkie wydarzenia szły zgodnie z jej planem. Kefas ogarnięty szaleństwem wdarł się do Krainy Cieni i pokonywał wszelkie przeszkody w drodze ku zamkowi. "Śmieszne, jak taki marny demon mógł tyle znaczyć dla Mrocznego Zbawiciela" - drwiła.

Skrzypnęły drzwi, odsłaniając postać Archanioła Judasza. W postawie pełnej pokory podszedł do okna i uklonił się przed Panią. Ubrany w swoją zbroję, z nastroszonymi piórami skrzydeł, przygotowany był do walki na śmierć i życie.

- Pani, pozwól mi walczyć w twojej obronie.

- Judaszu, zostań. Nie sądzę aby to było konieczne.

- Ależ Pani...

- Przecież to Ja zabiłam kruka...

Judasz patrzył na Panią wielkimi oczami. Nic nie rozumiał z jej mowy, ale postanowił zastosować się do jej polecenia. Wiedział, że najmniejsze przeciwstawienie się jej woli prowadzi do zguby. Miał ogromny szacunek do Pani, w końcu to ona uczyniła go nieśmiertelnym.

Nie przeczuwał, że przeznaczenia dopadnie go po ponad dwóch tysiącach lat.

Huk odbijał się echem pośród zimnych ścian. Z gęstych obłoków dymu wyłoniła się demoniczna postać. Jej oczy, rozbłyśnięte dzikim blaskiem, omiotły pomieszczenie. Był to gotycki holl, wystrojem przypominający epokę późnego baroku.

- Pani ma ciekawy gust... - warknął z uśmiechem.

Dotarł do obszernych schodów, prowadzących na wyższe piętra. Wiedział, że musi się śpieszyć. Postanowił użyć swych skrzydeł, by dostać się do wieży w jak najkrótszym czasie. Leciał przez kręte korytarze, wystrojone sale. Wreszcie ujrzał drzwi prowadzące, jak sądził, do centralnej sali zamku. Bez ceregieli miotnął pociskiem energii, rozwalając wrota i, przy okazji, pół ściany. Sala miała wymiary boiska do piłki nożnej. W centralnym miejscu były schody prowadzące ku wielkiemu tronowi. Na owym tronie siedziała Pani. Po jej prawej stronie stał Archanioł Judasz. Obydwoje, z kamiennymi twarzami, wpatrywali się w Kefasa. On tłumiając furję, powiedział:

- Zabiliście Karasu...

Pani nieco bardziej przyjrzała się Apostołowi. Nadal nie mogła zrozumieć jego przywiązania do demona. Teraz to już nie miało znaczenia.

- Wiem co czujesz Mroczny Panie, ale to jest wyłącznie moja wina.

- COOO?!!! - wrzasnął wywołując pęknięcie ziemi pod jego stopami.

- O czym ty mówisz Pani? - zapytał Judasz z przerażeniem.

- Panie Cieni, Ja odpowiadam z śmierć twego przyjaciela...

- ZAMILCZ! NIE MA NOWEGO ZBAWICIELA!!! - podłoga pod stopami Piotra została zmiażdżona. Gniew wrzał w nim i osiągał już krytyczny punkt.

- Panie, zabij mnie...

- KHAAAAA!!! - ryknął Piotr, kompletnie straciwszy panowanie nad sobą.

Gwałtowne podmuchy wiatru zdarły wszelkie ozdoby ze ścian. Energia połamała filary i zmiażdżyła podłogę. Wszystkie sześć pentagramów rozświetliło się jaskrawym blaskiem. Piotr nie miał wątpliwości, że obydwójce zginą. Wiedział o tym. Jednak nie wszystko było dla niego jasne.

Judasz miał dość tej komedii. Wyjąwszy miecz z pochwy, zawirował nim młyńca i przyjął postawę do walki.

- Pani, uciekaj stąd! - krzyknął.

- Judaszu, nie możesz! Zakazuję ci! - wrzeszczała.

- Smarkam na twoje rozkazy! Jeśli chcesz żyć, uciekaj!!!

Piotr spojrział swymi błyszczącymi jak para rubinów oczami na Archanioła. Poczuci jakby wyłaniał się z lodowatej wody. "Po dwóch tysiącach lat przeznaczenie cię dosięga" - pomyślał. Tak rzeczywiście było.

Judasz skoczył z mieczem na Apostoła. Ciął szybko, mierząc w tętnicę szyjną. Nie przewidział, jak błyskawiczne uniki może robić Kefas. Piotr zanurkował pod jego lewe ramię i uderzył go ciosem z łokcia w twarz. Archanioł zatoczył się zamroczony, a wtedy jego miecz pękł od uderzenia skrzydłem.

Judasz nie zrażony pierwszym niepowodzeniem, przyjąwszy postawę do walki, czekał na atak Piotra. Apostoł, będąc w amoku, rzucił się na Archanioła. Ten, robiąc niemal niewidoczny ruch, strzelił go prosto w spłot.

Kefas, łapiąc powietrze, cofał się. Judasz z rozbiegu, odbił się i wykorzystując impet swego ciała, kopnął go obiema stopami w twarz. Apostoł uderzył plecami w ścianę, robiąc w niej duże wgniecenie. Podniósł powoli głowę, ukazując twarz umazaną w krwi i kurzu. Oczy zwęziły mu się w sparki i zapłonęły falą nienawiści. Rozpostarł majestatycznie skrzydła, przypadkiem niszcząc ścianę z wszelkimi ozdobami na niej.

- Nie pokonasz przeznaczenia! - warknął nie swoim, metalicznym głosem.

Archanioł wiedział, że mu się nie uda.

- Synu, wyrośniesz na wielkiego człowieka - powiedziała kobieta nachylając się nad kołyską.

- Tak Rebeko, nasz syn, urodzony w domu biedoty, będzie swą pracą chwalił Pana... - mówił lekko roztrzęsionym głosem mężczyzna. - Może kiedyś zajdzie wysoko i zostanie wielkim posiadaczem ziemskim... Albo kapłanem...

- Tak Izajaszu... Nasz syn będzie błogosławiony przez Pana... Mówił tak szlachetny kapłan Jakub, święty człowiek...

- Rachelo, pora ochrzcić chłopca... - powiedział stanowczo Izajasz.

- Ale jakie damy mu imię? - zapytała z troską w głosie.

- Niechaj nazywa się Judasz...

- Ja już wariuję... - mruknął Archanioł. - Widzę własnych rodziców... Może to jakiś znak?...

Kolejne uderzenie zważyło go z nóg. Sunął po posadzce w kierunku filaru podtrzymującego sufit. Siła zderzenia złamała go i strop runął mu na głowę. Zapadła długa cisza. Przerwał ją odgłos trzepoczących skrzydeł. Piotr stanął nad rumowiskiem.

- Tobie pisana jest inna Śmierć! - wrzasnął wyrывая Archanioła spod gruzu. - Taka jaka spotkała Karasu...

Gwałtownie obrócił się w kierunku przeciwległej ściany i cisnął na nią Judasza. Malowniczy wybuch rozerwał mur wzbijając tumany kurzu. Archanioł podniósł się o własnych siłach, lecz Piotr wyraźnie widział, że z każdą chwilą jest coraz słabszy.

Paskudny uśmiech wykiwił na twarzy Apostoła. Podrzucił głowę do góry i wybuchł głośnym rechotem szaleńca. Wszystkie pentagramy rozjarzyły się krwawą poświatą. Judasz spojrział z przerażeniem na niego. Wiedział, że zaraz nastąpi jego koniec.

- Kefasie... Zakończ... - wyszeptał.

Apostoł spojrział na niego wzrokiem pełnym nienawiści. Już miał się zerwać by zadać ostatni cios, ale się zmiętył. Chciał jeszcze o coś zapytać.

- Dlaczego zginął Karasu?

- CO?... - wydyszał Judasz. - Po co ci ta wiedza?

- MÓW!!!

- Bo... miał za długi język... - powiedział Archanioł.

- Jak można zabić nieśmiertelną istotę?

Judasz spojrział na niego pustymi oczyma. Nie odpowiedział. Piotr uśmiechnął się. Pytanie było trochę nie na miejscu.

- Nie bój się Judaszu... Wiem jak to się robi... - powiedział cichym głosem.

Gwałtownie rzucił się do przodu, wprost na klęczącego Archanioła. Błyskawicznie poderwał złamaną klingę jego miecza i z rozmachem wbił mu ją wprost w spłot. Judasz zarzęził i obwisł na brzeszczocie. Piotr zebrał w sobie całą moc i ryknął:

- Idź do piekieł!!! MORTE!!!

Cała sala rozjarzyła się błękitnym blaskiem, który po chwili przeszedł w jaskrawą czerwień. Siła zaklęcia cisnęła martwym ciałem Judasza wprost w rumowisko, pozostałe po byłym filarze i części stropu. Apostoł przez kilka minut stał pochylony, z dymiącymi resztkami klingi w dłoni. Powoli, jakby bojąc się wywołać niepożądany dźwięk, wyprostował się i spojrział na rumowisko. Jego oczy, wcześniej przepełnione nienawiścią, teraz były puste. Puste i zarazem zimne niczym pustkowie przeklętego Sybiru.

Piotr wszedł do sypialni Pani. Spostrzegł ją, stojącą przy ścianie, wpatrującą się w obraz przedstawiający człowieka w średnim wieku. Jego miłosierne oczy przypominały mu coś jego ziemskiego życia. Nie zwrócił na to większej uwagi. To była tylko marna reminiscencja. Nie przybył tu po to, by oglądać sztukę malarską.

- Wiesz, Pani, z czym przybywam - powiedział zimno.

- Tak, Piotrze, przepowiednia...

- Jest fałszywa. Ojciec Benedykt powiedział mi...

- Milcz - przerwała mu. - Starzec nie wiedział o wszystkim... Jak i ty... - odwróciła się twarzą do niego. Była urzekająco piękna, nieporównanie piękniejsza od wszystkich ziemskich kobiet razem wziętych. - Przepowiednia spełni się co do joty.

- Bredzisz.

- Syn Jahwe, który stał się Władcą Upadłych Aniołów. Naznaczony sześcioroma Znakami Światła ponad Ciemnością, wypełni swój Pontyfikat, stając się zagładą Krainy Cieni. Przyniesie Zbawienie i Potępienie tym, którzy przeciwstawili się woli Pana...

- Co to ma być? - Prawdziwa przepowiednia... Właściwie Słowa Jahwe. Słowa, które stały się przeznaczeniem...

- Pani, mówże jaśniej! - krzyknął Piotr.

- Kefasie, zakończ już...

- Przedzej czy później to nastąpi. Teraz odpowiesz na moje pytania. Co znaczą te cholerne zagadki? Dlaczego zabiliście Karasu?

Pani miała nietęgą minę. Nie chciała mówić o wydarzeniach mających miejsce u zarania dziejów. Po długiej chwili milczenia, podniósłszy głowę, spojrziała w oczy Apostoła i przemówiła cicho:

- Jahwe to mój ojciec...

Piotr omal nie usiadł ze zdziwienia. Patrzył na uosobienie cierpienia, beznadziei, rozpacz i jakoś nie mógł w swej wyobraźni połączyć tego z istotą dobroci, miłosierdzia i temu podobnych irytujących odczuć. Siadł po turecku na podłodze i powiedział:

- Eee... To chyba nie na moją głowę...

- Może. Wiedz, że u zarania dziejów, Ojciec mój, wygnał Adama i Ewę z Edenu. Czuł się bardzo samotny, ale swego Słowa nie mógł cofnąć. Miał na tym punkcie bzika. Zawsze dotrzymywał danego Słowa.

- Przecież... - podjął Piotr, ale Pani niemal natychmiast mu przerwała.

- Aniołowie nie byli w stanie zastąpić mu towarzystwa człowieka. Wtedy to postanowił mieć córkę, taką tylko dla siebie.

- Stworzył wtedy ciebie... - dokończył.

- Tak. Kochałam go całą sobą. Byliśmy razem: tylko ja i On. Wszystko zaczęło się kiedy Jahwe zaklął Lucyfera w demona - kruka.

- W CO?! - wrzasnął.

- Nie przesłyszałeś się. Twój przyjaciel to pierwszy z Upadłych Aniołów. Lucyfer. Ten, który pierwszy okazał nieposłuszeństwo memu Ojcu.
- Ale dlaczego on się ze mną zaprzyjaźnił? Byliśmy dla siebie jak bracia...
- Jak wy to mówicie tam, na ziemi? Zonk? Tak. Niezłego zonka złapałeś, co?
- Odszczekaj to! - warknął.
- Judasz pozbawił go ciała astralnego. Tylko tak można zabić istotę fizycznie nieśmiertelną. Niszcząc jej duszę...
- Dusza jest niezniszczalna!
- Mylisz się. Mając moc tworzenia, posiada się moc niszczenia. Śmierć jest początkiem, pamiętasz? Dając życie, odbierasz je, odbierając życie - dajesz je.
- Nie rozumiem...
- Ojciec stworzył świat, będący samowystarczalnym. Kiedy ktoś umiera, rodzi się nowy potomek rodu ludzkiego. Dusza odchodzi, nowa nadchodzi... Teraz rozumiesz? Coś się kończy i coś się zaczyna.
- Jeżeli Archanioł miał taką siłę, to dlaczego pokonałem go tak szybko? - zapytał z błyskiem w oku.
- Judasz zużył prawie całą swą moc, by zniszczyć Lucyfera.

Piotr wstał powoli, zmieniając się w Bestię. Rozpostarł swe skrzydła, które natychmiast pokryły się błyszczącymi piórami.

- Dokończ swą opowieść, bo zaczyna świtać...

Pani uważnie przyjrzała się Piotrowi. "Czyżby chciał uniknąć przeznaczenia?" - przemknęło jej przez myśl. Łudziła się, że Apostoł odstąpi od wykonania wyroku. Nie wiedziała, jak bardzo się myliła.

- Ojciec kazał mi zająć się tą krainą. Kiedyś nosiła nazwę Czyściciel... - jej oczy powlekły się mgiełką rozmarzenia. - Było mnóstwo kwiatów, śpiewały ptaki, wiatr szumił w liściach drzew... Ojciec ufał mi i chciał dla mnie jak najlepiej. Do sprawowania władzy nad tym miejscem dał mi możliwość naznaczania ludzi Znamieniem Śmierci.

- Piotr przeszedł przez salę i stanął przed obrazem. Wyczuł, kto jest na nim namalowany. I dlaczego tu wisiał.
- Narodził się Jezua, Mesjasz przepowiedziany przez Boga już na początku istnienia człowieka. Jezus Chrystus, Syn Boga Żywego - mówił za nią Apostoł. - Znienawidziłaś Go za to, że Jahwe skupił na nim całe swe ojcowskie uczucie. Chciałaś, aby wszystko wróciło do poprzedniego stanu. W tym celu próbowałaś poprzez naznaczonego Judasza pozyskać duszę Jezuy. Zabiłaś własnego brata...
- Nie, to nie tak... - załkała.

- He, he... Pani śmierci, władczyni Krainy Ciemności płacze... Co za żalosne widowisko... - kpił Apostoł Piotr.
- Nie wiedziałam, że Ojciec mnie wykorzysta... Że zaplanował całą tę hecę, aby wyzwolić od grzechu całą tę ziemską hałastę... I że ja Go za to tak znienawidzę...
- Chciałaś zniszczyć ich obu. Ponieważ Jahwe odebrał ci moc, kontynuowałaś linie Apostołów, umacniając ich siły. Aż trafiła kosa na kamień... Postanowiłaś zakończyć swoje istnienie... Poprzez mnie.

Piotr odwrócił się od obrazu. Podeszedł do Pani i ujął ją za rękę. Spojrzał jej prosto w oczy i powiedział ciepłym głosem:

- Wstań.
- Piotrze, nie...
- Przed przeznaczeniem nie ma ucieczki... Coś się kończy, coś się zaczyna... Czy mogę poznać two prawdziwe imię?
- Tak... Jestem Rachela...
- A więc Rachelo... Przyjmij Znamie Śmierci!

To mówiąc wbił w jej serce połowę klingi miecza Archaniola Judasza. Oczy Racheli rozszerzyły się a z ust wydobył jęk:

- Jahwe... Ojciec...
- Apostoł nacisnął mocniej klingę. Krew ciepłym strumieniem zalała jego dłoń. Piotr zebrał w sobie całą siłę i wrzasnął:
- Reikonkuj!!!

Ciało Pani rozjarzyło się blaskiem zorzy polarnej i po chwili bezwładnie padło na ziemię. Apostoł powoli wrócił do swojej normalnej formy, jednak jego czarne skrzydła nie zniknęły. Stojąc w kałuży krwi, przyglądał się leżącej na posadzce Pani. Powoli, podniósłszy oczy, spojrzał na obraz wiszący na ścianie. Namalowany był tam Jezua, Mesjasz, Syn Jahwe. Piotr przyglądał mu się uważnie, myśląc o wydarzeniach ostatnich sześciu lat. O przepowiedni.

- Prawda że imponujące - powiedział miękki głos. Piotr odwrócił się. Słyszał już kiedyś ten głos, lecz nie mógł sobie tego przypomnieć.

- Kim jesteś?
- Myślałem, że uchwycisz podobieństwo z obrazu... - długowłosa mężczyzna uśmiechnął się. - Jeśli jednak nie...
- To niemożliwe... - wyszeptał Piotr sparaliżowany. Ten człowiek o ciemnej karnacji, delikatnych rysach twarzy, oczach przepęnlonych miłosierdziem...

- Jezua...
- Tak, bracie. To ja.
- Dlaczego przyszedłeś do mnie? Jestem przeklęty!
- Nie jesteś. Pomogłeś mojemu Ojcu wypełnić przeznaczenie...
- Co to znaczy?
- Nie ważne. Chciałbym byś wybaczył mi, że nie pośpieszyłem tobie z pomocą, chociaż mogłem.
- Daj spokój - machnął ręką Piotr.
- Mam dla ciebie propozycję... - powiedział cicho.
- Zgaduję, że jest nie do odrzucenia?
- Postąpisz jak chcesz...
- Słucham... - po chwili namysłu powiedział Piotr.

Zima. Pośród zawieruchy i ludzkiej bieganiny w "świątecznej gorączce" są także ludzkie tragedie. Jedną z nich jest Roger, czterdziestoletni mężczyzna od trzech lat mieszkający na ulicy. Miał kiedyś żonę, dzieci. Kiedy zaczął pić odwrócili się od niego wszyscy. Mieszkał to tu, to tam. Ostatniej zimy siedział w więzieniu za kradzież. Zwinął kilka zegarków ze sklepu tylko po to, by znaleźć miejsce do noclegu z ciepłą strawą. Niestety to już nie przejdzie. Nie będzie się tak poniżał, aby móc przetrwać. Leży pod koszem na śmieci czekając na jakiś cud.

Wtem przechodził tą drogą jakiś nieznajomy, ubrany w czarny płaszcz. Roger chciał podejść, poprosić o parę dolarów na coś do jedzenia. O dziwo, nieznajomy zbliżył do niego. Roger zauważył, że nieznajomy ma wielkie czarne skrzydła i na jego ramieniu siedzi czarny kruke. "Nic nie piłem... To znaczy... To chyba Anioł" - pomyślał bezdomny. Ów nieznajomy nachylił się i spoglądając na niego swoimi żółto-zielonymi oczami, powiedział cicho:

- Przynoszę ci Zbawienie...

COŚ SIĘ KOŃCZY, COŚ SIĘ ZACZYNA, BO ŚMIERĆ JEST POCZĄTKIEM...

Dawid „Nikko Takeda” Bączek

Dn. 29,12,2006

Mauser życia

Redmeer

Meldunek 1: Rozpoznanie

Warszawa dnia 1 VIII 1944. Południe. Wacek siedział na skrawku muru patrząc na stagnację okupowanej Warszawy. Patrzył wzrokiem nieobecnym i znudzonym, gdyż nie oczekiwał, że dzień ten będzie inny niż te ostatnie 5 lat. Wzdrygnął się, gdy zobaczył ciężarówkę wypełnioną Niemcami. Szybko opuścił zagrożony teren i udał się do domu. W domu czekała na niego matka z obiadem. "Obiadem", rzekłem. Kromki razowego posmarowane marmoladą z buraków, popijane czarną kawą „zbożową”. Wacek wiercił się w miejscu, spojrzał na zegarek. 15.37, Jeszcze dwie i pół godziny i spotka się z Joasią, dziewczęciem nad wyraz urokliwym. Jej kobiece kształty, długie blond włosy i jasne spojrzenie niebieskich oczu. Byle do osiemnastej! Spojrzał na ojca. W gruncie rzeczy był to poczciwy człowiek, lecz Wacek nie szanował go. W jego ocenie wart jest szacunku ten, który albo walczy w partyzantce, albo jest konspiratorem. Widział co prawda jakieś gazetki, które ojciec przed nim ukrywał. Dla Wacka był jedynie nic nieznaczącym staruszką. Matka Wacka, prosta poczciwa kobieta bała się panicznie wystrzałów, a te często było słychać z okolicznych ulic.

Meldunek 2: Zaobserwowano ruchy wojsk przeciwnych

Od ok. 12 Niemcy zaczęli zbierać swe jednostki w samym mieście. Ściągnięto jednostki oddelegowane do poszukiwania partyzantów po lasach. Wacek podejrzewał, że Niemcy znowu szykują większą łapankę. O 16 chłopacy zbierali się na placu koło kuźni by pograć w piłkę. Pójść czy nie? Dylemat dręczył Wacka. Piłka dobra rzecz, ale Szwaby jakby coś dzisiaj podminowani są. Nie, daruję sobie piłkę. Przyjdzie czas, gdy zagram w wolnej Polsce- pomyślał i oddał się przyjemnemu poobiedniemu polegiwaniu. Nawet dobrze się nie ułożył, a już zasnął. Nie na długo...

Meldunek 3: Godzina W

Nie! Nie zabijajcie mnie! Krzyczy postać w sali tortur gestapowskiej katowni. Całe ciało poorane ma głębokimi bruzdami po uderzeniach nahajów. Gestapowiec kopnął postać w głowę. Człowiek jęknął cicho i stracił przytomność... Wacek obudził się złany potem. Kurwa! Strzelają! Co się dzieje? Ubierając się pośpiesznie wbiegł do kuchni i natknął się na ojca. Ten głosem cichym powiedział- zaczęło się. Powstanie rozpoczęte. Wacek stał i patrzył na ojczyzna niemym wzrokiem. Powstanie.. Jedno z jego marzeń spełniło się. Będzie mógł walczyć otwarcie z wrogiem. Spojrzał na ojca wzrokiem pełnym wyrzutu. On wiedział! Wiedział, że dziś zacznie się powstanie. I ten stary cap nic nie powiedział swojemu jednemu synowi! Nie, nie wybaczę mu nigdy, powiedział i pobiegł na podwórze. Ojciec stał i nie mógł wydobyć z siebie jakiegokolwiek dźwięku. Chciał uchronić syna przed piekłem walki. Krył przed nim prawdę przez tyle czasu. A teraz nie miał odwagi go zatrzymać.

Meldunek 4: Przeciwnik w polu widzenia!

Wacek zapamięta tę datę. 1 Sierpnia 1944 godzina 17. Jedna z najważniejszych i najpiękniejszych chwil w jego życiu. Był tak podniecony, że nie zwracał uwagi na pobliskie krzyki i wybuchy. Szedł ulicą jak święta krowa i dopiero ostrzegawczy okrzyk jednego z powstańców stojących na straży przed domem, który był tymczasową bazą wypadową grupy partyzanckiej sierżanta "Czarnego" wyrwał go z tej ekstazy. Stać! Kim jesteś? Ręce do góry! Wacek liczył na nieco inne przywitanie, ale posłusznie i szybko odpowiedział- mam na imię Wacław. Chciałbym się przyłączyć do powstańców i szukam jakiegoś oddziału. Widzę, że trafiłem. Wartownik uważnie mu się przyjrzał i rzekł- na szpicla mi nie wyglądasz, a stary potrzebuje nowego łącznika, bo poprzedni oberwał kulą w czerp. Chodź ze mną, stary cię obejrzy. Weszli do budynku, który do niedawna musiał być mieszkaniem bogatego mieszkańca. Wskazywało na to pianino stojące w kącie i gustowne meble w salonie. Na piętrze w asyście kilku uzbrojonych powstańców w fotelu siedział sam stary, czyli sierżant "Czarny". Widać było, że pseudonim nie został nadany ot tak sobie. Głowa sierżanta była otoczona wręcz bujnymi, kręconymi, czarnymi włosami. Sierżant spojrzał na Wacka, a w tym czasie wartownik zameldował: Melduję, że ten oto chłopak przyszedł tu by wstąpić w nasze szeregi. Jak się nazywasz? Wacław Kowalski. Ile masz lat. 17 kończę w czerwcu. Toż ty jeszcze dzieciak. Czego szukasz w naszych powstańczych progach? Odprawiłbym cię, ale pilnie potrzebuję łącznika. Przyjmę cię do oddziału. Widać żeś tęgi chłopak, może się nadasz. Od teraz nosisz pseudonim "Kowal", zrozumiano? Tak jest, odrzekł nowo mianowany szeregowy "Kowal". "Hardy! Krzyknął do wartownika. Wyposaź naszego łącznika w niezbędny ekwipunek. Odmaszerować. "Kowal" myślał że znalazł się w siódmym niebie. Własny ekwipunek! To dopiero coś! Może nawet własna broń? Proszę, oto twój ekwipunek. "Hardy" podał Wackowi wojskowe ubranie i niemiecką czapkę polową. To wszystko? A czego się spodziewałeś? Że Mausera od razu dostaniesz? Dla strzelców nie mamy odpowiedniej ilości. Widzisz, ja sam z pistoletem biegam. "Hardy" wyjął zza pasa Lugera. Z daleka z tego nie trafisz. Ale lesze to niż nic. No cóż początki są ciężkie- pomyślał "Kowal", zapomniał o tym, że miał dziś się spotkać ze swoją dziewczyną. Ale w multumie emocji nie dostrzegał niczego oprócz widma nadciągającej walki. Przysiadł na fotelu, by ulżyć nogom. Lecz nie minęło 15 minut i wyrwał go z drzemki głos wartownika. Niemcy, Niemcy! Nadchodzą z lewej! Przygotować się do obrony! Pierwsza akcja, mruknął Wacek i zajął miejsce przy parterowym oknie wraz z "Hardym", ponieważ na razie tylko z nim nawiązał znajomość. "Hardy". Kim on mógł być? Na oko ze 30 lat. Polski mundur, oficerki, niemieckie spodnie i czapka. Dwa granaty za paskiem i ukryty pod kurtką Luger. Twarz jakby trochę posępna i ten wyraz twarzy, pełen gniewu i zacięłości. Masz powiedzieć i wcisnął oba granaty w ręce "Kowala". Ja strzelam, ty rzucasz.

Jednak walka nie przyszła od razu. Niemcy skoncentrowali się na sąsiednim budynku za rogiem ulicy, gdzie strzelał jedyny mp 40 w drużynie. Jednak po kilku minutach kilku Niemców zaczęło się cofać pod ostrzałem mp prosto pod nos "Kowalowi" i "Hardemu". Spokojnie, spokojnie, mówił do siebie. Nie rzucaj od razu. Niech podejda bliżej, wtedy ich poczęstuje. Szwaby zatrzymały się za murkiem 30 metrów od stanowiska naszych bohaterów. "Hardy" daje znak. Wacek rzuca granat a "Hardy" wtóruje mu wystrzałami z pistoletu. Niemcy pewni swego ukrycia się przed wrogiem nie zdążyli zareagować na tyle szybko by uniknąć odłamków granatu. Granat z piątki Niemców zabił dwóch, a trzech lekko ranił. Tych jednak dopadły kule z Lugera "Hardego".

Pierwsza ofiara. Jeszcze kilka lat temu nie mógłby tego zrobić. Uważał to za odrażające i straszne. Ale wojna zaciera wszelkie granice. Wacek siedział teraz na stanowisku i delektował się widokiem pięciu nieruchomych ciał w mundurach feldgrau. W ciszy przeżywali swe chwile triumfu. Wtem "Hardy" zaproponował, żeby podnieść rangę swojej glorii i zdobyć Mausera, albo lepiej dwa, by obaj mogli pluć ołowiem do wroga. Wacek miał wątpliwości, ale widmo posiadania własnej broni zaćmiło szybko wszelkie promienie rozsądku. Cóż z tego że trwa bitwa. Tu się nic nie dzieje. A to tylko kilka metrów. Skoczę pod ten murek, wezmę broń i przybiegnę spowrotem- pomyślał "Kowal" i zeskoczył z parapetu okna.

Nie zauważył w pobliżu żadnego Niemca, lecz wiedziony instynktem pochylił się i pobiegł. A że był z niego niezły biegacz, po chwili już dopadł bezpiecznego murku. I wtedy zauważył coś dziwnego. Obok zwłok Niemców zabitych przez niego granatem

leżały dwa karabiny. Jeden to zwykły Mauser, lecz drugi wyglądał zupełnie inaczej. Nie był to wojskowy mauzer. Wygląd wskazywał raczej na broń myśliwską. Kolba z drewna orzecha z urzekającym, ciemnym fladrowanym wzorem. Zamek bogato inkrustowany złotem. Na baskili wygrawerowany słoń. A to ci heca- pomyślał Wacek. Trafiliśmy na amatora safari! Co za broń! Z taką to będzie można sobie dumnie paradować! Zwabiony żądzą posiadania karabinu wychylił się nieznacznie i rękoma zgarnął karabiny...

Epilog

Nie tak wyobrażał sobie ten moment. Wiedział, że może to kiedyś nastąpić. Kłoda na prostej i nieposzlakowanej drodze tryumfu. Myślał, że kula przechodząc przez ciało pozostawia niesamowity ból. On nie czuł nic. Zapanowała dziwna pustka. Nie czuł nawet że leży na ziemi. Nie widział skąd strzelił do niego snajper. Ścisnął w rękę ukochany karabin wiedząc, że nie odda z niego ani jednego strzału. On sam nie miał do siebie żalu. Smutno mu było, że zawiódł "Hardego". On czekał na swój karabin. Konał, a jego oczom ukazała się Joasia idąca obok jego ojca...

Redmeer

Opowieści z Przeklętej Doliny :: Część 6

Konrad Staszewski

"Samobójstwo w pociągu"

Nikki zupełnie nie wiedziała co robić, pierwszy raz znalazła się w takiej sytuacji. Spoglądała raz po raz to na siedzącą naprzeciwko niej kobietę a raz na mężczyznę, który przed chwilą wszedł do wagonu i był nie mniej niż ona zaskoczony reakcją kobiety. Patrzył na Nikki i widocznie zastanawiał się czy nie powinien sięść w innym wagonie, bo jedną nogą przekroczył a stał jeszcze w progu. Zdecydował się gdy usłyszał kolejny, ogłuszający niemalże krzyk pasażerki. Nikki nadal nie odezwała się ani słowem więc tylko uśmiechnął się nieco nieśmiało ale wyrozumiałe do dziewczyny i wyszedł z wagonu. Nikki wołała się nawet nie zastanawiać co sobie o nich mógł pomyśleć.

"Niby mniszka" przy drugim krzyku wyraźnie wskazała Nikki palcem i zaczęła się trząść jakby nagle dostała ataku padaczki. Gazeta wypadła jej z rąk ale to już nie interesowało dziewczyny. Podeszła do kobiety i chciała ją uspokoić ale, z każdym krokiem Nikki, krzyczała coraz głośniejsze, jakby była opętana przez jakiegoś demona. W jej oczach malowało się paniczne przerażenie.

- Proszę się uspokoić. Pomogę Pani. - Nikki ponownie zaproponowała nieznaną jej. Ta na chwilę się uspokoiła i, jakby przyjmując pozycję obronną, mocno przylgnęła do siedzenia.

Dziewczyna nie wiedziała co ma o tym myśleć.

- "Najbezpieczniej chyba będzie sięść naprzeciwko tej kobiety." - pomyślała. Po chwili milczenia, która wprawiała w zakłopotanie każdego, rzekła najspokojniejszym głosem na jaki w tej sytuacji mogła się tylko zdobyć. - Stało się Pani coś? Może uda mi się jakoś Pani pomóc. - wyciągnęła ręce w kierunku kobiety.

Ta, zapamiętała w swoim przerażeniu zaczęła machać przed sobą rękami i krzyczeć:

- Ni..., Ni...

- "Widocznie nie chce ode mnie pomocy." - pomyślała Nikki. - "Może nie jest stąd bo nie mówi naszym językiem."

Z zamyślenia wyrwał ją nieoczekiwane zachowanie towarzyszy z przedziału.

Dziewczyna nic nie robiła, starała się zachowywać naturalnie, żeby nie denerwować ani nie niepokoić "niby mniszki". Ta też w milczeniu przyglądała jej się chwilę bardzo badawczo. Zastawiała się co robić i analizowała zaistniałą sytuację i wtedy nastąpiło coś, czego Nikki nie zapomni do końca życia. Kobieta niespodziewanie poderwała się z miejsca, podbiegła do okna i otworzyła je. Dziewczyna siedziała i nie wiedziała co ma robić. Była jak sparaliżowana a kobieta wydała z siebie jeszcze jeden krzyk, ostatni, mrozący krew w żyłach i nie oglądając się za siebie wyskoczyła z pędzącego pociągu. Nikki zdawało się, że ten krzyk zawierał w sobie jej imię ale nie była tego pewna.

Tak jakby słyszała drugi, wydany równocześnie z pierwszym ale dobiegający z innej strony. A może jej się tylko tak wydawało; może "Ni..." wyskakującej została tylko nienaturalnie wydłużone przez świst wiatru i szum pociągu. Nie wiedziała. Nie wiedziała również co stało się z samobójczynią ale nie chciała tego sprawdzać. Nadal nie była w stanie nawet się poruszyć a co dopiero zbliżyć się do okna.

Spojrzała tylko na drzwi do przedziału - były nadal zamknięte, tak jak zostawił je wcześniej podróżny, który zdecydował się znaleźć inny przedział. Teraz zdawało jej się, że w ich szybie widzi swego wybawiciela, kogoś, kogo tak bardzo pragnęła w tej chwili zobaczyć i się do niego przytulić, że już się czasem obawiała, że zaczyna mieć przywidzenia.

Wpatrzyła się w szybę jakby zobaczyła w niej ducha swej matki. Ale to nie była twarz Mary Mothman. I te oczy, nie Johna ale tak miłe sercu.

- Hrabio. - niemalże krzyknęła i wskazała ręką okno.

Cagliostro jednak zachowywał się jakby jej w ogóle nie widział.

- Hrabio! - tym razem krzyknęła.

Nadal żadnej reakcji z jego strony. Przemogła odrętwienie i podeszła do drzwi. Energicznie pociągnęła za klamkę ale były zamknięte, chociaż nie dostrzegła w nich żadnego zamka. Bezradnie spojrzała na Cagliostra. On patrzył niby na nią ale Nikki miała wrażenie jakby jego wzrok utkwniony był gdzieś w oddali.

Dziewczyna z determinacją pociągnęła za drzwi ale ponieważ nie dawało to żadnego rezultatu, ze łzami w oczach usiadła na podłodze i ukryła twarz w dłoniach. Jak dziecko zacisnęła pięści i przetarła nimi oczy.

Gazeta, którą wcześniej upuściła jej dziwna towarzyszyka podróży, leżała teraz w zasięgu ręki dziewczyny.

John nie czekał aż usłyszy po raz trzeci tajemniczy krzyk. Już wychodził z przedziału gdy w szybie drzwi zobaczył jakieś odbicie. Był pewny, że odbiło się coś, jakby ubranie i, że to odbicie się w szybie musiało pochodzić od okna. Zbliżył się do niego, otworzył i wyjrzał na zewnątrz pociągu. To co zobaczył nawet jego przyprawiło o mdłości, detektywa, który był świadkiem już niejednej śmierci. Ale nie takiej.

Ciało jakiejś kobiety na jego oczach zostało rozjechane przez pociąg. Jeszcze widział zakrwawione torowisko. Miał nawet wrażenie, że słyszał chrzęst łamanych kości, może czaszki, i widział przez chwilę wleczoną, zaczeponą na kole zakrwawioną, oderwaną rękę. Ku jego zdziwieniu maszynista nawet nie zmienił szybkości jazdy. "Może nic nie wie, pociąg jest długi i głośny." - pomyślał.

Był pewien, że w tym pociągu popełniono morderstwo. I miał już podejrzenia kto mógł je popełnić. Na kolejnym zakręcie dostrzegł w którymś przedziale otwarte okno. Wszystkie pozostałe były pozamykane.

- "Jeśli to nie tam popełniono morderstwo to może chociaż pasażerowie coś słyszeli." - pomyślał. - "Wszystko powinno się wyjaśnić jak odnajdę Hrabiego". Wybiegł z przedziału nie dbając o pozostawione bez opieki bagaże i poszedł wzdłuż pociągu. Ponieważ siedział w ostatnim przedziale, zaglądał do każdego mijanego ale nie dostrzegał w nich niczego podejrzanego. To tylko utwierdzało go w przekonaniu, że morderca dokonał zabójstwa w przedziale z otwartym oknem. Poza tym nadal nie natknął się na Cagliostra a minął już kilkanaście przedziałów i kilka wagonów, nie liczył nawet ile.

Otworzył drzwi oddzielające kolejne wagony i stanął zupełnie nie wiedząc co powinien zrobić. Hrabia, którego ponoć żaden z podróżnych nie widział gdy ten przemykał się koło ich przedziałów, stał teraz kilkanaście kroków przed detektywem, zwrócony do niego bokiem a przodem do drzwi przedziału. Mothman domyślił się, że to w tym przedziale zostało popełnione morderstwo a podejrzanym był oczywiście Hrabia. Detektyw miał ochotę rzucić się na niego i wycisnąć z niego wszystkie wiadomości ale wiedział, że na razie nie mógł niczego podobnego uczynić. Potrzebował zebrać przeciwko niemu niezbitą dowody a póki co miał tylko poszlaki i podejrzenia.

Ostrożnie zaczął zbliżać się do Hrabiego. Ten widocznie usłyszał jego kroki bo odwrócił się w jego stronę a Mothman stanął i zaczął mu się dokładnie przyglądać.

Pierwsze co przykuło jego uwagę to była jakaś zmiana, która zaszła w Hrabim. Najbardziej widać to było w jego oczach - były nadal

nieprzystępne ale teraz smutniejsze i jeszcze zimniejsze niż zwykle. Już nie widział w nich tej iskry życia, tak jakby ich właściciel w ciągu tej krótkiej podróży bardzo się postarzał. Znalazło to odbicie w całej jego twarzy: jej rysy stały się ostrzejsze i bardziej widoczne. Gdy tak stał oparty na swojej łasce bardziej teraz przypominał trawionego śmiertelną chorobą starca aniżeli pełnego prawie młodzieńczej energii mężczyznę, który kilka godzin wcześniej przyszedł do Mothmans Library. Johnowi, im dłużej na niego patrzył tym bardziej robiło mu się go żal. "Może ma teraz wyrzuty sumienia po dokonanej zbrodni." - pomyślał. - "Mimo to jest jej winny. Z drugiej jednak strony czy świadomie odważyłby się popełnić morderstwo wiedząc, że jestem detektywem? Czy zaryzykowałby zdemaskowanie? Nie, głupi nie jest: jego inteligencja jest raczej równa przebiegłości. A może to rodzaj testu dla mnie, może mnie sprawdza. Jeśli tak to zagramy". Kąciki ust zadrgały mu w ledwo widocznym uśmiechu. Miał nadzieję, że Hrabia nie dostrzeże tego, co rozgrywa się teraz w jego myślach i duszy. I chyba tak było.

Mothman podszedł do niego zdecydowanie. Cagliostro dopiero jakby go wtedy zauważył gdy ten stanął tuż przed nim.

- Stało się coś? - zapytał detektyw jakby o niczym nie wiedział.

Hrabia patrzył na niego jakby nie rozumiał co John do niego mówi. Dopiero po chwili odpowiedział a każde jego słowo wbijało się w serce Mothmana niczym sztylet.

- Twoja siostra...

Te dwa słowa sprawiły, że krew zawrzała detektywowi w żyłach. Już przed oczami przesuwali mu się najstraszniejsze obrazy. Chwytał Cagliostro i zaczął go dusić i szarpać.

- Co z nią?! Gdzie ona jest?! Gadaj łajdaku! Zabiłeś ją! Powinienem zrobić z Tobą to samo! - krzyczał a twarz Hrabiego stawała się coraz bardziej popielatą z braku powietrza.

Urywany, ledwo słyszalnym głosem wykruszył:

- ...popełniła morderstwo.

Mothman usłyszawszy to puścił go i cofnął się o parę kroków. Zachwiał się na nogach i musiał oprzeć się o ścianę, żeby nie upaść.

- O czym Ty mówisz. Łiesz.

*

Samuel podciągnął rękaw płaszcza. Zawsze był dumny z tego, że jako jeden z nielicznych mieszkańców Doliny ma zegarek na ręce. Dla innych był to jedynie nieosiągalny cud techniki, ale nie dla niego, nie dla syna Wielkiego Gvidona jak często nazywali jego ojca. Świątce upiornym blaskiem wskazówki utwierdziły go tylko w tragicznym przeczuciu ale wolał nie mówić o tym nikomu. Miał nadzieję, że Gvidon nie zapyta. Tak też się stało. Zapytał dopiero gdy znaleźli się na stacji.

Podszedł do okienka i zastukał z niecierpliwością dłonią w blat drewnianej przybudówki. Dźwięk odbijającego się złotego sygnetu rozniósł się po całym pomieszczeniu Informacji. Dopiero po kilku minutach zjawiał się ktoś, kto mógł udzielić mu potrzebnych informacji. Była to kobieta, w wieku może około czterdziestu lat. Jej ponętne kształty mogły przywodzić na myśl kobiety, które w Dolinie nieraz zaczepiały go składając niedwuznaczne propozycje. Zachowanie kobiety siedzącej teraz naprzeciwko niego mówiło samo za siebie. Uśmiechała się do niego zalotnie - widocznie chciała zatuszować tym złe wrażenie, które zrobiła na nim okazując pewnego rodzaju niesubordynację w pracy. Ale Gvidon nie zwracał nawet najmniejszej uwagi na okazywane mu zbyt nachalne zainteresowanie i może chęć przeprosin w sposób, na który nie miał teraz ochoty tracić czasu.

- Za ile minut odjeżdża stąd pociąg do Przekłętej Doliny? - ponowił pytanie, którego widocznie kobieta przy okienku nie słyszała gdy je zadał, przekraczając próg pomieszczenia choć starał się je zadać jak najgłośniej.

- Odjechał - spojrzała na duży zegar wiszący na ścianie tuż za jej plecami i odwróciła się z tym samym wulgarnym uśmiechem w stronę przybyszów. - dwadzieścia minut temu.

- Co?!

- To prawda, ojczu. - Samuel zbliżył się kilka kroków. - Zapomnieliśmy o zmianie czasu pomiędzy... - zamilkł pod piorunującym wzrokiem Gvidona.

- Która jest teraz godzina?

To, prawie warknięcie przez zęby sprawiło, że nawet kobieta z informacji wyraźnie spoważniała. Teraz skierowała swój bardziej nieśmiały uśmiech w kierunku Samuela ale ten nawet na nią nie spojrzał. Zerknął natomiast ukradkiem, tak, żeby nikt tego nie zauważył, na swój zegarek. Nie mógł wprost odpowiedzieć na pytanie ojca, aby nie narażać się na podejrzenia ze strony innych. Nie każdy uwierzyłby, że odziedziczył w genach talent do przepowiadania przyszłości od ojca, talent, który i tak, tak jak wszystkie pozostałe, w miarę pokoleń stawał się coraz słabszy i mniejszy i zanikał w pewnym wieku mężczyzny. Tylko mężczyźni go dziedziczyli z pokolenia na pokolenie, a kobiety tylko raz na ileś lat ale i tak podejrzewał, że straci ten dar w wieku ojca, tak jak przytrafiło się to Gvidonowi.

- Ta kobieta - powiedział z wyraźnym akcentem na drugie słowo. - niestety ma rację.

- A kiedy będzie następny? - Gvidon znów skierował wzrok na pracownicę stacji.

- Dopiero jutro rano.

Już się odwrócili i podeszli do drzwi wyjściowych ze stacji gdy Gvidonowi coś przyszło do głowy. Odwrócił się na progu i zapytał głośno:

- A czy do tego pociągu wsiadał ktoś, kto w jakiś szczególny sposób przykuł Pani uwagę?

Nie... - zawiesiła głos jakby się nad czymś zastanawiała albo próbowała coś sobie na siłę przypomnieć. - No, może oprócz jednego jegomościa, który miał niesamowite oczy i maniery. Także wyglądał na nietutejszego jak Panowie, dlatego pomyślałam, że Panowie są tacy sami jak on.

- Pomyliła się Pani. - Samuel pierwszy raz na nią spojrzał ale w jego spojrzeniu nadal nie było nawet cienia zainteresowania nią.

- Wiem. - Westchnęła smutno.

- Czy może nam Pani coś bliżej opowiedzieć o wyglądzie tego, jak go Pani nazwała "jegomościa"?

- Nie sądzę. Nie znam Panów.

Stawała się coraz ostrożniejsza i Gvidon to zauważył. Szybkim krokiem wrócił do okienka. Kobieta chciała jakoś zareagować ale nie zdążyła. Wyjął z kieszeni wizytówkę i położył ją na blacie. Kobieta nawet nie wyciągnęła po nią ręki więc wsunął karteczkę w szparę pod szybą. Kobieta aż otworzyła usta z wrażenia.

- Może jednak przypomina sobie Pani jakieś szczegóły jego wyglądu?

- Wyglądał jak jakiś... - zaczęła już trochę bardziej rozluźniona, ale już nie próbowała się narzucać przybyszom. "Z prawnikami nie ma żartów" pomyślała.

- Jestem pewny, że to Cagliostro.

Gvidon nic się nie odezwał. Traktował Samuela tak, jakby go w ogóle w pobliżu nie było.

- Prawie nas zdradziłeś. - rzucił tylko gdy wychodzili ze stacji.

*

Siedziała z podkulonymi nogami oparta o drzwi przedziału a płacz co chwilę targał jej ciało. Otworzyła gazetę na stronie, którą czytała samobójczyni i przez łzy, jak przez mgłę zobaczyła nagłówek artykułu. Pod nim było prawdopodobnie zdjęcie zamordowa-

nej dziewczyny ale widocznie ktoś niespełna rozumu je wyciął. Nikki nie czytała artykułu tylko bezmyślnie wpatrywała się w dziurę po fotografii jakby ta przedstawiała jakiegoś jej znajomego. Łzy rozmazały jej litery druku i nie była w stanie przeczytać podpisu zamieszczonego pod miejscem po zdjęciu.

Odłożyła gazetę gdy tylko usłyszała głosy. Przestała płakać i spróbowała się w nie wsłuchać. Była pewna, że dochodzą zza drzwi. Wolno wstała i starała się coś dostrzec przez szybę. Coraz wyraźniej słyszała rozmowę, kłótnię, która z każdym słowem stawała się ostrzejsza. Nie wiedziała co stało się jej powodem ale słyszała Johna i Cagliostro. Zaczęła krzyczeć i uderzać z całej siły pięściami w drzwi. Nagle rozmowa ucichła i dziewczyna zobaczyła upragnione oblicza. Przyłgnęła do drzwi jak rozgnieciona mucha. Widocznie i oni ją zobaczyli albo usłyszeli bo John najpierw zaczął szarpać a potem napierać na drzwi - najwidoczniej chciał je wyważyć. Nikki na wszelki wypadek odsunęła się o kilka kroków i czekała w napięciu. Łzy jeszcze świeciły jej w oczach ale w serce wstąpiła nowa nadzieja. "Za chwilę ten koszmar się skończy" - pomyślała.

John nadal nie mógł uwierzyć w słowa Hrabiego. Nawet teraz gdy zobaczył Nikki w jedynym przedziale z otwartym oknem. Poza tym widział jej zapłakaną twarz i przerażenie w oczach. A wszystko jakby za mgłą, w oddali - zdawało mu się, że nie drzwi ich dzielą a wielka odległość.

Brutalnie odepchnął od siebie Cagliostro i próbował otworzyć drzwi. Gdy to nie dawało rezultatu krzyknął na całe gardło mając nadzieję, że siostra go usłyszy:

- Otwórz drzwi!

Ale ona nawet nie ruszyła się z miejsca.

John nadal szarpał za klamkę.

- Obawiam się, że to nic nie da. Tych drzwi nie otworzysz od zewnątrz. - powiedział Hrabia i detektywowi zdawało się, że w jego głosie usłyszał nutkę szczerzego smutku.

- Dlaczego sama nie otworzy tych drzwi? - John syknął przez zaciśnięte zęby.

- Może się zacięły.

John spojrzał na towarzysza spode łba i ponownie skierował wzrok na Nikki. Wydawało mu się, że trzyma coś w rękach, jakby gazetę. Z determinacją naparł całym ciałem na drzwi ale te nie chciały ustąpić. Mothman zaczynał tracić siły.

- Będiesz tak stał i mi nie pomożesz? - zapytał z wyrzutem Hrabiego.

- I tak ich nie otworzymy. Mam wrażenie, że działają tutaj siły potężniejsze od nas.

- Co masz na myśli?

- To, że zbliżamy się do celu naszej podróży. A z tego co wiem to Przeklęta Dolina jest dość specyficznym miejscem.

John spojrzał na niego i chciał o coś jeszcze zapytać ale Hrabia go uprzedził odpowiedzią:

- Za chwilę się dowiesz.

C.D.N.

Konrad Staszewski

Czerwcową noc rzadko bywa tak upalna. Tak rzadko, że co niektórzy mieszkańcy zaczęli rozpowszechniać plotki o kolejnej dziurze ozonowej i rychłej zagładzie. Miasteczko Midland w Stanie Michigan, sławne jest w okolicy z powodu graniczności.

"A za nami tylko lasy" - Mówią miejscowi... Trochę w tym i racji. Tartak, skup dziczyzny i skór, kilka zakładów przetwórczych. Wszystko tu funkcjonuje dzięki zasobom leśnym. Wyjątkiem w rejonie jest mała kopalnia miedzi, notabene zamknięta oficjalnie przed trzydziestoma laty, ale przynosząca jeszcze dochód gryzoniom, jak nazywają tu górników.

Owa miejscina na peryferiach cywilizowanego świata ma jedną podstawową wadę, a może zaletę... Wszyscy o wszystkich, wszystko wiedzą, a nowa plotka rano, po południu staje się historią. To, co zdarzyło się tu dwa tygodnie wcześniej, zostaje zapomniane i nie było.

Ale Klara pamiętała. Przybyła tutaj dwadzieścia dwa lata temu i do tej pory nie potrafiła się zasymilować ze społeczeństwem. Mieszkała na uboczu, nie ufając nikomu, a jedyną łączniczką ze światem była Anna. Była... Klara od lat uwięziona we własnych fobiach i niemocy potrzebowała kogoś, na którym mogłaby wyładować sarkazmy i żale o to, że jak twierdziła, przegrała życie, i nic jej nie wyszło przez wszystkich dookoła. Potrzebowała kogoś, kto wreszcie by załatwił dla niej najpotrzebniejsze sprawy, kto pójdzie po zakupy. Ale nie było nikogo takiego. Anny nie było.

Zaczęło się to jakiś czas temu, siedem, może osiem miesięcy minęło.

Anna już od dziecka różniła się od rówieśników. Była inna, zawsze doroślejsza, zdolniejsza, poważniejsza. Miała wiele talentów i przeogromną chęć poznawania. Nic nie potrafiło stanąć jej na drodze w dążeniu do absolutu, przez co ludzie patrzyli na nią, jak na istotę z nie tego świata, lub wręcz nazywając nawiedzoną. Stąd też Klara nie zwracała zbytnio uwagi na swoją podopieczną, uważając, że do póki mała ma własny świat, nie będzie chciała nigdzie odchodzić.

Ale Anna rosła, stawiała się coraz bardziej samodzielna i nie wykazywała chęci wiecznego podporządkowywania się histeryzującej ciotce, jak nieraz nazywała Klarę. Czy był to błąd wychowawczy Klary? Na pewno tak, jednak ona nigdy nie chciała dopuścić do siebie tej myśli. Po prostu, przysparzała małą, a więc ona winna jest jej dogonną wdzięczność...

A jeśli nie? To za wszelką cenę trzeba tego dokonać, aby tak było.

Anna uwielbiała samotne spacerować. Długie i dalekie. Wracała niekiedy późno w nocy, a i w ten czas nie spała do rana. Chodziła wtedy do pokoiku nad szopą i potrafiła godzinami patrzeć w gwiazdy, lub zapisywać coś w swoich pamiętnikach. Zdarzył się jednak wypadek, który obie kobiety odsunął od siebie jeszcze bardziej. Klara zauważyła u Anny coś, co w pierwszym momencie zbyła słówkiem "bzdura", ale im dłużej się przyglądała, nabierała słusznego swojego spostrzeżenia. Anna miała oznaki ciąży. Wymioty, łaknienie, w końcu już lekko zaokrąglony brzuch. Starsza kobieta zażądała definitywnej odpowiedzi i... Nie otrzymała jej. Dziewczyna zbyła ją stwierdzeniem, że aby zażyć i urodzić potrzebny jest ten drugi, a ona nigdy nie miała nawet sympatii. A w dodatku cały czas jest dziewicą. Lecz ją to oskarżenie też zaintrygowało. Udała się do lekarza, wykupiła testy i omal nie zemdląła ze zdziwienia! Insynuacje Klary okazały się prawdą, była w ciąży.

Klara nie dawała za wygraną, żądając wydania nazwiska ojca dziecka i w ogóle nie przyjmowała do wiadomości, że Annie może być ono nieznane. Któregoś dnia udała się nawet do miasteczka, aby śledzić dziewczynę, z tym tylko skutkiem, że ta odnalazła ją, siedzącą na stopniach sklepu kaletniczego, dyszącą z przemęczenia i nie mogącą iść dalej.

- Ciotko, co ty tutaj robisz? - Spytała wychodząc ze sklepu.

- Czekam na twojego gacha! Dostaję ich tych farmazonów o tym, że nie sypiasz z nikim w miasteczku! - Szorstkim głosem, sapiąc jeszcze ciężko, odburknęła Klara.

- Ciotko! Ale to niedorzeczne, co ty wygadujesz. - Próbowwała oponować Anna.

- Niedorzeczne jest to, co próbujesz mi wcisnąć. Patrzcie ją, jaka delikatna. W ciąży jest a nikomu nie dała! - Klara podniosła głos widząc, że dookoła nich zaczyna zbierać się grupka gapiów.

- Uwaga, że rozmawialiśmy już na ten temat wystarczająco. Zdaje mi się, że to nie twoja sprawa, ale ci powiem, że wszystko potwierdzi doktor Moucer z kliniki - Odparka tym samym tonem dziewczyna, czując, że za chwilę wybuchnie na tą kobietę, którą wcześniej po mimo wszystko kochała.

- Albo jesteś dziwką, albo czarownicą! Odkąd zabrałam cię z wypadku, w którym zginęli twoi prawdziwi rodzice, zawsze byłaś inna. A teraz tylko udowadniasz to, że z tobą jest coś nie tak. - Z nutą szyderstwa sapiała Klara.

- Nie jestem aż taka inna, w odróżnieniu od ciebie. Ja poznaję świat i ludzi, rozmawiam. Ty? Ty tylko wymyślasz bzdury, które ciebie samą karmią. - Odparowała Anna, czując, że nie potrafi się już opanować. Teraz już nie! Właśnie usłyszała całą prawdę, która do tej pory ukazywana była za każdym razem inaczej, ale nigdy nie tak dokładnie. Brutalnie, ale wreszcie bez krętowni o powinowactwie.

- Ale ja nie patrzę w gwiazdy, i nie rodzę bachorów z kimś, kogo nie znam. Nie to, że sierota, to jeszcze opętana. A może i uprawiasz magię? No, co!? Może rzucisz na nas jakąś klątwę? - Klara w swoich histeriach potrafiła posunąć się do absurdu.

Był to jednak jeden z tych absurdów, które łatwo przyswajają ludzie, w szczególności podchmieleni... Teraz jeden taki, który podszedł do tłumu przed chwilą i usłyszał może ostatnie zdanie, dopowiedział słowa, które stały się przysłowiową kropką nad "i".

- To czarownica! - Krzyknął jakby ostatnim trzeźwym przebiegłym, i osunął się na ziemię siadając jakimś innemu gapiowi na zakupach.

To wystarczyło. Ludzie jeden przez drugiego zaczęli przebąkiwać między sobą pokazując Annę palcami. Wrzawa narastała w miarę jak niedorzeczna informacja dochodziła do kolejnych uszu i każdy dokładał swoje spostrzeżenia, nie zawsze z resztą zgodne z prawdą... Dziewczyna, widząc sytuację nie zwlekała długo z podjęciem decyzji ratującej ją prawdopodobnie z opresji.

- Nie ważne w tym momencie, co sobie wyobrażacie. - Mówiła głośno, wyraźnie, tak, aby każdy w tłumie usłyszał. - Kogo bardziej znacie? Mnie od dziecka, czy tą kobietę, którą nazywałam ciotką, a która w mieście jest trzeci raz w życiu od dwudziestu lat.

- Nie wiem, co sobie wykombinowałaś czarownico, przybłądo, ale to ci się nie uda! - Usłyszała za sobą głos Klary i jej śmiech...

- Jeżeli wierzyć tej histeryczce, - Anna mówiła dalej. - To wierzyć. Ja wam tego zabronić nie mogę. Ale jeżeli mówicie, że to ja jestem zła, to pozwólcie, że odejdę i więcej mnie nie zobaczycie. Może kiedyś przyznacie mi rację.

- Tak, tak! Niech idzie! Precz! - Zaczęli skandować niektórzy.

- Niech idą obie! - Krzyczeli drudzy.

- Pozwólcie jej odejść. Może ona jest mądrzejsza od nas wszystkich! - Usłyszeli głos, który wszystkich zaskoczył.

Przy drzwiach sklepu stał Pastor Whiliam Piteer, i on to odezwał się do zebranych. Popatrzał po twarzach ludzi stojących i dodał:

- Żeby się nie okazało, jak bardzo wy się krzywdzicie!

Od tamtego czasu minęły już dwa tygodnie. Wszyscy o wszystkim zapomnieli. Ba! Nawet po niedzielnym kazaniu zapatrywania społeczności zmieniły się radykalnie. "Bo kto jest bez winy...", i wszyscy obecni zobaczyli swój błąd. Wszyscy, oprócz nieobecnych, a zabrakło tylko Klary.

Ona, bowiem od tamtej pory zamknęła się w swoim domu na peryferiach i, do czego nie potrafiła się przyznać nawet przed sobą, coraz dotkliwiej odczuwała brak pomocy ze strony Anny.

Przecież była kaleką. To, że stało się, jak się stało, nie upoważnia mieszkańców do nieokazywania jej pomocy! Tylko, że ludzie tego

miasta mieli własne życie, zmartwienia, kłopoty, i nikt nie pomyślał, choć przez chwilę, że powinien usługiwać kłótniwej kobiecie. Noc była naprawdę ciepła i na rozgwieżdżonym niebie nie ukazała się ani jedna chmurka. W oddalonym o półtorej mili od najbliższych zabudowań domku, siedziała w bujanym fotelu Klara. Patrzała w gwiazdy. Czegoś szukała. Co jakiś czas rozglądała się dookoła, jak gdyby kogoś wypatrując, a potem na powrót zadzierała głowę do góry i swoimi zmęczonymi oczami błędziła pośród konstelacji. Godzina była może czwarta rano, kiedy wstała na chwilę i opierając się o kule weszła do domu. Kiedy wróciła na twarz malował jej się smutek, którego wcześniej nie zaznała w całym swoim życiu. Usiadła na powrót w swoim fotelu i zaczęła patrzeć w niebo.

Zbliżał się ranek. W miasteczku zaczęły się wyłączać uliczne lampy i neony reklamowe. Słońce od momentu ukazania się na horyzoncie, bardzo szybko wznosiło się do góry i po kilkunastu minutach cały jego okrąg oświetlał budzące się Midland. W niektórych gospodarstwach o godzinie szóstej rano przestawiały się taryfikatory napięciowe, dzięki którym mieszkańcy korzystali z tańszych opłat za energię w godzinach pozaszczytowych.

Wtem cała okolice, zasnęła jeszcze, rozbudził odgłos eksplozji. Wybuch był tak potężny, że na przestrzeni paru mil zatrzęsła się ziemia, a odgłos jego słyszany był od BayCity, po Flint.

Ludzie powyrzynani ze snu powychodzili w szlafrokach na ulicę, inni pootwierali okna na oścież i wołali do siebie, próbując dowiedzieć się, co się stało.

Pierwszą konkretną informację usłyszeli po kolejnej godzinie od powracającego z miejsca zdarzenia szeryfa. Ten, zatrzymał samochód widząc tłumek dziwnie poubieranych przed swoim biurem i odezwał się, nim ci zdążyli coś powiedzieć:

- Pamiętacie tą babę, która wyrzuciła Anię? No to o niej zapomnijcie!

* * *

- To mówisz chłopcze, że nie ma żadnej bomby zagrażającej Prezydentowi?- Głos mężczyzny był raczej nieprzyjazny.

Crig był ciężko przestraszony sytuacją i miejscem, w którym się znalazł już wieczorem, tego samego dnia, w którym rozmawiał ze swoim bratem.

- Tłumaczyłem, że nie ma żadnej bomby, tylko rozmowa z UFO, albo z kimś, kto robi bardzo głupie kawały na radio i to nadając z głębi lasów Michigan.- Chłopak patrzył na funkcjonariusza, czując, że zimny pot zaczyna oblewać mu kark. Spytajcie mojego brata. W komputerze też mam mapę z naniesionym punktem, z którego nadawane są przetworzone nasze komunikaty.

- Kłamiesz! Czy choć wiesz, że twój brat nie pracuje w kopalni?- Mężczyzna podniósł głos.- Z resztą jego też za chwilę powitamy.

- Nie kłamię!- Crig aż poczerwieniał na twarzy.- Musicie mnie wysłuchać! Przecież musi być u was jakiś Moolder, czy Scully?

- Musi, musi... Gówno musi! Za dużo telewizji i ci szajba odbija.- Agent spojrzał spod pochylonego czoła na chłopca.

W tym momencie na stole zapaliło się światelko interkomu. Mężczyzna włączył go i zapytał:

- Tak?

- Co z naszym terrorystą?- Mężczyznę w głośniku bardziej chyba śmieszyła ta sytuacja, niż denerwowała i nawet nie starał się tego ukryć.

- Cały czas swoje radio i radio, jak nakręcony...- Agent był najwyraźniej znudzony.

- To zostaw go. Mamy już jego brata, ale i polecenia.- Mówił głos.- Przyjdź tu zaraz.

- Zaraz? No to daj kogoś innego do maglowania dzieciaka, bo ja to bym ściągnął portki i na gołą skórę przyrznął ze dwa razy... Ale dobra już idę! A ty sobie jak przez nockę posiedzisz, to przypomnisz gdzie brat pracuje.- Ostatnie słowa były skierowane do Criga.

Agent wyszedł, a chłopak odprowadził go wzrokiem do drzwi i spuścił głowę.

- Mój brat jest muzykiem i lepiej gra od pana, ale teraz wiem, dlaczego nie warto być bohaterem.- Mruknął do siebie, gdy usłyszał szcęk przekręcanego w zamku klucza.

Agent tymczasem przeszedł krótkim korytarzem do sąsiedniego, bliźniaczego pomieszczenia, w którym już przebywał Marek i jeszcze pięciu, czy sześciu innych agentów, z których znał tylko swojego partnera. Wszyscy śmiali się akurat z czegoś i nie przestali nawet, kiedy wszedł do środka.

- Chodź do nas Gordon,- Śmiał się agent, partner nowoprzybyłego.- Ten jegomość, to brat tego dzieciaka i to on wykombinował całą tę hecę z bombą. Niebezpieczny, ale sam widzisz, jak skuteczny sposób. A to po kolei agenci Morton, Sadursky, Rawlej, i Rocztein z centrali. Przyjechali po twojego terrorystę i jego materiały. Kto wie, czy dzieciak nie odkrył czegoś, co bezskutecznie szukało połowa naszej armii, że o satelitach nie wspomnę.

Mężczyźni zaczęli się śmiać, tym razem patrząc na przemiany twarzy Gordona. Ten wpiersz czerwony od gniewu, potem biały jak ściana od nowin, a na koniec z oczami groźącymi wyskoczeniem ze zdziwienia. Machinalnie usiadł za stolikiem i wyjął z kieszonki w marynarce paczkę Marlboro. Jednak zapomniał chyba, od której strony odpala się papierosa, bo w chwilę po tym, jak się zaciągnął, zaczął kasłać, dusząc się dymem z filtra.

- Ten dzieciak coś odkrył?- Zdążył tylko zapytać i zakasłał znowu.

- Tak, a ty za chwilę zabierzesz go do domu, aby się spakował.- Morton odparł już poważnym tonem.- My pożyczamy jego sprzęt, a ty zafundujesz mu towarzystwo, aby się nie nudził w centrali.- Dokończył.

Tak, jak postanowiono, w niecałą godzinę po tej rozmowie, obaj bracia wracali do domu siedząc w wygodnych fotelach agencckiego GMC. Tam Crig dostał polecenie wyszukania jeszcze raz częstotliwości i tajemniczego "dzieciaka", który zwrócił jednak uwagę na górze, jak stwierdził starszy brat.

- Czy jest tak za każdym razem, gdy nawiązujesz łączność?- Sadursky spisywał położenie radiostacji z czytnika GPRS.

- Tak, raz czekałem tylko chwilę, za drugim prawie pięć minut, ale zawsze to samo.- Chłopak włączył aparaturę i przełączył na głośniki zewnętrzne.

- Podaj coś lakonicznego.- Poleciał agent.

- To znaczy?- Crig zawahał się przez moment przy mikrofonie.

- Bła, bła, bła, mrówka nosi osła, czy podobne.- Rocztein stanął koło nich i uśmiechnął się, m rugając do chłopaka okiem.

- Bła, bła, bła, mrówka nosi osła.- Powtórzył radiowiec, prawie parszając ze śmiechu do mikrofonu.

Odczekali może trzy minuty i w głośniku, jak za poprzednimi razami zdigitalizowany głos powtórzył wypowiedź... Sadursky wyciągnął z kieszeni komórkę i wciskając tylko jeden klawisz nawiązał połączenie.

- Macie to?- Zapytał.

- Tak, mamy, zobacz, czy można zgrać radio z komputerem?- Głos w słuchawce był czysty i wyraźny, że bez przeszkód każdy w pokoju go słyszał.

- Już od dawna!- Crig uśmiechnął się do agenta.

- Zgrane!- Przekazał tamten.

- Wprowadź koordynaty, a potem poleć ciągle nadawanie. To już my go nie zgubimy.- Brzmiało polecenie w słuchawce.

Sadursky machnął ręką do chłopca, aby ten ustąpił mu miejsca, i zajął miejsce przed klawiaturą. Położył telefon, na którym wyświetlały się teraz cyfry koordynat i zaczął je po kolei wpisywać. Po chwili na ekranie wyświetlił się napis "O.K.". Kolejne cyfry i ten sam napis, i cała scena powtórzyła się jeszcze siedem razy, a następnie w głośniku usłyszeli dźwięk pulsujący trójtónowo, raz mocniej, raz słabiej, podobny do sygnału karetki.

- No mały! Możesz być dumny. Rozmawiałeś z jednym z najdroższych robotów wojskowych, a dokładnie z jego komputerem łączności.- Poklepał Criga po ramieniu.- Nikt go nie potrafił namierzyć od czasu zaginięcia, bo szukali przez satelitę. Wiesz, nawet armii

coś ginie raz na jakiś czas...- Zaczął się śmiać.

- Ten miły agent, z którym się już poznałeś, w nagrodę zawiezie cię teraz do naszej agencji.- Powiedział Rocztein,- A my teraz pozyczymy sobie twój sprzęt i nawet nie zwrócimy uwagi na te nielegalne MP3-trujki, prawda Gordon?

- Prawda, prawda. Dzieciak wyprowadził mnie w pole, to co nie miałem się wkurzać?- Gordonowi jeszcze nie było do smaku, że Crig nie okazał się terrorystą.

* * *

To już nie był zwykły, gęsty las. Nawet drzewa rosły tutaj tak gęsto, że dorosły człowiek miał trudności z przecięnięciem się pomiędzy nimi. A przecież czy tylko drzewa w lesie rosną? W połączeniu z krzakami, i pnączami był to gąszcz nie do przebycia.

A jednak w tej gęstwinie drzew i krzewów, gdzie na pierwszy rzut nie było dróg, duktów, czy nawet ścieżek, indiańscy przewodnicy zawsze wiedzieli którądy poprowadzić nawet spory oddział z bagażem wystarczającym na małą wojnę. Prowadzili trochę tylko kłuczając, ale prowadząc prosto do upatrzonego celu. Niekiedy i tu były polany, jary z płynącymi w dół strumieniami, źródła, miejsca, gdzie zwierzęta przychodziły na żer lub do wodopoju. Na jednej z takich polan już od pięciu dni stacjonowała "baza". Trzy potężne, wojskowe namioty służyły za kuchnię, magazyn, zbrojownię i biuro, a dookoła nich porozstawiane były małe namiotiki uczestników zgrupowania. Trwało właśnie zebranie w namiocie biura. Ponad gwar rozmów i kłótni rozległ się suchy dźwięk zamka spustowego Colta 45.

- Jeżeli nie zamknięcie pysków, bóg mi świadkiem, że kolejny strzał będzie głośniejszy.- Stan Rosiński mówił głosem cichym, ale dobitnym, i każdy wiedział, że nie rzuca słów na wiatr.

- Ustalmy. Po pierwsze, jesteśmy tu już od prawie tygodnia i zamiast coś znaleźć, kręcimy się w kółko. Po drugie, od ostatniego śladu i nieudanego pościgu nie mieliśmy żadnego ufoludka na celowniku. Po trzecie i ostatnie nasi przewodnicy...- Tu spojrzał na zakneblowanych i związanych Indian leżących obok stołu.- Nasi przewodnicy twierdzą, że nie będą z nami współpracować. Ja proponuję naszym czerwonym braciom mały pokaz i sądzę, że tylko w ten sposób przekonamy ich, że sprawa jest naprawdę poważna.- Kiwnął na dwóch strażników stojących obok skrupowanych ciał.- Sobie kombinuję, że pięciu przewodników- tropicieli, to za dużo, a w dodatku skutecznie oni osuszają nasze zapasy Whisky... Prawda? A więc Trewor i Oscar pokażą teraz naszym czerwonoskórym, co robimy z kimś, kto już nie jest użyteczny.

- Stan, paliczek?- Oscar w uśmiechu pokazał wszystkie swoje ubytki w uzębieniu.

- Tak, to może być paliczek. I zadbajcie, aby nasi goście mieli miejsca siedzące w pierwszym rzędzie.

Oscar podniósł za włosy starego Indianina, który leżał najbliżej niego, wyprowadził na zewnątrz namiotu, i tam kopniakiem powalił na plecy. W tym czasie przed namiot wyszli wszyscy, którzy się w nim znajdowali. Pozostali więźniowie też zostali wyprowadzeni i ustawieni w pozycji kłęczącej. Oscar już miał w rękach trzy dość grube żerdzie i oplątywał je z jednej strony tak, że po rozłożeniu powstał okazały rozmiarów trójnog.

- Koledzy teraz będzie potrzebna wasza pomoc.- Machnął głową do paru mężczyzn stojących najbliżej niego.- Przytróćcie go do ziemi, żeby nie wierzał.

Kompanom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Grubymi rzemieniami przywiązali kończyny nieszczęśliwca do wbitych w ziemię palików. Oprawca rozłożył trójnog tak, że dwa ramiona stały na ziemi na wysokości stóp Indianina, a trzecie zaostrome w szpikulec oparł na mostku. Na tak rozstawionym przyrządzie podwiesił potężnie wyglądający kociołek. Już ten ciężar wywołał grymas bólu na twarzy, choć starzec nie wydał żadnego dźwięku, jak spodziewali się widzowie tego przedstawienia. Oscar zaczął wlewać do naczynia Whisky z już odkorkowanych butelek.

- Ile alkoholu wytrzyma czerwona twarz?- Spytał pobratymców.

- "Dalej, dalej, mało!"- Zaczęli dopingować kompani.

Już z dziesięć butelek pustych leżało na ziemi, kiedy drewniane ostrze przebiło skórę, a z rany popłynęła strużka krwi. Kolejne butelki systematycznie opróżniane upadając na ziemię tłukły się jedna o drugą. Indianin leżał nie dając oznak życia. Szpikulec do połowy zagłębił się w klatce piersiowej starca, a on nawet nie poruszył ustami. Na jego twarzy malował się smutny uśmiech.

- Dwadzieścia litrów!- Krzyknął ze śmiechem opryszek, sięgając po kolejną butelkę.- To nowy rekord!

- Ty, a może on już wyładował w krainie wiecznych łowów. Sprawdź, bo może się okaże, że wypijemy więcej za niego, niż był wart?- Krzyknął ktoś z grupy.

Oscar schylił się nad twarzą Indianina i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu:

- Żyje! Dziadek żyje jeszcze i oto panowie stawia nam dwudziestą pierwszą flachę!

Drewniane ostrze dociskane z tak wielką siłą wreszcie przebiło mostek ofiary i zatrzymując się ostatecznie zaklinowało się w kręgosłupie. Starzec do ostatniej chwili patrzył na Oscara swoimi jasnymi, jak gdyby wypłowiałymi oczami z półuśmiechem na ustach...

- Co za sukysyn!- Zaklął oprawca.- Panowie, mamy kolejny obowiązek względem zmarłego, wypić za niego!

Ten okrzyk był sygnałem dla pozostałych. Ściągnięto sagan z trójnogu i każdy podszedł z metalowym kubkiem, aby zaczerpnąć porcję alkoholu dla siebie.

- Spokojnie! Starczy dla każdego na trzy repety.- Stan patrzył na wszystkich z wysokości skrzyń z amunicją, na których siedział.- Dzisiaj szalejemy, ale jutro...- Spojrzał po zgromadzonych wzrokiem, który mógł zabić.- Ruszamy dalej, a nasi czerwoni bracia nam w tym pomogą. Tak myślę, że ta lekcja da im dużo do myślenia przez noc.- Zszedł ze skrzyń i podszedł do skrupowanych.- Zabierzcie ich do namiotu i pilnujcie. Rano sprawdzę, czego się nauczyli.

* * *

Beata i Steven już drugi dzień spędzali na małej plaży, nad brzegiem jeziora. W tym czasie, już na spokojnie odkryli, że "ściany" okalają teren ze wszystkich stron. W wodzie, pod wodą, a nawet nad ich głowami.

Steven pływał od pół godziny wzdłuż bariery, oddalonej od brzegu o około trzydzieści metrów. Szukał, jak sam to określił, "ukrytych drzwi". Wielokrotnie też nurkował, ale zawsze na głębokości około sześciu metrów dotykał dna tak gładkiego, jak w, porównując, akwarium.

- Nic z tego.- Mamrotał.- To jest jak jakieś dziwne więzienie! Zwariowana klatka zdegenerowanego milionera. Wszędzie są ukryte kamery i ktoś się nieźle bawi, tylko nie my...

Trixi w tym czasie szykowała posiłek. Zapobiegliwie, po odkryciu bariery postanowiła, że z całego prowiantu, który zabrali, będzie wydzielać tylko takie porcje, które wystarczą im na jak najdłuższy tu pobyt. Mamała się, że to tylko jakaś przejściowa anomalia, a po jakimś czasie, ktoś ich wyratuje, albo im samym uda się uwolnić z tej pułapki...

- Niczego nowego nie znalazłem.- Steven wychodził właśnie z wody.- Zacznę dalej szukać, ale trochę później. Co ty na to, abyśmy popływali razem? Przecież teraz tylko to, opalanie i jedzenie nam zostało...- Grymas na twarzy miał udawać uśmiech.

- A ja myślę, że powinniśmy spróbować zniszczyć tę ścianę, tylko nie wiem jak.- Beata rzuciła ręcznik.- Wytrzymaj się, coś zjemy i pomyślimy. Może jednak coś wpadnie nam do głowy.

- A jeżeli przyłożyć ognisko do ściany?- Powiedział Steven, patrząc w stronę samochodu.- Bo wiesz, ja tak myślę, że specjalnie nas oddzielono. Wóz to jednak większa moc od nawet dwudziestu chłopów!

- Tak, tak. Paliwo w kanistrze, to prawie bomba.- Zachichotała Beata.

Siedzieli przez dłuższą chwilę przy prowizorycznym stole zrobionym ze ściętego pniaka. Oboje skąpo ubrani, jedynie w stroje do

opalania. Słońce prażyło niemiłosiernie i tylko tak ubrani byli w stanie znieść tą spiekotę. Na domiar złego w ich więzieniu panowała niepodzielnie cisza. Wyrażało się to swoistą cyrkulacją powietrza i brakiem dźwięków natury z wyjątkiem tych, które sami tworzyli.

Spostrzegli, że choć na zewnątrz gałęzie drzew lekko falowały na wietrze, oni nie odczuwali najmniejszego podmuchu. Drobne ruchy wody w owej klatce spowodowane były też chyba tylko dużą ilością ryb. Steven po dopłynięciu do ściany w wodzie, też zobaczył, że z drugiej strony fale o wiele wyższe, uderzały o niewidzialną barierę. A jednak! Cały czas oddychali świeżym powietrzem, a ognisko płonęło żywym, jasnym, nie stłumionym płomieniem. Ale to ognisko przy okazji pomogło im zorientować się, że nad głowami również mają niewidzialny sufit. Beata w pewnym momencie dorzuciła kilka lekko wilgotnych gałęzi. Dym, zamiast dusić się przy ziemi, strzelił wąską smugą ku górze, a dopiero na wysokości, około drugiego piętra nagle zmienił kierunek, zgodnie z ruchem gałęzi drzew.

- Steven, jak sądzisz, czy te ściany mają jakiś filtr UV, czy spieczemy się na raki? - Beata porównała opaleniznę z jasną skórą pod ramiączkiem biustonosza.

- Miodzio, miodzio! A może pod kloszem uratujemy się przed rakiem skóry? - Chłopak położył się na rozścielonym kocu. - To jest jedyny, jak na razie plus tej puszki.

Rozmawiali w tym tonie jeszcze długo, o wszystkim i o niczym. Raz na wesoło, to znów z obawą o dalszy ich los.

Steven chwycił dziewczynę za przegub dłoni i wskazał niebo nad jeziorem. W ich stronę powoli, bezgłośnie zbliżał się śmigłowiec. Jeden z tych, które często przeczesują okoliczne lasy w poszukiwaniu zarzewia pożaru. Kiedy zbliżył się na tyle, że można już było rozróżnić postacie i szczegóły konstrukcyjne maszyny, oboje z dziewczyną zaczęli machać rękami i wołać, ciesząc się jak dzieci. Helikopter był już tuż, tuż. Powoli, prawie majestatycznie prawie przepłynął nad ich głowami, nie zdradzając jednak zainteresowania dwójką nastolatków.

- Co siemięgi!? Nie widzicie nas? My się nie uśmiechamy do was, tylko chcemy pomocy! - Dziewczyna krzyczała za odlatującą maszyną. - Steven, buchnij większym ogniem. Chcą znaleźć pożar lasu, to my im go zrobimy.

- Beata! - Chłopak opuścił ręce i patrzył za odlatującą maszyną. - To nie ma chyba sensu. Oni szukają ognia, a nie młodzieży, nami się nie zainteresują, dopóki jesteśmy grzeczni.

- Ja nie jestem grzeczna! - Beata usiadła przy ognisku, machinalnie chwytając kubek z napojem. - Jestem wściekła, rozgoryczona i nie wiem, co mam robić. Tak w ogóle, to mam dosyć serdeczne tego więzienia, tego akwarium! - Machnięciem ręki wylała resztę zawartości naczynia w buchające płomienie.

Ogień z nagłą przegaszony zaskwierczał, na chwilę przytłumił się, a kawa wylana wprost na rozżarzone główne, momentalnie przeistoczyła się w szeroki słup pary, unoszący się prosto, w górę.

- Trixi, wiesz co? Tak sobie pomyślałem, ale oni może nas nie widzieli. - Steven patrzył na obłok pary. - To, że helikopter przeleciał bez żadnej reakcji pilota może oznaczać tylko jedno. Mieli przed sobą czystą plażę...

* * *

Riazani od dłuższego czasu przyglądał się okolicy. Gładka płaszczyzna otoczona dookoła plastikową taśmą obwiązaną wokół słupków wbitych w ziemię w odległości czterech metrów od jej skraju. Trzy potężne platformy z reflektorami halogenowymi i umieszczonymi na ich szczytach platformami ze stanowiskami kamer różnego typu, od normalnych, telewizyjnych, po te na podczerwień i inne pasma. Budynki wartownicze, co piętnaście metrów, co chwilę przelatujące helikoptery w pełnym uzbrojeniu przeczesujące teren. To wszystko składało się na scenę rodem z filmu "Bliskie spotkania trzeciego stopnia". Trochę dalej stały białe baraki laboratorium, za nimi "kompleks mieszkalny" i sztab.

- Armia nie próżnuje. - Powiedział pod nosem. - Rzeczywiście ten Ruff odwalił kawał dobrej roboty. Nawet mysz się nie prześliźnie. To dlatego nie mamy stąd żadnych informacji!

Riazani należał do ludzi lubiących wiedzieć więcej, niż inni, słyszeć więcej, niż inni, i... Przekazywać innym tylko tyle, ile musiał, a nie ile by chcieli...

Teraz był w odwrotnej sytuacji. Wszystko, czego się dowiedział, przekazał już przez zwierzchników tutaj, a sam miał nadzieję uzyskać, choć trochę nowych informacji, korzystając z przysługujących mu przywilejów i okazji przyjazdu. Na domiar wszystkiego, rozkazem szefa przekazał te same uprawnienia jakiemuś pułkownikowi, którego teczka, o dziwo nawet dla niego miała kryptonim "ściśle tajne". Takie same uprawnienia, którymi się szczycił, że nawet Prezydent ma mniejszy wgląd do akt, niż on, Izaw. Ale on dowiedział się co nieco o tym pułkowniku, jak mu było? - Ruff. A z tego, co wyczytał o nim, gość musi być z jajami wielkości Czołomungmy, że po wszystkich jego akcjach nie wylądował w wariatkowie, ani na cmentarzu. A on szykuje kolejną akcję, ładując się w bagno, a przecież znając zagrożenie...

- Dobrze, że dzięki mnie nie będzie musiał topić się w tym szkle. - Powiedział do siebie na głos, nie zauważwszy jakimś trafem za sobą człowieka, który jakby nie patrzeć, był od niego wyższy o głowę.

- Skoro pan tak twierdzi. Tu pana spotkałem, Inspektorze. I jaki się podoba nasza winda? - Zapytał ColdTop, gdyż on był tym człowiekiem o niesłychanych ruchach.

Riazani obejrzał się. Za nim w odległości trzech kroków stał prawdziwy olbrzym. Przewyższał go sporo, nawet w "kłacie", choć jak twierdził, sam do ułomków nie należał, a wręcz odwrotnie, każdy porównywał go do mitycznych wojowników, i z muskularnej budowy, i z profilu.

- Major wspominał o panu, że jest pan trochę wyższy ode mnie, ale nie mówił, ile jest tego trochę. - Wyciągnął rękę na powitanie Riazani.

- A za to pana głos już znam, a dziś dopiero poznaję resztę. - Ruff odwzajemnił uścisk. - Czyli to przez pana opóźniliśmy mój eksperyment. Widocznie macie coś, co nas jeszcze bardziej zaskoczy... Odnaleźliście bombę, czy co?

- Być może. - Inspektor spojrzał znad okularów na pułkownika. - Mam adres zsyłki waszego robota, ale o tym przy kawie. Tutaj i nie czas i nie miejsce na eksperymenty... Może, kto wie, czy nie polecą pan o wiele dalej, ale jednak w obrębie naszej planety.

- Zgoda, co do miejsca, choć tu nikt nie zdoła nas podsłuchać, bo o to też zadbałem. - Ruff odchylił potę marynarki ukazując przyrząd wpięty zamiast pistoletu w kaburę. - Ta zabawka chroni nas przed nawet najlepszym sprzętem podsłuchowym. Ale kawa nam się przyda oprócz tego. - Ręką wskazał kierunek budynku sztabu.

Przeszli koło baraków mieszkalnych pomalowanych na biało. Ściany gładkie, bez jakichkolwiek śladów łączenia, kontrastowały tak z otoczeniem, że ich jasność w promieniach słońca zmuszała wręcz obu, do mimowolnego mrużenia oczu. Za pawilonami skręcili w prawo, wchodząc na drogę wysypaną żwirem i ubitą prawie na gładko. Przeszli dwadzieścia metrów i stanęli przed dużymi drzwiami. Stuart wystukał kod na zamku szyfrowym, usłyszeli szcęk rozsuwanych automatycznie sztab i drzwi bezgłośnie się rozchyliły do środka, ukazując wnętrze budowli. Coś było zaskakujące. Cała konstrukcja budowli nie posiadała ani jednej ściany nośnej w środku, co dziwiło każdego, zważywszy na wysokość i ogrom konstrukcji.

- Ten pawilon postawiono w jeden dzień, ale sądzę, że jego ścianka wytrzyma spokojnie napór kilku czołgów, jak też salwę z nich oddaną. A pomyśleć, że jest to tworzywo na poły naturalne... - Pułkownik poklepał "framugę".

- Dziwne, myślałem, że to my jesteśmy od zaskakiwania świata nowinkami technicznymi? Co to za tworzywo, bo wydaje się jakby uginać pod ręką? - Riazani spojrzał na ColdTopa.

- Coś w oparciu o nić pajęczą z dodatkiem epoksydów i poliwęglanów, ale tego będzie się pan musiał dowiedzieć od naszych techników. - Odparł.

Szli korytarzem, pomiędzy boksami oddzielnymi od siebie jedynie półprzezroczystymi ściankami. W każdej kabinie, przy biurku

siedział ktoś z obsługi, czy to ubrany w biały kitel, czy w wojskowe moro. Całość wyglądała jak połączenie armii biurokratów i techników wojskowych z tymi rodem z NASA.

- A to jest pomieszczenie "klubowe".- ColdTop otworzył drzwi do jedyne go pomieszczenia, posiadającego własny szklany z resztą sufit.- Tutaj możemy nadzorować przebieg badań w laboratoriach i wydawać wszelkie dyspozycje w sztabie. Sami zaś jesteśmy w dźwiękoszczelnej kabinie, więc nikt nie ma możliwości usłyszeć, o czym rozmawiamy. A to, żeby nie czytali z ruchu warg.- Pułkownik wystukał komendę na konsoli komputera, a w chwilę po tym szyby stały się taflami luster.

- No proszę! Armia ma jednak więcej zabawek, które potrafią mnie jeszcze zaskoczyć. A mówi się ogólnie, że to wy korzystacie z czyichś pomysłów.- Riazani na głos wyraził swoje uznanie. Usiadł na wygodnym, szerokim fotelu i położył sobie na kolanach teczkę, którą do tej pory trzymał pod prawym bokiem. ColdTop w tym czasie nalewał już aromatyczną Arabikę z ekspresu ciśnieniowego do dwóch filiżanek.

- Ja dodaję zawsze odrobinę rumu, może i pan się skusi?- Spojrzał na inspektora, a gdy tamten skinął głową, dołął dwie łyżeczki alkoholu do każdego naczynia. Postawił filiżanki na stole i sam usiadł obok. Riazani bez ogródek przeszedł do sedna sprawy.

- Zabawne jest to, że nazwaliście płaszczyznę windą, ale wcale się nie myliliście. Może ona nie do góry, i nie w dół, a tak trochę w bok, ale przenosi wszystko, powtarzam, wszystko w miejsce oddalone od Roswell, o ponad tysiąc kilometrów w linii powietrznej. Lasy Michigan kryją naszą zagadkę w bardzo skuteczny sposób. Ani nikt się nie spodziewał, ani nikt nie wykrył za pomocą obserwacji i nasłuchu satelitarnego. Tylko zbiegowi okoliczności, zakrawającemu na cud, odkryliśmy tamto miejsce. To dzięki nasłuchowi fal radiowych emitowanych przez zwariowanego waszego robota.

- No nie zwariowanego.- Wtrącił pułkownik.- Miał a zadanie poznać język, przeanalizować i umożliwić nam kontakt. A skoro nie otrzymywał od nas dyrektyw, powielał w eter każdy sygnał wychwycony z przestrzeni.

- Wiemy i to. Już go zresztą namierzaliśmy i ekipa jest w drodze. Pan chciał w pojedynkę przejechać się windą, to teraz doleci nawet do ostatniego piętra innym środkiem transportu, sądzę, że też ciekawym. Po naszej analizie wiemy już na pewno, że wasza tafla, jest kluczowa w odpaleniu ładunku. Jakikolwiek wybuch zostanie wchłonięty i przeniesiony do zapalnika. Otrzymaliście przed moim przybyciem materiały. Na ich podstawie już wiemy, czego się możemy spodziewać.- Riazani zapalił cygaro, jakby wstrzymując oddech przed tym, co chciał jeszcze zakomunikować.- Jedno, co mnie niepokoi, to, że nasi sojusznicy każą się nam samym z tym uporać. Twierdzą, że nie mamy technologii, siły ognia, a co otrzymujemy od nich? Nic, prócz mglistych obietnic.

- Skoro tyle macie, to, po co ja mam lecieć?- ColdTop kolejny już raz przeglądał materiał filmowy.- Przysnąję się, jak pan widzi, nie zniszczyłem nośnika. Ale nie widzę już takiej potrzeby. Jak pan słyszy ich wypowiedzi są delikatnie rzecz ujmując, trochę enigmatyczne. Dlaczego nie powiedzieli wprost, czego szukać?- Cofnął jeszcze raz na zapis.- "Punkt, który do niego prowadzi jest waszą zagadką. Jest też detonatorem. Zapalnik pozostawił byt..."

- Detonator już mamy.- Rozmyślał na głos pułkownik.- Bombę chyba też, jeżeli przyjąć namiary radiowe za pewnik, choć dziwi mnie umiejscowienie jej na Ziemi...- Patrzył teraz na ciemny ekran.- Dlaczego więc mówią o zapalniku, jak gdyby był gdzieś indziej, niż ładunek? A może on się przemieszcza i w odpowiednim czasie, znajdzie się odpowiednim miejscu.- Spojrzał, przymrużywszy oczy, jak zwykło to robić, gdy nad czymś poważnie się zastanawiał.- Łądem, powietrzem, w kosmosie... Tak! Tak trzeba by było zacząć poszukiwania. Najpierw zbadać, czym jest bomba, potem znaleźć i odizolować zapalnik...

- Nie myliłem się, co do pana, Ruff.- Riazani patrzył na olbrzyma pełnym szacunku wzrokiem.- My zaprzęgliśmy do tej analizy komputery, i one to samo podały w trochę dłuższym czasie, niż pan to wszystko określił słowami. A w dodatku one miały jeszcze trochę więcej danych, jeżeli doliczyć prędkość i zasięg poszukiwań.

- Jeżeli prędkość, to jedynie skanując z kosmosu w wysokiej rozdzielczości, ale taka masa materiału do obróbki, kiedy nie wiemy nawet, czego szukamy, trochę może potrwać... Sądję jednak, że dysponujemy wystarczającą ilością specjalistów w chwili obecnej, i są oni z różnych dziedzin najlepszymi z najlepszych. Czyli poszukiwania! A skoro tak, to nie ma na co zwlekać. Żeby jeszcze wiedzieć, co jest bombą i czy można ją potem zneutralizować, ale to na razie taka mała dygresja.- Podrapał się po czole ColdTop.

- Ależ już wiemy dzięki naszym "opiekunom"! Gdzie pan ma próbkę tego dziwnego minerału? W takim razie jeszcze zostaje nam pytanie, jak zneutralizować.- Riazanii podniósł się z siedzenia, wziął z ręki pułkownika woreczek z niewidoczną zawartością.- To, co się tu znajduje, wystarczy na zniszczenie mojego samochodu. Nasze próby na razie miały na celu określenie mocy ładunku. Ale teraz właśnie trzeba pomyśleć jak to świństwo unieszkodliwić.

-I jak, skoro tego nawet nie widać?- Dokończył myśl Stuart.-Teraz naprawdę sądzę, że powinniśmy się zastanowić o jak najszybszym przybyciu na miejsce i wszczęciu poszukiwań. Jakie mamy siły tam na miejscu?- Znowu stanął przy pulpicie komputerowym.- Popatrzmy...

Inspektor stanął z boku i przyglądał się wyświetlonej mapie kraju:

- Michigan.

- Jest Michigan.- ColdTop odruchowo odpowiedział kierując kursorem na odpowiedni stan.

- Lower Peninsula.- Riazani wskazał palcem na ekranie.- Tu około trzech mil na północ od tej rzeczki.

-Ale piękny widok. Nie można było znaleźć lepszego terenu? Tam są tylko lasy, lasy i jeszcze raz lasy. Zaśmiał się ColdTop.

- Dla kogoś był wymarzony, tylko nie dla nas.- Odpowiedział sentencjonalnie inspektor.

- Tak, tylko w takim wypadku, ja to za mało. Przydałyby się ze cztery brygady...- Spoważniał.

- To przynajmniej o tym samym myślimy. A tak przy okazji, mamy całkowite poparcie z góry, i jeżeli to możliwe, jak najpóźniej powiadomić prasę, a najlepiej wcale.- Riazani usiadł na skraju ławy.

- Ja jestem za tym, aby jakiegokolwiek media wyeliminować z tego.- Oficer miał własny punkt widzenia.- Wszędzie węszą, to jak wyczują smród koło tego, będzie globalna panika. Pamięta pan, jaki zrobili bajzel ze śmiercią Orama?

- Bo jak się likwiduje bożyszczę tłumy na oczach kamer, trzeba się liczyć z różną interpretacją...

- Zaraz, zaraz! Od kiedy wroga świata nazywa się bożyszczem? Czy to nie on wyzywał wszystkie narody muzułmańskie, po śmierci Bin Ladena, na wojnę przeciw współczesnej zarazie, jaką jesteśmy?- ColdTop spojrzał spode łba na Riazaniego.- Armia jest po to, aby bronić kraj, w jego granicach, niekiedy poza jego granicami, ale zawsze przed zagrożeniem wolności i bezpieczeństwa. Jest jak chirurg wycinający wrzód na dupie.

- Dobry chirurg skoro jedną rakieta załatwił problem na długi czas...-Teraz Riazani zaczął się śmiać.

- Tylko, aby ta jedna rakietka mogła tak precyzyjnie "ciąć", potrzeba było trzech dni na szukanie miejsca tamtej transmisji. Też wiadano, że będzie, a nie znano miejsca. Dobra! Zgoda, a teraz nie o polityce i mediach, tylko o naszych E.T.. Jeszcze raz, co mamy, czego nam brakuje?- ColdTop spojrzał na konsolę.

- Grupy szybkiego reagowania w Michigan.- Riazani zaczął wylizywać na palcach.- Teren zabezpieczony i badany w Roswell, dezorientacja w mediach.

- Dyspozycyjność jednostek z Grand Rapids, logistyka, "przyjaciele z kosmosu".- Zaczął dodawać oficer. Spojrzał na panel, na którym pokazała się ikonka e-maila. Otworzył pocztę, chwilę czytał, i dodał...- Gubernator Michigan da wszystko, czego potrzebujemy, a ja mogę wylecieć za...- Spojrzał na zegarek.- Nawet za piętnaście minut.

KONIEC

***Dziękujemy wszystkim, którzy dotarli
do tego miejsca i zapraszamy do lektury
następnego numeru!***